

Prószński i S-ka

TERRY PRATCHETT RUCHOME OBRAZKI



ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

Ruchome Obrazki

Spójrzcie...

Oto kosmos. Nazywany czasem ostatnią granicą.

(Tyle że - naturalnie - nie może istnieć ostatnia granica, bo niby z czym miałyby graniczyć? Ale jak na granicę, ta jest należycie przedostatnia...).

Na de rojów gwiazd zawisła mgławica, ogromna i czarna; jeden czerwony olbrzym lśni w niej niby szaleństwo bogów...

I raptem to lśnienie okazuje się błyskiem w gigantycznym oku, przesłoniętym nagle mrugnięciem powieki; ciemność porusza płetwą i Wielki A'Tuin, gwiazdny żółw, płynie dalej przez mrok.

Na jego grzbiecie - cztery słonie. Na ich grzbietach, obramowany wodą, migoczący pod maleńkim, orbitującym wokół słońcem, wirujący majestatycznie wokół gór otaczających zamrażającą Oś, spoczywa Dysk - świat i zwierciadło światów.

Niemal nierzeczywisty.

Rzeczywistość nie jest cyfrowa, zero-jedynkowa, lecz analogowa. Jest czymś stopniowym. Inaczej mówiąc, rzeczywistość to cecha, którą obiekty posiadają w taki sam sposób, w jaki posiadają - powiedzmy - ciężar. Na przykład niektórzy ludzie są bardziej rzeczywisci niż inni. Ocenia się, że na dowolnej planecie istnieje tylko pięciuset prawdziwych ludzi, i właśnie dlatego przez cały czas niespodziewanie na siebie wpadają.

Świat Dysku jest tak nierzeczywisty, jak to tylko możliwe, a przy tym dostatecznie rzeczywisty, by istnieć.

I dostatecznie prawdziwy, by mieć prawdziwe kłopoty.

Jakieś trzydzieści mil w kierunku obrotowym od Ankh-Morpork

przybój huczał na omiatanym wiatrem, pokrytym falującą trawą i piaszczystymi wydmiami skrawku lądu - w miejscu gdzie Okrągłe Morze spotyka się z Oceanem Krawędziowym.

Samo wzgórze było widoczne na wiele mil dookoła - niezbyt wysokie, ale wznosiło się pośród wydmi niby łódź odwrócona dnem do góry albo wyjątkowo pechowy wieloryb. Porastały je karłowate drzewa. Nie moczył go żaden deszcz, jeśli tylko mógł się jakoś z tego wykręcić. I chociaż wiatr rzeźbił wydmy wokół, niski wierzchołek trwał w wiecznej, dzwoniącej ciszy.

Nic prócz piasku nie zmieniło się tu od setek lat.

Aż do dzisiaj.

Prymitywna chata z wyrzuconego przez morze drewna została zbudowana na długim łuku plaży... Chociaż określenie „zbudowana” to obraza dla wszystkich w historii budowniczych prymitywnych chat z wyrzuconego przez morze drewna. Gdyby morze zwyczajnie zostawiało drewno na stosie, pewnie uzyskałoby lepszy wynik.

W tej chacie umarł właśnie pewien starzec.

- Oj - powiedział.

Otworzył oczy i rozejrzał się po izbie. Od jakichś dziesięciu lat nie widział jej zbyt wyraźnie.

Potem zsunął jeśli nawet nie nogi, to wspomnienie nóg z legowiska z morskiego wrzосу i wstał. Następnie wyszedł na zewnątrz, w krystalicznie czysty poranek. Z zaciekawieniem spostrzegł, że choć jest martwy, nadal ma na sobie widmowy obraz ceremonialnej szaty - poplamionej i wytartej, to prawda, jednak wciąż można było poznać, że kiedyś uszyto ją z czerwonego pluszu ze złotymi lamówkami. Ubranie umiera chyba razem z człowiekiem, a może człowiek ubiera się w myślach, ze zwykłego przyzwyczajenia.

Przyzwyczajenie doprowadziło go też do stosu drewna przy chacie. Kiedy jednak spróbował podnieść jakieś polano, dłoń przeniknęła przez nie na wskroś.

Zaklął.

Wtedy dopiero zauważył jakąś spoglądającą w morze postać na granicy fali. Opierała się na kosie. Wiatr szarpał jej czarną szatę.

Ruszył ku niej utykając, przypomniał sobie, że nie żyje, i pomaszerował sprężystym krokiem. Nie chodził tak już od dziesięcioleci; zdumiewające, jak szybko wracają takie rzeczy.

Był w połowie drogi, gdy postać się odezwała.

DECCAN RIBOBE.

- To ja.

OSTATNI STRAŻNIK WRÓT.

- No, chyba tak. Śmierć zawahał się.

JESTEŚ NIM CZY NIE? spytał.

Deccan poskrobał się po nosie. To jasne, pomyślał; trzeba nadal móc siebie dotykać. Inaczej człowiek rozpadłby się na kawałki.

- Formalnie rzecz biorąc, Strażnik musi być wyznaczony przez Najwyższą Kapłankę - wyjaśnił. - A Najwyższych Kapłanek nie ma już od tysięcy lat. Widzisz, nauczyłem się wszystkiego od starego Tento, który tu mieszkał przede mną. Pewnego dnia zawołał mnie i mówi: „Deccan, wygląda na to, że umieram, więc teraz wszystko spada na ciebie, bo jeśli nie zostanie tu nikt, kto należycie pamięta, wszystko zacznie się od początku, a wiesz, co to oznacza”. No i w porządku... Ale trudno to nazwać oficjalnym naznaczeniem, ot co.

Obejrzał się na piaszczyste wzgórze.

- Żyliśmy tu tylko on i ja - westchnął. - Potem już tylko ja, który pamiętałem Holy Wood. A teraz... Podniósł dłoń do ust.

- O rany...

TAK, powiedział Śmierć.

Błędem byłoby stwierdzenie, że po twarzy Deccana Ribobe przemknął wyraz paniki, ponieważ w tej chwili jego twarz znajdowała się o kilka sążni od niego i ozdabiał ją rodzaj zastygłego uśmiechu, jakby Deccan wreszcie zrozumiał dowcip. Ale jego duch wyraźnie się zmartwił.

- Widzisz, bo to jest tak - zaczął pospiesznie. - Nikt tu nie przychodzi, tylko rybacy z sąsiedniej zatoki, ale oni zostawiają ryby i uciekają, a to z powodu zabobonów. No a przecież nie mogłem iść i szukać sobie ucznia, bo musiałem podtrzymywać ogień i wznosić modły...

TAK.

- ...To straszna odpowiedzialność, kiedy jest się jedynym, który potrafi wykonywać jakąś pracę...

TAK! zgodził się Śmierć.

- Oczywiście, tobie nie muszę tłumaczyć...

NIE.

- ...I wiesz, miałem nadzieję, że znajdzie się jakiś rozbitek albo ktoś przyjdzie tu szukać skarbów, a ja mu wszystko wytłumaczę, jak kiedyś stary Tento mnie, nauczę pieśni... No, jakoś to pozałatwiam, zanim umrę...

TAK?

- Pewnie nie ma możliwości, żebym tak jakby...

NIE.

- Tak myślałem - westchnął przygnębiony Deccan. Spojrzał na fale załamujące się przy brzegu.

- Kiedyś, tysiące lat temu, stało tu wielkie miasto - powiedział.

- Znaczy się tam, gdzie teraz jest morze. Kiedy przychodzi sztorm,

można usłyszeć dawne dzwony świątyni bijące pod wodą.

WIEM.

- Lubilem tu siadać w wietrzne noce i słuchać. Wyobrażałem sobie martwych ludzi na dole, jak dzwonią w dzwony.

A TERAZ MUSIMY JUŻ IŚĆ.

- Stary Tento mówił, że coś jest pod pagórkiem i to coś może kazać ludziom robić różne rzeczy. Wkłada im w głowy dziwne mrzonki - mówił Deccan, z ociąganiem ruszając za wysoką postacią.

- Ja tam nigdy nie miałem żadnych mrzonek.

ALE TY ŚPIEWAŁEŚ, zauważył Śmierć. Pstryknął palcami.

Koń przerwał skubanie suchej trawy na wydmach i podbiegł posłusznie. Deccan spostrzegł zdumiony, że zwierzę zostawia na piasku ślady kopyt. Spodziewał się raczej snopów iskier, a przynajmniej nadtopionych kamieni.

- Ehm... - odchrząknął. - Możesz mi powiedzieć, no... co teraz będzie?

Śmierć powiedział.

- Tak myślałem - mruknął smętnie Deccan. Ognisko, przez całą noc płonące na niewysokim wzgórzu, rozsypało się w chmurę popiołu. Żarzyło się jeszcze kilka głowni. Wkrótce zgasną i one.

....

...

..

.

Zgasły.

.

..

...

....

Przez cały dzień nic się nie wydarzyło. Potem, w niewielkim zagłębieniu u stóp drzemiącego pagórka, poruszyło się kilka ziarenek piasku. Odsłoniły maleńki otwór.

Coś się wynurzyło. Coś niewidzialnego. Coś radosnego, samolubnego i cudownego. Coś tak niematerialnego jak idea, którą właśnie było. Dziką ideą.

Była stara w sposób, jakiego nie mierzą kalendarze znane Człowiekowi; w tej chwili miała wspomnienia i potrzeby. Pamiętała życie w innych czasach i innych wszechświatach. Potrzebowała ludzi.

Uniosła się ku gwiazdom, zmieniając kształt i wijąc się jak dym.

Na horyzoncie płonęły światła.

Lubiła światła.

Przyglądała im się przez kilka sekund, po czym -jak niewidzialna strzała - wydłużyła się w stronę miasta i pomknęła naprzód.

Lubiła też akcję...

I minęło kilka tygodni.

Przysłowie mówi, że wszystkie drogi prowadzą do Ankh-Morpork, największego z miast Dysku.

W każdym razie przysłowie mówi, że istnieje takie przysłowie, które mówi, że wszystkie drogi prowadzą do Ankh-Morpork.

To nieprawda. Wszystkie drogi prowadzą z Ankh-Morpork, ale czasami ludzie podążają nimi w niewłaściwym kierunku.

Poeci już dawno zrezygnowali z opisywania tego miasta. Teraz ci bardziej przebiegli starają się je usprawiedliwiać. Mówią, że owszem, może i jest śmierdzące, może jest zatłoczone, może faktycznie wygląda tak, jak wyglądałoby Piekło, gdyby wygasić tam wszystkie ognie i przez rok trzymać stado krów z rozstrojem żołądka, ale trzeba uczciwie przyznać, że pełne jest wszechobecnego, wibrującego, dynamicznego życia. To prawda, chociaż mówią o tym poeci. Inni, którzy nie są poetami, odpowiadają: co z tego? Materace też bywają pełne życia, a nikt nie tworzy o nich sonetów. Obywatele nienawidzą mieszkania tutaj. Kiedy muszą wyjechać w interesach, szukać przygód, czy - najczęściej - odczekać, aż upłynie termin jakichś prawnych ograniczeń, wręcz marzą o powrocie, żeby nienawidzić mieszkania tutaj jeszcze trochę. Z tyłu powozów przyczepiają naklejki z napisami: „Ankh-Morpork - rzygaj albo rzuć”. Nazywają je Wielkim Wahooni[1], od owocu.

Od czasu do czasu jakiś władca buduje wokół Ankh-Morpork mur - oficjalnie po to, by nie wpuszczać wrogów. Ale Ankh-Morpork nie obawia się wrogów. Więcej nawet; wita wrogów serdecznie, pod warunkiem że są to wrogowie zamożni[2]. Miasto przetrwało powodzie, pożary, dzikie hordy, rewolucje i smoki. Niekiedy tylko dzięki przypadkowi, to prawda, ale przetrwało. Radosny, nieodwracalnie skorumpowany duch miasta okazał się odporny na wszystko...

Aż do dzisiaj.

Bum!

Eksplzja zniszczyła okna, drzwi i większą część komina. Przy ulicy

Alchemików taki wybuch nie był niczym niezwykłym. Sąsiedzi woleli nawet eksplozje, które przynajmniej łatwo jest zlokalizować i które szybko się kończą. Są o wiele lepsze od zapachów, które się sączą zewsząd i bez końca.

Eksplozje były tu naturalnym elementem krajobrazu - a raczej tego, co z niego zostało.

Ta ostatnia nieźle się udała, według opinii miejscowych koneserów. W kłębach czarnego dymu błysnęło czerwone jądro, które nie zawsze daje się zauważyć. Odłamki na wpół roztopionego muru były bardziej roztopione niż zwykle. Stanowczo, uznano, eksplozja robiła wrażenie.

Bum!

Minutę czy dwie po wybuchu jakaś postać wytoczyła się z poszarpanego otworu, gdzie kiedyś tkwiły drzwi. Nie miała włosów, a jej ubranie jeszcze się tliło.

Zataczając się dotarła do grupki gapiów podziwiających dzieło zniszczenia. Całkiem przypadkiem położyła dłoń na ramieniu sprzedawcy gorących mięsnych pasztecików i kiełbasek w bułce, znanego jako Gardło Sobie Podrzynam Dibbler. Dysponował on niemal magiczną zdolnością pojawiania się w miejscach, gdzie można coś sprzedać.

- Szukam... - oznajmiła postać z rozmarzeniem - słowa. Mam na końcu języka.

- Pypec? - odpowiedział Gardło.

I natychmiast odzyskał handlowe zmysły.

- Po takich przeżyciach - dodał, podsuwając postaci tacę z taką ilością zutylizowanych szczątków organicznych, że była już prawie świadoma - przyda się panu gorący pasztecik...

- Nienienie... To nie pypec. Takie coś, co się mówi, kiedy człowiek coś odkryje. Biegnie się po ulicy i krzyczy... - gorączkowo tłumaczyła osmalona postać. - Takie specjalne słowo... - dodała, marszcząc czoło pod warstwą

sadzy.

Tłumek niechętnie pogodził się z faktem, że więcej wybuchów nie będzie; teraz otoczył osmalonego alchemika. Widowisko mogło się okazać równie zajmujące.

- Tak, zgadza się - oświadczył starszy mężczyzna, nabijając fajkę. - Krzyczy się „Pożar! Pożar!”. - Był wyraźnie dumny z siebie.

- To nie to...

- Albo „Ratunku!”, albo...

- Nie, on ma rację - przerwała mu kobieta z koszem ryb na głowie. - Jest takie specjalne słowo. Zagraniczne.

- Szczera prawda - potwierdził jej sąsiad. - Specjalne zagraniczne słowo dla ludzi, którzy coś odkryli. Wynalazł je jakiś zagraniczny typek w kąpieli...

- Dajcie spokój... - Pierwszy mężczyzna odpalił fajkę od tłącego się kapelusza alchemika. - Ja na przykład nie rozumiem, dlaczego obywatele tego miasta mają biegać po ulicy i wrzeszczeć po pogańsku tylko dlatego, że wzięli kąpiel. Zresztą spójrzcie na niego. On wcale nie brał kąpieli. Potrzebuje kąpieli, owszem, ale się jeszcze nie kąpał. Po co ma biegać i wrzeszczeć po pogańsku? My też mamy doskonałe słowa do wrzeszczenia.

- Na przykład jakie? - wtrącił Gardło Sobie Podrzynam. Palacz fajki zawahał się.

- No... - powiedział. - Na przykład... „Coś odkryłem”... albo... „Hurra!”...

- Nie! - znów mu przerwała handlarka rybami. - Myślałam o tym typie gdzieś spod Tsortu czy gdzie. Siedział w kąpieli i wpadł na jakiś pomysł, więc wyskoczył z wrzaskiem na ulicę.

- A co wrzeszczał?

- Nie wiem. Może „Dajcie mi ręcznik!”.

- Na pewno by wrzeszczał jak nie wiem co, gdyby spróbował czegoś takiego u nas - oświadczył wesoło Gardło. - A teraz, panie i panowie, mam tu kiełbaski w bułce, od których ślinka...

- Eureka - oznajmił człowiek pokryty sadzą.

- Co z nią? - zdziwił się Gardło.

- Nic, o to właśnie słowo mi chodziło. Eureka. - Zakłopotany uśmiech rozjaśnił czarną twarz. - To znaczy „Mam to”.

- Co takiego?

- To. A przynajmniej miałem. Oktocelulozę. Niezwykły materiał. Miałem go w ręku. Ale trzymałem za blisko ognia - westchnął alchemik tonem człowieka, który doznał wstrząsu. - To bardzo ważne. Muszę zanotować. „Nie dopuszczać do rozgrzania”. Bardzo ważne. Muszę zanotować bardzo ważny fakt.

I poczłapał z powrotem do ruin.

Gardło spoglądał za nim przez chwilę.

- Ciekawe, o co mu chodziło - mruknął. Po czym wzruszył ramionami i podniósł głos do krzyku. - Paszteciki! Gorące kiełbaski! W bułce! Świeżutkie! Świnia jeszcze nie zauważyła, że zniknęły!

Migotliwa, wirująca idea ze wzgórza przyglądała się temu z wysoka. Alchemik nie miał pojęcia, że tam jest. Wiedział tylko, że jest dzisiaj niezwykle pomysłowy. Teraz idea zauważyła umysł sprzedawcy pasztecików.

Znała takie umysły. Uwielbiała takie umysły. Umysł, który potrafi

sprzedawać koszmarnie paszteciki, potrafi również sprzedawać marzenia. Skoczyła.

Na dalekim wzgórzu bryza rozwiewała zimny, szary popiół. Niżej, o stóp pagórka, w zagłębieniu między dwoma kamieniami, gdzie walczył o przetrwanie karłowaty jałowiec, poruszył się wąski strumyczek piasku.

Bum!

Delikatny obłok tynkowego pyłu spłynął na biurko właśnie w chwili, kiedy Mustrum Ridcully, nowy nadrektor Niewidocznego Uniwersytetu, usiłował zawiązać wyjątkowo oporną muchę. Wyjrzał przez witrażowe okno. Chmura dymu unosiła się nad przedmieściem Ankh-Morpork.

- Kwestoor!

Zdyszany kwestor zjawił się po kilku sekundach. Głośne hałasy zawsze go niepokoiły.

- To alchemicy, mistrzu - wysapał.

- Już trzeci raz w tym tygodniu. Przekłęci handlarze fajerwerków - mrucał pod nosem nadrektor.

- Obawiam się, że tak, mistrzu - zgodził się kwestor.

- Co oni tam wyprawiają?

- Naprawdę nie wiem, mistrzu. - Kwestor powoli odzyskiwał oddech. - Alchemia nigdy mnie nie interesowała. Jest zbyt... zbyt...

- Niebezpieczna - oświadczył stanowczo nadrektor. - Tylko mieszają różne paskudztwa i powtarzają: „Zaraz, a co się stanie, jeśli dodam kropelkę tego żółtego...”. A potem biegają przez dwa tygodnie bez brwi.

- Chciałem powiedzieć: niepraktyczna - dokończył kwestor. - Próbuja robić wszystko trudniejszym sposobem, kiedy jest przecież dostępna zwyczajna, codzienna magia.

- Myślałem, że próbują leczyć kamienie filozofów czy coś takiego. Same bzdury, gdyby ktoś mnie pytał. A poza tym wychodzę.

Gdy nadrektor zaczął wymykać się z pokoju, kwestor pośpiesznie zamachał do niego plikiem papierów.

- Zanim pan wyjdzie, nadrektorze - zawołał z rozpaczą - może zechciałby pan podpisać kilka...

- Nie teraz, człowieku - odburknął nadrektor. - Muszę się z kimś spotkać w sprawie konia, tak?

- Tak...?

- No właśnie.

Drzwi się zatrzasnęły.

Kwestor popatrzył na nie i westchnął.

Niewidoczny Uniwersytet miewał w przeszłości najrozmaitszych nadrektorów. Dużych, małych, sprytnych, lekko obłąkanych i zupełnie obłąkanych - przychodzili, służyli przez jakiś czas, niekiedy tak krótko, że nie zdążył nawet powstać oficjalny portret do zawieszenia w Głównym Holu, a potem umierali. Starszy mag w magicznym świecie ma mniej więcej takie perspektywy długotrwałego zatrudnienia jak biegacz przez płotki na polu minowym.

Jednakże z punktu widzenia kwestora nie miało to znaczenia. Owszem, imię zmieniał się od czasu do czasu, ale najważniejsze, że zawsze był jakiś nadrektor. A najważniejszym zajęciem nadrektora, jeśli kwestor to dobrze rozumiał, było podpisywanie papierów, najlepiej - z punktu widzenia kwestora - bez ich uprzedniego czytania.

Ten jednak był inny. Przede wszystkim rzadko kiedy bywał u siebie,

chyba że akurat chciał zmienić zabłocone ubranie. I krzyczał na ludzi. Zwykle na kwestora.

A przecież pomyśl, by wybrać na nadrektora kogoś, kto od czterdziestu lat nie postawił nogi na Niewidocznym Uniwersytecie, wydawał się naprawdę znakomity.

Ostatnio zbyt wiele było starć między różnymi obrządkami magii. Dlatego, dla odmiany, najstarsi magowie zgodzili się, że Uniwersytet potrzebuje spokoju, by przez kilka miesięcy mogli knuć swoje spiski i intrygi w ciszy i bez przeszkód. Po przestudiowaniu akt odkryto, że niejaki Ridcully Bury, kiedy w zadziwiająco młodym wieku dwudziestu siedmiu lat osiągnął poziom maga Siódmego Stopnia, porzucił uczelnię i wyjechał, by doglądać rodzinnych posiadłości gdzieś na wsi.

Wydawał się idealny.

- Odpowiedni człowiek - uznali wszyscy. - Nowa miotła. Nowe porządki. Wiejski mag. Powrót do natury, do korzeni magii... Wesoły staruszek z fajką i błyszczącymi oczami. Taki co potrafi jedno zioło odróżnić od drugiego, taki co idzie przez las, a każdy zwierz jest mu bratem. Te rzeczy. Sypia pod gwiazdami jak nic. Nie zdziwimy się, jeśli wie, co mówi wiatr. Można się założyć, że zna imię każdego drzewa. I jeszcze rozmawia z ptakami.

Wysłano gońca. Ridcully Bury westchnął, poklął trochę, w warzywniku znalazł swoją łaskę, służącą za podpórkę stracha na wróble, i wyruszył.

...A jeśli zacznie sprawiać kłopoty, dodali magowie, choć już tylko w myślach, to przecież kogoś, kto gada do drzew, można się bez kłopotu pozbyć.

A potem Ridcully Bury przybył i okazało się, że rzeczywiście rozmawia z ptakami. Właściwie to krzyczy na ptaki, a krzyczy zwykle „Trafiłem cię, draniu!”.

Zwierzęta lądowe i ptaki powietrzne istotnie znały Ridcully'ego Burego. Osiągnęły taką doskonałość w rozpoznawaniu kształtów, że na

dwadzieścia mil wokół jego posiadłości uciekały, kryły się, a w sytuacjach rozpaczliwych gwałtownie atakowały na sam widok szpiczastego kapelusza.

W ciągu dwunastu godzin od przybycia Ridcully umieścił w spiżarni dla służby stado myśliwskich smoków, ostrzelał ze swej potwornej kuszy wrony na starożytniej Wieży Sztuk, wypił tuzin butelek czerwonego wina i zwałił się do łóżka o drugiej nad ranem, śpiewając piosenkę ze słowami, które co starsi i obdarzeni słabszą pamięcią magowie musieli sprawdzać w słownikach.

Po czym wstał o piątej rano i poszedł polować na kaczki wśród mokradeł wokół ujścia Ankh.

Wrócił narzekając, że na całe mile wokół nie ma tu dobrych miejsc do łowienia pstrągów. (W Ankh nie da się łowić ryb; trzeba skakać po haczykach, żeby je zmusić do zanurzenia).

I zamówił piwo do śniadania.

I opowiadał dowcipy,

Z drugiej strony, myślał kwestor, przynajmniej nie próbował się wtrącać w kierowanie Uniwersytetem. Ridcully'ego Burego kierowanie zupełnie nie interesowało, chyba że sforą psów myśliwskich. Jeśli czegoś nie można było trafić strzałą, upolować albo złowić, nie widział w tym większego sensu.

Piwo na śniadanie! Kwestor zadrżał. Magowie nie czuli się najlepiej przed południem, więc śniadania w Głównym Holu przebiegały w spokoju i ciszy, zakłócanej jedynie chrząknięciami, dyskretnym stąpaniem służby i tylko z rzadka czymś stęknieniem. Ludzie żądający głośno cynaderek, kaszanki i piwa byli tu zjawiskiem nowym.

Jedyną osobą, której nie przerażał ów okropny człowiek, okazał się Windle Poons. Windle Poons miał sto trzydzieści lat i był głuchy. Był także specjalistą od starożytnych tekstów, jednak potrzebował sporej dozy uwagi i dłuższego przygotowania, by poradzić sobie z dniem dzisiejszym. Przyswoił jakoś fakt, że nowy nadrektor to przyjaciel zwierzątek i ptaszynek; potrwa

tydzień, albo i dwa, nim zauważy zmianę sytuacji. Tymczasem starał się rozmawiać uprzejmie i grzecznie, wykorzystując swoją skromną wiedzę o Naturze i innych sprawach.

Mniej więcej tak: „Przypuszczam, że to, mm, miła odmiana, mm, spać teraz w normalnym łóżku zamiast pod, mm, gwiazdami?”. Albo „Te przedmioty tutaj, mm, nazywamy nożem i widelcem, mm”. I „Te, mm, zielone kawałki w jajecznicy, mm, to pewnie będzie pietruszka, nie sądzi pan?”.

Nowy nadrektor podczas jedzenia na nic prawie nie zwracał uwagi, a Poons nie zauważał, że nikt mu nie odpowiada, więc doskonale się dogadywali.

Zresztą kwestor miał inne problemy.

Na przykład alchemików. Alchemikom nie można ufać. Traktują siebie zbyt serio.

Bum!

I to była ostatnia. Potem mijały kolejne dni, nie akcentowane nawet najmniejszą eksplozją. Miasto uspokoiło się z wolna, co było posunięciem bardzo nierozsądnym.

Kwestorowi nie przyszło do głowy, że koniec wybuchów wcale nie oznacza, iż przestali to robić, czymkolwiek to było. Oznacza po prostu, że zaczęli to robić jak należy.

Była północ. Przybój huczał o brzeg i fosforyzował wśród nocy. Wokół pradawnego wzgórza dźwięk wydawał się tak martwy, jakby dobiegał przez kilka warstw aksamitu.

Otwór w piasku stał się już całkiem spory.

Gdyby przyłożyć do niego ucho, można by odnieść wrażenie, że słyszeć stamtąd oklaski.

Wciąż była północ. Księżyc w pełni sunął ponad dymami i oparami Ankh-Morpork, wdzięczny za kilka tysięcy mil nieba, które dzieliły go od miasta.

Dom Gildii Alchemików był nowy. Zawsze był nowy. Został wybuchowo zdemolowany i odbudowany czterokrotnie w ciągu minionych dwóch lat, ostatnio bez sali wykładowo-prezentacyjnej - w nadziei że okaże się to rozsądnym posunięciem.

Tej nocy pewna liczba zakapturzonych postaci ukradkiem dostała się do wnętrza. Po kilku minutach światła w oknie na ostatnim piętrze pociemniały i zgasły.

No, prawie zgasły.

Coś się tam działo. Przez chwilę w oknie widoczne było dziwne migotanie, a zaraz potem zabrzmiały okrzyki radości.

Był też dźwięk. Tym razem nie wybuch, ale niezwykle, mechaniczne mruczenie, jakby ktoś umieścił zadowolonego kota na dnie blaszanego bębna.

Brzmiało tak: klikaklikaklikaklika... klik. Trwało to kilka minut, na tle radosnego gwaru. A potem ktoś powiedział:

- To już wszystko, kochani.

- Co już wszystko? - zapytał następnego ranka Patrycjusz

Ankh-Morpork.

Stojący przed nim człowiek drżał ze strachu.

- Nie wiem, wasza wysokość. Nie chcieli mnie wpuścić do środka. Kazali czekać pod drzwiami, wasza wysokość.

Nerwowo spletał palce. Spojrzenie Patrycjusza przebijało go na wylot. To było dobre spojrzenie; wśród innych miało i tę zaletę, że skłaniało ludzi do mówienia, chociaż wydawało im się, że już skończyli.

Tylko Patrycjusz wiedział, ilu ma w mieście szpiegów. Ten akurat był służącym w Gildii Alchemików. Miał kiedyś pecha i stanął przed Patrycjuszem, oskarżony o włóczęgostwo. Po czym z własnej i nieprzymuszonej woli zgodził się zostać szpiegiem[3].

- To wszystko, wasza wysokość - zajęczał. - Tylko to dziwne klikanie i jakiś taki migotliwy blask pod drzwiami. I jeszcze, tego... powiedzieli, że światło słońca nie jest tu odpowiednie.

- Nie jest odpowiednie? To znaczy jakie?

- No... Nie wiem, wasza wysokość. Powiedzieli tylko, że nieodpowiednie. I że powinni pojechać gdzieś, gdzie jest lepsze. Ehm... A potem kazali mi iść i przynieść coś do jedzenia.

Patrycjusz ziewnął. W szaleństwach alchemików było coś nieopisanie nudnego.

- Doprawdy - mruknął.

- Ale jedli kolację ledwie piętnaście minut wcześniej - wyrzucił z siebie służący.

- Może to, co robili, wzmacnia apetyt.

- Tak, tylko kuchnia była już zamknięta na noc, więc musiałem wyjść i kupić tacę kiełbasek w bułkach od Gardła Dibblera.

- Doprawdy... - Patrycjusz spojrział na papiery, czekające na jego biurku. - Dziękuję ci. Możesz iść.

- I wie wasza wysokość? Smakowały im. Naprawdę im smakowały!

To, że alchemicy w ogóle mieli swoją gildię, było zadziwiające. Magowie są tak samo niechętni wszelkiej współpracy, ale też z natury skłonni do hierarchizacji i współzawodnictwa. Potrzebują organizacji. Co komu przyjdzie z bycia magiem Siódmego Stopnia, jeśli nie ma sześciu niższych stopni do spoglądania na nie z góry i Ósmego Stopnia, do którego się dąży? Inni magowie są niezbędni, by ich nienawidzić i nimi pogardzać.

Tymczasem każdy z alchemików pracował w samotności, w zaciemnionych pokoikach albo ukrytych lochach, poszukując wielkiej wygranej: kamienia filozoficznego albo eliksiru życia. Alchemicy byli zwykle chudzi, mieli zaczerwienione oczy, a ich brody właściwie trudno uznać za brody, raczej za grupki pojedynczych włosów, garnące się do siebie dla wzajemnej ochrony. Wielu alchemików nosiło też na twarzach mglisty, nieziemski wyraz, jaki jest skutkiem zbyt długiego przebywania w obecności wrzącej rtęci.

Nie chodzi o to, że alchemicy nienawidzili innych alchemików. Oni ich nie zauważali albo myśleli, że to morsy.

Dlatego też ich mała, pogardzana gildia nie aspirowała to statusu gildii tak potężnych, jak - powiedzmy - Złodziei, Żebraków czy Skrytobójców. Starła się wspomagać wdowy i sieroty po tych alchemikach, którzy z przesadną swobodą podeszli do cyjanku potasu, na przykład, albo przedestylowali jakieś ciekawe grzybki, wypili rezultat i weszli na dach, by tańczyć z wrózkami. Tych wdów i sierot nie było zbyt wiele, naturalnie, ponieważ dostatecznie długie kontakty z innymi ludźmi sprawiały alchemikom poważne trudności. Na ogół, jeśli już się żenili, to tylko po to, żeby ktoś mógł przytrzymywać im kolby.

Podsumowując: jedyną sztuką, jaką odkryli do tej pory alchemicy z Ankh-Morpork, była zamiana złota w mniej złota.

Aż do teraz...

Teraz narastało w nich nerwowe podniecenie ludzi, którzy na swoim koncie bankowym odkryli nieoczekiwaną fortunę i zastanawiają się, czy zwrócić na nią uwagę innych, czy zwyczajnie brać wszystko i uciekać.

- Magom się to nie spodoba - stwierdził jeden z nich, chudy, nerwowy, imieniem Lully. - Powiedzą, że to czary. Wiecie, że zawsze się wściekają, kiedy myślą, że ktoś czaruje, a nie jest magiem.

- Nie ma tu żadnych czarów - zapewnił Thomas Silverfish, przewodniczący Gildii.

- Są chochliki.

- To nie czary. To całkiem zwykły okultyzm.

- I salamandry.

- Całkiem zwyczajna historia naturalna. Nie ma w niej nic złego.

- No, niby tak. Ale oni powiedzą, że to czary. Sam wiesz, jacy oni są.

Alchemicy smętnie pokiwali głowami.

- To reakcjniści - rzekł Sendiroge, sekretarz Gildii. - Nadęci thaumokraci. A inne gildie nie lepsze. Co oni wiedzą o postępie? Co ich to obchodzi? Mogliby robić takie rzeczy od lat, i co? Nie, to nie oni. Pomyślcie tylko, możemy zmienić życie ludzi, uczynić je... no, lepszym. Możliwości są ogromne.

- Edukacyjne - zauważył Silverfish.

- Historyczne - dodał Lully.

- I oczywiście rozrywkowe - stwierdził Peavie, skarbnik Gildii.

Był niski, nerwowy. Zresztą alchemicy w większości są nerwowi. Bierze się to z niepewności, co za chwilę zrobi trzymana w ręku kolba pełna bulgoczącej cieczy, z którą właśnie przeprowadza się doświadczenia.

- Owszem, to też. Jakaś rozrywka, w samej rzeczy - zgodził się Silverfish.

- Wielkie dramaty historyczne - mówił Peavie. - Wystarczy przygotować scenę, zebrać paru aktorów, zagrają raz, a potem ludzie na całym Dysku będą mogli to oglądać do woli! Przy okazji zaoszczędzi się na honorariach - dodał.

- Byle ze smakiem - zaznaczył Silverfish. - To wielka odpowiedzialność. Musimy dopilnować, żeby nie powstało coś, co może być w jakiś sposób... - Ucichł na moment. - No wiecie... nieokrzesane.

- Przeszkodzą nam - mruknął posępnie Lully. - Już ja znam tych magów.

- Przemyślałem tę sprawę - oznajmił Silverfish. - Zresztą światło i tak jest tutaj marne. Co do tego się zgodziliśmy. Musimy mieć czyste niebo. I musimy to robić daleko, jak najdalej stąd. Chyba znam odpowiednie miejsce.

- Wiecie, wciąż nie mogę uwierzyć w to, co robimy - rzekł Peavie. - Miesiąc temu była to tylko szalona idea. A teraz wszystko jakoś działa! Jak zaczarowane! Ale nie dzięki czarom, jeśli rozumiecie, co mam na myśli - dodał pospiesznie.

- Nie tylko iluzja, ale prawdziwa iluzja - stwierdził Lully.

- Nie wiem, czy ktoś o tym pomyślał - rzucił Peavie. - Ale dzięki temu możemy zarobić trochę pieniędzy.

- To nie jest istotne - zaznaczył Silverfish.

- Nie, nie. Oczywiście - wymamrotał Peavie. Zerknął na pozostałych. - Możemy obejrzeć jeszcze raz? - spytał zakłopotany. - Mogę sam kręcić korbą. I jeszcze... No... Wiem, że nie przyczyniłem się specjalnie do sukcesu

tego projektu, ale przyniosłem te... no, coś takiego.

Wyjął z kieszeni szaty bardzo wielką torbę i postawił ją na stole. Upadła na bok; z wnętrza wytoczyły się jakieś białe, nieforemne kulki.

Alchemicy przyglądali się im podejrzliwie.

- Co to jest? - spytał Lully.

- No... - zaczął niepewnie Peavie. - Trzeba wziąć trochę kukurydzy i wrzucić ją do, powiedzmy, kolby numer trzy, razem z olejem kuchennym, rozumiecie. Potem przykrywa się talerzem albo czymś innym, a kiedy podgrzać kolbę, kukurydza strzela, znaczy, nie tak naprawdę, raczej puka. Jak już przestanie, zdejmuje się talerz, a kukurydza zmienia się w te, no, w te rzeczy... - Spoglądał na ich zdumione twarze. - Można to jeść - wymamrotał przepraszająco. - Jeśli doda się masła i soli, smakują trochę jak słone masło.

Silverfish sięgnął poplamioną od chemikaliów dłonią i ostrożnie wybrał puszysty kawałek. Przeżuł go starannie.

- Właściwie nie wiem, czemu to zrobiłem. - Peavie się zarumienił. - Tak jakby... Miałem ideę, że to słuszne. Silverfish przeżuwał dalej.

- Smakuje jak tektura - zauważył po chwili.

- Przepraszam. - Peavie spróbował zgarnąć pozostałe kawałki do torby.

Silverfish powstrzymał go delikatnie.

- Jednak - powiedział, sięgając po następną kulkę - coś w sobie mają, prawda? Rzeczywiście, wydają się właściwe. Mówiłeś, że jak się nazywają?

- Tak naprawdę to nie mają nazwy. Mówię na nie „pukane ziarna”.

Silverfish wziął kolejne.

- Zabawne, że człowiek ma ochotę ciągle je zjadać. Takie są... jesszetrochowe. Pukane ziarna? Nieźle. W każdym razie... Panowie, zakręćmy jeszcze raz korbą.

Lully zaczął z powrotem zwijać film do latarni niemagicznej.

- Mówiłeś, że znasz takie miejsce, gdzie moglibyśmy zająć się projektem, a magowie by nie przeszkadzali - przypomniał. Silverfish wziął ze stołu garść pukanych ziaren.

- To na wybrzeżu - wyjaśnił. - Ładnie, słonecznie i ostatnio nikt tam nie zagląda. Nic tam nie ma, tylko jakiś poszarpany wiatrem lassek, świątynia i piaszczyste wydmy.

- Świątynia? Bogowie naprawdę mogą się wściec, jeśli... - zaczął Peavie,

- Posłuchaj mnie - przerwał mu Silverfish. - Cała okolica jest opuszczona od tysięcy lat. Nikogo tam nie ma. Ani ludzi, ani bogów; nic zupełnie. Tylko dużo światła i ziemia, która na nas czeka. To wielka szansa, chłopcy. Nie wolno nam próbować czarów, nie potrafimy robić złota, nie umiemy nawet zarobić na życie. Więc weźmy się za ruchome obrazki. Stwórzmy historię!

Alchemicy usiedli wygodniej. Wyraźnie poprawiły im się humory.

- Tak - zgodził się Lully.

- No pewnie - dodał Peavie.

- No to za ruchome obrazki! - Sendiroge podniósł garść pukanych ziaren. - Jak się dowiedziałeś o tym miejscu?

- Och, po prostu... - Silverfish urwał nagle zdumiony. - Nie wiem - wyznał po chwili. - Nie bardzo pamiętam. Musiałem gdzieś o nim usłyszeć i zapomniałem, a teraz jakoś wpadło mi do głowy. Wiecie, jak to bywa.

- Pewno - mruknął Lully. - To tak jak ze mną i filmem. Jakbym sobie przypominał, jak się to robi. Pamięć wyczynia czasem zabawne sztuczki.

- Tak.

- Tak.

- To po prostu idea, dla której nadszedł właściwy czas.

- Tak.

- Tak.

- Na pewno.

Wokół stołu zapadła lekko niespokojna cisza. Był to odgłos umysłów, próbujących uchwycić w psychiczne palce coś, co je martwiło.

Powietrze zdawało się połyskiwać.

- Jak się nazywa to miejsce? - zapytał w końcu Lully.

- Obecnie mówią na nie Święty Gaj - odparł Silverfish. Oparł się i przysunął sobie torbę pukanych ziaren. - Kiedyś, w dawnej mowie, nazywało się Holy Wood.

- Holy Wood... Brzmi jakoś znajomo.

Znowu umilkli, rozważając ten problem.

Ciszę przerwał Sendivoge.

- Co tam - zawołał wesoło. - Święty Gaju, nadchodzimy!

- Właśnie. - Silverfish potrząsnął głową, jakby próbował pozbyć się niepokojącej myśli. - Wiecie, to zabawne. Mam uczucie... że szliśmy tam... przez cały czas.

Kilka tysięcy mil pod Silverfishem Wielki A'Tuin, żółw świata, wiosłował sennie wśród gwiazdzistej nocy. Rzeczywistość jest krzywą. To nie stanowi problemu. Problemem jest to, że owej rzeczywistości jest mniej, niż być powinno. Według niektórych mistycznych tekstów na półkach w

bibliotece Niewidocznego Uniwersytetu...

...pierwszej uczelni magii i wielkich bankietów na Dysku, której zbiór ksiąg jest tak ogromny, że deformuje Przestrzeń i Czas...

...co najmniej dziewięć dziesiątych oryginalnej rzeczywistości, jaka została stworzona, znajduje się na zewnątrz multiwersum, a że multiwersum z samej definicji zawiera wszystko, co jest czymkolwiek, fakt ten generuje w obiektach pewne napięcie.

Poza granicami uniwersów leżą pierwotne rzeczywistości, różne „niemal się stało”, „mogłoby być” i „nigdy nie było”, dzikie idee kreowane i rozpadające się chaotycznie niby pierwiastki w fermentujących supernowych.

Od czasu do czasu, rzadko, w miejscach gdzie bariery światów trochę się przetały, mogą przesaczyć się do wnętrza.

A rzeczywistość wycieka.

Skutkuje to zjawiskiem podobnym do podmorskich gorących gejzerów, wokół których dziwaczne wodne istoty znajdują dość ciepła i pożywienia, by stworzyć krótkotrwałą oazę życia w środowisku, gdzie nic żyć nie powinno.

Idea Świętego Gaju sączyła się niewinnie i radośnie do świata Dysku.

A rzeczywistość wyciekała.

I była zauważana. Są bowiem na zewnątrz Stwory, których umiejętność wyczuwania maleńkich, kruchych zgęstków rzeczywistości czyni legendę o rekinach i śladach krwi czymś całkiem trywialnym.

Stwory zaczynały się gromadzić.

Burza przemknęła nad wydrami, ale tam, gdzie wyrastało wzgórze, chmury zdawały się rozsuwać na boki. Tylko kilka kropli deszczu trafiło na

wyschniętą glebę, a wichura zmieniała się w lekki zefirek, który zasypał piaskiem dawno wystygłe resztki ogniska.

Niżej, na stoku, niedaleko otworu - dostatecznie już dużego dla, powiedzmy, borsuka - niewielki kamień poruszył się i odtoczył na bok.

Miesiąc minął szybko. Wolał nie zostawać na miejscu zbyt długo.

Kwestor zapukał z szacunkiem do drzwi nadrektora. Otworzył je. Bełt przybił mu kapelusz do drzwi.

Nadrektor opuścił kuszę i spojrzał na niego gniewnie.

- Wściekle nieostrożne zachowanie - powiedział. - Mogłeś doprowadzić do paskudnego wypadku.

Kwestor nie stałby się tym, kim był - a raczej kim był jeszcze dziesięć sekund temu, czyli człowiekiem spokojnym i pewnym siebie, nie tym, kim był teraz, czyli człowiekiem na skraju ataku serca - nie posiadając umiejętności panowania nad sobą mimo nieoczekiwanych szoków.

Odpiął kapelusz od tarczy wyrysowanej kredą na starym drewnie.

- Nic się nie stało - oznajmił. Żaden głos nie mógłby brzmieć tak spokojnie bez gigantycznego wysiłku. - Dziury prawie nie widać. Dlaczego, hm, strzelasz do drzwi, mistrzu?

- Pomyśl rozsądnie, człowieku! Na dworze jest ciemno, a te przekłete mury są z kamienia. Nie spodziewasz się chyba, że będę strzelał do murów?

- Aha - rzekł kwestor. - Te drzwi mają, hm, pięćset lat - dodał z bardzo

dyskretnym wyrzutem.

- Wyglądają na to - odparł bezceremonialnie nadrektor. - Wielkie i czarne, ot co. Tutaj, człowieku, trzeba nam mniej kamieni i drewna, a więcej radości. Kilka wesołych obrazków, na przykład. Jakiś ornament czy dwa.

- Natychmiast tego dopilnuję - skłamał gładko kwestor. Przypomniał sobie o pliku dokumentów pod pachą. - A tymczasem, mistrzu, zechciałbyś może...

- Doskonale. - Nadrektor wbił na głowę szpiczasty kapelusz. - Zuch. A teraz muszę zajrzeć do chorego smoka. Biedaczysko od paru dni nie rusza swojej smoły.

- Twój podpis na jednym czy dwóch... - rzucił pośpiesznie kwestor.

- Nie mam głowy do tego wszystkiego. - Nadrektor machnął na niego ręką. - I tak za dużo tutaj tego przekłętego papieru. W dodatku... - Spojrzał na kwestora, jakby właśnie coś sobie przypomniał.

- Widziałem dzisiaj coś zabawnego - powiedział. - Po dziedzińcu chodził jakiś małpiszon. Jakby nigdy nic.

- A tak... Pewnie bibliotekarz...

- Trzyma takiego zwierzaka?

- Źle mnie pan zrozumiał, nadrektorze - uśmiechnął się kwestor. - Ten zwierzak to właśnie był bibliotekarz. Nadrektor przyglądał mu się z uwagą.

Uśmiech kwestora nieco zmartwiał.

- Bibliotekarz jest małpiszonem?

Chwilę trwało, zanim kwestor wyjaśnił całą sprawę.

- Chcesz mi powiedzieć, że chłop magicznie zmienił się w małpiszona?

- Zdarzył się wypadek w Bibliotece, owszem. Eksplozja magiczna. W

jednej chwili był jeszcze człowiekiem, a w następnej już orangutanem. I nie wolno go nazywać małpiszonem, mistrzu. Jest małpą. Człekokształtną.

- To chyba niewielka różnica?

- Chyba jednak spora. Kiedy nazwie się go małpiszonem albo małpiatką, robi się bardzo, hm, agresywny.

- Ale nie wypina tyłka na ludzi, co? Kwestor przymknął oczy i zadrżał.

- Nie, mistrzu. Myśli pan o pawianach.

- Aha. - Nadrektor zastanowił się szybko. - Czyli one u nas nie pracują?

- Nie, mistrzu. Tylko bibliotekarz, mistrzu.

- Nie można się na to zgodzić. Niemożliwe. Nie pozwolę, żeby wściekle wielkie kudłate stwory włóczyły się dookoła - oświadczył stanowczo nadrektor. - Pozbądź się go.

- Na bogów, nie! To najlepszy bibliotekarz na świecie! I bardzo tani.

- Dlaczego? Jak mu płacimy?

- Fistaszkami. Poza tym jest jedynym, który wie, jak Biblioteka naprawdę funkcjonuje.

- Więc trzeba zmienić go z powrotem. Co to dla człowieka za życie, tak być małpiszonem.

- Małpą, nadrektorze. Człekokształtną. I obawiam się, że takie życie bardziej mu odpowiada.

- A skąd niby wiesz? - zapytał podejrzliwie nadrektor. - Pewnie gada, co?

Kwestor zawahał się. Z bibliotekarzem zawsze był ten sam kłopot. Wszyscy tak się do niego przyzwyczaili, że nie mogli już sobie przypomnieć, kiedy Biblioteką nie kierowała małpa o żółtych kłach, obdarzona siłą trzech

mężczyzn. Jeśli nienormalne trwa dostatecznie długo, staje się normalnym. Tylko że kiedy trzeba było coś wyjaśnić osobom trzecim, brzmiało to dziwnie.

Odchrząknął nerwowo.

- Mówi „uuk”, nadrektorze - wyjaśnił.

- A co to znaczy?

- To znaczy „nie”, nadrektorze.

- A w jaki sposób mówi „tak”, w takim razie? Kwestor obawiał się tego pytania.

- „Uuk”, nadrektorze.

- Przecież to takie samo uuk jak tamto uuk!

- Ależ nie! Zapewniam pana. Różnią się intonacją... To znaczy, kiedy się pan przyzwyczai... - Kwestor wzruszył ramionami. - Myślę, że jakoś nauczyliśmy się go rozumieć, nadrektorze.

- No tak... Przynajmniej jest w dobrej formie - odpowiedział złośliwie nadrektor. - Nie tak jak wy wszyscy. Dziś rano zajrzałem do sali klubowej i pełno tam było chrapiących ludzi.

- To starsi mistrzowie, mistrzu - wyjaśnił kwestor. - Moim zdaniem są wręcz w doskonałej formie.

- W formie? Dziekan wygląda, jakby połknął łożko!

- Ależ mistrzu.... - Kwestor uśmiechnął się pobłaźliwie. - Określenie „w dobrej formie”, jak je rozumiem, oznacza „w formie odpowiedniej dla funkcji”. I trzeba przyznać, że ciało dziekana idealnie nadaje się do funkcji siedzenia przez cały dzień i zjadania obfitych posiłków. - Znowu pozwolił sobie na lekki uśmieszek.

Nadrektor rzucił mu spojrzenie tak staroświeckie, że mogłoby należeć

do amonitu.

- To ma być żart? - spytał tonem kogoś, kto nie potrafiłby zrozumieć terminu „poczucie humoru”, choćby człowiek tłumaczył mu przez godzinę i pokazywał wykresy.

- To tylko moje spostrzeżenie, mistrzu - odparł ostrożnie kwestor.

Nadrektor pokręcił głową.

- Nie znoszę żartów. Nie znoszę facetów, którzy włączają się i próbują cały czas być zabawni. To się bierze ze spędzania czasu w zamkniętych pomieszczeniach. Parę przebieżek po dwadzieścia mil i dziekan stałby się innym człowiekiem.

- To prawda - przyznał kwestor. - Martwym.

- Byłby zdrowszy.

- Owszem, ale jednak martwy.

Nadrektor z irytacją zaczął przekładać na biurku papiery.

- Gnuśność - mruczał pod nosem. - Za często się ją tu spotyka. Cały Uniwersytet jest leniwy. Ludzie albo śpią cały dzień, albo się zmieniają w jakieś małpiatki. Kiedy ja byłem studentem, nikt nawet nie myślał, żeby zostać małpiatką.

Z irytacją podniósł głowę.

- Czego ode mnie chciałeś? - burknął.

- Słucham? - odparł zaskoczony kwestor.

- Chciałeś, żebym coś zrobił, prawda? Przyszedłeś prosić, żebym się czymś zajął. Pewnie dlatego że jestem tu jedyny, który nie śpi mocno ani nie siedzi na drzewie i nie wyje każdego ranka.

- Hm... Wydaje mi się, że myśli pan o pawianach, nadrektorze.

- Co? Co? Mówże z sensem, człowieku!

Kwestor wziął się w garść. Nie rozumiał, dlaczego tak się go traktuje.

- Istotnie, chciałem się z panem zobaczyć w sprawie jednego z naszych studentów, mistrzu - oznajmił lodowatym tonem.

- Studentów? - warknął nadrektor.

- Tak, mistrzu. Kojarzy pan? Ci chudzi, z bladymi twarzami? Ponieważ to jest uniwersytet. Należą do zestawu, jak szczury...

- Zdawało mi się, że mamy ludzi, którzy powinni się nimi zajmować.

- Wykładowców. Tak. Ale czasami... A może, nadrektorze, zechce pan zerknąć na wyniki egzaminów...

Nastała północ - nie ta sama północ co poprzednio, ale bardzo podobna. Stary Tom, pozbawiony serca dzwon na uniwersyteckiej dzwonnicy, wybił właśnie dwanaście dźwięcznych chwil ciszy.

Deszczowe chmury wycisnęły z siebie nad miastem ostatnie krople. Ankh-Morpork leżało pod kilkoma wilgotnymi gwiazdami, realne jak cegła.

Myślak Stibbons, student magii, odłożył książkę i przetarł dłońmi twarz.

- No dobra - powiedział. - Zapytaj mnie o coś. No... O cokolwiek.

Victor Tugelbend, student magii, sięgnął po swój pomięty egzemplarz *Necrotelicomniconu - omówienie dla studentów, z ćwiczeniami praktycznymi* i przerzucił kilka stron. Leżał na łóżku Myślaka. Przynajmniej leżały tam jego łopatki; reszta ciała wyciągała się w górę po ścianie. To absolutnie normalna pozycja dla studenta zażywającego relaksu.

- Dobra - powiedział. - Gotów? Dobra. Jak brzmi imię pozawymiarowego monstrum, którego okrzyk to „Tycotycotyco”?

- Yob Soddoth - odparł natychmiast Myślak.

- Zgadza się. W jaki sposób Tshup Aklathep, Piekielna Gwiazdna Ropucha z Milionem Młodych, zadręcza swoje ofiary na śmierć?

- Ona... Czekaj, nie mów... Trzyma je i pokazuje portrety swoich dzieci, aż im mózgi eksplodują.

- Tak. Osobiście zawsze się zastanawiałem, jak to się dzieje. -Victor przerzucił kolejne strony. - Myślę, że kiedy już tysięczny raz powiesz „Rzeczywiście, oczy ma całkiem jak twoje”, zaczynasz marzyć o samobójstwie.

- Strasznie dużo wiesz, Victorze - stwierdził z podziwem Myślak. - Dziwię się, że wciąż jesteś studentem.

- E... No tak. Hm... Miałem pecha przy egzaminach i tyle.

- No dalej. Zapytaj jeszcze o coś. Victor zastanowił się.

- Gdzie leży Holy Wood? - zapytał.

Myślak zamknął oczy i uderzył pięścią w czoło.

- Czekaj, zaraz... Nic nie mów... - Otworzył oczy. - Co to znaczy „Gdzie leży Holy Wood”? - spytał. - Nie pamiętam żadnego Holy Woodu.

Victor spojrzał na stronę. Nie było tam ani słowa o Holy Woodzie.

- Mógłbym przysiąc, że słyszałem... Chyba myślałem o czymś innym - dokończył niepewnie. - To przez te powtórki.

- Fakt. Naprawdę można mieć dosyć, nie? Ale warto się starać, żeby zostać magiem.

- To prawda - zgodził się Victor. - Nie mogę się doczekać. Myślak

zatrzasnął książkę.

- Deszcz przestał padać - zauważył. - Chodź, przejdziemy przez mur. Możemy się chyba napić. Victor pogroził mu palcem.

- Ale tylko jedno piwo. Trzeba być trzeźwym - dodał. - Jutro końcowe egzaminy. Musimy zachować jasny umysł.

- Ha! - zgodził się Myślak.

Oczywiście, jest rzeczą bardzo ważną, by do egzaminu przystępować na trzeźwo. Wiele obiecujących karier w zmiataniu ulic, zbieraniu owoców czy graniu na gitarze w przejściach podziemnych rozpoczęło się od braku zrozumienia dla tego prostego faktu.

Jednak Victor miał szczególne powody do czujności.

Mógłby przecież popełnić błąd i zdać.

Zmarły wuj zostawił mu niewielką fortunę w zamian za to, że nie zostanie magiem. Nie zdawał sobie z tego sprawy, kiedy pisał testament, ale tak właśnie zrobił. Myślał, że pomaga siostrzeńcowi skończyć studia, jednak Victor Tugelbend okazał się bardzo inteligentnym, choć nietypowym młodzieńcem.

Rozumował tak:

Jakie są korzyści z bycia magiem? Owszem, zyskuje się niejaki prestiż, ale człowiek często znajduje się w niebezpiecznych sytuacjach i z całą pewnością zawsze narażony jest na śmierć z rąk innego maga.

Nie podobała mu się rola powszechnie szanowanych zwłok.

Z drugiej strony...

Jakie są zalety i wady bycia studentem magii? Ma się dużo wolnego czasu, sporo swobody w kwestiach picia dużych ilości piwa i śpiewania sprośnych piosenek, nikt nie próbuje człowieka zabić - chyba że w zwykłym, codziennym ankh-morporkańskim stylu, a dzięki spadkowi ma się też

zagwarantowane skromne, lecz dostatnie życie. Oczywiście, trudno liczyć na prestiż, ale przynajmniej jest się żywym, żeby zdawać sobie z tego sprawę.

Dlatego też Victor poświęcił sporo energii na studiowanie najpierw warunków testamentu, a potem bizantyjskich regulaminów egzaminacyjnych Niewidocznego Uniwersytetu oraz wszystkich tematów egzaminów z ostatnich pięćdziesięciu lat.

W końcowych egzaminach, aby zdać, należało zdobyć 88 procent punktów.

Oblanie jest łatwe. Każdy idiota sobie z tym poradzi.

Wuj Victora nie był durniem. Jeden z wymienionych w testamencie warunków stwierdzał, że jeśli Victor choć raz osiągnie rezultat gorszy niż 80, strumyk pieniędzy wyschnie jak ślina na gorącej blasze.

W pewnym sensie zwyciężył. Niewielu studentów uczyło się tak pilnie jak Victor. Mówiono, że swoją wiedzą dorównuje niektórym najsłynniejszym magom. Długie godziny spędzał na lekturze grimoire'ów w Bibliotece. Słuchał wykładów, aż mógłby cytować je z pamięci. Kadra naukowa uważała go za najzdolniejszego i z pewnością najpilniejszego studenta od dziesięcioleci. A na kolejnych egzaminach końcowych starannie i kompetentnie uzyskiwał wynik 84.

To było niesamowite.

Nadrektor dotarł do ostatniej kartki.

- Aha. Rozumiem - odezwał się w końcu. - Żal chłopaka, co?

- Chyba nie całkiem pan zrozumiał, o co mi chodziło - powiedział kvestor.

- To całkiem oczywiste. Co roku jest o włos od zaliczenia. - Nadrektor

sięgnął po kartkę. - Zresztą tu jest napisane, że zdał trzy lata temu. Dostał 91.

- Tak, ale się odwołał.

- Odwołał się? Bo zdał?!

- Jego zdaniem egzaminatorzy nie zauważyli, że źle wymienił odmiany alotropowe oktyronu w pytaniu szóstym. Powiedział, że nie mógłby żyć z takim ciężarem. Że do końca jego dni dręczyłaby go świadomość, że zdał nieuczciwie, pokonując lepszych i godniejszych studentów. Zauważy pan, że w kolejnych dwóch egzaminach dostał tylko 82 i 83.

- A to dlaczego?

- Uważamy, że z ostrożności, mistrzu. Nadrektor zabębnił palcami po blacie.

- To niemożliwe - rzekł. - Nie możemy dopuścić, żeby ktoś kręcił się tutaj i prawie był magiem, i jeszcze śmiał się z nas pod... pod... Co to jest, pod czym ludzie się śmieją?

- Całkowicie się z panem zgadzam - zapewnił kwestor.

- Musimy go sparodiować - zdecydował nadrektor.

- Spacyfikować, mistrzu - poprawił go kwestor. - Sparodiowanie oznaczałoby wygłaszanie o nim pogardliwych i ośmieszających uwag.

- Tak jest. Słusznie myślisz. Tak właśnie zrobimy.

- Nie, mistrzu. To on nas parodiuje, więc my go spacyfikujemy.

- Słusznie. To sparodiuje sytuację. Kwestor westchnął ciężko.

- Albo spacyfikuje - dodał nadrektor. - Czyli mam mu przekazać rozkaz wymarszu? Posłać go o świcie...

- To parada, nadrektorze, nie parodia, a tym bardziej pacyfikacja. Nie możemy robić takich rzeczy.

- Nie możemy? Przecież my tu rządzymy!

- Tak, ale wobec pana Tugelbenda należy zachowywać najwyższą ostrożność. Jest ekspertem we wszelkich procedurach. Dlatego pomyślałem, żeby jutro, podczas egzaminów końcowych, wręczyć mu tę oto kartę.

Nadrektor spojrział na przygotowaną przez kwestora kartę egzaminacyjną. Bezgłośnie poruszył wargami, czytając jej treść.

- Tylko jedno pytanie?

- Tak. I albo zda, albo obleje. Chciałbym wiedzieć, jak uda mu się na tym uzyskać 84 procent.

W pewnym sensie, niepojętym dla wykładowców i bardzo dla nich irytującym, Victor Tugelbend był także najbardziej leniwym człowiekiem w historii świata.

Nie zwyczajnie, normalnie leniwym. Zwyczajne lenistwo to po prostu niechęć do wysiłku. Victor minął ten etap już dawno, przemknął po pospolitym nieróbstwie i przeszedł na przeciwną stronę. Więcej kosztowało go unikanie wysiłku niż innych ludzi ciężka praca.

Nigdy nie pragnął zostać magiem. Właściwie niczego specjalnie nie pragnął, tyle żeby zostawić go w spokoju i nie budzić przed południem. Kiedy był jeszcze mały, ludzie zadawali mu pytania typu: „Kim chciałbyś zostać, mój mały?”. Odpowiadał: „Nie wiem. A co możecie zaproponować?”.

Na takie rzeczy nie pozwalają człowiekowi zbyt długo. Nie wystarczy, żeby był tym, kim jest - musi jeszcze starać się być kimś innym.

Próbował. Przez dłuższy czas starał się wzbudzić w sobie ochotę na kowalstwo, ponieważ wydawało się to interesujące i romantyczne. Ale wiązało się również z ciężką pracą i nieustępliwymi kawałkami metalu. Potem spróbował wzbudzić w sobie ochotę na skrytobójstwo, co wyglądało

na pełne fantazji i romantyczne. Ale także wymagało ciężkiej pracy, a kiedy się lepiej zastanović, czasem także zabicia kogoś. Jeszcze potem chciał wzbudzić w sobie ochotę na aktorstwo, gdyż jest dramatyczne i romantyczne, jednak niezbędne były zakurzone rajtuzy, ciasne mieszkania i - ku jego zdumieniu - ciężka praca.

Dał się skłonić się do pójścia na Niewidoczny Uniwersytet, gdyż okazało się to łatwiejsze od niepójścia.

Uśmiechał się często, odrobinę zdziwiony. Sprawiało to na innych wrażenie, że jest trochę bardziej inteligentny niż w rzeczywistości. Tak naprawdę zwykle starał się zrozumieć, co do niego mówią.

Miał też cienki wąsik, który w pewnym oświeceniu nadawał mu elegancki wygląd, a w innym wygląd człowieka, który przed chwilą pił gęsty koktail czekoladowy.

Był z niego dumny. Kiedy już zostanie się magiem, oczekują od człowieka, że w ogóle przestanie się golić i zapuści brodę jak krzak jałowca. Najstarsi magowie wyglądali na zdolnych do wychwytywania pożywienia wprost z powietrza poprzez własne wąsy - na sposób wielorybów.

Minęło już wpół do drugiej. Victor włókł się powoli spod Załatanego Bębna, tawerny o stanowczo najgorszej reputacji w mieście. Victor Tugelbend zawsze sprawiał wrażenie, że wlecze się powoli - nawet kiedy biegał.

Był też całkiem trzeźwy, a zatem i trochę zdziwiony, kiedy znalazł się na placu Pękniętych Księżyców. Zmierzał przecież do niewielkiego zaułka za Uniwersytetem i do kawałka muru z wygodnie rozmieszczonymi wyjmowanymi cegłami. Od setek lat studenci magii omijali w ten sposób - a raczej przechodzili nad nimi - przepisy porządkowe uczelni.

Plac nie leżał po drodze.

Victor zawrócił, by powlec się z powrotem, i nagle znieruchomiał. Działo się coś niezwykłego.

Na placu można było zwykle spotkać jakiegoś bazarza, kilku grajków czy przedsiębiorcę poszukującego potencjalnych nabywców takich nadmiarowych ciekawostek Ankh-Morpork, jak Wieża Sztuk czy Mosiężny Most. Teraz zobaczył tylko grupkę ludzi ustawiających wielki ekran, podobny do prześcieradła rozpiętego na drągach.

Zbliżył się do nich powolnym krokiem.

- Co robicie? - zapytał przyjaźnie.

- Odbędzie się przedstawienie.

- Aha. Teatr - mruknął Victor bez szczególnego zaciekawienia.

Powlókł się z powrotem przez wilgotną ciemność, ale przystanął, kiedy usłyszał głos dobiegający z mroku między dwoma budynkami.

- Pomocy - powiedział głos, całkiem cicho.

- Po prostu to oddaj, dobrze? - zaproponował drugi głos. Victor podszedł bliżej i wyteżył wzrok.

- Hej! - zawołał. - Co się tam dzieje?

Na chwilę zapadła cisza, po czym drugi głos odpowiedział:

- Nie wiesz, w co się pakujesz, mały.

On ma nóż, pomyślał Victor. Idzie do mnie z nożem. To znaczy, że albo mnie dźgnie, albo będę musiał uciekać, a to prawdziwa strata energii.

Ludzie, którzy nie starają się analizować faktów, mogliby pomyśleć, że Victor Tugelbend jest gruby i słaby. Tymczasem był on bez wątpienia najbardziej sportowo usposobionym studentem na całym Uniwersytecie. Konieczność dźwigania zbędnego ciężaru to zbyt wielki wysiłek, pilnował więc, by zawsze utrzymywać się w formie. Zresztą z porządnie rozwiniętymi mięśniami o wiele łatwiejsze jest robienie czegokolwiek.

Dlatego machnął ręką od siebie. Nie tylko trafił, ale poderwał

napastnika w powietrze.

Potem spojrzał na niedoszłą ofiarę, wciąż kulącą się pod murem.

- Mam nadzieję, że nic się panu nie stało - powiedział.

- Nie ruszaj się!

- Nie miałem zamiaru.

Mężczyzna wynurzył się z cienia. Pod pachą ścisnął jakiś pakunek i wyciągał przed siebie obie dłonie w dziwnym geście: oba palce wskazujące i oba kciuki rozstawione pod kątami prostymi i zetknięte razem, tak że szczerze oczka tego osobnika zdawały się spoglądać przez ramkę.

Pewnie próbuje odegnać zły urok, pomyślał Victor. Z tymi symbolami na płaszczu wygląda na maga.

- Zdziwiałe - oznajmił mężczyzna, wyglądając zza palców. - Odwróć trochę głowę, dobrze? Znakomicie. Pechowo się składa z tym nosem, ale chyba coś na to poradzimy.

Podszedł bliżej i spróbował objąć Victora ramieniem.

- Masz szczęście - rzekł - że mnie spotkałeś.

- Naprawdę? - zdziwił się Victor, który sądził, że jest odwrotnie.

- Właśnie kogoś takiego szukałem.

- Przepraszam. Wydawało mi się, że pana okradają.

- Chodziło mu o to. - Mężczyzna klepnął w paczkę pod pachą. Zadzźwięczała jak gong. - Ale nic by mu z tego nie przyszło.

- Nic nie jest warte? - spytał Victor.

- Jest bezcenne.

- No to w porządku.

Mężczyzna zrezygnował z prób objęcia obu ramion Victora i zadowolili się jednym.

- Sporo ludzi bardzo by się rozczarowało - stwierdził. - Spójrzmy jeszcze raz. Postawę masz niezłą. I dobry profil. Posłuchaj, chłopcze, chciałbyś się zająć ruchomymi obrazkami?

- Ehm... - odparł Victor. - Nie. Raczej nie. Mężczyzna wytrzeszczył na niego oczy.

- Słyszałeś chyba, co powiedziałem? - upewnił się. - Ruchome obrazki.

- Tak.

- Wszyscy chcą trafić do ruchomych obrazków!

- Nie, dziękuję - odmówił grzecznie Victor. - Jestem pewien, że to godziwe zajęcie, ale ruszanie obrazków nie wydaje mi się szczególnie ciekawe.

- Mówię o ruchomych obrazkach!

- Tak. Słyszałem pana. Mężczyzna pokręcił głową.

- No cóż - westchnął. - To rzeczywiście niezwykle. Po raz pierwszy od tygodni spotykam kogoś, kto nie usiłuje rozpaczliwie dostać się do ruchomych obrazków. Sądziłem, że każdy chce się dostać do ruchomych obrazków. Jak tylko cię zobaczyłem, pomyślałem: za to, co zrobił, spodziewa się pewnie pracy w ruchomych obrazkach.

- Dziękuję mimo wszystko - powtórzył Victor. - Ale chyba nie skorzystam.

- Jestem ci jednak coś winien. - Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę. Wręczył ją Victorowi. Było na niej napisane:

Thomas Silverfish

Ciekawa i Pouczająca Kinematografia

Jedno- i dwuszpulowce materiał prawie niewybuchowy

Święty Gaj I

- To gdybyś kiedyś zmienił zdanie. Wszyscy w Świętym Gaju mnie znają.

Victor wpatrywał się w kartonik.

- Dziękuję - rzucił. - Ehm... Czy jest pan magiem? Silverfish spojrzał gniewnie.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - burknął.

- Nosi pan suknię z magicznymi symbolami...

- Magiczne symbole? Przyjrzyj się dokładniej, mój chłopcze! Z pewnością nie są to naiwne symbole śmiesznego i przestarzałego systemu wierzeń! To znaki oświeconej sztuki, której czysty, nowy świat właśnie... tego... świata. Symbole magiczne... - zakończył tonem bezbrzeżnej pogardy. - I to jest szata, nie suknia - dodał jeszcze.

Victor przyjrzał się kolekcji gwiazd, półksiężyców i innych rzeczy. Znaki oświeconej sztuki, której nowy świat właśnie światła, wyglądały zupełnie jak naiwne symbole śmiesznego i przestarzałego systemu wierzeń. Ale chwila nie była chyba odpowiednia, by mówić o tym głośno.

- Przepraszam - powiedział. - Nie przyjrzałem się dokładnie.

- Jestem alchemikiem - wyjaśnił Silverfish, z lekka tylko udobruchany.

- Rozumiem. Ołów w złoto i takie sprawy...

- Nie ołów, mój chłopcze. Światło. Z ołowiem to nie wychodzi. Światło w złoto...

- Naprawdę? - zdziwił się uprzejmie Victor.

Silverfish zaczął na środku placu ustawiać trójnóg.

Zebrał się niewielki tłumek. Niewielkie tłumki w Ankh-Morpork zbierają się bardzo łatwo - wśród mieszkańców miasta można znaleźć najznakomitszych gapiów we wszechświecie. Chętnie oglądaliby wszystko, zwłaszcza jeśli istnieje szansa, że ktoś w zabawny sposób dozna krzywdy.

- Może zostaniesz na pokazie? - rzucił jeszcze Silverfish i odszedł gdzieś.

Alchemik... Wszyscy przecież wiedzą, że alchemicy są trochę zwariowani, myślał Victor. To całkiem normalne.

Kto by chciał marnować czas na ruszanie obrazków? Większość z nich dobrze wygląda tam, gdzie jest.

- Kiełbaski w bułce! Kupujcie, póki gorące! - huknął czyjś głos tuż za jego uchem.

Victor odwrócił się.

- O... Witam, panie Dibbler.

- Dobry wieczór, chłopcze. Masz ochotę na pyszną gorącą kiełbaskę?

Victor zerknął na lśniące wałeczki na tacy zwisającej z szyi Dibblera. Pachniały apetycznie. Jak zawsze. A potem człowiek odgryzał pierwszy kęs i odkrywał, że Gardło Sobie Podrzynam Dibbler potrafił wykorzystać takie kawałki zwierzęcia, z których posiadania zwierzę nie zdawało sobie nawet sprawy. Odkrył bowiem, że z dostateczną ilością smażonej cebuli i musztardy ludzie zjedzą wszystko.

- Specjalna zniżka dla studentów - szepnął konspiracyjnie Dibbler. - Piętnaście pensów, i gardło sobie tym podrzynam.

Strategicznie uchylił pokrywkę patelni, wypuszczając obłok pary.

Pikantny zapach smażonej cebuli spełnił swe niegodziwe zadanie.

- Ale tylko jedną - zgodził się ostrożnie Victor. Dibbler wyrzucił kielbaskę z patelni i ze sprawnością żaby łapiącej ważkę chwycił ją w bułkę.

- Do końca życia nie będziesz żałował - obiecał wesoło. Victor ugryzł kawałek cebuli. Była w miarę bezpieczna.

- O co tam chodzi? - Wskazał kciukiem ekran.

- Jakiś pokaz - odparł Dibbler. - Gorące kielbaski! Znakomite! - Znów zniżył głos do zwykłego konspiracyjnego szeptu. - Istny szal w innych miastach. Tak słyszałem. Jakieś ruchome obrazki. Starali się wszystko dopasować, zanim pokażą to w Ankh-Morpork.

Razem obserwowali, jak Silverfish i dwóch jego asystentów majstruje coś przy pudle na trójnogu. W okrągłym otworze z przodu błysnęło nagle białe światło i rozjaśniło ekran. W tłumie rozległ się dość niepewny gwar.

- Aha - powiedział Victor. - Rozumiem. I to już wszystko? To przecież zwyczajny, stary teatrzyk cieni. Nic więcej. Wujek kiedyś próbował mnie w ten sposób zabawiać. Wie pan? Trzeba ruszać rękami przed światłem i wtedy cienie tworzą różne sylwetki.

- A tak - zgodził się niezbyt pewnie Dibbler. - Takie jak „Wielki Słoń” albo „Łysy Orzeł”. Dziadek umiał robić takie rzeczy.

- Mój wujek robił głównie „Kalekiego Królika”. Nie radził sobie najlepiej. To były kłopotliwe sytuacje. Siedzieliśmy wszyscy i próbowaliśmy zgadywać różne „Zaskoczone Jeże” czy „Rozjuszony Gronostaj”, a on szedł do łóżka nadąsany, bo nikt z nas się nie domyślił, że tak naprawdę pokazuje „Lorda Henry’ego Snippsa i Jego Ludzi, rozbijających Trolle w Bitwie pod Pseudopolis”. Właściwie nie widzę niczego szczególnego w cieniach na

ekranie.

- Słyszałem, że to wygląda inaczej. Wcześniej sprzedałem jednemu z tych ludzi Specjalną Kielbaskę Gigant, a on mi tłumaczył, że chodzi o pokazywanie obrazków bardzo szybko. Trzeba ułożyć mnóstwo obrazków razem i pokazywać jeden po drugim. Bardzo, bardzo szybko. Tak mówił.

- Nie za szybko - poprawił go stanowczo Victor. - Gdyby przesuwać je za szybko, nikt by nie widział, że się przesuwają.

- On mówił, że to jest właśnie cały sekret: żeby nie widzieć, jak się przesuwają - odparł Dibbler. - Trzeba je oglądać wszystkie naraz czy jakoś tak.

- Wszystkie będą rozmazane - stwierdził Victor. - Nie pytał pan o to?

- Właściwie nie. Szczerze mówiąc, musiał już iść. Powiedział, że trochę dziwnie się czuje.

Victor przyjrzał się w zadumie resztkę kielbaski w bułce, a jednocześnie poczuł, że jemu również ktoś się przygląda.

Spojrzał w dół. U jego nóg siedział pies.

Był mały, krzywonogi, w zasadzie szary, ale w brązowe, czarne i białe łaty na wystających częściach ciała. I patrzył.

Było to z pewnością najbardziej przenikliwe spojrzenie, jakie Victor w życiu oglądał. Nie groźne czy proszące - tylko bardzo spokojne i bardzo dokładne, jakby pies starał się zapamiętać każdy szczegół, by potem przekazać władzom dokładny rysopis.

Kiedy był już pewien, że zwrócił na siebie uwagę Victora, przeniósł wzrok na kielbaskę.

Czując się obrzydliwie - z powodu okrucieństwa wobec biednego, bezrozumnego zwierzęcia - Victor rzucił mu kielbaskę. Pies pochwycił ją i połknął jednym ekonomicznym ruchem.

Coraz więcej ludzi pojawiało się na placu. I nie tylko ludzi. Victor o kilka stóp od siebie rozpoznał wielką, górzystą sylwetkę Detrytusa, starego trolla, dobrze znanego wszystkim studentom jako ktoś, kto znajdował pracę wszędzie, gdzie trzeba było za pieniądze bardzo stanowczo usuwać ludzi z różnych miejsc. Troll również go zauważył i spróbował mrugnąć. Wymagało to zamknięcia obojga oczu, gdyż Detrytus nie radził sobie z bardziej skomplikowanymi czynnościami. Powszechnie uważano, że gdyby nauczył się czytać i pisać w stopniu dostatecznym, by usiąść i rozwiązać test na inteligencję, okazałoby się, że jest nieco mniej inteligentny od stołka.

Silverfish podniósł do ust megafon.

- Panie i panowie - powiedział. - Spotkał was zaszczyt obserwowania zwrotnego punktu w historii Wieku... - Odsunął megafon, schylił się i Victor usłyszał, jak nerwowo pyta jednego z asystentów: - Który to wiek? Naprawdę? - Po czym znów uniósł megafon i podjął w tym samym, uroczystym optymistycznym tonem: - Wieku Nietoperza! Mówię tu o narodzinach Ruchomych Obrazków! Obrazków, które poruszają się bez udziału magii!

Umilkł, czekając na oklaski. Nie rozległy się. Tłum przyglądał się tylko. Potrzeba czegoś więcej niż kończenia zdań wykrzyknikami, by otrzymać oklaski od gapiów z Ankh-Morpork.

Trochę rozzarowany, Silverfish mówił dalej:

- Zobaczyć znaczy uwierzyć, jak powiada przysłowie. Ale, panie i panowie, nie uwierzycie Świadectwu Własnych Oczu! Zobaczycie bowiem za chwilę Tryumf Nauki! Cud Wieku! Odkrycie

Wstrząsające Podstawami Świata, nie, co ja mówię, Podstawami Uniwersum!

- W każdym razie musi to być coś lepszego niż ta nieszczęsna kiełbaska - odezwał się spokojny głos przy kolanie Victora.

- Okiełznanie Naturalnych Mechanizmów dla stworzenia Iluzji! Iluzji, panie i panowie, nie odwołującej się do Magii!

Victor powoli spuścił wzrok. W dole nie było nikogo, jedynie drapiący się pracowicie pies. Podniósł łeb i powiedział:

- Hau?

- Potencjał Edukacyjny! Sztuka! Historia! Dziękuję wam, panie i panowie. Panie i panowie, jeszcze niczego nie widzieliście! Nastąpiła kolejna przerwa, pełna nadziei na oklaski.

- Zgadza się. Nie widzieliśmy - odezwał się ktoś w pierwszym rzędzie gapiów.

- Właśnie - poparła go stojąca obok kobieta. - Kiedy wreszcie przestaniesz pan tyle gadać i zaczniesz z tymi cieniami?

- Ma rację - wtrąciła druga kobieta. - Zróbcie „Kalekiego Królika”. Moje dzieciaki strasznie go lubią.

Victor na chwilę odwrócił głowę, by uśpić podejrzliwość psa, po czym znów spojrzał na niego surowo.

Pies przyjaźnie obserwował tłum i pozornie nie zwracał na Victora uwagi.

Victor podłubał sobie palcem w ucho. To musiało być złudzenie, echo albo coś jeszcze. Nie chodziło o „hau”, chociaż „hau” samo w sobie nie jest właściwie dziwne. Co prawda większość psów we wszechświecie nie wydaje takich dźwięków. Ich szczekanie jest bardziej złożone, w stylu „ułow” albo „hrrwau”. Nie; problem polegał na rym, że pies wcale nie zaszczekał. On powiedział „hau”.

Victor pokręcił głową. Obejrzał się na Silverfisha, który zszedł z podwyższenia przed ekranem i skinieniem dał znak asystentowi, by zaczął kręcić korbą wystającą z boku pudła. Zabrzmiał cichy zgrzyt, który zmienił się w równe klikanie. Niewyraźne cienie zatańczyły na bieli ekranu, a potem...

Ostatnią rzeczą, jaką Victor zapamiętał, był głos rozlegający się z

okolic jego kolana.

- Mogło być gorzej, wie pan? Mogłem powiedzieć „miau”.

Sny Holy Woodu...

Minęło jakieś osiem godzin.

Straszliwie skacowany Myślak Stibbons zerkał smętnie na pusty stół obok. Victor nigdy nie opuszczał egzaminów: Zawsze powtarzał, że lubi wyzwania.

- Przygotujcie się do odczytania pytań - powiedział egzaminator z końca sali.

Sześćdziesiąt piersi sześćdziesięciu potencjalnych magów poczuło ucisk straszliwego napięcia. Myślak nerwowo obracał w palcach swoje szczęśliwe pióro.

Mag na katedrze odwrócił klepsydrę.

- Możecie zaczynać.

Kilku co bardziej ekstrawaganckich studentów odwróciło kartki z pytaniami jednym pstryknięciem palców. Myślak znienawidził ich natychmiast.

Sięgnął do swego szczęśliwego kałamarza, nie trafił i nerwowym ruchem przewrócił go na bok. Niewielka czarna rzeczka popłynęła na kartkę z pytaniami.

Panika i wstyd zalały go bez reszty. Próbował skrajem szaty zetrzeć atrament i rozsmarował go równo po blacie. Jego szczęśliwa suszona żaba spadła na podłogę.

Czerwony ze wstydu i czarny od atramentu, spojrzał błagalnie na maga na katedrze, po czym wskazał wzrokiem puste miejsce obok siebie. Mag skinął głową. Myślak z wdzięcznością przemknął do sąsiedniego stolika, odczekał, aż serce przestanie mu walić, i bardzo ostrożnie odwrócił kartkę.

Po dziesięciu sekundach, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, odwrócił ją po raz drugi, na wypadek gdyby wskutek jakiegoś błędu resztę pytań wypisano jednak na poprzedniej stronie.

Wokół panowała cisza pięćdziesięciu dziewięciu umysłów skrzypiących we wspólnym wysiłku.

Myślak odwrócił kartkę raz jeszcze.

Może to pomyłka? Nie... Była pieczęć Uniwersytetu, podpis nadrektora i wszystko, co trzeba. Więc może to jakaś szczególna próba, może obserwują go teraz, żeby sprawdzić, jak się zachowa...

Rozejrzał się ukradkiem. Inni studenci pracowali pilnie. Może to jednak nie pomyłka. Tak... Im dłużej o tym myślał, tym bardziej logiczne mu się wszystko wydawało. Nadrektor podpisał pewnie kartki, a potem, kiedy sekretarze przepisywali tematy, któryś z nich zdążył zapisać tylko najważniejsze pierwsze pytanie i pewnie ktoś go odwołał albo co, i nikt nie zauważył, i kartka trafiła na stół Victora, tyle że on nie przyszedł, a Myślak zajął jego miejsce, co oznacza - uznał w nagłym przypływie pobożności - że bogowie chcieli, by dostał tę kartkę. W końcu to nie jego wina, jeśli w wyniku jakiegoś błędu otrzymał na egzaminie takie pytanie. Zlekceważenie okazji można by pewnie nazwać świętokradztwem czy nawet gorzej.

Muszą uznać odpowiedź. Myślak nie na darmo mieszkał w jednym pokoju z największym autorytetem w dziedzinie przepisów egzaminacyjnych. Nauczył się tego i owego.

Raz jeszcze przeczytał pytanie: Jak się nazywasz?”.

Odpowiedział.

Po chwili podkreślił jeszcze odpowiedź kilka razy, używając swojej szczęśliwej linijki.

Jeszcze po chwili, by wykazać dobrą wolę, dopisał wyżej: „Odpowiedź na pytanie pierwsze brzmi”.

Po kolejnych dziesięciu minutach dodał jeszcze linijkę niżej: „Takie bowiem jest moje imię i nazwisko”. To także podkreślił.

Biedny Victor; będzie żałował, że nie przyszedł.

Ciekawe, co się z nim stało.

Żadna droga nie prowadziła jeszcze do Świętego Gaju. Ktokolwiek chciałby się tam dostać, musiał wyruszyć traktem do Quirmu i w pewnym nieoznaczonym miejscu pośród karłowatych krzaków skręcić i podążać w kierunku piaszczystych wydm. Dzika lawenda i rozmaryn porastały pobocza. Nie słyhać było żadnego dźwięku prócz brzęczenia pszczół i dalekiej pieśni skowronka, które czyniły ciszę tym wyraźniejszą.

Victor Tugelbend porzucił szlak w miejscu, gdzie pobocze było rozjeżdżone kołami wielu wozów i - sądząc po wyglądzie - zdeptane rosnącą liczbą stóp.

Pozostało mu jeszcze wiele mil. Wlókł się dalej. Gdzieś w głębi umysłu cichy głosik powtarzał zdania w stylu „Gdzie ja jestem? Dlaczego to robię?”, a inna część świadomości doskonale zdawała sobie sprawę, że wcale nie musi tego robić. Był jak ofiara hipnotyzera, która wie, że wcale nie jest zahipnotyzowana i może wyrwać się z transu, kiedy tylko zechce, ale akurat nie ma na to ochoty. Jego nogi pozwalały sobą sterować.

Nie był pewien dlaczego. Wiedział tylko, że dzieje się coś, w czym chce uczestniczyć. Coś, co może się już nigdy nie powtórzyć.

Kawałek za nim, ale szybko zmniejszając dystans, podążał Gardło Sobie Podrzynam Dibbler, próbujący dosiadać konia. Nie był urodzonym jeźdźcem i od czasu do czasu spadał; między innymi z tego powodu nie wyprzedził jeszcze Victora. Inny powód to fakt, że zatrzymał się przed wyjazdem z miasta, by tanio sprzedać swój kielbaskowy interes pewnemu krasnoludowi, który nie wierzył własnemu szczęściu (po próbie sprzedaży kilku kielbasek nadal nie mógł uwierzyć).

Coś przyzywało Dibblera - i miało złocisty głos. Daleko za Gardłem, wlokąc ręce po piasku, szedł troll Detrytus. Trudno mieć pewność, co sobie myślał, tak jak trudno określić, co myśli gołąb pocztowy. Detrytus po prostu wiedział, że miejsce, gdzie być powinien, nie jest tym, gdzie się obecnie znajduje.

I wreszcie, jeszcze dalej z tyłu, jechał zaprzężony w ósemkę koni wóz, wiozący do Świętego Gaju ładunek drewna. Woźnica nie myślał o niczym szczególnym, choć trochę był zdziwiony wypadkiem, jaki spotkał go tuż przed opuszczeniem Ankh-Morpork, w mroku przedświt. Jakiś głos zawołał z ciemności przy drodze: - Stać, w imieniu straży miejskiej!

Woźnica przystanął, a kiedy nic się nie działo, rozejrzał się dookoła i nie zobaczył nikogo.

Wóz przejechał, odsłaniając oczom obdarzonego wyobraźnią widza niewielką postać Gaspode, Cudownego Psa, próbującego ułożyć się wygodnie między belkami na tyłach. On także jechał do Świętego Gaju.

I także nie wiedział po co.

Ale postanowił się tego dowiedzieć.

Nikt pod koniec Wieku Nietoperza nie wierzyłby chyba, że życie Dysku bacznie i niecierpliwie obserwują istoty mądrzejsze od człowieka, a

przynajmniej o wiele bardziej złośliwe; że badają i analizują ludzkie sprawy równie skrupulatnie, jak skrupulatnie ktoś głodujący od trzech dni bada zestaw „Ile tylko zdołasz pożreć jeden dolar” przed wejściem do Najlepszych Żeberek Hargi...

No, właściwie... większość magów by uwierzyła, gdyby ktoś im powiedział.

I bibliotekarz uwierzyłby z całą pewnością.

A także pani Marietta Cosmopilite z Quirmowej 3 w Ankh-Morpork. Ale ona wierzyła, że świat jest kulisty, że główka czosnku w szufladzie z bielizną odpędza wampiry, że człowiekowi dobrze robi, jeśli wyjdzie czasem i trochę się pośmieje, że w każdym tkwi piękno, jeśli tylko się wie, gdzie go szukać, i że trzy obrzydliwe skrzaty podglądają ją co wieczór, kiedy się rozbiera[4].

Święty Gaj!...

...na razie nie wyglądał imponująco. Zwyczajny pagórek nad morzem, a po jego drugiej stronie sporo wydm. Okolica miała to szczególne piękno, które zachwyca tylko wtedy, gdy można opuścić je po krótkiej chwili podziwu i odjechać w inne miejsce, gdzie znana jest gorąca kąpiel i zimne drinki. Pozostawanie tutaj przez dłuższy czas mogło być tylko pokutą.

Mimo to wyrosło tu miasteczko... prawie. Drewniane szopy wznoszono wszędzie tam, gdzie ktoś zrzucił na ziemię ładunek drewna. Były prymitywne, jakby ich budowniczym żal było czasu zabieranego czemuś, co woleliby robić. Szopy wyglądały jak zwykłe skrzynie z desek.

Z wyjątkiem frontonów.

Jeśli ktoś chce zrozumieć Święty Gaj, mawiał Victor wiele lat później, musi zrozumieć jego budynki.

Weźmy typową szopę na piasku. Ma pewnie skośny dach, to jednak bez znaczenia, gdyż w Świętym Gaju nigdy nie pada deszcz. Ma też szczeliny w ścianach, zapchane szmatami. Okna to zwykłe dziury, ponieważ szkło jest zbyt kruche, by dostarczać je aż z Ankh-Morpork. A oglądany z tyłu fronton to po prostu wielka drewniana płyta podtrzymywana gąszczem podpórek.

Od przodu jednak fronton jest wycinaną, rzeźbioną, malowaną, barokową architektoniczną ekstrawagancją. W Ankh-Morpork ludzie rozsądni budowali proste domy, zachowując ozdoby dla wnętrza. Ale w Świętym Gaju budynki były odwrócone na lewą stronę.

Victor w oszołomieniu kroczył tym, co uchodziło za główną ulicę miasteczka. Obudził się o świcie między wydmami. Dlaczego? Postanowił przybyć do Świętego Gaju, ale dlaczego? Nie mógł sobie przypomnieć. Pamiętał tylko, że wydawało mu się to całkiem oczywiste. Istniały setki ważnych powodów...

Gdyby tylko zapamiętał choć jeden...

To nie znaczy, że w głowie pozostało jakieś miejsce na wspomnienia. Umysł był zbyt zajęty świadomością, że jego właściciel jest bardzo głodny i mocno spragniony. Kieszenie mieściły łączną sumę siedmiu pensów - za to nie mogłby kupić nawet miski zupy, a co dopiero porządnego posiłku.

Posiłek by mu się przydał. Po dobrym jedzeniu wszystko wydaje się bardziej zrozumiałe.

Przeciskał się przez tłumy. Większość ludzi wyglądała na cieślów, lecz widywał też innych, dźwigających jakieś pojemniki i tajemnicze pudła. I wszyscy chodzili bardzo szybko, bardzo stanowczym krokiem, skupieni na jakimś ważnym celu.

Wszyscy z wyjątkiem Victora.

Wlókł się zaimprovizowaną ulicą, gapił na domy i czuł jak zabłąkany konik polny w mrowisku. Zupełnie nie miał...

- Nie mógłbyś uważać, jak chodzisz?!

Odbił się od ściany. Kiedy odzyskał równowagę, druga strona tej kolizji znikła już w tłumie. Spojrzał za nią tępo, po czym biegiem ruszył w pogoń.

- Hej! - zawołał. - Przepraszam! Panienko! Zatrzymała się i niecierpliwie zaczęła, aż ją dogoni.

- Słucham?

Była o stopę niższa od niego, o kształtach dość niejasnych, skrywanych bowiem pod bezsensowną liczbą falbanek. Co prawda sukienka nie była aż tak śmieszna jak blond peruka pełna loczków. Twarz, biała od pudru - poza oczami, które otaczały czarne pierścienie - sprawiała wrażenie klosza od lampy, który ostatnio mocno nie dosypiał.

- Słucham? - powtórzyła dziewczyna. - Ale szybko! Za pięć minut zaczynają kręcić!

- Ehm...

Uspokoila się trochę.

- Nic nie mów - powiedziała. - Właśnie tu dotarłeś. Wszystko wydaje ci się nowe. Nie wiesz, co robić. Jesteś głodny. Nie masz pieniędzy. Zgadza się?

- Tak! Skąd wiedziałas?

- Wszyscy tak zaczynają. A teraz chciałbyś się dostać do migawek, tak?

- Żeby się wymigać?

Przewróciła oczami w głębi czarnych kręgów.

- Do ruchomych obrazków!

- Och...

Chcę, pomyślał. Nie wiedziałem o tym, ale chcę. Po to przyszedłem. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?

- Tak - potwierdził. - Tak, tego właśnie chcę. Chcę się dostać. Jak to załatwić?

- Trzeba długo, bardzo długo czekać. Aż ktoś cię zauważy. - Dziewczyna z nieskrywaną pogardą zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. - Zajmij się może stolarstwem. W Świętym Gaju zawsze potrzebni są dobrzy rzeźnicy drzew.

A potem odwróciła się na pięcie i zniknęła wśród tłumu bardzo zajętych ludzi.

- Dziękuję! - krzyknął za nią Victor. - Mam nadzieję, że szybko wyleczysz oczy!

Zabrzęczał monetami w kieszeni.

Stolarstwo nie wchodziło w grę. Wymagało zbyt ciężkiej pracy. Kiedyś zresztą próbował; on i drewno szybko doszli do porozumienia: on go nie tykał, ono nie pękało.

Bardzo długie oczekiwanie miało swoje zalety, jednak wymagało pieniędzy, by je wykorzystać.

Palcami trafił nagle na niewielki i nieoczekiwany prostokąt. Wyjął go z kieszeni i spojrzał. Wizytówka Silverfisha.

Rezydencja Święty Gaj I okazała się zbiorowiskiem drewnianych szop otoczonych wysokim ogrodzeniem. Była też brama, a przed bramą kolejka.

Tworzyli ją ludzie, krasnoludy i trolle. Wyglądali, jak gdyby stali już dosyć długo; niektórzy nawet tak doskonale opanowali owo naturalne przygarbienie - przy jednoczesnym zachowaniu pozycji wyprostowanej - że mogliby być bezpośrednimi potomkami pierwszych prehistorycznych kolejkowiczów.

Przy bramie stał wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, który obserwował kolejkę z pełną wyższości miną wszystkich pomniejszych przedstawicieli władzy.

- Przepraszam... - zaczął Victor.

- Pan Silverfish dziś rano nikogo więcej nie potrzebuje - odpowiedział mężczyzna samym kącikiem ust. - Spadaj.

- Ale mówił, że gdybym kiedykolwiek...

- Czy powiedziałem: spadaj, przyjacielu?

- Tak, ale...

Furtka w płocie uchyliła się nieco. Wychyliła się drobna, blada twarz.

- Potrzebujemy trolla i dwóch ludzi - oznajmiła. - Jeden dzień, zwykła cena.

Furtka się zamknęła.

Mężczyzna wyprostował się i podniósł dłonie do ust.

- No dobra, męty! - krzyknął. - Słyszeliście! - Oceniał kolejkę doświadczonym spojrzeniem hodowcy bydła. - Ty, ty i ty - wskazał palcem.

- Przepraszam bardzo - wtrącił uprzejmie Victor. - Wydaje mi się, że ten człowiek, o ten, był pierwszy i...

Odepchnięto go na bok. Szczęśliwa trójka weszła przez bramę. Zdawało mu się, że dostrzega błysk monet przechodzących z rąk do rąk. Potem strażnik zwrócił ku niemu czerwoną ze złości gębę.

- Ty! Na koniec kolejki! I tam masz zostać.

Victor spojrzał na niego. Spojrzał na bramę. Spojrzał na długi rząd zniechęconych ludzi.

- Nie - odparł. - Raczej nie. Ale dziękuję.

- No to spływaj.

Victor uśmiechnął się przyjaźnie. Ruszył wzdłuż płotu i skręcił za róg. Za kolejnym rogiem trafił w wąski zaułek.

Przeszukał typowe dla takich zaułków śmieci, aż znalazł kawałek papieru. Podwinął rękawy. Dopiero wtedy zbadał dokładnie płot i odkrył parę obluźwanych desek, które - przy odrobinie wysiłku - przepuściły go na drugą stronę.

Znalazł się na placu zastawionym deskami i stosami materiałów. Nie zauważył nikogo.

Maszerując zdecydowanym krokiem, świadom, że nikt nie zaczepi człowieka z podwiniętymi rękawami, który maszeruje zdecydowanym krokiem i trzyma w ręku kawałek papieru, ruszył przez drewnianą i brezentową krainę cudów Ciekawej i Pouczającej Kinematografii.

Były tu budynki wymalowane na tyłach innych budynków. Były drzewa, będące drzewami z przodu i masą podpórek z tyłu. Było też wiele nerwowego biegania, chociaż - o ile Victor mógł to ocenić - nikt niczego nie produkował.

Zauważył mężczyznę w długim czarnym płaszczu, czarnym kapeluszu, z wąsem jak ryżowa szczotka, który przywiązywał do jednego z drzew młodą dziewczynę. Nikt jakoś nie próbował mu przeszkodzić, choć dziewczyna się wyrywała. Kilku ludzi obserwowało to nawet ze znudzeniem; obok nich stało wielkie pudło na trójnogu i jakiś człowiek kręcił wystającą ze ścianki korbą.

Dziewczyna wyciągnęła błagalnie rękę, po czym bezgłośnie poruszyła ustami.

Jeden z patrzących wstał, przejrzał kilka ułożonych obok plansz, wybrał jedną i przytrzymał ją przed pudłem.

Plansza była czarna. Białą farbą wymalowano na niej słowa: „Nie! Nie!”.

Człowiek się odsunął. Złoczyńca podkreślił węża. Człowiek wrócił z inną tablicą. Tym razem głosiła: „Aha! Moja dumna piękność!”.

Inny z siedzących sięgnął po megafon.

- Dobrze, świetnie - powiedział. - Teraz pięć minut przerwy i kręcimy scenę bitwy!

Złoczyńca odwiązał dziewczynę i odeszli razem. Człowiek z korbą przestał kręcić, zapalił papierosa i podniósł pokrywę pudła.

- Wszyscy słyszeli? - zapytał.

Odpowiedział mu chór pisków.

Victor zbliżył się do człowieka z megafonem; stuknął go w ramię.

- Pilna wiadomość dla pana Silverfisha - powiedział.

- Jest w biurze. - Człowiek machnął kciukiem ponad ramieniem, nie odwracając się nawet.

- Dziękuję.

Pierwsza szopa, do której zajrzał Victor, mieściła tylko długie, ginące w mroku rzędy małych klatek. Niewyraźne stworki rzucały się na pręty i ćwierkały coś do niego. Czym prędzej zatrzaskał drzwi.

W następnej szopie znalazł Silverfisha, stojącego przy biurku zavalonym stosami papierów i kubkami. Silverfish nawet na niego nie spojrzał.

- Połóż tutaj - rzucił z roztargnieniem.

- To ja, panie Silverfish - powiedział Victor. Silverfish przyjrzał mu się z taką miną, jakby winą Victora było, że nikogo mu nie przypomina.

- Tak?

- Przyszedłem w sprawie tej pracy. Pamięta pan?

- Jakiej pracy? Co mam pamiętać? Skąd się tu wziąłeś, u licha?

- Dostałem się do ruchomych obrazków - wyjaśnił Victor. -Przez płot. Ale młotek i parę gwoździ załatwi sprawę.

Na twarzy Silverfisha pojawił się wyraz paniki. Victor pomachał mu wizytówką w sposób - miał nadzieję - uspokajający.

- W Ankh-Morpork - odpowiedział. - Parę nocy temu. Ktoś panu groził.

Silverfish wyraźnie skojarzył fakty.

- Tak - szepnął. - Ty jesteś tym chłopcem, który przyszedł mi z pomocą.

- A pan powiedział, żebym się zjawił i przekonał, czy chciałbym ruszać obrazki. Wtedy nie chciałem, ale teraz chcę.

Uśmiechnął się promiennie.

A równocześnie myślał: spróbuje się wymigać. Żałuje tej propozycji. Wyśle mnie z powrotem do kolejki.

- No cóż, naturalnie - rzekł Silverfish. - Wielu bardzo utalentowanych ludzi chciałoby się znaleźć w ruchomych obrazkach. Lada dzień będziemy mieli dźwięk. Chciałem powiedzieć: znasz się może na stolarce? Masz doświadczenie alchemiczne? Szkoliłeś kiedy chochliki? W ogóle znasz jakieś rzemiosło?

- Nie - przyznał Victor.

- Umiesz śpiewać?
- Trochę. W kąpiel. Ale nie za dobrze.
- Umiesz tańczyć?
- Nie.
- Miecz? Potrafisz robić mieczem?
- Trochę - potwierdził Victor.

Czasem ćwiczył z mieczem w sali gimnastycznej. Nigdy nie walczył z przeciwnikiem, gdyż magowie z reguły brzydzą się ćwiczeniami fizycznymi; oprócz niego z całego Uniwersytetu zjawiał się w sali tylko bibliotekarz, ale on korzystał z lin i trapezów. Victor ćwiczył jednak przed lustrem własne techniki, a lustro nigdy go jeszcze nie pokonało.

- Rozumiem - westchnął smętnie Silverfish. - Nie śpiewa. Nie tańczy. Trochę robi mieczem.

- Ale dwa razy dzięki mnie zachował pan życie - wtrącił Victor.

- Dwa razy? - zdziwił się Silverfish.

- Tak. - Victor nabrał tchu. Rzecz była ryzykowna. - Wtedy - rzekł. - I teraz.

Przez chwilę trwało milczenie.

- Nie wydaje mi się - powiedział w końcu Silverfish - żeby konieczne były takie metody.

- Przepraszam, panie Silverfish. Naprawdę nigdy się tak nie zachowuję, ale pan przecież obiecał, a ja szedłem tutaj na piechotę, nie mam pieniędzy, jestem głodny i wezmę wszystko, co mi pan znajdzie. Wszystko. Proszę.

Silverfish przyjrzał mu się z powątpiewaniem.

- Nawet granie? - spytał.

- Słucham?

- Będziesz się ruszał i udawał, że robisz różne rzeczy?

- Tak!

- Aż szkoda, taki inteligentny i wykształcony młody człowiek... - mruknął Silverfish. - Czym się zajmujesz?

- Uczę się na ma... -Victor przypomniał sobie niechęć Silverfisha do magów i poprawił się szybko: - sekretarza.

- Masekretarza?

- I nie wiem, czy poradzę sobie z graniem... Silverfish zdziwił się nieco.

- Na pewno - uspokoił go. - Bardzo trudno jest źle grać w ruchomych obrazkach.

Sięgnął do kieszeni i wyjął dolarową monetę.

- Trzymaj. Idź coś zjeść. - Raz jeszcze przyjrzał się Victorowi. - Czekasz na coś?

- Właściwie... Miałem nadzieję, że mi pan wytłumaczy, co się tu dzieje.

- Nie rozumiem...

- Parę dni temu obejrzałem w mieście pańską... migawkę - poczuł niejasną dumę, że zapamiętał to słowo. - I nagle zapragnąłem znaleźć się tutaj. Zapragnąłem najbardziej na świecie. Nigdy dotąd na niczym mi specjalnie nie zależało...

Na twarzy Silverfisha wykwitł uśmiech ulgi.

- Ach, to... To magia Holy Woodu. Nie magia magów - dodał

pospiesznie - która jest tylko zabobonem i sztuczkami dla przesądnych. Nie. To magia dla zwykłych ludzi. Twój umysł aż wrze od dostrzeganych możliwości... Wiem, że mój wrzał - dodał.

- Tak - zgodził się niepewnie Victor. - Ale jak to działa? Silverfish się rozpromienił.

- Chcesz wiedzieć? Chcesz wiedzieć, jak wszystko działa?

- Tak, ja...

- Widzisz, ludzie zwykle mnie rozczarowują. Pokazujesz im coś naprawdę cudownego, na przykład obrazkowe pudło, a oni mówią: „Och!”. Nigdy nie pytają, jak ono działa. Panie Bird!

Ostatnie słowo wykrzyczał. Po chwili otworzyły się drzwi w głębi szopy i pojawił się jakiś człowiek. Na szyi miał zawieszone na taśmie obrazkowe pudło, a ręce poplamione chemikaliami. Nie miał brwi; Victor przekonał się później, że jest to cecha charakterystyczna każdego, kto przez dłuższy czas ma do czynienia z oktocelulozą.

Czapeczkę nosił daszkiem do tyłu.

- To jest Halogen Bird - przedstawił go Silverfish. - Nasz główny korbowy. Halogen, to Victor. Będzie u nas grał.

- Aha. - Halogen obejrzał Victora tak, jak rzeźnik mógłby oglądać tuszę. - Naprawdę?

- I chce wiedzieć, jak to wszystko działa.

Halogen rzucił Victorowi kolejne cyniczne spojrzenie.

- Sznurek - wyjaśnił ponuro. - Wszystko się trzyma na sznurku. Pewnie się zdziwisz, ale wszystko by się tu rozpadło, gdyby nie ja i mój kłębek sznurka.

W pudle wiszącym mu na szyi wybuchło jakieś zamieszanie. Uderzył w nie dłonią.

- Wy tam, uspokójcie się natychmiast! - zawołał. Skinął Victorowi głową. - Strasznie marudzą, kiedy zmienia się plan zajęć.

- A co jest w pudle? - zainteresował się Victor. Halogen mrugnął do Silverfisha.

- Chciałby wiedzieć, co?

Victor przypomniał sobie stworki w klatkach, które widział w sąsiedniej szopie.

- Sądząc po głosach, to pospolite demony - stwierdził. Halogen spojrzał na niego z aprobatą, jak na głupiego psa, który nieoczekiwanie wykonał trudną sztuczkę.

- Tak, zgadza się - przyznał.

- Ale dlaczego nie próbują uciekać? Halogen uśmiechnął się szeroko.

- Chytry wynalazek, taki sznurek - powiedział.

Gardło Sobie Podrzynam Dibbler należał do tych wyjątkowych osób, które potrafią myśleć po liniach prostych.

Większość ludzi myśli krzywymi i zygzakami. Zaczynają na przykład od myśli typu: „Zastanawiam się, jak zostać bogatym człowiekiem”, a potem posuwają się dalej krętym kursem, zawierającym takie myśli jak: „Zastanawiam się, co zjem na kolację” albo „Zastanawiam się, kto ze znajomych mógłby mi pożyczyć pięć dolarów”. Tymczasem Gardło był jednym z tych, którzy potrafią zidentyfikować myśl na końcu tego procesu - w tym przypadku Jestem teraz bardzo bogaty” - wykreślić linię prostą między nimi dwoma i przemyśleć całą drogę, powoli i cierpliwie, aż dotrze do tego końca.

To nie znaczy, że mu się udawało. Odkrył, że w realizacji procesu

zawsze występuje jakaś niewielka, ale istotna przeszkoda. Na ogół wiązała się z dziwną niechęcią innych ludzi do kupowania tego, co miał na sprzedaż.

W tej chwili oszczędności jego życia spoczywały w skórzanej sakwie bezpiecznie ukrytej pod kaftanem. Przebywał w Świętym Gaju od wczoraj. Okiem urodzonego handlarza oceniał rozklekotaną strukturę. Wyglądało na to, że nie ma tu dla niego miejsca, ale tym się nie przejmował. Zawsze znajdzie się miejsce na samym szczycie.

Całodzienne rozmowy i obserwacje doprowadziły go do Ciekawej i Pouczającej Kinematografii. Stał teraz po drugiej stronie ulicy i patrzył.

Przyjrzał się kolejce. Przyjrzał się człowiekowi przed bramą. Podjął decyzję.

Ruszył wolno wzdłuż kolejki. Miał mózg. Wiedział, że ma mózg. Teraz potrzebował mięśni. Gdzieś tutaj musi...

- Dzień dobry, panie Dibbler.

Ta płaska głowa, szerokie ramiona, wywinięta dolna warga, skrzypiący głos, zdradzający inteligencję klasy orzecha... Razem dawało to...

- To ja, Detrytus - powiedział Detrytus. - Kto by pomyślał, że pana tu zobaczę.

- Witaj, Detrytusie. Pracujesz w filmie? - spytał Dibbler.

- Właściwie nie pracuję - przyznał zawstydzony Detrytus. Dibbler z uwagą obejrzał trolla, którego obłupane pięści zwykle kończyły uliczne burdy.

- To skandal - rzekł. Wyjął sakwę i odliczył pięć dolarów. - A może wolałbyś pracować dla mnie?

Detrytus z szacunkiem musnął palcem ciężką brew.

- Słuszna racja, panie Dibbler.

- Chodź ze mną.

Dibbler ruszył swobodnie w stronę czoła kolejki. Człowiek przed bramą wystawił rękę, by go zatrzymać.

- A ty niby gdzie, kolego? - spytał.

- Jestem umówiony z panem Silverfishem - odparł Dibbler.

- A on o tym wie, co? - Z tonu strażnika wynikało jasno, że nie uwierzy, choćby twierdzącą odpowiedź zobaczył wypisaną na niebie.

- Jeszcze nie.

- W takim razie, przyjacielu, lepiej ustaw się...

- Detrytus...

- Tak, panie Dibbler?

- Uderz tego człowieka.

- Się robi, panie Dibbler.

Ręka Detrytusa zatoczyła stuosiemdziesięciostopniowy łuk, na końcu którego była ciemność i zapomnienie. Strażnik uniósł się nad ziemią, uderzył w bramę i wyhamował wśród jej szczątków dwadzieścia stóp dalej. Z kolejki rozległy się oklaski.

Dibbler zerknął na trolla z aprobatą. Detrytus nie miał na sobie niczego prócz poszarpanej opaski biodrowej zasłaniającej to, co trolle uważają za warte zasłaniania.

- Bardzo dobrze, Detrytus.

- Słuszna racja, panie Dibbler.

- Ale musimy pamiętać, żeby uszyć ci garnitur. A teraz pilnuj tej bramy, proszę. Nikogo nie wpuszczaj.

- Się robi, panie Dibbler.

Dwie minuty później nieduży szary pies przebiegł między krótkimi, krzywymi nogami trolla i przeskoczył nad szczątkami bramy. Detrytus nie zareagował, bo wszyscy przecież wiedzą, że psy nie są nikim.

- Panie Silverfish - odezwał się Dibbler.

Silverfish, który ostrożnie szedł przez studio, niosąc pudło świeżej błony obrazkowej, zawahał się na widok chudzielca zbliżającego się niczym zagubiony szczur. Wyraz twarzy Dibblera przywodził na myśl coś długiego, smukłego i białego, co przepływa nad rafą do płytkiej wody, gdzie kąpią się dzieci.

- Tak? - zdziwił się Silverfish. - Kim pan jest? Jak się pan tu dostał?

- Nazywam się Dibbler - odparł Dibbler. - Ale wolę, żeby nazywał mnie pan Gardłem.

Chwycił bierną dłoń Silverfisha, równocześnie kładąc drugą rękę na jego ramieniu. Postąpił krok do przodu i energicznie potrząsnął prawicą. Skutek sprawiał wrażenie bardzo przyjaznego kontaktu, jednak oznaczał, że gdyby Silverfish próbował odstać, zwichnąłby sobie łokieć.

- Chciałem pana zapewnić - mówił dalej Dibbler - że wszyscy jesteśmy pod wrażeniem tego, co tutaj robicie.

Silverfish z niepewnym uśmiechem wpatrywał się we własną dłoń, z którą cudza uparcie próbowała się zaprzyjaźnić.

- Naprawdę? - zapytał.

- To wszystko... - Dibbler na moment puścił ramię Silverfisha, by szerokim gestem wskazać otaczający ich pełen energii chaos. - Fantastyczne! - zapewnił. - Wspaniale! A to wasze ostatnie dzieło, zaraz, jak się nazywało...

- *Nieszczęście w sklepie*- odpowiedział Silverfish. - O złodzieju, który kradnie kiełbaski i sprzedawca go ściga.

- Tak... - Wzrok Dibblera zasklił się na moment, ale zaraz stał się znów szczery i przyjazny. - Tak, to właśnie to. Zaskakujące! Prawdziwy geniusz! Cudownie przedstawiona metafora!

- Kosztował nas prawie dwadzieścia dolarów - oświadczył Silverfish ze skrywaną dumą. - I jeszcze czterdzieści pensów za kiełbaski, oczywiście.

- Niezwykłe! - zapewnił Dibbler. - I pewnie obejrzały go już setki ludzi?

- Tysiące.

Uśmiech Dibblera trudno byłoby teraz z czymkolwiek porównać. Gdyby był jeszcze odrobinę szerszy, czubek głowy pewnie spadłby na ziemię.

- Tysiące? Tak dużo? I oczywiście wszyscy płacą panu... zaraz, po ile?

- W tej chwili tylko zbieramy datki. Żeby pokryć koszty, póki cały proces jest jeszcze w fazie doświadczalnej. Rozumie pan... Myślę - dodał - że może pan już puścić moją rękę.

- Oczywiście.

Dibbler puścił. Dłoń Silverfisha przez chwilę jeszcze z własnej woli sunęła na przemian w górę i w dół, poruszana tylko spazmem mięśni.

Gardło umilkło; miał wyraz twarzy człowieka, który dostąpił połączenia z jakimś wewnętrznym bóstwem.

- Wiesz, Thomas... - rzekł w końcu. - Mogę ci mówić Thomas, prawda? Kiedy zobaczyłem to arcydzieło, pomyślałem sobie: Dibbler, autorem jest artysta, człowiek twórczy...

- Skąd pan wiedział, że mam na imię...

- ...twórczy, który powinien dążyć za swym natchnieniem, zamiast męczyć się z nudnymi obowiązkami kierowania firmą. Mam rację?

- Właściwie... Rzeczywiście, robota papierkowa jest trochę...

- Tak właśnie pomyślałem. I powiedziałem sobie: Dibbler, powinienes natychmiast tam pojechać i zaoferować mu swoje usługi. No wiesz, administracja. Zdjąć mu brzemię z ramion. Żeby robił to, co potrafi najlepiej. Mam rację, Tom?

- Ja...Ja...Ja... Tak, oczywiście, moje zdolności to raczej...

- Otóż to, otóż to! - zawołał Dibbler. - Tom, przyjmuję! Oczywiście Silverfisha zaszły mgłą.

- Ehm... - powiedział.

Dibbler żartobliwie szturchnął go w ramię.

- Pokaż mi tylko, gdzie są te papiery, a potem możesz się brać do tego, co ci najlepiej wychodzi.

- Ee... No tak - zgodził się Silverfish.

Dibbler chwycił go za ramiona i obdarzył tysiącwatowym, szczerym uśmiechem.

- To dla mnie wielka chwila - oznajmił, lekko zachrypnięty ze wzruszenia. - Nie wyobrażasz sobie nawet, ile to dla mnie znaczy. Mogę szczerze zapewnić, że to najszcześniejszy dzień mojego życia. Chciałem, żebyś o tym wiedział, Tommy. Naprawdę.

Pełną namaszczenia ciszę przerwało ciche, drwiące parskanie.

Dibbler obejrzał się wolno. Z tyłu nie było nikogo prócz małego szarego kundla, który siedział spokojnie w cieniu stosu drewna. Pies zauważył minę człowieka i pochylił głowę w bok.

- *Hau?* - powiedział.

Gardło Sobie Podrzynam Dibbler rozejrzał się w poszukiwaniu, czym mógłby rzucić, ale uznał, że taki gest nie pasuje do jego nowego wcielenia, więc znów odwrócił się do uwięzionego w serdecznym uścisku Silverfisha.

- Wiesz - rzekł z przekonaniem - naprawdę miałem szczęście, że cię spotkałem.

Obiad w tawernie kosztował Victora dolara i parę pensów. Składał się z miski zupy. Wszystko tu drogo kosztuje, wyjaśnił sprzedawca, ponieważ wszystko trzeba dostarczać z daleka. Wokół Świętego Gaju nie było żadnych farm. Zresztą kto by uprawiał ziemię, na której można produkować ruchome obrazki? Potem Victor zgłosił się do Halogena na próbne zdjęcia. Polegały na staniu nieruchomo przez minutę, gdy korbowy jak sowa obserwował go znad obrazkowego pudła.

- Dobra - stwierdził, kiedy minuta minęła. - Masz wrodzony talent, chłopcze.

- Przecież nic nie robiłem - zdziwił się Victor. - Kazał mi pan się nie ruszać.

- Tak. Zgadza się. Tego nam właśnie potrzeba. Ludzi, którzy umieją stać nieruchomo. Bez tego fikuśnego grania, jak w teatrze.

- I nie powiedział pan, co demony robią w pudle.

- Robią to... - Halogen zdjął kilka klamer. Na Victora spojrzał rząd złośliwych oczek.

- Mamy tu sześć demonów. - Halogen wskazał je palcem, ostrożnie, żeby uniknąć pazurów. - Wyglądają przez ten mały otwór w przedniej ścianie pudła i malują to, co zobaczą. Musi ich być sześć, jasne? Dwa malują, a cztery dmuchają, żeby farba wyschła. Bo zaraz przesuwają się następny obrazek. To dlatego, że kiedy obracam tą tutaj korbą, pasek przezroczyściej

błony przewija się o jeden ząbek.

Zakręcił korbą. Zastukała - klikaklika - a chochliki zapiszczały.

- Ale czemu to robią? - spytał Victor.

- No wiesz, dlatego że korba napędza również to małe kółko z umocowanymi batami. To jedyny sposób, żeby je zmusić do odpowiednio szybkiej pracy. Taki normalny chochlik jest leniwy jak diabeł. To wszystko jest sprzężone. Im szybciej kręcisz korbą, tym szybciej przesuwają się film i szybciej muszą malować. Trzeba wyczuć odpowiednią prędkość. Tak, kręcenie korbą to bardzo trudna praca.

- A czy to nie jest trochę, no, okrutne? Halogen zdziwił się wyraźnie.

- Ależ skąd. Wcale nie. Co pół godziny mam przerwę na wypoczynek. Tak mówi regulamin Gildii Korbowych.

Przeszedł kawałek dalej, do stojącego na blacie innego pudła z otwartą tylną ścianą. Z wnętrza smętnie mrugnęły na Victora uwięzione w klatce, ociężałe jaszczurki.

- To nie jest najlepsza metoda - rzekł Halogen - ale nic innego nie mamy. Taka typowa salamandra, rozumiesz, cały dzień będzie leżeć na pustyni i wchłaniać światło. A kiedy się wystraszy, wydziela to światło z powrotem. To się nazywa mechanizm samoobrony. Więc kiedy błona się przesuwa, a ta tutaj przesłona skacze do przodu i do tyłu, ich światło pada przez błonę i przez te soczewki na ekran. Całkiem prosta sprawa.

- A jak sięje straszy? - chciał wiedzieć Victor.

- Widzisz tę korbę?

- Aha... - Victor z namysłem stuknął palcem w obrazkowe pudło. - No dobrze - przyznał. - Czyli ma pan bardzo dużo obrazków. I przesuwa je pan bardzo szybko. W takim razie powinniśmy widzieć wszystko rozmazane, a nie widzimy.

- Tajemnica Gildii Korbowych. - Halogen musnął się palcem po nosie.

- Przekazywana kolejnym pokoleniom adeptów... Victor spojrzał na niego surowo.

- Wydawało mi się, że ludzie robią ruchome obrazki dopiero od paru miesięcy - przypomniał.

Halogen miał dość przyzwoitości, by zrobić chytrą minę.

- No dobrze. Póki co przekazywana jest między adeptami w pierwszym pokoleniu - przyznał. - Ale daj nam parę lat, a pojawią się następne... Nie dotykaj tego!

Przestraszony Victor gwałtownie cofnął rękę znad stosu puszek.

- To jest właściwa błona. - Halogen delikatnie odsunął je na bok. - Z nią trzeba bardzo ostrożnie. Nie może się za bardzo przygrzać, bo jest z oktocelulozy. I nie lubi wstrząsów.

- Co się wtedy z nią dzieje?

- Kto to wie? Nikt jeszcze nie pożył tak długo, żeby opowiedzieć. - Halogen dostrzegł minę Victora i uśmiechnął się szeroko. - Ty nie musisz się o to martwić. Będziesz stał przed ruchomoobrazkowym pudłem.

- Tyle że nie wiem, jak mam grać - przyznał się Victor.

- A wiesz, jak robić, co ci każą?

- Co? No tak. Tak, chyba wiem.

- I więcej nie trzeba, chłopcze. Więcej nie trzeba. Starczą porządne mięśnie.

Wyszli z szopy na ostre słońce i ruszyli w stronę szopy Silverfisha.

Która okazała się zajęta.

Gardło Sobie Podrzynam Dibbler podjął działalność w ruchomych obrazkach.

- Pomyślałem sobie - rzekł Dibbler - o czymś takim. Sami popatrzcie. Podniósł planszę. Wypisano na niej trochę niezgrabnymi literami:

Po przedstawieniu Czemusz nie Odwiedzić

Naylepszych Żeberek Hargi

To, co najlepsze w Hawte Cuisyne

- Co to jest „hawte cuisyne”? - zapytał Victor.

- To zagraniczne - odparł Dibbler, zerkając na młodego człowieka niechętnie. Ktoś taki pod tym samym dachem nie był elementem planu. Liczył, że dopadnie Silverfisha samego. - Oznacza jedzenie - dodał.

Silverfish przyglądał się planszy.

- I co z tym? - spytał.

- Dlaczego by - odparł Dibbler, bardzo powoli i wyraźnie - nie pokazać planszy na koniec przedstawienia?

- Ale po co?

- Bo ktoś taki jak Sham Harga zapłaci wam mnós... trochę pieniędzy.

Znów spojrzeli na plansze.

- Jadałem w Najlepszych Żeberkach Hargi - oznajmił Victor. - Nie powiedziałbym, że jedzenie jest najlepsze. Nie najlepsze. Bardzo dalekie od najlepszego. - Zastanowił się. - Mniej więcej tak dalekie od najlepszego, jak

to tylko możliwe.

- To bez znaczenia - stwierdził z przekonaniem Dibbler. - Całkiem nieważne.

- Ale przecież... - odezwał się Silverfish -jeśli będziemy ciągle powtarzać, że Najlepsze Żeberka Hargi to najlepszy lokal w mieście, co pomyślą inni restauratorzy?

Dibbler pochylił się nad biurkiem.

- Pomyślą: Dlaczego sami na to nie wpadliśmy? Wyprostował się. Silverfish rzucił mu spojrzenie pełne inteligentnego niezrozumienia.

- Może wytłumaczy pan to jeszcze raz, jeśli można...

- Będą chcieli zrobić dokładnie to samo! - oświadczył Dibbler.

- Już wiem - rzekł Victor. - Będą chcieli, żebyśmy pokazali plansze z napisami „Lokal Hargi wcale nie jest najlepszy w Mieście. Nasz jest”.

- Coś w tym rodzaju, coś w tym rodzaju - mruknął Dibbler, zerkając na niego nieprzyjaźnie. - Można by popracować trochę nad doborem słów, ale mniej więcej o to chodzi.

- Zaraz, zaraz... - Silverfish starał się nadążyć za rozmową. - Hargi nie będzie z tego zadowolony, prawda? Jeśli zapłaci nam, żebyśmy mówili, że jego lokal jest najlepszy, a potem my weźmiemy pieniądze od innych ł będziemy mówić, że ich lokale są najlepsze, to przecież...

- Zapłaci nam więcej - dokończył Dibbler. - Żeby powiedzieć to znowu, tylko większymi literami.

Obaj jego rozmówcy popatrzeni na niego z niedowierzaniem.

- Naprawdę myśli pan, że to dobry pomysł? - upewnił się Silverfish.

- Oczywiście. Wystarczy przecież posłuchać rano ulicznych handlarzy. Nie krzyczą: „Prawie świeże pomarańcze, tylko trochę zgniecione, rozsądna

cena”, prawda? Nie; krzyczą: „Super pomarańcze, przecudne!”. Mają wyczucie interesu.

Znowu pochylił się nad biurkiem.

- Wydaje mi się - oznajmił - że tutaj też by się go trochę przydało.

- Na to wygląda - przyznał smętnie Silverfish.

- A mając pieniądze... - głos Dibblera był niczym łom wbity w szczeliny rzeczywistości - ...mógłbyś poważnie zająć się doskonaleniem swej sztuki.

Silverfish poweselał.

- To prawda. Na przykład spróbować dołączyć jakoś dźwięk... Dibbler nie słuchał. Wskazał stos plansz opartych o ścianę.

- Co to jest? - zapytał.

- To mój pomysł - odparł Silverfish. - Pomyślałem, że to, no, wyczucie interesu... - smakował te słowa, jakby były nieznaną i egzotyczną delicją - żeby uprzedzić ludzi o innych ruchomych obrazkach, które produkujemy.

Dibbler podniósł jedną z tablic i obejrzał ją krytycznie z odległości wyciągniętego ramienia.

Napis głosił:

W przyszłym tygodniu pokażemy

Peliasa i Melisandę

Romantyczne Tragedyę w dwóch szpulach.

Dziękujemy za uwagę

- Hm... - stwierdził z groźną miną.

- Coś nie w porządku? - spytał Silverfish, całkiem już załamany. - Przecież mówi im wszystko, co powinni wiedzieć, prawda?

- Mogę? - Dibbler wziął z biurka Silverfisha kawałek kredy. Przez chwilę skrobał pracowicie na tylnej stronie planszy, po czym ją odwrócił.

Napis brzmiał teraz:

Bogowie i Ludzie Powyadali, że To być Nie Może

Ale Oni nie chcieli Słuchać!

Pelias i Melisanda, Historia Zakazanej Miłości!

Gorąca Namiętność, Co Pokonuje Pieszczoty i Czas!

Wcząśnie wami!

I 1000 słoni!

Victor i Silverfish przeczytali starannie, tak jak się w restauracji czyta kartę w obcym języku. To rzeczywiście był obcy język, ale - co gorsza - był również ich własny.

- No, no... - mruknął Silverfish. - Niech mnie... Nie słyszałem, żeby cokolwiek tam było istotnie zakazane. Hm... Tylko historyczne. Pomyślałem, że pomoże, no wiecie, dzieciom w nauce i w ogóle. Żeby poznały historię. Oni, wiecie, nigdy się właściwie nie spotkali i dlatego to takie tragiczne. Bardzo, no... smutna historia. - Patrzył na planszę. - Choć muszę przyznać, że coś w tym jest. Hm... - Wydawał się czymś bardzo zakłopotany. - Ale nie przypominam sobie żadnych słoni - dodał, jakby się tłumaczył. - Byłem na

planie przez całe popołudnie, kiedy kręciliśmy, i ani przez chwilę nie widziałem tysiąca słoni. Jestem pewien, że bym je zauważył.

Dibbler wytrzeszczył oczy. Nie wiedział, skąd się biorą te myśli, ale teraz, kiedy się zastanowił, miał bardzo wyraźny obraz tego, co należy umieścić w ruchomych obrazkach. Na początek tysiąc słoni byłoby całkiem niezłym pociągnięciem.

- Nie ma słoni? - upewnił się.

- Raczej nie.

- A może są jakieś tancerki?

- Hm... Nie.

- A może szaleńcze pościgi i ludzie wiszący na czubkach palców nad przepaściami?

Silverfish ożywił się lekko.

- W jednej scenie jest balkon - powiedział.

- Tak? Czy ktoś zwisa z niego na czubkach palców?

- Chyba nie. Melisanda się z niego wychyla.

- No tak, ale czy publiczność wstrzyma oddech ze strachu, że wypadnie?

- Mam nadzieję, że będą patrzeć na mowę Peliasa - odparł kwaśnym tonem Silverfish. - Musieliśmy ją zapisać na pięciu planszach. Małymi literami.

Dibbler westchnął.

- Myślę, że wiem, czego chcą ludzie - powiedział. - Na pewno nie mnóstwa małych literek. Chcą widowiska!

- A te literki im zasłaniają? - spytał ironicznie Victor.

- Chcą tancerek! Chcą dreszczu emocji! Chcą słoń! Chcą ludzi spadających z dachów! Chcą marzeń! Świat jest pełen małych ludzików z wielkimi marzeniami!

- Ma pan na myśli krasnoludy, gnomy i tak dalej? - domyślił się Victor.

- Nie!

- Panie Dibbler - wtrącił Silverfish - jaki właściwie jest pański zawód?

- Sprzedaję towary.

- Głównie kiełbaski - sprecyzował Victor.

- I towary - poprawił ostro Dibbler. - Kiełbaski sprzedaję tylko wtedy, kiedy interes z towarami słabo idzie.

- I sprzedaż kiełbasek pozwala panu wierzyć, że potrafi pan robić lepsze ruchome obrazki? Każdy może sprzedawać kiełbaski. Mam rację, Victorze?

- No... - odparł z wahaniem Victor. Nikt oprócz Dibblera nie mógłby chyba sprzedawać kiełbasek Dibblera.

- Sam pan widzi - zakończył Silverfish.

- Tylko że - dodał Victor - pan Dibbler potrafi sprzedać swoje kiełbaski nawet tym, którzy już raz je od niego kupili.

- Zgadza się! - Dibbler uśmiechnął się promiennie.

- Człowiek, który potrafi sprzedać kiełbaski pana Dibblera dwa razy, potrafi sprzedać wszystko - orzekł Victor.

Następny ranek wstał jasny i czysty, jak zawsze w Świętym Gaju. Zaczęli kręcić *Niezwykłe i ciekawe przygody Cohena Barbarzyńcy*. Dibbler, jak twierdził, pracował nad filmem przez cały wieczór.

Tytuł jednak wymyślił Silverfish. Wprawdzie Dibbler zapewnił go, że Cohen Barbarzyńca jest postacią praktycznie historyczną i z pewnością ma wartość edukacyjną, ale Silverfish stanowczo odrzucił *Dolynę Krwi*.

Victor otrzymał coś, co wyglądało na skórzaną sakiewkę, ale okazało się jego kostiumem. Przebrał się za dwoma głazami. Dostał także długi, tępy miecz.

- Posłuchaj, plan jest taki - rzeki Dibbler, siedzący na składanym płóciennym krześle. - Walczysz z trollami, podbiegasz, odwiązujesz dziewczynę od pała, walczysz z innymi trollami, a potem uciekasz za skałę, o, tamtą. Tak to widzę. Co o tym myślisz, Tommy?

- No więc ja... - zaczął Silverfish.

- To świetnie - przerwał mu Dibbler. - Bardzo dobrze. Słucham, Victorze?

- Wspomniał pan o trollach. Co to za trolle? Dwa głazy wstały.

- Się o nic nie martw - uspokoił go ten bliższy. - Ja i stary Galenit mamy to już ograć.

- Trolle! -Victor cofnął się o krok.

- Się zgadza - potwierdził Galenit. Machnął maczugą z wbitym gwoździem.

- Ale... Ale...

- Tak? - spytał drugi troll.

Victor miał zamiar powiedzieć: Ale jesteście trollami, groźnymi ożywionymi skałami, które mieszkają w górach i tłuką podróżnych wielkimi maczugami, bardzo podobnymi do tych, które w tej chwili trzymacie, a kiedy

mówili o trollach, myślałem, że chodzi o zwykłych ludzi ubranych, no, sam nie wiem, w worki pomalowane na szaro albo co...

- No dobrze... - odezwał się słabym głosem. - Tego...

- I nie słuchaj tych historii, że niby zjadamy ludzi - mówił Galenit. - To oszczerstwo i tyle. Znaczy, przecież jesteśmy z kamienia, po co mamy jeść ludzi...

- Łykać - wtrącił drugi troll. - Chciałeś powiedzieć: łykać.

- No. Po co mamy łykać ludzi? Zawsze wypluwamy kawałki. Zresztą już się wycofaliśmy - dodał szybko. - A i tak nigdy tego nie robiliśmy. - Szturchnął Victora przyjaźnie, niemal łamiąc mu żebro. - Tutaj jest dobrze - dodał konspiracyjnym szeptem. - Dostajemy trzy dolary dziennie i jeszcze dolara przydziału na krem ochronny, żeby pracować w dzień.

- Znaczy żeby nie zmieniać się w kamień do wieczora, co przeszkadza - dodał jego towarzysz.

- No bo trzeba przerwać kręcenie i ludzie zapalają o ciebie zapalki.

- I według kontraktu mamy jeszcze pięć pensów dodatku za używanie własnych maczug.

- Chcielibyśmy zacząć! - zawołał Silverfish.

- Dlaczego są tylko dwa trolle? - narzekał Dibbler. - W walce z dwoma trollami nie ma żadnego heroizmu. Prosiłem o dwadzieścia, prawda?

- Jak dla mnie, dwa wystarczą - oświadczył Victor.

- Niech pan posłucha, panie Dibbler - wtrącił Silverfish. - Wiem, że próbuje pan pomóc, ale zasady budżetowe...

Zaczęli dyskutować. Korbowy Halogen westchnął i zdjął tylną ściankę pudła obrazkowego. Nakarmił 1 napoił demony, które już się skarżyły.

Victor oparł się o miecz.

- Często występujecie, co? - zwrócił się do trolli.

- No - potwierdził Galenit. - Cały czas. W Królewskim okupie grałem trolla, który wybiega i tłucze ludzi. A w Mrocznej Puszczy grałem trolla, który wybiega i tłucze ludzi. A... A w Tajemniczej Górze grałem trolla, który wybiega i skacze po ludziach w górę i w dół. Nie opłaca się stale grać ról charakterystycznych.

- A ty robisz to samo? - zapytał Victor drugiego trolla.

- Morena to aktor charakterystyczny, co nie? - odpowiedział za kolegę Galenit. - Najlepszy w fachu.

- A co gra?

- Skały.

Victor wytrzeszczył oczy.

- Z powodu twardych rysów - tłumaczył Galenit. - Nie tylko skały. Powinieneś zobaczyć, jak zagrał starożytny monolit. Byś nie uwierzył. No już, Morry, pokaż mu inskrypcję.

- Nieee... - mruknął Morena z zawstydzonym uśmiechem.

- Myślałem, czy nie zmienić imienia do ruchomych obrazków - ciągnął Galenit. - Na coś z klasą. Pomyślałem: „Flint”.

Spojrzał na Victora niespokojnie - o ile Victor mógł ocenić zakres wyrazów dostępnych twarzy wyglądającej, jakby ktoś wykopał ją z granitu parą butów o stalowych podeszwach.

- Co myślisz?

- Tego... Bardzo ładne.

- Bardziej dynamiczne, pomyślałem - wyznał potencjalny Flint.

- Albo Skallin. - Victor usłyszał własny głos. - Skallin do dobre imię.

Troll patrzył na niego i bezgłośnie poruszał wargami, wypróbowując nowy pseudonim.

- O żeż... - powiedział. - Na to nie wpadłem. Skallin. Się mi podoba. Z takim imieniem jak Skallin się pewnie zarabia więcej niż trzy dolary dziennie.

- Czy możemy już zacząć?! - zawołał surowo Dibbler. - Może stać nas będzie na więcej trolli, jeśli ta migawka okaże się udana. Ale się nie okaże, jeśli przekroczymy budżet, co oznacza, że powinniśmy skończyć do obiadu. A teraz, Morry i Galenit...

- Skallin - poprawił Skallin.

- Naprawdę? Wszystko jedno. Wy dwaj wybiegacie i atakujecie Victora, jasne? Dobrze... Kręcimy...

Korbowy zakręcił korbą obrazkowego pudła. Zabrzmiało ciche klikanie i chór skamleń demonów. Victor stał nieruchomo, wyglądając czujnie i uprzejmie.

- To znaczy, że ty zaczynasz - tłumaczył mu cierpliwie Silverfish. - Trolle wyskakują zza skał, a ty mężnie się bronisz.

- Przecież ja nie wiem, jak się walczy z trollami! - jęknął Victor.

- Powiem ci - odezwał się świeżo mianowany Skallin. - Parujesz najpierw, a my tak jakby się postaramy, żeby cię nie trafić. Coś mu zaświtało.

- To znaczy, że wszystko jest udawane?

Trolle wymienili szybkie spojrzenia, które zdołały jednak wyrazić opinię: zadziwiające, że takie stwory jakoś władają światem.

- Tak - potwierdził Skallin. - Właśnie tak. Nic nie jest naprawdę.

- Nie wolno nam cię zabić - uspokoił go Morena.

- Właśnie - zgodził się Skallin. - Nie możemy przecież tak biegać w

kółko i cię zabijać.

- I nie dają nam pieniędzy, jak coś takiego zrobimy - dodał Morena.

Na zewnątrz uskoku rzeczywistości gromadzili się Oni i spoglądali na światło i ciepło czymś zbliżonym do oczu. Zebrał się Ich już spory tłumek. Kiedyś było tu przejście na drugą stronę. Powiedzieć, że o nim pamiętali, byłoby błędem, gdyż nie posiadali niczego tak skomplikowanego jak pamięć. Z trudem można by uznać, że mieli coś tak skomplikowanego jak głowy. Dysponowali jednak instynktami i emocjami.

Szukali przejścia. I znaleźli je.

Udało się całkiem dobrze - za szóstym razem. Najpoważniejszym problemem okazał się entuzjazm trolli: biły w siebie nawzajem, w ziemię, w powietrze i całkiem często w różne własne części ciała. Pod koniec Victor pilnował tylko, żeby uderzać mieczem o maczugi, które mijały go ze świstem.

Dibbler wydawał się całkiem zadowolony. Halogen przeciwnie.

- Za bardzo się ruszają - oświadczył. - Przez połowę czasu byli poza obrazem.

- To bitwa - przypomniał Silverfish.

- Tak, ale nie mogę za bardzo szarpać obrazkowym pudłem. Chochliki się przewracają.

- Nie mógłbyś ich przypiąć albo co? - spytał Dibbler. Korbowy poskrobał brodę.

- Mógłbym chyba przybić im stopy do denka - stwierdził.

- Na razie wystarczy to, co jest - uznał Silverfish. - Teraz zrobimy scenę, kiedy ratujesz dziewczynę. Gdzie dziewczyna? Przecież wyraźnie poleciłem, żeby tu była. Dlaczego jej nie ma? Czemu nikt tu nie słucha, co się do niego mówi?

Korbowy wyjął z ust niedopałek papierosa.

- Filmuje *Poszukiwacza przygód* po drugiej stronie wzgórza - poinformował.

- Przecież mieli to skończyć wczoraj! - jęknął Silverfish.

- Błona wybuchła - wyjaśnił Halogen.

- Niech to! No dobrze, możemy zrobić następną walkę. Dziewczyna nie jest na razie potrzebna - burknął gniewnie Silverfish. - Uwaga wszyscy! Kręcimy ten kawałek, gdzie Victor walczy ze strasliwym Balgrogiem.

- Co to jest Balgrog? - zdziwił się Victor.

Przyjazna, choć ciężka dłoń klepnęła go po ramieniu.

- To tradycyjny zły potwór, znaczy się Morry pomalowany na zielono, z przyklejonymi skrzydłami - wytłumaczył mu Skallin. - Pójdę mu pomóc w malowaniu.

I odszedł powoli.

Victor chyba nikomu nie był w tej chwili potrzebny.

Wbił w piasek bezsensowny miecz, odszedł kawałek i znalazł odrobinę cienia pod karłowatymi drzewkami oliwnymi. Tkwiły tam jakieś głązy; postukał je delikatnie, ale chyba nikim nie były.

Grunt tworzył tu płytkie zagłębienie, chłodne i niemal przyjemne w porównaniu z upałą normą wzgórza Świętego Gaju.

Poczuł nawet wiejącą skądś bryzę. Kiedy oparł się o głaz, zrozumiał, że wietrzyk dmucha spod kamienia. Pewnie jest tam mnóstwo jaskiń, pomyślał.

...daleko stąd, na Niewidocznym Uniwersytecie, w pełnym przeciągów, obudowanym filarami korytarzu, niewielki aparat, na który od lat nikt nie zwracał uwagi, zaczął wydawać dźwięki...

Więc to jest Święty Gaj... Na srebrnym ekranie wyglądał całkiem inaczej. Victor miał wrażenie, że ruchome obrazki polegały na długim oczekiwaniu oraz - jeśli dobrze rozumiał - na pomieszaniu czasów. Rzeczy zdarzały się przed rzeczami, które zdarzały się wcześniej. Potwory były tylko Morrym pomalowanym na zielono, z przyklejonymi skrzydłami. Nic prawdziwego, wszystko udawane.

Ale mimo to ekscytujące.

- Mam już tego naprawdę dosyć - odezwał się jakiś głos.

Victor podniósł głowę. Ścieżką zbliżała się dziewczyna. Twarz pod bladym makijażem miała zaczerwienioną z wysiłku, włosy w śmiesznych loczkach spadały jej na oczy; nosiła sukienkę, która - choć uszyta na jej rozmiar - została zaprojektowana dla kogoś o dziesięć lat młodszego i uwielbiającego koronkowe falbanki.

Była też całkiem atrakcyjna, choć fakt ten nie był oczywisty od pierwszego rzutu oka.

- A wiesz, co mówią, kiedy próbujesz się poskarżyć? - spytała. Właściwie nie zwracała się do Victora. Był tylko poręczną parą uszu.

- Nie mam pojęcia - odparł grzecznie Victor.

- Mówią: „Tam jest mnóstwo innych, czekających tylko na szansę w ruchomych obrazkach”. Tak mówią.

Oparła się o sękatę drzewko i zaczęła wachlować słomkowym kapeluszem.

- W dodatku jest za gorąco - narzekała. - A teraz mam robić jakiś

bzdurny jednoszpulowiec dla Silverfisha, który w ogóle się na niczym nie zna. Z jakimś dzieciakiem, który pewnie ma nieświeży oddech, siano we włosach i czoło, na którym można nakryć do stołu.

- I z trollami - odpowiedział uprzejmie Victor.
- O bogowie... Byle nie Morry i Galenit.
- Owszem. Tylko że Galenit teraz nazywa się Skallin.
- Myślałam, że ma być Flint.
- Skallin mu się spodobał.

Zza głązów dobiegło żałosne beczenie Silverfisha, który pytał całego świata, gdzie się wszyscy podziali akurat wtedy, kiedy są mu potrzebni. Dziewczyna przewróciła oczami.

- O bogowie... I dla czegoś takiego tracę obiad...
- Zawsze możesz zjeść z mojego czoła - zaproponował Victor, wstając.

Z satysfakcją czuł na karku jej zamyślony wzrok, kiedy wyjmował miecz z piasku i kilka razy machał na próbę, wkładając w ćwiczenie nieco więcej siły, niż to było konieczne.

- Jesteś tym chłopcem z ulicy, tak? - zapytała.
- Zgadza się. A ty jesteś dziewczyną, która chciała, żeby ją przekręcili. Widzę, że im się udało.

Przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

- W jaki sposób tak szybko dostałeś pracę? Zwykle całymi tygodniami czeka się na swoją szansę.
- Szansę są tam, gdzie człowiek je znajduje. Zawsze to powtarzam.
- Ale jak...

Victor odszedł już z demonstracyjną nonszalancją. Pobiegła za nim, nadąsana.

- Ha! - zawołał sarkastycznie Silverfish. - Coś podobnego! Wszyscy na swoich miejscach... Bardzo dobrze. Zaczniemy od miejsca, gdzie on znajduje ją przywiązaną do pala. Ty - zwrócił się do Victora - masz ją odwiązać, pociągnąć za sobą, pokonać Balgrogą, a ty... - wskazał palcem dziewczynę - ty masz iść za nim i wyglądać na tak... tak ocaloną, jak tylko potrafisz. Jasne?

- W tym jestem dobra - odpowiedziała zrezygnowana.

- Nie! Nie! Nie! - Dibbler złapał się oburącz za głowę. - Znowu to samo!

- Przecież tego pan chciał - przypomniał mu Silverfish. - Walki i ocalenia.

- Musi być coś jeszcze...

- Co na przykład?

- Och, sam nie wiem. Razmatazz. Umpff. Łubudubu.

- Dziwne odgłosy? Nie mamy dźwięku.

- Wszyscy robią migawki o ludziach, którzy biegają w kółko, walczą i przewracają się - stwierdził Dibbler. - Powinno być coś jeszcze. Oglądałem to, co tu produkujecie, i wszystkie ruchome obrazki wydały mi się takie same.

- Dla mnie też wszystkie kiełbaski wyglądają tak samo - odparł zjadliwie Silverfish.

- Bo powinny! Tego się od nich oczekuje.

- Ja też daję ludziom to, czego oczekują. Ludzie chcą zawsze więcej tego samego: walk, pościgów i takich rzeczy...

- Przepraszam, panie Silverfish - odezwał się korbowy, przekrzykując

gniewne ćwierkanie demonów.

- Czego? - warknął Dibbler.

- Przepraszam, panie Dibbler, ale za kwadrans muszę je nakarmić.

Dibbler jęknął.

Victor w retrospekcji nie przypominał sobie dokładnie następnych minut. Tak to już bywa. Chwile, które odmieniają życie człowieka, to te, które nadchodzą niespodziewanie - jak moment śmierci.

Była jeszcze jedna stylizowana bitwa, tyle pamiętał, z Morrym uzbrojonym w coś, co powinno być straszliwym biczem, gdyby troll cały czas nie plątał sobie nim nóg. A kiedy przerażający Balgrog został pokonany i potwornie skrzywiony, jedną ręką przytrzymując skrzydła, wyszedł poza zasięg wzroku demonów z pudła, Victor odwrócił się i przeciął sznury wiążące dziewczynę do pała. Powinien teraz pociągnąć ją gwałtownie na prawo, kiedy...

...usłyszał szepty.

Nie było w nich słów, ale coś, co leży w samym sercu słów, co pomknęło od uszu wprost do rdzenia kręgowego, nie pamiętając, by po drodze zrobić przystanek w mózgu.

Spojrzał dziewczynie w oczy i zastanowił się, czy ona też słyszy.

Gdzieś w oddali brzmiały zwykłe słowa. Silverfish mówił: „No dalej, co się tak na nią gapisz”, korbowy tłumaczył: „Strasznie marudzą, kiedy spóźnia się obiad”, a Dibbler, głosem podobnym do świstu rzuconego noża - „Nie przerywaj kręcenia korbą”.

Mgła zasnuła obrzeża pola widzenia; we mgle pojawiły się kształty; zmieniały się i znikały, zanim zdążył je obejrzeć. Bezradny jak mucha w żywicy, panując nad własnym przeznaczeniem jak bańka mydlana w huraganie, pochylił się i pocałował dziewczynę.

Inne słowa zabrzmiały na tle dzwonienia w uszach.

- Co on wyprawia? Czyja mu kazałem robić coś takiego? Nikt mu nie kazał!

- ...a potem muszę wyrzucić gnój i możecie mi wierzyć, to żadna...

- Kręć korbą! Kręć korbą! - wrzeszczał Dibbler.

- Czemu on tak wygląda?

- Niech to!

- Jeśli przestaniesz kręcić, nigdy już nie będziesz pracował w tym mieście!

- Słuchaj pan, należę do Gildii Korbowych...

- Nie przerywaj! Nie przerywaj!

Victor się ocknął. Szepty ucichły, zastąpione dalekim hukiem przyboju. Wrócił prawdziwy świat, gorący i wyraźny, ze słońcem przypiętym do nieba jak medal za bycie pięknym dniem.

Dziewczyna odetchnęła głęboko.

- Rany, strasznie mi przykro - mamrotał Victor, cofając się przed nią. - Sam nie wiem, co się stało... Dibbler aż podskakiwał.

- To jest to, to jest to! - krzyczał. - Kiedy będzie gotowy?

- Jak mówiłem, muszę nakarmić chochliki, wyczyścić klatki...

- Dobrze, dobrze. Będę miał czas, żeby wypisać kilka plakatów.

- Już je przygotowałem - oznajmił zimno Silverfish.

- Na pewno, oczywiście - mówił podniecony Dibbler. - I wypisałeś na nich coś w rodzaju „Być może macie ochotę obejrzeć Dość Interesujący Ruchomy Obrazek”!

- A co w tym złego? - zirytował się Silverfish. - O wiele lepsze od jakichś tam kiełbasek!

- Już ci mówiłem! Kiedy sprzedajesz kiełbaski, nie czekasz na ludzi, którzy chcą zjeść kiełbaskę! Idziesz i wywołujesz w nich głód! I dodajesz musztardę! To właśnie zrobił nasz chłopak.

Jedną ręką objął Silverfisha za ramiona, drugą machnął szerokim gestem.

- Wyobraź sobie - powiedział i zawahał się.

Dziwne myśli pojawiały mu się w mózgu szybciej, niż mógł je przemyśleć. W głowie mu się kręciło z podniecenia i niezwykłych możliwości.

- *Myecz namyętności* - rzekł. - Taki damy tytuł. Nie żaden tępy staruch, który pewnie i tak już nie żyje. *Myecz namyętności*. Tak. Burzliwa Saga o Pożądaniu i Nagiej... Nagiej... jakże się to nazywa? ...wśród Straszliwego Żaru Udręczonego Kontynentu! Romans! Sława! Na trzech gorących Szpulach! Drzyjcie, gdy trwa śmiertelna walka z żarłocznymi Potworami! Krzyczcie, gdy tysiąc słoni...

- To tylko jedna szpula - wtrącił kwaśno Silverfish.

- Dokręcimy trochę dziś po południu. - Dibbler przewracał oczami. - Potrzebujemy jeszcze paru walk i potworów.

- I na pewno nie ma żadnych słoni... Skallin wyciągnął kanciastą rękę.

- Słucham - rzucił Silverfish.

- Jeśli się znajdzie trochę szarej farby i coś do zrobienia uszu, to ja i Morry możemy...

- Nikt jeszcze nie zrobił trójszpulowca - mruknął w zadumie Halogen. - Może być problem. Przecież to razem prawie dziesięć minut. - Pokręcił głową. - Myślę, że gdyby dać większe szpule...

Silverfish wiedział, że został pokonany.

- Posłuchajcie... - zaczął.

Victor spoglądał na dziewczynę. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Ehm... - odezwał się. - Mam wrażenie, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

- Wcześniej jakoś ci to nie przeszkadzało - zauważyła.

- Normalnie się tak nie zachowuję. Musiałem... Byłem chory.

- Cudownie. Od razu czuję się lepiej.

- Może usiądziemy w cieniu? Bardzo tu gorąco.

- Twoje oczy zrobiły się takie... przydymione.

- Naprawdę?

- Dziwnie wyglądały.

- Dziwnie się czułem.

- Wiem. To przez to miejsce. Działa na człowieka. A wiesz... - Usiadła na piasku. - Jest mnóstwo przepisów co do chochlików i innych, że nie można ich przemęczać, jakie dostają jedzenie i takie rzeczy. Ale nami nikt się nie przejmuje. Nawet trolle traktują tu lepiej.

- To przez to, że tak chodzą, z tymi siedmioma stopami wzrostu i tysiącem funtów wagi - domyślił się Victor.

- Nazywam się Theda Withel, ale przyjaciele mówią do mnie Ginger - powiedziała.

- Ja się nazywam Victor Tugelbend. Tego... Ale przyjaciele mówią do mnie Victor - powiedział Victor.

- To twoja pierwsza migawka, prawda?
- Skąd wiesz?
- Wyglądałeś, jakby ci się podobało.
- Lepsze to niż praca, musisz przyznać.
- Zaczekaj, aż posiedzisz w tym tak długo jak ja - mruknęła z goryczą.
- To znaczy jak długo?
- Prawie od początku. Pięć tygodni.
- Niech to... Wszystko wydarzyło się tak prędko...
- To najlepsza rzecz, jaka się zdarzyła kiedykolwiek - oświadczyła stanowczo Ginger.
- Może i tak... Słuchaj, wolno nam pójść coś zjeść? - spytał Victor.
- Nie. Lada chwila zaczną nas wołać.

Victor skinął głową. Ogólnie rzecz biorąc, do tej pory szedł przez życie robiąc to, na co miał ochotę, stanowczo, ale swobodnie. Nie rozumiał, dlaczego miałby przestać, nawet w Świętym Gaju.

- No to niech wołają - rzekł. - Mam ochotę najedzenie i zimnego drinka. Chyba za długo byłem na słońcu. Ginger się wahała.
- Niby jest tu niedaleko bufet, ale...
- To dobrze. Zaprowadzisz mnie.
- Wyrzucają ludzi za mniejsze drobiazgi.
- Jak? Przed trzecią szpulą?
- Mówią: „Mnóstwo ludzi marzy, żeby się dostać do ruchomych

obrazków”...

- Świetnie. To znaczy, że mają całe popołudnie na znalezienie dwojga, którzy wyglądają tak jak my. - Wyminął Morry’ego, który także usiłował schować się w cieniu głazu. - Gdyby ktoś nas szukał - rzucił - idziemy na obiad.

- Jak to? Teraz? - zdziwił się troll.

- Tak - potwierdził Victor i poszedł dalej.

Dibbler i Silverfish dyskutowali gorąco. Od czasu do czasu przerywał im korbowy; mówił spokojnie, tonem człowieka, który wie, że cokolwiek by się stało, on zarobi dzisiaj swoje sześć dolarów.

- ...nazwiemy go epiką. Ludzie będą sobie o nim opowiadać przez lata.

- Owszem; będą mówić, że przez niego zbankrutowaliśmy.

- Wiem, gdzie można dostać kolorowe drzeworyty, prawie za darmo.

- ...Pomyślałem, że może gdybym wziął kawałek sznurka i przywiązał do pudła kółka, żeby nim jeździć...

- Ludzie powiedzą: Ten Silverfish to prawdziwy fachowiec od ruchomych obrazków, potrafi pokazać to, czego chcemy. Tak powiedzą. To człowiek, który umiał przesunąć te, jak im tam... środka przekazu.

- ...I może gdyby zrobić taki drąg na rolkach, żeby podsunąć obrazkowe pudło bliżej do...

- Tak? Myśli pan, że tak powiedzą?

- Możesz mi wierzyć, Tommy.

- No... No dobrze. Niech będzie. Ale żadnych słoni. Chcę, żeby to było jasne: żadnych słoni.

- Moim zdaniem wygląda dziwacznie - stwierdził nadrektor. - Jak stado glinianych słoń. Mówiłeś chyba, że to jakaś maszyna.

- Raczej... Raczej urządzenie - odpowiedział niepewnie kwestor. Szturchnął je ostrożnie palcem; kilka glinianych słoń zakołysało się lekko. - Zbudował je chyba Riktor Majsterklepka. Jeszcze zanim objąłem stanowisko.

Urządzenie przypominało duży, ozdobny dzban, wysoki prawie jak człowiek - człowiek wzrostu dużego dzbana. Wokół krawędzi, na łańcuszkach z brązu, wisało osiem glinianych słoń; jeden, dotknięty przez kwestora, jeszcze kołysał się w przód i w tył.

Nadrektor zajrzał do wnętrza.

- Same dźwignie i miechy - oświadczył z niesmakiem. Kwestor zwrócił się do uniwersyteckiej gospodyni.

- Niech pani powie, pani Whitlow, co dokładnie się wydarzyło.

Pani Whitlow, potężna, zaróżowiona i ściągnięta gorsetem, przyglądała swoją szafranową perukę i szturchnęła drobną pokojówkę, która stała przy niej czujnie jak holownik przy tankowcu.

- Opowiedz jasnie panom, Ksandra - poleciała.

Ksandra miała minę, jakby zaczynała żałować całego zamieszania.

- No więc, sir, jeśli można, sir, odkurzałam tu i...

- Odkurzała kohytarz - wyjaśniła uprzejmie pani Whitlow.

Kiedy pani Whitlow przeżywała ostry atak świadomości klasowej, potrafiła tworzyć dźwięczne h nawet tam, gdzie natura nigdy ich nie planowała.

- ...i wtedy ono zaczęło hałasować...

- Zhaczęło hhałasować - oznajmiła pani Whitlow. - A ona przyszła mi opowiedzieć, jaśnie panowie, zghodnie z insthukcją.

- Jak hałasować, Ksandro? - spytał bardzo łagodnie kwestor.

- No więc, sir, jakoś tak... - Zrobiła zeza. - „Whumm... whunim... whumm... whumm... whummwhummwhummWHUMMWHUMM... - „plib”, sir.

- Plib - powtórzył z powagą kwestor.

- Tak, sir.

- Phlib - dodała pani Whitlow.

- To wtedy, kiedy na mnie splunęło, sir - zakończyła Ksandra.

- Khaszlnhęło - poprawiła ją pani Whitlow.

- Jak się zdaje, jeden ze słoni wypluł małą ołowianą kulkę, mistrzu - wyjaśnił kwestor. - To było to, hm, to „plib”.

- Wypluł, na bogów - obruszył się nadrektor. - Nie można pozwolić, żeby jakieś dzbanki po korytarzach pluły ma ludzi, ot co. Pani Whitlow drgnęła.

- Ale dlaczego ono wzięło i napluło? - zapytał po chwili Ridcully.

- Naprawdę nie wiem, mistrzu. Myślałem, że może pan będzie wiedział. O ile pamiętam, Riktor był wykładowcą w czasie, kiedy pan studiował. Pani Whitlow jest bardzo zaniepokojona - dodał tonem wyraźnie wskazującym, że jedynie bardzo nierozsądny nadrektor próbowałby ignorować niepokój pani Whitlow. - Martwi się o pracownice, narażone na oddziaływania magiczne.

Nadrektor postukał w dzban.

- Niby stary Licznik Riktor? Ten sam gość?

- Tak jest, nadrektorze.

- Kompletny wariat. Uważał, że wszystko można pomierzyć. Nie tylko długości, ciężary i takie tam, ale wszystko. Jeśli istnieje, mawiał, powinno się dać zmierzyć. - Oczy Ridcully'ego zasnuła mgiełka wspomnień. - Robił różne dziwaczne aparaty. Myślał, że można zmierzyć prawdę, piękno, marzenia i całą resztę... Więc to jedna z zabawek starego Riktora, tak? Ciekawe, co miała mierzyć.

- Myślę - wtrąciła pani Whitlow - że trzeba ją zabnąć w jakieś bezpieczne miejsce, jeśli jaśnie panom to nie przeszkadza.

- Tak, tak. Oczywiście - zgodził się szybko kwestor. Niełatwo i było znaleźć chętnych do służby na Niewidocznym Uniwersytecie.

- Pozbądź się tego - polecił nadrektor. Kwestor był przerażony.

- Niemożliwe, mistrzu - rzeki z mocą. - Nigdy niczego nie wyrzucamy. Poza tym rzecz jest prawdopodobnie wartościowa.

- Hmm - mruknął Ridcully. - Wartościowa?

- Prawdopodobnie ważny historyczny artefakt, mistrzu.

- No to wepchnij go do mojej pracowni. Mówiłem, że trzeba trochę ubarwić to miejsce. Nada się jako ozdoba, co? A teraz muszę iść. Mam się spotkać z pewnym człowiekiem w sprawie tresury gryfa. Żegnam drogie panie.

- Ehm, nadrektorze, gdyby zechciał pan podpisać... - zaczął kwestor, ale mówił już do zamykających się drzwi.

Nikt nie spytał Ksandry, który z glinianych słoni wypuł kulkę, zresztą kierunek i tak nic by im nie powiedział.

Tego samego wieczoru dwóch woźnych przeniosło do pracowni nadrektora jedyny na Uniwersytecie działający resograf[5].

Nikt jeszcze nie znalazł sposobu dołączenia dźwięku do ruchomych obrazków, ale istniał dźwięk szczególnie związany ze Świętym Gajem. Był to odgłos młotków wbijających gwoździe.

W Świętym Gaju panowało rozgorączkowanie. Nowe domy, nowe ulice, nowe... osiedla wyrastały w ciągu nocy. A w okolicach, gdzie nie w pełni wyszkoleni alchemiczni uczniowie nie opanowali jeszcze co trudniejszych etapów produkcji oktocelulozy, znikwały jeszcze szybciej. Co zresztą nikogo nie interesowało. Ledwie rozwiął się dym, a już ktoś nowy wbijał gwoździe.

Święty Gaj - Holy Wood, jak go nazywali co bardziej snobistyczni mieszkańcy - rozrastał się przez podział. Wystarczało znaleźć opanowanego, niepalącego młodego człowieka, potrafiącego czytać znaki alchemiczne, ponadto korbowego, worek demonów i dużo słońca. Aha, i jeszcze kilku ludzi. Ale tych nie brakowało. Jeśli ktoś nie potrafił hodować demonów, mieszać chemikaliów ani rytmicznie kręcić korbą, zawsze mógł przytrzymywać innym konie albo obsługiwać stoliki w gospodzie i wyglądać interesująco. I mieć nadzieję. Albo, jeśli wszystko inne zawiodło, wbijać gwoździe. Wokół pradawnego wzgórza wyrastały coraz to nowe chybottliwe budynki, cienkie deski bieleły już i paczyły się w bezlitosnym słońcu, a wciąż potrzebne były następne.

Ponieważ Święty Gaj wzywał. Codziennie przybywali nowi ludzie. Nie po to, by zostać stajennymi, dziewczkami w tawernach czy cieśłami. Przybywali, by tworzyć ruchome obrazki.

I nie mieli pojęcia dlaczego.

Gardło Sobie Podrzynam Dibbler w głębi serca dobrze wiedział, że gdzie tylko zbierze się co najmniej dwóch ludzi, zaraz zjawi się ktoś, kto spróbuje im sprzedać podejrzaną kiełbasę w bułce.

Teraz, jako że Dibbler był zajęty, inni próbowali wypełnić tę lukę.

Jednym z nich był Nodar Borgle, Klatchianin, którego wielka,

przestronna szopa mniej przypominała restaurację, a bardziej fabrykę żywieniową. Wielkie parujące wazy zajmowały jeden koniec sali. Resztę zastawiono stołami, a przy stołach siedzieli...

Victor zdumiał się.

...siedzieli ludzie, trolle, krasnoludy. I kilka gnomów. Może nawet parę elfów, najbardziej nieuchwytniej ze wszystkich ras świata Dysku. I sporo innych istot, co do których Victor miał nadzieję, że są przebranymi trollami, bo jeśli nie, wszystkich czekały poważne kłopoty. I wszyscy coś jedli, a najbardziej zdumiewał fakt, że nie jedzą siebie nawzajem.

- Bierzesz talerz, stajesz w kolejce, a potem płacisz - wyjaśniła Ginger.
- To się nazywa samosłużba.

- Płacisz, zanim zjesz? A jeśli jedzenie okaże się obrzydliwe? Ginger uśmiechnęła się posępnie.

- Właśnie dlatego.

Victor wzruszył ramionami i pochylił się do krasnoluda za ladą.

- Chciałbym...

- Jest potrawka - oznajmił krasnolud.

- A jaka potrawka?

- Jest tylko jeden rodzaj. Dlatego to potrawka - burknął krasnolud. - Potrawkowa.

- Chodziło mi o to, co jest w środku - nie ustępował Victor.

- Jeśli pytasz, to nie jesteś dostatecznie głodny - wtrąciła Ginger. - Dwa razy potrawka, Fruntkin.

Victor przyglądał się wylanej na talerz szarobrunatnej mazi. Dziwne bryły, wyniesione na powierzchnię przez tajemnicze prądy konwekcyjne, kołysały się przez chwilę i tonęły. Miał nadzieję, że już na zawsze.

Borgle należał do szkoły kuchni Dibblera.

- Potrawka albo nic, mój mały. - Krasnolud uśmiechnął się złośliwie. - Pół dolara. Tanio, za pół ceny.

Victor niechętnie wręczył mu pieniądze i obejrzał się na Ginger.

- Tutaj! - zawołała, siadając przy długim stole. - Cześć, Gromostopy. Witaj, Erekcja, co słychać? To jest Vic. Nowy. Hej, Złoślak, nie zauważyłam cię.

Victor wbił się między Ginger a górskiego trolla w czymś, co wyglądało na kolczugę, ale okazało się świętogajową kolczugą, czyli chytrze splecionym sznurkiem pomalowanym na srebrno.

Ginger z ożywieniem rozmawiała z czterocalowym gnomem i krasnoludem w połówce kostiumu niedźwiedzia; Victor poczuł się trochę osamotniony.

Troll skinął mu głową i wykrzywił się, wskazując swój talerz.

- Oni nazywają to pumeksem - powiedział. - Nie chce im się nawet odłupać lawy. A smaku piasku w ogóle się nie czuje. Victor przyjrzał się zawartości talerza.

- Nie wiedziałem, że trolle jedzą kamienie - oświadczył, zanim zdążył się powstrzymać.

- Dlaczego nie?

- Przecież jesteście zbudowani z kamienia...

- No tak. A ty jesteś z mięsa i co jesz? Victor zerknął na własny talerz.

- Dobre pytanie - przyznał.

- Vic robi migawkę dla Silverfisha - powiedziała głośno Ginger. - Zdaje się, że planują trójszpulowca.

Rozległy się zaciekawione pomruki.

Victor starannie odsunął na brzeg talerza coś żółtego i roztrzęsionego.

- Powiedźcie - zaczął niepewnie. - Kiedy graliście, czy ktoś miał... może słyszał, tak jakby... czuł, że jest... - Zawahał się. Wszyscy na niego patrzyli. - Znaczą, czy wydawało się wam, że coś gra poprzez was? Nie umiem tego inaczej wytłumaczyć. Jedzący odprężyli się.

- To Święty Gaj - odparł troll. - Działa na ciebie. Cała ta kreatywność aż chlupie.

- Miał bardzo silny atak - wtrąciła Ginger.

- Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy - stwierdził zadumany krasnolud. - Jak to w Świętym Gaju. W zeszłym tygodniu z chłopakami pracowaliśmy przy *Opowieściach krasnoludów* i nagle wszyscy zaczęliśmy śpiewać. Bez powodu. Jakby ta piosenka sama wskoczyła nam do głów, wszystkim naraz. I co na to powiecie?

- Jaka piosenka? - spytała Ginger.

- Nie mam pojęcia. Nazwaliśmy ją „Piosenką hejho”. Bo taka była. Hejho, hejho. Hejho, hejho, hejho!

- Dla mnie brzmi jak wszystkie inne krasnoludzkie piosenki - huknął troll.

Było już po drugiej, kiedy wrócili na miejsce kręcenia ruchomych obrazków. Korbowy zdjął tylną ścianę obrazkowego pudła i małą szufelką skrobał denko. Dibbler, z chustką narzuconą na twarz, spał na swoim płóciennym krześle. Za to Silverfish był całkiem przytomny.

- Gdzieście poszli?! - krzyknął.

- Byłem głodny - odpowiedział Victor.

- I zostaniesz już głodny, mój chłopcze, ponieważ... Dibbler uniósł róg chustki.

- Zacznijmy - powiedział.

- Nie możemy pozwolić, żeby grający dyktowali nam...

- Skończ migawkę, a dopiero potem ich wyrzuć.

- Słusznie. - Silverfish pogroził Victorowi palcem. - W tym mieście nigdy już nie będziesz pracował.

Jakoś przeżyli to popołudnie. Dibbler kazał sprowadzić konia i kłął na korbowego, bo obrazkowego pudła wciąż nie dało się przesunąć - demony narzekały. W końcu ustawili konia przodem przed pudłem, a Victor podskakiwał w siodle. Jak stwierdził Dibbler, na ruchome obrazki to wystarczy.

Później Silverfish niechętnie wypłacił im po dwa dolary i zwolnił.

- Powie innym alchemikom - mruknęła zniechęcona Ginger. - Trzymają się razem jak posklejani.

- Zauważyłem, że dostajemy tylko po dwa dolary, a trolle po trzy - odparł Victor. - Dlaczego?

- Ponieważ nie ma tak wielu trolli, które chcą robić ruchome obrazki. Dobry korbowy może zarobić sześć, nawet siedem dolarów dziennie. - Spojrzała na niego gniewnie. - Radziłam tu sobie. Nic szczególnego, ale można było wytrzymać. Miałam dużo pracy. Ludzie twierdzili, że można na mnie polegać. Robiłam karierę...

- Nie można zrobić kariery w Świętym Gaju - stwierdził Victor. - To jak budować dom na bagnie. Nic tu nie jest prawdziwe.

- Podobało mi się! A ty wszystko popsujesz! Pewnie będę musiała wrócić do wioski, o której nawet nie słyszałeś! Do dojenia krów! Dziękuję ci

bardzo! Ile razy spojrzę na krowi tyłek, pomyślę o tobie.

Wściekła, pomaszerowała w stronę miasta. Victor został sam z trollami. Po chwili Skallin chrząknął z zakłopotaniem.

- Masz się gdzie zatrzymać? - zapytał.

- Raczej nie - odparł niechętnie Victor.

- Nigdy nie ma dość miejsc, żeby się zatrzymać - stwierdził filozoficznie Morry.

- Prześpię się na plaży. W końcu jest dość ciepło. I naprawdę przyda mi się odpoczynek. Dobranoc.

Odszedł w stronę brzegu.

Słońce zachodziło, a wiatr od morza trochę ostudził upał. Wokół mrocznej bryły wzgórza zapalały się światła Świętego Gaju. Święty Gaj wypoczywał tylko po ciemku. Kiedy surowcem jest światło słońca, nie można go marnować.

Na plaży było całkiem przyjemnie. Nikt tu specjalnie nie zaglądał. Drewno wyrzucone przez fale, popękane i pokryte solą, nie nadawało się na budowę. Leżało długą białą linią wzdłuż linii przyboju.

Victor zebrał dość, żeby rozpałić ognisko. Potem położył się i patrzył na fale.

Ze szczytu pobliskiej wydmy, ukryty za kępą trawy, obserwował go uważnie Gaspode, Cudowny Pies.

Minęły dwie godziny od północy.

To coś schwytało ich teraz i sączyło się radośnie ze wzgórza, wlewało

swój blask do świata...

Holy Wood śniło...

Śniło dla wszystkich.

W gorącej, dusznej ciemności drewnianej szopy Ginger Withel śniła o czerwonych dywanach i wiwatujących tłumach. I kracie. We śnie ciągle wracała do tej kraty w bruku, gdzie podmuch ciepłego powietrza unosił jej sukienkę...

W niewiele chłodniejszej ciemności minimalnie droższej szopy Silverfish, twórca ruchomych obrazków, śnił o wiwatujących tłumach i kimś wręczającym mu nagrodę za najlepszy ruchomy obrazek, jaki kiedykolwiek powstał. Była to solidna, duża statua.

Między wydmiami Skallin i Morry drzemali niespokojnie, gdyż trolle są z natury stworzeniami nocnymi i spanie po ciemku naruszało instynkty dawnych epok. Śnili o górach.

Na plaży, pod gwiazdami, Victor śnił o stukocie kopyt, powiewającej pelerynie, pirackich statkach, walce na miecze, kandelabrach...

Na pobliskiej wydmie Gaspode, Cudowny Pies, spał z jednym okiem otwartym i śnił o wilkach.

Ale Gardło Sobie Podrzynam Dibbler nie śnił o niczym, ponieważ nie spał.

Pędził konno do Ankh-Morpork i chociaż wolał sprzedawać konie, niż ich dosiadać, nie miał wyjścia.

Burze, które tak starannie omijały Święty Gaj, nie przejmowały się Ankh-Morpork, więc deszcz lał z nieba strumieniami. Nie zakłócało to nocnego życia miasta - czyniło je tylko bardziej wilgotnym.

Nie istnieje coś, czego w Ankh-Morpork nie można kupić, nawet w środku nocy. Dibbler miał sporo do kupienia. Musiał zamówić plakaty. Potrzebował wielu rzeczy. Większość z nich wiązała się z pomysłami, które

musiał wymyślić podczas długiej jazdy, a teraz musiał bardzo dokładnie wytłumaczyć innym. I to wytłumaczyć szybko.

Deszcz był już wodną kurtyną, kiedy Dibbler chwiejnie wkroczył w szarość przedświt. Woda przelewała się w rynnach. Paskudne rzygacze z dachów rzygały wprawdzie na przechodniów, chociaż - jako że była już piąta rano - tłumy trochę się przerzedziły.

Gardło głęboko wciągnął do płuc miejskie powietrze. Prawdziwe powietrze. Trzeba by daleko szukać, żeby znaleźć powietrze prawdziwsze niż w Ankh-Morpork. Oddychając nim, czuło się, że inni od tysięcy lat robili to samo.

Po raz pierwszy od wielu dni myślał klarownie. To w Świętym Gaju było dziwne: kiedy człowiek tam tkwił, wszystko wydawało się naturalne, jakby na tym właśnie polegało życie. Ale kiedy wyjechał i spojrzał za siebie, wszystko przypominało błyszczącą mydlaną bańkę. Całkiem jakby - przebywając w Świętym Gaju - było się całkiem inną osobą.

Co tam; Święty Gaj to Święty Gaj, Ankh to Ankh, a Ankh było solidne i odporne - zdaniem Gardła - na wszelkie świętogajowe cudowności.

Człapał przez kałuże i słuchał deszczu.

Po chwili zauważył - pierwszy raz w życiu - że deszcz ma rytm.

Zabawne. Można całe życie przeżyć w mieście, ale trzeba wyjechać i wrócić, żeby zauważyć, że deszcz kapiący z rynien ma własny rytm: DAMdi-dadam-dudam damdi-DADAM-DADAM...

Sierżant Colon i kapral Nobbes z Nocnej Straży przyjaźnie dzielili się skrzem pod bramą; robili to, z czym Nocna Straż radzi sobie najlepiej - pilnowali, żeby było im sucho i ciepło, i trzymali się jak najdalej od możliwych kłopotów.

Tylko oni byli świadkami, jak zwariowany przechodzień tupie po mokrej ulicy, kręci piruety w kałużach, łapie rynnę i trzymając się jej skręca za róg, po czym znika, wesoło stukając obcasami.

Sierżant Colon oddał koledze wilgotny niedopałek.

- Czy to był Gardło Dibbler? - upewnił się po chwili.

- Tak - potwierdził Nobby.

- Wyglądał na zadowolonego.

- Moim zdaniem stracił rozum. Co go napadło z taką deszczową piosenką?

Whumm... whumm...

Nadrektor, który uzupełniał swoją księgę hodowli smoków i rozkoszował się drinkiem przy kominku, podniósł głowę. ...whumm... whumm... whumm...

- Na bogów! - mruknął i podszedł do wielkiego dzbana. Aparat kołysał się z boku na bok, jakby cały budynek dygotał. Nadrektor przyglądał się zafascynowany. ...whumm... whummwhummwhummWHUMM. Dzban znieruchomiał i ucichł.

- Dziwne - stwierdził Silverfish. - Dziwne jak diabli.

Plib.

Po drugiej stronie pokoju rozpadła się jego karafka z brandy.

Ridcully Bury nabrał tchu.

- Kwestoor!

Victora obudziły nioski ty. Było już ciepło. Zapowiadał się kolejny piękny dzień.

Wszedł do wody, żeby się umyć i otrzeźwić.

Pomyślmy... Wciąż miał wczorajsze dwa dolary i garść pensów. Mógł sobie pozwolić, żeby jeszcze trochę tu zostać, zwłaszcza jeśli będzie spał na plaży. A potrawka u Borgle'a, mimo że tylko z nazwy jedzenie, była tania - chociaż, kiedy się nad tym zastanowić, bywanie tam może go narazić na kłopotliwe spotkania z Ginger.

Zrobił jeszcze krok i zapadł się pod wodę.

Nigdy jeszcze nie pływał w morzu. Wynurzył się, na wpół utopiony, wściekle młóćąc rękami wodę. Brzeg leżał o kilka sążni od niego.

Uspokoił się, czekał, aż odzyska oddech, i popłynął spokojnym kraulem poza pas przyboju. Woda była krystalicznie czysta. Widział dno, opadające stromo w... odetchnął głęboko... w mglisty błękit, gdzie poza ławicami ryb niewyraźnie dostrzegał kontury rozrzuconych po piasku jasnych, prostokątnych kamieni.

Spróbował zanurkować; schodził coraz głębiej, aż w uszach zaczęło mu dudnić. Największy homar, jakiego w życiu widział, pomachał na niego czułkami ze skalnej iglicy, trzasnął szczypcami i zniknął w głębinie.

Victor wynurzył się zasapany i popłynął do brzegu.

No cóż, jeśli nie wyjdzie mu w ruchomych obrazkach, z pewnością utrzyma się tu jako rybak.

Może też zbierać drewno na plaży. Tutaj, przy wydmach, jest go dosyć, żeby paleniska w Ankh-Morpork zaopatrzyć na całe lata.

Nikt w Świętym Gaju nie pomyśli nawet o paleniu ognia, chyba że do gotowania albo dla towarzystwa.

Zresztą ktoś chyba się tym zajmował. Brnąc po płyciźnie, Victor zauważył, że kawałek dalej drewno na piasku ułożono nie przypadkowo, ale

świadomie, w równe stosy. A jeszcze dalej ktoś ustawił z kamieni prymitywne palenisko.

Zasypał je piasek. Być może, ktoś mieszkał na tej plaży, czekając na swą wielką szansę w ruchomych obrazkach. Kiedy się lepiej przyjrzeć, drewno za przysypanymi kamieniami też wyglądało na specjalnie tu ściągnięte. Patrząc od strony morza, można by sobie wyobrazić, że kilka belek oparto o siebie, by tworzyły łuk bramy.

Może nadal ktoś tam był. Może miał coś do picia.

Rzeczywiście, był. Ale woda od miesiący nie była mu potrzebna.

O ósmej rano głośnie pukanie zbudziło Bezama Plantera, właściciela Odium, jednej z wyrastających w Ankh-Morpork jak grzyby piwnic ruchomych obrazków. Miał ciężką noc. Mieszkańcy Ankh-Morpork lubili nowości. Problem polegał na tym, że nie lubili ich zbyt długo. Odium miało znakomity dochód w pierwszym tygodniu, wychodziło na swoje w drugim, a teraz konało. Wczoraj na nocnym pokazie zjawili się tylko głuchy krasnolud i orangutan, który przyniósł własne fistaszki. Bezam liczył na zysk ze sprzedaży fistaszków i pukanych ziaren, więc teraz nie był w najlepszym humorze. Otworzył drzwi i wyjrzał sennie.

- Zamknięte do drugiej - oznajmił. - Do popołudniówki. Proszę przyjść później. Są wolne miejsca po obu stronach.

Zatrzasnął drzwi. Odbiły się od buta Gardła Dibblera i uderzyły Bezama w nos.

- Przychodzę w sprawie specjalnego pokazu *Myecza namyętności* - poinformował Gardło.

- Specjalnego pokazu? Jakiego specjalnego pokazu?

- Specjalnego pokazu, o którym zamierzam ci powiedzieć.

- Nie pokazujemy żadnych specjalnie namiętnych mieczy. Pokazujemy *Emocjonujące...*

- Pan Dibbler mówi, że pokazujecie *Myecz namyętności* - zahuczał jakiś głos.

Gardło oparł się o futrynę. Za nim stał kamienny blok, który wyglądał, jakby ktoś przez trzydzieści lat rzucał w niego żelaznymi kulami.

Zgiął się w połowie i schylił do Bezama.

Bezam poznał Detrytusa. Wszyscy poznawali Detrytusa. Nie należał do trolli, których się zapomina.

- Nawet nie słyszałem o... - zaczął Bezam.

Gardło wyciągnął spod płaszcza dużą puszkę.

- A tu są plakaty - dodał, wydając gruby biały wałek.

- Pan Dibbler pozwolił mi zawiesić parę na murach - pochwalił się Detrytus.

Bezam rozwinął plakat. Wydrukowano go w kolorach, od których szczypały oczy. Przedstawiał coś, co mogło być Ginger w opiętej za małej bluzce, i Victora, który przerzucił ją przez ramię, drugą ręką walcząc ze stadem potworów. W tle wybuchały wulkany, smoki śmigały po niebie i płonęły miasta.

- „Ruchomy obrazek, którego nie zdołali zakazać!” - czytał powoli Bezam. - „Porywayąca Przygoda wśród Rozpalonego Brzasku Nowego Kontinentu! Męczyzna i Kobieta w Oszalałym Ścięcie! GWIZDY **Delores DeSyn** jako Kobieta i **Victor Maraschino** jako Cohen Barbarzyńca!! SENSACYA! PRZYGODA!! SŁONIE!!! Już wkrótce we wszystkich piwnicach!!!!”.

Przeczytał jeszcze raz.

- Dlaczego ta Delores DeSyn ma gwizdać? - zapytał.

- To znaczy „gwiazdy” - wyjaśnił Gardło. - Dlatego daliśmy gwiazdki przy ich nazwiskach. Widzisz? - Pochylił głowę i zniżył głos do przenikliwego szeptu. - Podobno jest córką klatchiańskiego pirata i jego dzikiej, zuchwałej branki. A on to syn... syn... zbuntowanego maga i lekkomyślnej cygańskiej tancerki flamenco.

- A niech mnie...

Na Bezamie zrobiło to wrażenie. Dibbler w myślach poklepał się z uznaniem po plecach. Na sobie też zrobił wrażenie.

- Uważam, że powinienes zacząć pokaz za jakąś godzinę - uznał.

- Tak wcześniej rano?

Migawka, jaką Bezam dostał na dzisiaj, nosiła tytuł *Emocjonujące studium garncarstwa*, co go niepokoiło. *Myecz* był chyba lepszą propozycją.

- Tak - potwierdził Dibbler. - Ponieważ mnóstwo ludzi będzie chciało to obejrzeć.

- Nic o tym nie wiem. Ostatnio piwnice ruchomych obrazków padają.

- Ten obrazek będą chcieli oglądać. Zaufaj mi. Czy kiedykolwiek cię okłamałem?

Bezam podrapał się po głowie.

- Właściwie... W zeszłym miesiącu sprzedałeś mi kielbaskę w bułce i mówiłeś...

- Mówiłem retorycznie - zastrzegł się Gardło.

- Właśnie - dodał Detrytus. Bezam zrezygnował.

- Aha. No tak... Na retorycznym to się nie znam.

- Otóż to. - Dibbler uśmiechnął się niczym drapieżna dynia. - Otwórz tylko, a potem możesz siedzieć i zbierać pieniądze grabiami.

- No dobrze - zgodził się niezbyt pewnie Bezam. Gardło przyjaźnie objął go ramieniem.

- A teraz - rzekł - porozmawiajmy o procentach.

- Co to są procenty?

- Zapal cygaro - zaproponował mu Gardło.

Victor szedł powoli bezimienną główną ulicą Świętego Gaju. Pod paznokciami miał piasek.

Nie był pewien, czy postąpił właściwie. Ten człowiek był chyba zbieraczem śmieci na plaży; pewnego dnia zwyczajnie zasnął i już się nie obudził, chociaż poplamiony czerwono-złoty płaszcz nie był typowym ubiorem plażowych zbieraczy. Trudno określić, od jak dawna już nie żył. Suche, słone powietrze zakonserwowało zwłoki; wyglądał pewnie dokładnie tak jak za życia - to znaczy jak martwy.

Sądząc po wyglądzie jego chaty, znalazł na plaży dziwne rzeczy. Victor pomyślał, że powinien kogoś o tym zawiadomić, ale prawdopodobnie w Świętym Gaju nikogo by to nie zainteresowało. Przypuszczalnie tylko jeden człowiek na świecie był ciekaw, czy starzec żyje, czy umarł. A on dowiedział się pierwszy.

Victor pochował ciało w piasku, po lądowej stronie chaty.

Przed sobą zobaczył szopę Borgle'a. Postanowił, że zaryzykuje tam śniadanie. Zresztą musiał gdzieś usiąść i przeczytać książkę.

Nie należała do przedmiotów, które zazwyczaj znajduje się na plaży, w drewnianej chacie, w zaciśniętych palcach martwego człowieka.

Na okładce były słowa *Xięga filmu*.

Na pierwszej stronie równym, okrągłym pismem kogoś, komu pisanie przychodzi z trudem, nakreślono kolejne słowa: „Oto Kronka Stażnkow ParaGóry, skoppiowana przez mnie, Deccana, Ponieważ że Ta Stara zaczęła sieni Rozpadać”.

Ostrożnie przewracał sztywne stronicie. Zapełniały je niemal identyczne wpisy. Nie datowane, ale daty nie miały właściwie znaczenia, gdyż jeden dzień nie różnił się od drugiego.

Wstałem. Byłem w tualetcie. Rozpaliłem ogień, ogłosiłem Seans Popołudniowy. Przerwałem post. Zebrałem drewno. Rozpaliłem ogień. Szukałem pożywienia na pagórku. Odśpiewałem Seans Wieczorny. Kolacja. Powiedziałem modlitwę Nocnego Seansu. Poszłem do tulety. Łóżko.

Wstałem. Poszłem do tualety Rozpaliłem ogień, powiedziałem Seans Popołudniowy. Przerwałem post. Crullet, rybak z Zatoczki Jowser zostawił 2 duże morskie okunie. Zbierałem drwo. Zapowiedziałem Wieczorny Seans, rozpaliłem ogień. Sprzątanie. Kolacja, Zaśpiewałem Nocny Seans. Łóżko. Wstałem w północ, poszłem do tuleaty, sprawdziłem ogień, ale nie miał poczeby drwa.

Kątem oka zauważył kelnerkę.

- Poproszę jajko na miękko - powiedział.

- Jest potrawka. Z ryby.

Spojrzał w rozpłomienione oczy Ginger.

- Nie wiedziałem, że jesteś kelnerką... Demonstracyjnie przetarła miseczkę z solą.

- Do wczoraj też nie wiedziałam - odparła. - Ale dziewczyna, która

normalnie pracuje u Borge'a na rannej zmianie, dostała szansę w nowym ruchomym obrazku, który kręca Unitarni Alchemicy. Miałam szczęście, co? - Wzruszyła ramionami. - A jeśli naprawdę szczęście mi sprzyja, to kto wie? Mogę dostać też zmianę popołudniową.

- Słuchaj, naprawdę nie chciałem...

- Jest tylko potrawka. Bierzesz albo zostawiasz. Trzech klientów dziś rano zrobiło jedno i drugie.

- Wezmę. Posłuchaj, nie uwierzysz, ale znalazłem na plaży tę książkę. W ręku...

- Nie wolno mi rozmawiać z klientami. Może to nie jest najlepsza posada w mieście, ale nie chcę przez ciebie jej stracić - burknęła Ginger. - Potrawka rybna, tak?

- Och... Tak. Przepraszam.

Przerzucił kolejne strony. Przed Deccanem zapisywał je Tento, który także trzy razy dziennie wznosił modły, także czasem dostawał ryby i także chodził do toalety, ale albo nie był w tym tak gorliwy jak Deccan, albo nie zawsze uważał, że warto ten fakt odnotowywać. Przed nim modlił się ktoś o imieniu Meggelin. Długi łańcuch ludzi żył na tej plaży, a jeszcze dawniej była ich cała grupa. Dalej notatki sprawiały wrażenie bardziej oficjalnych. Trudno powiedzieć. Wyglądały jak zapisane szyfrem: równe linie złożonych obrazków...

Ze stukiem wylądowała przed nim miska pierwotnej zupy.

- Słuchaj - odezwał się. - O której kończysz...

- Nigdy - oznajmiła Ginger.

- Myślałem, że może wiesz, gdzie...

- Nie.

Spojrzał na mulistą powierzchnię. Borge wyznawał zasadę, że jeśli

można coś znaleźć w wodzie, jest to ryba. W cieczy pływało coś fioletowego, co miało przynajmniej dziesięć nóg.

Victor zjadł potrawkę mimo wszystko. Kosztowała trzydzieści pensów.

Ginger krzątała się za ladą, odwrócona do niego plecami na modłę latarni morskiej: jakkolwiek usiłował zwrócić na siebie jej uwagę, wciąż widział tylko plecy, choć miał wrażenie, że wcale się nie porusza. W końcu wyszedł poszukać jakiejś pracy.

Victor nigdy w życiu nie pracował. Według jego opinii, posady to wypadki, jakie spotykają innych.

Bezam Plan ter poprawił żonie zawieszoną na szyi tacę.

- W porządku - uznał. - Masz wszystko?

- Pukane ziarna trochę zmiękły - poskarżyła się. - I nie ma sposobu, żeby kielbaski były gorące.

- Będzie ciemno, skarbie. Nikt nie zauważy.

Pociągnął za pasek i odstąpił.

- No dobrze - stwierdził, - Wiesz, co robić. W połowie przerwę puszczanie ruchomego obrazka i pokażę planszę „Macie ochotę na chłodny, odświeżający napój i trochę pukanych ziaren?”, a ty wtedy wejdiesz tamtymi drzwiami i przespacerujesz się przejściem.

- Możesz przy okazji wspomnieć o chłodnych, odświeżających kielbaskach - zauważyła pani Planter.

- I chyba nie powinnaś używać pochodni, żeby wskazywać ludziom ich miejsca - dodał Bezam. - Za często coś się przypala.

- Inaczej nic nie widzę po ciemku.

- Tak, ale wczoraj musiałem oddać krasnoludowi pieniądze. Są strasznie drażliwi na punkcie swoich bród. Wiesz co, skarbie? Dam ci salamandrę w klatce. Od świtu leżą na dachu, więc powinny już być gotowe.

Były. Drzemały w swoich klatkach, z ciałami wibrującymi lekko od absorbowanego światła. Bezam wybrał sześć najbardziej dojrzałych, zszedł do pokoju projekcyjnego i wcisnął je do wyświetlającego pudła. Błone od Gardła nawinął na szpulę i spojrzał w ciemność.

No trudno. Trzeba wyjrzeć, czy ktoś czeka przed drzwiami.

Ziewając poczłapał do wejścia.

Wyciągnął rękę, odsunął rygiel. Otworzył drzwi na oścież.

- Dobrze, dobrze -wymamrotał. -Już zaczynamy... Obudził się w pokoju projekcyjnym. Pani Planter wachlowała go swoim fartuchem.

- Co się stało? - wyszeptał, próbując wypchnąć z pamięci wspomnienie depczących go stóp.

- Mamy pełną salę - odparła. - A przed piwnicą ciągle stoi kolejka! Na całą ulicę! To przez te ohydne plakaty. Bezam powstał - chwiejnie, ale stanowczo.

- Zamknij się, kobieto, idź do kuchni i puknij jeszcze trochę ziaren - polecił. - A potem wróć tutaj. Pomożesz mi przemalować napisy. Jeśli stoją w kolejce do miejsc po pięć pensów, będą też stać po dziesięć.

Podwinął rękawy i chwycił korbę.

W pierwszym rzędzie siedział bibliotekarz z torbą fistaszków na kolanach. Po kilku minutach przestał gryźć, z otwartymi ustami patrzył i patrzył na migotliwe obrazki.

- Przytrzymać konia, proszę pana? Proszę pani?

- Nie!

Do południa Victor zarobił dwupensówkę. Nie dlatego że ludzie nie mieli koni do trzymania, ale jakoś nie chcieli, żeby on je trzymał.

W końcu zgarbiony człowieczek, stojący trochę dalej, podszedł do niego, ciągnąc za sobą cztery konie. Victor obserwował go od kilku godzin, zdumiony, że ktokolwiek rzuca pomarszczonemu homunkulusowi miły uśmiech, a co dopiero lejce. A jednak jego interes kwitł, podczas gdy szerokie bary, przystojny profil i uczciwy, szczery uśmiech Victora okazywały się niepokonanymi przeszkodami w karierze trzymacza koni.

- Jesteś tu nowy, co? - odezwał się człowieczek.

- Tak - przyznał Victor.

- Aha. Od razu zgadłem. Czekasz na wielką szansę w migawkach, co? - Uśmiechnął się przyjaźnie.

- Nie. Właściwie to już miałem wielką szansę.

- Więc co tu robisz? Victor wzruszył ramionami.

- Zmarnowałem ją.

- Ach, tak... Tak, psze pana, dziękuję uniżenie, niech bogowie mają pana w opiece, natychmiast, psze pana! - zawołał człowieczek, odbierając kolejną uzdę.

- Nie potrzebujesz przypadkiem asystenta? - zapytał smętnie Victor.

Bezam Plan ter wpatrywał się w stos monet na stole. Gardło Dibbler przesunął dłonie i stos stał się nieco mniejszy, ale wciąż pozostał największym stosem monet, jaki Bezam Plan ter w życiu widział - to znaczy na jawie.

- I ciągle go wyświetlamy, co kwadrans - szepnął. - Musiałem najać chłopaka, żeby kręcił korbą. Nie wiem, co zrobię z takimi pieniędzmi...

Gardło poklepał go po ramieniu.

- Kup większy lokal - poradził.

- Myślałem już o tym - wyznał Bezam. - Tak. Coś z takimi eleganckimi kolumnami od frontu. Moja córka Calliope ładnie gra na organach; mogłaby akompaniować. I powinno tam być dużo złotej farby i takich skrzynek kawałków...

Oczy mu się zaszkliły.

Idea znalazła kolejny umysł.

Sny Holy Woodu...

...i niech to będzie pałac, tak jak legendarny Rhoxie z Klatchu, albo najwspanialsza ze wszystkich świątyń, z niewolnicami sprzedającymi pukane ziarna i fistaszki, a Bezam Planter będzie chodził z miną właściciela, w czerwonym aksamitnym kubraku ze złotą lamówką...

- Tak? - szepnął. Pot wystąpił mu na czoło.

- Mówiłem, że wyjeżdżam - powtórzył Gardło. - Trzeba być w ruchu przy ruchomych obrazkach. Sam wiesz.

- Pani Planter uważa, że powinniście robić więcej obrazków z tym młodym człowiekiem - oświadczył Bezam. - Całe miasto mówi tylko o nim. Powiedziała, że kilka dam zemdlą, kiedy rzucił im to płomienne spojrzenie. Obejrzała film pięć razy... - W jego głosie zabrzmiała nagle podejrzliwość. - I ta dziewczyna! Niech mnie...

- Nie martwcie się - odparł swobodnie Dibbler. - Mam z nimi koń...

Zwątpienie przemknęło mu po twarzy.

- Do zobaczenia - rzucił krótko i wybiegł na ulicę.

Bezam został sam. Rozejrzał się po zasłoniętych pajęczynami ścianach Odium, a rozgorączkowana wyobraźnia malowała już w mrocznych kątach donice z palmami, złote liście i tłuste cherubiny. Łupinki fistaszków i pukane ziarna chrzęściły mu pod nogami. Trzeba tu sprzątnąć przed następnym pokazem, pomyślał. Ten małpishon pewnie znów będzie pierwszy w kolejce.

Nagle jego wzrok padł na plakat *Myecza namyętności*. Właściwie to dziwne. Nie było tam żadnych słoni ani wulkanów, a potwory to trolle z poprzyczepianymi różnymi kawałkami, ale na zbliżeniu... tak... wszyscy mężczyźni westchnęli, a potem wszystkie kobiety westchnęły... Prawdziwa magia.

Uśmiechnął się do portretów Victora i Ginger.

Ciekawe, co ta para w tej chwili robi. Pewnie wyjadają kawior ze złotych półmisków i wypoczywają, po kolana w aksamitnych poduszkach. Mógł się założyć...

- W tym fachu nie podnoś głowy wyżej kolan, chłopcze - poradził trzymacz koni.

- Obawiam się, że niezbyt mi wychodzi to trzymanie - przyznał Victor.

- Bo to trudny fach. Trzeba się nauczyć odpowiedniej, lekceważącej, ale nie beczelnej, wesołej gadki trzymacza koni. Widzisz, ludzie spodziewają się nie tylko tego, że potrzywasz im konie. Chcą, żeby trzymanie konia było przeżyciem.

- Naprawdę?

- Chcą zabawnego spotkania i dowcipnego pożegnania - tłumaczył człowieczek. - Nie wystarczy łąpać za uzdy. Victor zaczął rozumieć.

- To przedstawienie - stwierdził.

Trzymacz koni przejechał palcem po nosie w kształcie truskawki.

- Otóż to! - zawołał.

W Świętym Gaju płonęły żagwie. Victor przeciskał się przez tłum na głównej ulicy. Każdy bar, każda tawerna, każdy sklep szeroko otwierał drzwi. Między nimi falowało i przelewało się morze ludzi. Victor spróbował podskakiwać, żeby zobaczyć poszczególne twarze.

Był samotny, zagubiony i głodny. Potrzebował kogoś, z kim mógłby porozmawiać - i nie mógł jej znaleźć.

- Victor!

Odwrócił się. Skallin pędził ku niemu niczym lawina.

- Victor! Mój przyjaciel! - Pięść wielkości i twardości kamienia węgielnego przyjaźnie klepnęła go w ramię.

- Witaj - powiedział słabym głosem Victor. - Tego... Co słysząc, Skallin?

- Świetnie! Świetnie! Jutro kręcimy *Klątwę Dolyny Trolli*.

- Gratuluję.

- Jesteś moim szczęśliwym człowiekiem - huknął Skallin. - Skallin! Co za imię! Chodźmy się napić!

Victor zgodził się. Właściwie nie miał wyboru, gdyż Skallin złapał go

za ramię i niczym lodołamacz sunąc przez tłum, na wpół go prowadził, na wpół ciągnął do najbliższych drzwi.

Niebieski blask rozjaśniał szyld. Większość Morporkian umie czytać po trollowemu; nie jest to trudny język. Ostre runy oznaczały Błękitny Lias.

Był to bar trolli.

Przydymiony blask palenisk za kamienną ladą stanowił jedyne oświetlenie. Ukazywał trzech trolli grających... na czymś perkusyjnym, ale Victor nie bardzo mógł to rozpoznać. Poziom hałasu sięgnął granicy, poza którą dźwięk jest solidną ścianą energii; wprawiał w wibracje jego gałki oczne. Dym przesłaniał strop.

- Co ci wziąć? - huknął Skallin.

- Nie muszę pić roztopionej lawy, prawda? - zająknął się Victor. Musiał się jąkać na całe gardło, żeby Skallin usłyszał.

- Mamy każde rodzaje ludzkich drinków - krzyknęła samica trolla za barem. Musiała być samicą. Bez wątpienia. Wyglądała trochę jak posągi, którymi ludzie jaskiniowi przedstawiali boginię płodności tysiące lat temu; ale przede wszystkim wyglądała jak pagórek. - My tu bardzo światowcy.

- W takim razie piwo.

- Dla mnie siarkowe kwiaty na bruku, Ruby - zamówił Skallin.

Victor skorzystał z okazji, żeby się rozejrzeć. Przyzwyczał się już do półmroku, a bębenki w uszach litościwie zdrętwiały.

Dostrzegł masy trolli siedzących przy długich stołach; tu i tam zajął miejsce krasnolud, co było zjawiskiem zdumiewającym. Normalnie krasnoludy i trolle walczą ze sobą jak... no, jak krasnoludy z trollami. Ich rodzinne góry do scena nieustającej wendety. Święty Gaj jednak zmieniał wszystko.

- Możemy pogadać na osobności? - wrzasnął Victor prosto w szpiczaste ucho Skallina.

- Pewnie! - Troll odstawił kubek. Tkwiła w nim fioletowa papierowa parasolka, powoli zwęglająca się w żarze.

- Widziałeś Ginger? Znasz Ginger?

- Pracuje u Borgle'a!

- Tylko na porannej zmianie! Przed chwilą tam byłem! Gdzie chodzi, kiedy nie pracuje?

- Kto wie, gdzie ktoś chodzi?

Zespół muzyczny ucichł nagle. Jeden z trolli chwycił niewielki kamień i zaczął łagodnie w niego uderzać, uzyskując powolny, miękki rytm, który jak dym lgnął do ścian. A z dymu, niczym galeon z mgły, wynurzyła się Ruby w bezsensownym boa z piór na szyi.

Była jak dryf kontynentalny z wypukłościami.

Zaczęła śpiewać.

Trolle umilkły z szacunkiem. Po chwili ktoś zaszlochał. Łzy spływały po twarzy Skallina.

- O czym jest ta piosenka? - szepnął Victor. Skallin pochylił się.

- To stara, ludowa pieśń trolli - wyjaśnił. - O Jantar i Jaspisie. Byli... - zawahał się i zamachał rękami. - Przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi.

- Chyba wiem, o co ci chodzi.

- I pewnego dnia Jan tar zabrała trollowy obiad do jaskini i znalazła go... - Skallin wykonał rękami gest niezbyt precyzyjny, ale bardzo wymowny - ...z inną trollową damą. Więc poszła do domu, wzięła swoją maczugę, wróciła i zatłukła go na śmierć, łup, łup, łup. Bo to był jej troll i bardzo ją skrzywdził. Bardzo romantyczna piosenka.

Victor patrzył. Ruby spłynęła z niewielkiej sceny i sunęła między

klientami - niewielka góra w poślizgu. Musi ważyć ze dwie tony, myślał. Jeśli usiądzie mi na kolanach, zrolują mnie z podłogi jak dywan.

- Co powiedziała tamtemu trollowi? - zapytał, kiedy fala śmiechu przetoczyła się po sali.

Skallin poskrobał się w nos.

- To taka gra w słowa - odparł. - Trudno przetłumaczyć. Ale mniej więcej powiedziała: „Czy to legendarne Berło Magmy, który był Królem Góry, Pogromcą Tysięcy, nie, Nawet Dziesiątków Tysięcy, Władcą Złotej Rzeki, Panem Mostów, Mieszkańcem Ciemnych Miejs, Zgniataczem Wrogów...” - nabrał tchu - „...masz w kieszeni, czy po prostu cieszy cię mój widok?”.

Victor zmarszczył czoło.

- Chyba nie zrozumiałem - przyznał.

- Może nie przetłumaczyłem odpowiednio. - Skallin pociągnął łyk stopionej siarki. - Słyszałem, że Unitarni Alchemicy szukają...

- Wiesz, Skallin, to miejsce jest jakieś dziwne - przerwał mu nagle Victor. - Nie czujesz tego?

- Jak to dziwne?

- Wszystko wydaje się takie, no, kipiące. Nikt nie robi tego, co powinien. Wiesz, że kiedyś stało tu wielkie miasto? Tam gdzie teraz jest morze. Wielkie... I zniknęło.

Skallin w zadumie potarł nos, podobny do pierwszego prototypu neandertalskiej siekiery.

- I to, jak wszyscy się zachowują - mówił dalej Victor. - Jakby to, kim są i czego chcą, było najważniejsze na świecie!

- Zastanawiam się... - zaczął Skallin.

- Tak?

- Zastanawiam się, czy nie ściąć sobie pół cala nosa. Mój kuzyn Brekcja zna takiego kamieniarza; poprawił mu uszy, całkiem tanio. Jak myślisz?

Victor przyglądał mu się tępo.

- Wiesz, może i jest za duży, ale to czysty stereotyp trollowego nosa. Mam rację? Wyglądałbym lepiej, lecz w tym fachu chyba warto wyglądać jak najbardziej trollowato? Wiesz, Morry trochę poprawił swój cementem i teraz ma gębę, której wolałbyś nocą nie spotkać. Jak myślisz? Cenię twoją opinię, bo jesteś człowiekiem z pomysłami.

Obdarzył Victora promiennym krzemowym uśmiechem.

- To świetny nos, Skallin - odparł po chwili Victor. - Z tobą przyczepionym z tyłu, może zajść daleko.

Skallin uśmiechnął się szeroko i raz jeszcze łyknął siarki. Wyjął z kubka stalową koktajlową słomkę i wargami zdjął z niej ametyst.

- Naprawdę myślisz... - zaczął i zdał sobie sprawę z istnienia obok siebie niewielkiego obszaru pustej przestrzeni. Victor zniknął.

- Nic o nikim nie wiem - oświadczył trzymacz koni, trochę nerwowy w obecności Detrytusa. Dibbler przygryzł cygaro. Miał za sobą drogę z Ankh, męczącą mimo nowego powozu. I stracił obiad.

- Wysoki chłopak, trochę tępy, z wąsikiem - tłumaczył. - Pracował dla ciebie przecież.

Trzymacz koni się poddał.

- I tak żaden byłby z niego trzymacz - stwierdził. - Pozwalał, żeby

praca nim zawładnęła. Chyba poszedł coś zjeść.

Victor siedział w ciemnym zaułku, opierał plecy o ścianę
i próbował się skupić.

Kiedyś, jako mały chłopiec, za długo bawił się na słońcu. Efekt był podobny.

Usłyszał ciche człapanie po ubitym piasku, całkiem niedaleko. Ktoś położył przed nim kapelusz. A potem zaczął grać na harmonijce. Nie szło mu najlepiej. Większość nut była niewłaściwa, a nawet te prawidłowe zgrzytały. Gdzieś tam tkwiła melodia, w taki sam sposób, w jaki kawałek wołowiny tkwi w maszynce do mielenia mięsa. Victor westchnął i sięgnął do kieszeni po parę pensów. Wrzucił je do kapelusza.

- Tak, tak - powiedział. - Bardzo ładnie. A teraz daj mi spokój.

Uświadomił sobie, że czuje dziwny zapach. Nie potrafił go umiejscowić, ale mógł to być bardzo stary i trochę wilgotny dywanik.

Podniósł głowę.

- Hau, hau jak diabli - powiedział Gaspode, Cudowny Pies.

Jadłodajnia Borge'a postanowiła dzisiaj poeksperymentować z sałatkami. Najbliższy region, gdzie uprawiano sałatę, oddalony był o trzydzieści mil...

- Co to? - dopytywał się jakiś troll, pokazując coś miękkiego i brązowego.

Fruntkin, kucharz dań barowych, spróbował zgadnąć.

- Por? - podsunął. Przyjrzał się dokładniej. - Tak, por.

- Jest brązowy!

- Zgadza się. Zgadza.. Dojrzały por powinien być brązowy - zapewnił pospiesznie Fruntkin. - To znaczy, że jest dojrzały - dodał.

- Powinien być zielony!

- Nie. Myślisz o pomidorach.

- A co to za rzadka maź? - zapytał człowiek z kolejki. Fruntkin wyprostował się na pełną wysokość.

- To - odparł - jest majonez. Sam go zrobiłem. Z książki - dodał z dumą.

- Tak myślałem. Bo jajek, oliwy i octu chyba nie używałeś, co?

- Specjalność firmy - oświadczył Fruntkin.

- Dobrze, dobrze - burczał człowiek. - Tylko że on atakuje moją sałatę.

Fruntkin gniewnie ścisnął chochlę.

- Słuchaj no... - zaczął.

- Nie, już w porządku - uspokoił go potencjalny klient. - Ślimaki sformowały pierścień obronny.

Przy wejściu wybuchło jakieś zamieszanie. Troll Detrytus torował sobie drogę między gośćmi, a Dibbler kroczył za nim z godnością.

Troll rozepchnął kolejkę i spojrzał groźnie na Fruntkina.

- Pan Dibbler chce na słówko - oznajmił, sięgnął ponad lada, chwycił krasnoluda za poplamioną jedzeniem koszulę i przeniósł przed Gardło.

- Ktoś widział Victora Tugelbenda? - zapytał Gardło. - Albo tę dziewczynę, Ginger?

Fruntkin otworzył usta, żeby zakłąć, ale po chwili zastanowienia zrezygnował.

- Chłopak był tutaj pół godziny temu - pisnął. - Ginger pracuje na rannej zmianie. Nie wiem, co robi potem.

- Gdzie poszedł Victor? - zapytał Gardło.

Wyciągnął z kieszeni sakiewkę. Brzęczała. Oczy Fruntkina podążały za nią, jakby były łożyskami kulkowymi, a ona potężnym magnesem.

- Nie wiem, panie Gardło - zapewnił. - Wyszedł, kiedy zobaczył, że jej nie ma.

- No dobrze - westchnął Gardło. - Gdybyś go widział, powiedz, że go szukam. Zrobię z niego gwiazdę. Jasne?

- Gwiazdę. Oczywiście.

Gardło sięgnął do sakiewki i wydobyl dziesięciodolarową monetę.

- I chcę zamówić kolację na później - dodał.

- Kolacja. Tak jest - wykrztusił Fruntkin.

- Stek i krewetki, jak sądzę. Do tego muśnięte słońcem jarzyny, odpowiednie do pory roku, a potem truskawki ze śmietaną. Fruntkin wpatrywał się w niego osłupiały.

- Ehm... - zaczął.

Detrytus pchnął go palcem i krasnolud zakołysał się jak wahadło.

- A ja - powiedział troll - zjem... no... leżakowany bazalt i świeżo wykute konglomeraty piaskowca. Zrozumiano?

- Ehm... Tak - odparł Fruntkin.

- Postaw go, Detrytus. On pewnie nie lubi tak dyndać - polecił Gardło.
- Delikatnie. - Rozejrzał się, mierząc wzrokiem zafasynowane twarze. - Pamiętajcie, szukam Victora Tugelbenda i zrobię z niego gwiazdę. Gdyby ktoś go zobaczył, niech mu to powtórzy. Aha, Fruntkin, stek ma być krwisty.

Ruszył do drzwi.

Kiedy zniknął razem z trollem, gwar podniósł się jak fala przyływu.

- Zrobi z niego gwiazdę? Po co mu gwiazda?

- Nie wiedziałem, że można robić gwiazdy. Wydawało mi się, że one są, no wiecie, przyczepione do nieba...

- W dodatku chce zrobić gwiazdę z Victora...

- Jak można z kogoś zrobić gwiazdę?

- Nie wiem. Przypuszczam, że trzeba go ścisnąć bardzo mocno, a wtedy wybucha i zmienia się w masę płonącego wodoru.

- Wielcy bogowie...

- Tak. Ten troll musi być silny, nie ma co...

Victor przyjrzał się psu dokładnie.

Przecież nie mógł się odezwać. Na pewno to tylko wytwór wyobraźni. Ale ostatnio też mu się tak wydawało, prawda?

- Ciekawe. Jak masz na imię? - rzucił i poklepał zwierzaka po głowie.

- Gaspode - przedstawił się Gaspode.

Dłoń Victora znieruchomiła w pół głośnięcia.

- Dwa pensy - mruczał pies zniechęcony. - Jedyne na tym nędznym padole pies grający na harmonijce. I dwa pensy.

To przez słońce, myślał Victor. Nie nosiłem kapelusza. Za chwilę obudzę się w chłodnej pościeli.

- Wiesz, nie grałeś za dobrze. Nie umiałem rozpoznać melodii - oświadczył, rozciągając wargi w straszliwym uśmiechu.

- Nie oczekuje się od ciebie rozpoznawania żadnej piekielnej melodii - odparł Gaspode. Usiadł i zaczął pracowicie drapać się tylną nogą za uchem. - Przecież jestem psem. Oczekuje się, że będziesz piekielnie zdumiony, że w ogóle wydobywam z tego draństwa jakiś pisk.

Jak to wyrazić? - zastanawiał się Victor. Czy mam powiedzieć: przepraszam, ale wydało mi się, że jesteś gada... Nie, raczej nie.

- Ehm - zaczął.

...Wiesz, zastanawiał się dalej, jesteś całkiem rozmowny jak na...

Nie.

- Pchły - wyjaśnił Gaspode, zmieniając ucho i nogę. - Wściec się można.

- Rozumiem...

- I jeszcze te trolle. Nie mogę przy nich wytrzymać. Źle pachną. Przekłete chodzące głązy. Spróbujesz takiego ugryźć, a za chwilę plujesz zębami. To nie jest naturalne.

...Skoro już mowa o naturalności, trudno nie zauważyć...

- Ofrzydliwa pustynia, cała ta okolica - stwierdził Gaspode. ...Jesteś gadającym psem!

- Przypuszczam, że się zastanawiasz, jakim cudem potrafię mówić. - Gaspode znowu zwrócił na Victora swe przenikliwe oczy.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy - zapewnił Victor.

- Mnie też nie. Dopiero parę tygodni temu. Przez całe życie nie wymówiłem ani jednego nędznego słowa. W mieście pracowałem dla jednego gościa. Sztuczki i różne takie. Trzymałem piłkę na nosie. Chodziłem na tylnych łapach. Skakałem przez ofręcz. Potem chodziłem dookoła z kapeluszem w pysku. No wiesz: showfiznes. Aż raz taka fafa klepie mnie po głowie i mówi: „Ojej, jaki śliczny pieseczek, wygląda, jakby rozumiał każde nasze słowo”. A a myślę: „Daj spokój, paniusiu, nie chce mi się już nawet prófować” i słyszę te słowa, jak wyfieigają mi z pyska. Złapałem tylko kapelusz i wiałem co sił, póki tamci się gapili.

- Dlaczego? - zdziwił się Victor. Gaspode przewrócił oczami.

- A jakie życie czeka prawdziwego gadającego psa? W ogóle nie powinienem otwierać tej swojej głupiej paszczy.

- Przecież ze mną rozmawiasz - zauważył Victor. Gaspode spojrzał na niego chytrze.

- Nify tak, ale sprófuuj to komuś opowiedzieć. Poza tym jesteś w porządku. Dofrze ci z oczy patrzy. Poznam takiego na miłę.

- Niby co to ma znaczyć?

- Wydaje ci się, że nie panujesz nad swoim losem, co? I jeszcze, że coś innego prófuje za ciebie myśleć. Zgadiem?

- Na bogów...

- I przez to wyglądasz trochę na nawiedzonego. - Gaspode podniósł kapelusz. - Dwa pensy - wymamrotał niewyraźnie. - Nify i tak nie mam jak ich wydawać, ale... dwa pensy...

Po psiemu wzruszył ramionami.

- Jak wyglądam na nawiedzonego? - dopytywał się Victor.

- Wszyscy tak wyglądacie. Wielu wezwano, nielicznych wyfrano. Coś w tym sensie.

- Jak wyglądam?

- Jakfys został powołany, ale nie wiesz dlaczego. - Gaspode znowu podrapał się w ucho. - Widziałem, jak grasz Cohena Farfarzyń-cę - dodał.

- Ee... I co o tym myślisz?

- Moim zdaniem, dopóki stary Cohen się o tym nie dowie, nic ci chyfa nie grozi.

- Pytałem, jak dawno tu był! - krzyknął Dibbler.

Na maleńkiej scenie Ruby gruchała coś głosem podobnym do syreny statku we mgle i w poważnych kłopotach.

- GrooOOowwonnoghrhhooOOo...[6]

- Dopiero co wyszedł! - ryknął Skallin. - Chcę posłuchać tej piosenki, dobrze?

- ...OowoowgrhffrghooOOo...[7]

Gardło Sobie Podrzynam szturchnął Detrytusa, który usiadł na ławie i patrzył, szeroko rozdziawiwszy usta. Życie starego trolla było do tej chwili całkiem proste; ludzie płacili mu pieniądze, a on bił innych ludzi.

Teraz wszystko zaczynało się komplikować; Ruby mrugnęła do niego. Dziwne, nieznane dotąd emocje szalały w zmaltretowanym sercu Detrytusa.

- ...groooOOOooohoofooOOo...[8]

- Idziemy - warknął Gardło.

Detrytus podniósł się ciężko i raz jeszcze tęsknie spojrzął na scenę.

- ...ooOOOgoooOOmoo. OOhhhooo...[9]

I Ruby posłała mu całusa. Detrytus zarumienił się jak świeżo oszlifowany granat.

Gaspode poprowadził go z zaułka i dalej, przez ponure pustkowie karłowatych krzewów i skąpej, pożółkłej trawy, już poza miastem.

- W tym miejscu dzieje się coś niedofrego - mruczał.

- Jest inne - zaprotestował Victor. - Dlaczego od razu niedobre?

Gaspode spojrzął na niego, jakby miał ochotę splunąć.

- Weźmy na przykład mnie - mówił dalej, nie zwracając uwagi na słowa Victora. - Pies. Przez całe życie nie marzyłem o niczym, prócz gonienia różnych rzeczy. I seksu, ma się rozumieć. A tu nagle przychodzą do mnie sny. W kolorze. Przeraziły mnie śmiertelnie. Nigdy jeszcze nie widziałem kolorów, rozumiesz? Psy widzą na czarno-fiało; pewnie to wiesz, skoro jesteś taki oczytany. Czerwony naprawdę mną wstrząsnął, mówię ci. Przez całe życie wierzysz, że twój ofiad jest fioletowy jak kość, z różnymi odcieniami szarości, aż nagle się okazuje, że przez lata jadłeś te potworne, czerwone i fioletowe ochłapy.

- Jakie sny? - zapytał Victor.

- To dość krępujące. W jednym na przykład jest taki most, co go porwała rzeka, a ja muszę fiec i wyszczekać ostrzeżenie. Alfo inny, kiedy w jakimś domu wyfucha pożar, a ja wyciągam dzieciaki. I jeszcze, kiedy inne dzieciaki gufią się w jaskiniach, a ja je znajduję i doprowadzam ratowników... A przecież nie cierpię dzieciaków. Rozumiesz, mam już

siedem lat, stwardnienie podeszew, łupież i pchły jak nie wiem co. Nie muszę zostawać fohaterem, jak tylko zasnę.

- Niech to... Życie jest ciekawe - stwierdził Victor. - Kiedy ogląda sieje z perspektywy kogoś innego.

Gaspode zerknął na niego zaropiałym żółtym okiem.

- Ehm... Dokąd właściwie idziemy? - spytał Victor.

- Spotkać się z paroma osofami ze Świętego Gaju. Fo tu naprawdę dzieje się coś dziwnego.

- Na wzgórze? Nie wiedziałem, że tam mieszkają jacyś ludzie.

- To nie są ludzie - odparł Gaspode.

Małe ognisko płonęło na zboczu wzgórza Świętego Gaju. Victor rozpalił je, bo... no, bo dodawało otuchy. Bo takie rzeczy robią ludzie. Koniecznie musiał sobie przypominać, że jest człowiekiem, i to prawdopodobnie nie obłąkanym.

Nie o to chodzi, że rozmawiał z psem. Ludzie często rozmawiają z psami. Każdy może rozmawiać z kotem. A nawet z królikiem. Ale rozmowę z myszą i kaczorem należy uznać za nieco dziwną.

- Myślisz, że chcieliśmy mówić? - burknął królik. -Jeszcze niedawno byłem zwykłym królikiem, bardzo z tego zadowolonym, aż tu nagle... łubudu! - zaczynam myśleć. Uwierz mi, to poważna przeszkoda dla kogoś, kto szuka króliczego szczęścia. Jako królik masz ochotę na trawę i seks, a nie myśli typu Jaki w tym wszystkim jest sens, jeśli się dobrze zastanowić?”.

- Ale przynajmniej możesz jeść trawę - zauważył Gaspode. - Trawa nic nie mówi. Ostatnie, czego ci trzeffa, kiedy jesteś głodny, to etyczne zamieszanie na talerzu.

- Myślisz, że masz kłopot - dodał kot, jakby czytał mu w myślach. - Mnie żosztalo tylko jedzenie ryb. Kładziesz łapę na obiedzie, a on wrzeszczy „Ratunku!”. To jeszt dopiero ciężka sytuaczja. Zapadła cisza. Wszyscy trzej spojrzeli na Victora. A wraz z nimi mysz. I kaczor. Kaczor patrzył ze szczególną niechęcią - pewnie słyszał o jabłkach i majeranku.

- Właśnie. Weź nas - odezwała się mysz. - Ściga mnie... to... - wskazała siedzącego obok kota. - Po kuchni. Drapanie, skrobanie, piski, panika. Nagle coś mi skwierczy w głowie, widzę patelnię... Rozumiesz? Jeszcze przed sekundą nie miałem pojęcia, co to jest patelnia, a teraz łapię uchwyt, ten wybiega zza rogu, brzdęk! A on zatacza się i woła: „Co mnie uderzyło?”. Odpowiadam: „Ja”. Wtedy oboje pojmujemy: zaczęliśmy mówić.

- Konceptualizować - dodał kot.

Był czarny, miał białe łapy, uszy jak rzutki do strzelania i podrapaną mordkę kota, który osiem żywotów przeżył już w pełni.

- Co tu gadać, mały... - mruknęła mysz.

- Powiedźcie, co zroficiście później - poprosił Gaspode. ,

- Przybyliśmy tutaj - odparł kot.

- Z Ankh-Morpork? - zdziwił się Victor.

- Tak.

- To prawie trzydzieści mil!

- Tak, i możesz mi wierzyć, że kotu niełatwo znaleźć transport.

- Widzisz? - zawołał Gaspode. - Takie rzeczy zdarzają się fez przerwy. Różni tacy przyjeżdżają do Świętego Gaju. Nie wiedzą, dlaczego wyruszyli, ale są pewni, że powinni być tutaj. I nie zachowują się tak, jak gdziekolwiek indziej na świecie. Ofserwowałem. Dzieje się coś dziwnego.

Kaczor zakwakał. W tym kwakaniu były ukryte jakieś słowa, ale przez niedostosowanie gardła i dzioba tak niewyraźne, że Victor nic nie zrozumiał.

Zwierzęta słuchały z sympatią.

- No i co, Kaczorku? - rzucił królik.

- Kaczor mówi - przetłumaczył Gaspode - że to przypomina migrację. Takie samo uczucie jak przy migracji. Tak mówi.

- Tak? Ale my nie musieliśmy daleko podróżować - zauważył królik. - I tak mieszkaliśmy na tych wydmach. - Westchnął. - Przez trzy szczęśliwe lata i cztery nędzne dni - dodał.

Victorowi wpadła do głowy pewna myśl.

- W takim razie wiesz o tym starym człowieku na plaży? - zapytał.

- A, o tym. Tak, wiem. Zawsze wchodził tu na górę.

- Jaki był?

- Słuchaj, mądralo, przecież jeszcze cztery dni temu mój słownik składał się z dwóch czasowników i jednego rzeczownika. Myślisz, że co o tym starym myślałem? Wiem tylko tyle, że nas nie gonił. Wydawało nam się pewnie, że to głaz z nogami albo co.

Victor pomyślał o ukrytej w kieszeni książce. Modły i rozpalać ognia. Kto mógł się tym zajmować?

- Nie wiem, co się tu dzieje - wyznał. - I chciałbym to odkryć. Czy nie macie jakichś imion? Głupio się czuję, kiedy rozmawiam z osobami bez imion.

- Tylko ja - odpowiedział Gaspode. - Jako pies. Wiesz, dostałem imię po sławnym Gaspode.

- Dzieciak nazywał mnie kiedyś Mruczkiem - dodał z powątpiewaniem kot.

- Myślałem, że macie jakieś imiona we własnym języku - powiedział Victor. - No wiecie, jakieś Silne Łapy albo... albo Chyży Łowca. Coś takiego.

Uśmiechnął się zachęcająco.

Zwierzęta spojrzały na niego, wyraźnie nie rozumując.

- On czyta książki - wyjaśnił wreszcie Gaspode. - Widzisz, problem polega na tym - dodał, drapiąc się energicznie - że normalne zwierzęta nie przejmują się imionami. Przecież wiemy, kim jesteśmy.

- Chociaż Chyży Łowca mi się podoba - przyznała mysz.

- Moim zdaniem to imię bardziej odpowiednie dla kota. - Victor zaczął się pocić. - Myszy mają krótkie, miłe imiona... Na przykład Pip.

- Pip? - powtórzyła lodowatym tonem mysz. Królik uśmiechnął się.

- I... i zawsze myślałem, że króliki nazywają się na przykład Puszek. Albo Tuptuś.

Królik przestał się uśmiechać i zastrzygł uszami.

- Posłuchaj no, chłopcze... - zaczął.

- A wiecie - przerwał mu Gaspode, próbując ożywić rozmowę - słyszałem o takiej legendzie, że pierwsza para ludzi na świecie nadała imiona wszystkim zwierzętom. Ciekawe, co?

By ukryć zakłopotanie, Victor sięgnął po książkę. Modlitwy i rozpalać ognia. Trzy razy dziennie.

- Ten starzec... - zaczął.

- A czemu jest taki ważny? - zdumiał się królik. - On tylko wchodził na wzgórze i wydawał dźwięki. Po parę razy dziennie. Można by według niego nastawiać... nastawiać... - Zawahał się. - No, zawsze o tej samej porze. Każdego dnia kilka razy.

- Trzy razy. Trzy seanse. Jak w teatrze? - Victor przesuwiał palcem po stronie.

- Nie umiemy zliczyć do trzech - odparł z irytacją królik. - To idzie tak: raz... dużo. Dużo razy. - Spojrzał wrogo na Victora. - Tuptuś - dodał z gryzącą ironią.

- Ludzie z daleka przywozili mu ryby - ciągnął Victor. - Nikt tu w pobliżu nie mieszka. Musieli żyć wiele mil stąd. Płynęli bardzo daleko, żeby tylko dostarczyć mu ryby. Całkiem jakby nie chciał jeść ryb z tej zatoki. A przecież aż się tu od nich roi. Kiedy pływałem, widziałem takie homary, że byście nie uwierzyli.

- I jak je nazwałś? - spytał Tuptuś. Nie należał do królików, które łatwo zapominają urazy. - Ciachusiami?

- Właśnie. Chcę to od razu wyjaśnić - pisnęła mysz. - W domu byłem główną myszą, mogłem spuścić łanie każdej innej. I chcę dostać odpowiednie imię, mój mały. Kto spróbuje nazwać mnie Pipusiem - mysz spojrzała znacząco na Victora - sam się prosi o głowę w kształcie patelni. Czy wyrażam się jasno?

Kaczor zakwakał z naciskiem.

- Chwileczkę - rzucił Gaspode. - Kaczor twierdzi, że wszystko to są oznaki tego samego zjawiska. Ludzie, trolle i wszyscy, którzy tu przyfywają; zwierzęta, które nagle potrafią mówić... Kaczor uważa, że przyczyna znajduje się tutaj.

- Skąd kaczor może o tym wiedzieć? - zdziwił się Victor.

- Słuchaj no, przyjacielu - odparł królik. - Kiedy tobie uda się przelecieć nad oceanem i jeszcze na końcu znaleźć przynajmniej ten sam kontynent, to będziesz mógł wygadywać takie rzeczy na kaczki.

- Och... Chodzi o tajemnicze zmysły zwierząt, tak? Patrzyli na niego niechętnie.

- Wszystko jedno. To się musi skończyć - podsumował Gaspode. - Całe to myślenie i mówienie nadaje się dla was, ludzi. Jesteście przyzwyczajeni. Dlatego ktoś musi odkryć tę przyczynę. Nadal patrzyli na niego.

- Wiecie - rzekł niepewnie Victor. - Może ta książka mogłaby nam pomóc? Pierwsze fragmenty napisane są w jakimś starożytnym języku. Mógłbym... - Urwał. Magowie w Świętym Gaju nie cieszyli się popularnością. Nie powinien chyba wspominać o Niewidocznym Uniwersytecie ani o swoich studiach. - To znaczy - podjął, starannie dobierając słowa - znam chyba w Ankh-Morpork kogoś, kto potrafiłby je odczytać. On też jest zwierzęciem. Małą.

- A jak mu idzie w dziedzinie tajemniczych zmysłów? - zainteresował się Gaspode.

- Aż bulgocze od tajemniczych zmysłów.

- W takim razie... - mruknął królik.

- Cisza! - przerwał mu Gaspode. - Ktoś idzie.

Na zboczu poruszał się płomień pochodni. Kaczor poderwał się niezgrabnie w powietrze i odleciał. Pozostali zniknęli w mroku. Tylko pies się nie ruszył.

- Nie zamierzasz się stąd ulotnić? - syknął Victor. Gaspode uniósł brew.

- Hau? - powiedział.

Pochodnia sunęła zygzakiem między zaroślami, niby świetlik. Czasami zatrzymywała się na chwilę, po czym ruszała w całkiem innym kierunku. Była bardzo jasna.

- Co to jest? - szepnął Victor. Gaspode pociągnął nosem.

- Człowiek - odparł. - Samica. Ma tani zapach. - Zmarszczył nos. - To się nazywa Igraszka Namietności. - Znowu powąchał powietrze. - Świeża fielizna, fez krochmalu. Stare futy. Dużo makijażu ze studia. Fyła u Forgle'a i jadła... - Nos poruszył się znacząco. - Jadła potrawkę. Mały talerz.

- I pewnie umiesz też wyniuchać, jaka jest wysoka? - mruknął Victor.

- Pachnie na jakieś pięć stóp i dwa cale - zaryzykował Gaspode. - Może dwa i pół.

- Daj spokój...

- Przebiegnij milę na tych łapach, a wtedy możesz mnie nazwać kłamcą.

Victor zasypał piaskiem niewielkie ognisko i ruszył w dół.

Światło znieruchomiło, kiedy się zbliżył. Przez moment dostrzegł kobiecą postać, przytrzymującą jedną ręką szal, a drugą wznoszącą wysoko pochodnię. Potem światło zgasło tak szybko, że pozostawiło tańczące w oczach niebieskie i fioletowe plamy. Za nimi drobna postać była tylko ciemną sylwetką w mroku.

- Co robisz w moim... - powiedziała. - Goja... Skąd się wzięłeś w... Gdzie... - Potem, jakby wreszcie zorientowała się w sytuacji, zmieniła ton i o wiele bardziej znajomym głosem zapytała: - Co ty tu robisz?

- Ginger? - zdziwił się Victor.

- Tak.

Victor zawahał się. Co właściwie powinien odpowiedzieć w tych okolicznościach?

- Ehm... - zaczął. - Ładna okolica, zwłaszcza wieczorami. Nie sądzisz?

Zerknęła niechętnie na Gaspode.

- To ten okropny pies, który kręci się po wytwórni, prawda? - spytała. - Nie znoszę małych psów.

- Szczek-szczek - powiedział Gaspode.

Ginger spojrzała na niego zdumiona. Victor mógłby niemal czytać jej w myślach: powiedział „Szczek-szczek”. Jest psem, a przecież psy szczekają, prawda?

- Osobiście wolę koty - oznajmiła wymijająco.

- Tak? Tak? - zabrzmiał cichy głos. - I też się myjesz własną śliną?

- Co to było?

Victor cofnął się i zamachał rękami.

- Nie patrz na mnie! - zawołał. -Ja tego nie powiedziałem.

- Aha! To pewnie pies, tak?

- Kto? Ja? - zdziwił się Gaspode.

Ginger znieruchomiała. Skierowała wzrok na bok i w dół, do miejsca, gdzie Gaspode od niechcienia drapał się w ucho.

- Hau? - powiedział.

- Ten pies mówił... - zaczęła Ginger, wyciągając drżący palec.

- Wiem - uspokoił ją Victor. - To znaczy, że cię lubi. Spojrzał ponad jej ramieniem. Kolejne światelko zbliżało się do wzgórza.

- Przyprowadziłaś kogoś ze sobą? - zapytał.

- Ja?

Ginger odwróciła się nerwowo.

Z okolic światelka zabrzmiały trzaski suchych gałązek, po czym z ciemności wynurzył się Dibbler. Detrytus szedł za nim jak wyjątkowo ponury cień.

- Aha! - zawołał Dibbler. - Przylapałem zakochane ptaszki, co? Victor wytrzeszczył oczy.

- Kogo?

- Kogo? - powtórzyła Ginger.

- Wszędzie was szukałem - mówił dalej Dibbler. - Ktoś powiedział, że widział, jak idziecie tutaj. Bardzo romantyczne. Może da się wykorzystać. Dobrze by wyglądało na plakatach. Właśnie. - Objął oboje ramionami. - Idziemy.

- Po co? - zapytał Victor.

- Kręcimy z samego rana.

- Ale pan Silverfish mówił, że w tym mieście nie będę już pracował...

Dibbler otworzył usta; wahał się tylko przez moment.

- Ach. Tak. Ale dam wam jeszcze jedną szansę. - Tym razem, dla odmiany, mówił bardzo powoli. - Tak. Szansę. Wiecie, jesteście młodzi. Zapalczywi. Sam kiedyś byłem młody. Dibbler, pomyślałem, choćbyś miał sobie gardło poderżnąć, daj im szansę. Niższa pensja, naturalnie. Dolar dziennie. Co wy na to?

Victor dostrzegł wyraz nadziei na twarzy Ginger.

Otworzył usta...

- Piętnaście dolarów - zażądał jakiś głos. Nie jego. Zamknął usta.

- Co? - nie zrozumiał Dibbler. Victor otworzył usta.

- Piętnaście dolarów. Możliwa podwyżka po pierwszym tygodniu. Piętnaście dolarów albo nic.

Victor zamknął usta, przewracając oczami.

Dibbler machnął mu palcem przed nosem, ale się zawahał.

- To mi się podoba! - stwierdził w końcu. - Twardy negocjator! Dobrze. Trzy dolary.

- Piętnaście.

- Pięć to moja ostateczna propozycja, chłopcze. W mieście są tysiące ludzi, którzy z pocałowaniem ręki wezmą tę robotę. Jasne?

- Proszę wymienić choć dwoje.

Dibbler zerknął na Detrytusa, pogrążonego w marzeniach o Ruby. Potem spojrzał na Ginger.

- Zgoda - rzekł. - Dziesięć. Tylko dlatego że was lubię. Ale naprawdę gardło sobie podrzynam.

- Zgoda.

Gardło wyciągnął rękę. Victor przyjrzał się własnej, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Potem uściśnął prawicę Dibblera.

- A teraz wracajmy - zaproponował tamten. - Trzeba jeszcze dużo zorganizować.

Ruszył między karłowate drzewka. Victor i Ginger szli za nim pokornie, oboje w stanie szoku.

- Zwariowałeś? - syknęła Ginger. - Tak się upierać? Mogliśmy stracić szansę.

- Nic nie mówiłem - bronił się Victor. - Myślałem, że to ty. Spojrzeli sobie w oczy. Oboje spuścili wzrok.

- Szczek-szczek - powiedział Gaspode, Cudowny Pies. Dibbler obejrzał się.

- Co to za hałas? - zapytał.

- To tylko... to tylko pies. Znaleźliśmy go tutaj - wyjaśnił pospiesznie Victor. - Nazywa się Gaspode. Na pamiątkę słynnego Gaspode, wie pan.

- Umie robić sztuczki - dodała złośliwie Ginger.

- Piec cyrkowy? - Dibbler schylił się i poklepał Gaspode po głowie.
- Wark-wark.
- Zdziwiłby się pan, widząc, co potrafi - zapewnił Victor.
- Bardzo by się pan zdziwił - przyznała Ginger.
- Co prawda brzydki jest, jak nie wiem co... - Dibbler przyjrzał się Gaspode uważnie. Równie dobrze mógłby wyzywać stonogę na turniej kopania w tyłek. W pojedynku spojrzeń Gaspode potrafił zwyciężyć lustro.

Dibbler wyraźnie wpadł na jakiś pomysł.

- A wiecie... Przyprowadźcie go rano. Ludzie lubią się pośmiać - rzekł.
- On jest bardzo śmieszny - zapewnił Victor. - Popłakać się można.

Ruszyli dalej. Po chwili Victor usłyszał za sobą cichy głos:

- Dorwę cię za to. A poza tym jesteś mi winien dolara.
- Za co?
- Honorarium agenta - wyjaśnił Gaspode, Cudowny Pies.

Nad Świętym Gajem świeciły gwiazdy. Były to ogromne kule wodoru, rozgrzane do milionów stopni, tak gorące, że nie mogły się nawet palić. Wiele z nich miało powiększyć się wielokrotnie przed śmiercią, a potem skurczyć do maleńkich, urażonych karłów, pamiętanych jedynie przez sentymentalnych astronomów. Tymczasem jednak błyszczały dzięki metamorfozom będącym poza zasięgiem alchemików i zmieniały zwykłe, nieciekawe pierwiastki w światło.

W Ankh-Morpork jak zwykle padał deszcz. Najstarsi magowie zebrali

się wokół dzbana ze słoniami. Na rozkaz Ridcully'ego przeniesiono go z powrotem na korytarz.

- Pamiętam Riktora - oświadczył dziekan. - Chudy taki. Trochę jednotorowy umysł. Ale sprytny.

- Hę, hę. Pamiętam jego mysi licznik - odezwał się Windle Poons ze swego starożytnego wózka inwalidzkiego. - Liczył myszy.

- Sam dzban to... - zaczął kwestor i urwał. - Co to znaczy: liczył myszy? Wsuwało się je do środka na małym taśmociągu czy jak?

- Nie. Trzeba było go nakręcić, rozumiesz, a potem warczał cicho i liczył wszystkie myszy w budynku, mm... i wysuwały się małe kółka z cyferkami.

- Po co?

- Myślę, że po prostu chciał policzyć wszystkie myszy. Kwestor wzruszył ramionami.

- Ten dzban - stwierdził - to dość stara waza Ming. Czekał z napięciem.

- Dlaczego się nazywa Ming? - zapytał nadrektor, jakby na dany znak.

Kwestor stuknął w dzban, który zadźwięczał: ming!

- I te wazy plują na ludzi ołowianymi kulkami, tak? - upewnił się Ridcully.

- Nie, mistrzu. Riktor wykorzystał ją tylko, żeby włożyć do środka, włożyć... mechanizm. Jakiś mechanizm. Który coś robi.

...whumm...

- Chwileczkę... Zakołysał się... - powiedział dziekan.

...whumm... whumm...

Magowie spojrzeli po sobie, nagle zdjęci paniką.

- Co się dzieje? Co się dzieje? - pytał nerwowo Windle Poons. -
Dlaczego nikt, mm... nie chce mi powiedzieć, co się dzieje?

...whumm... whumm...

- Uciekajmy! - zaproponował dziekan.

- Którędy? - chciał wiedzieć kwestor.

...whummWHUMM...

- Jestem starym człowiekiem i żądam, żeby mi wytłumaczyć... Cisza.

- Kryć się! - krzyknął nadrektor.

Plib!

Coś odłupało okruch kamienia z kolumny za jego plecami.

Podniósł głowę.

- Na bogów, mieliśmy szczęście, że...

Plib!

Druga kulka ścieła mu czubek kapelusza.

Przez kilka minut drżący magowie leżeli na posadzce.

- Myślicie, że to już wszystko? - zapytał w końcu dziekan. Nadrektor podniósł głowę. Twarz, zawsze czerwona, teraz wręcz mu błyszczała.

- Kwestoor!

- Tak, mistrzu?

- To właśnie nazywam strzelaniem!

Victor odwrócił się na drugi bok.

- Wzstf - powiedział.

- Już szósta rano, trzeba wstać i cieszyć się dniem! Tak mówi pan Dibbler - oznajmił Detrytus. Chwycił pościel i ściągnął ją na podłogę.

- Szósta rano? To jeszcze noc! -jęknął Victor.

- Pan Dibbler mówi, że czeka nas długi dzień - wyjaśnił troll.

- Pan Dibbler mówi, że masz być na planie o wpoi do siódmej. Tak będzie.

Victor wciągnął spodnie.

- Mam prawo do śniadania? - spytał z sarkazmem.

- Pan Dibbler mówi, że pan Dibbler kazał przygotować jedzenie - odparł Detrytus.

Pod łóżkiem coś cicho zarzęziło. Gaspode wynurzył się w obłoku zapachów starego dywanu i zabrał się do porannego drapania.

- Co... - zaczął i zobaczył trolla. - Szczek-szczek - poprawił się zaraz.

- O, mały piesek! - ucieszył się Detrytus. - Lubię małe pieski.

- Hau.

- Na surowo - dodał troll.

Nie zdołał jednak wyrazić głosem należytej złośliwości. Wizja Ruby w boa z piór i paru akrach czerwonego aksamitu falowała mu w myślach.

Gaspode energicznie drapał się w ucho.

- Hau - powiedział cicho. - Tonem dyskretnej groźby - dorzucił jeszcze, kiedy Detrytus wyszedł.

Kiedy zjawił się Victor, zbocze wzgórza roiło się od ludzi. Wzniesiono parę namiotów. Ktoś trzymał wielbłąda. Kilka demonów w klatce mamrotało w cieniu drzewa.

Pośrodku tego chaosu stali Dibbler i Silverfish. Kłócili się. Dibbler obejmował Silverfisha za ramiona.

- To go zdradza. Ten gest - oświadczył głos z poziomu kolan Victora. - A przez te lepkie łapy fiedak fędzie musiał oddać rzeczy do pralni.

- Dla ciebie to awans, Tom - mówił Dibbler. - Pomyśl, jak wielu ludzi w Świętym Gaju może nazywać się wiceprezesami do spraw kierowniczych?

- Tak, ale to jest moja firma! - krzyczał Silverfish.

- Oczywiście. Oczywiście. To właśnie oznacza tytuł wiceprezesa do spraw kierowniczych.

- Naprawdę?

- Czy kiedykolwiek cię okłamałem? Silverfish zmarszczył brwi.

- No... Wczoraj na przykład mówił pan...

- Ale metaforycznie - uzupełnił Dibbler szybko,

- Aha. No tak. Metaforycznie? Chyba nie...

- Sam widzisz. A teraz... Gdzie ten malarz? Dibbler odwrócił się, wywołując wrażenie, że Silverfish został nagle wyłączony.

Podbiegł jakiś człowiek z teczką pod pachą.

- Słucham, panie Dibbler...

Gardło wyjął z kieszeni skrawek papieru.

- Afisze mają być gotowe na dziś wieczór, jasne? - polecił. - Tutaj masz tytuł migawki.

- Cienie wśród pisków - przeczytał malarz. Zmarszczył brwi. Był wykształcony ponad potrzeby Świętego Gaju. - To o myszach? -zapytał.

- O piaskach - rzucił Dibbler, ale właściwie go nie słuchał. Szedł już na spotkanie Victora. -Victor! - zawołał. - Mój chłopcze!

- Dorwało go - stwierdził spokojnie Gaspode. - Gorzej niż innych tutaj, moim zdaniem.

- Co go dorwało? - syknął Victor. - I skąd o tym wiesz?

- Częściowo dzięki suftelnym ofjawom, których najwyraźniej nie potrafisz dostrzec. A częściowo dlatego, że zachowuje się jak zupełny czufek.

- To świetnie, że cię widzę - cieszył się Dibbler. Oczy błyszczały mu szaleńczo.

Objął Victora za ramiona i na wpół poprowadził, na wpół powlókł w stronę namiotów.

- To będzie wspaniały obraz - zapewnił.

- Dobrze - odparł słabym głosem Victor.

- Grasz herszta bandytów - tłumaczył Dibbler. - Ale miłego chłopca, grzecznego dla dam i w ogóle; napadasz na tę wioskę i porywasz niewolnicę, a kiedy patrzysz jej w oczy, rozumiesz, od razu się zakochujesz, potem następuje atak i setki ludzi na słoniach ruszają do szturmu...

- Na wielbłądach - poprawił chudy młodzik za plecami Dibblera. - To są wielbłądy.

- Zamawiałem słonie!

- Ale dostałeś wielbłądy.

- Wielbłądy czy słonie... - mruknął lekceważąco Dibbler. - Chodzi o egzotykę, jasne? I...

- I mamy tylko jednego - dokończył chłopak.

- Jednego co?

- Wielbłąda. Znaleźliśmy tylko jednego wielbłąda.

- Ale mam tu dziesiątki facetów w prześcieradłach na głowach! Wszyscy czekają na wielbłądy! - wrzasnął Dibbler i zamachał rękami. - Mnóstwo wielbłądów. Zrozumiano?

- Mamy tylko jednego wielbłąda, ponieważ w Świętym Gaju jest tylko jeden wielbłąd, a i to tylko dlatego że pewien człowiek z Klatchu jechał na nim przez całą drogę.

- Dlaczego nie posłałeś po więcej?

- Pan Silverfish powiedział, że nie trzeba. Dibbler zawarczał.

- Może jeśli zacznie się szybko ruszać, będzie wyglądał jak więcej wielbłądów - pocieszył go chłopak.

- Może przejechać na wielbłądzie przed pudłem obrazkowym, potem korbowy zatrzyma demony, przeprowadzimy wielbłąda z powrotem, wsadzimy innego jeźdźcę, znowu uruchomimy pudło i przejedzie jeszcze raz? - zaproponował Victor. - Można tak zrobić?

Dibbler patrzył na niego z szeroko otwartymi ustami.

- A nie mówiłem? - rzekł, zwracając się do nieba. - Chłopak jest

geniuszem. W ten sposób możemy mieć sto wielbłądów za cenę jednego, mam rację?

- Ale to by znaczyło, że bandyci na pustyni jeżdżą gęsiego - zauważył chłopak. - Nie wygląda to jak, no wiesz, zmasowany atak.

- Pewnie, pewnie. - Dibbler machnął ręką. - To ma sens. Wystawimy planszę, że ich herszt mówi... mówi... - Zastanowił się szybko. - Mówi: „Za mną, jeden za drugim, bwanas, żeby oszukać znienawidzonego wroga”. Może być?

Skinął na Victora.

- Poznałeś już mojego bratanka Solla? - zapytał. - Bystry chłopak. Prawie chodził do szkoły i w ogóle. Sprowadziłem go wczoraj. Jest wiceprezesem do spraw produkcji obrazków.

Soli i Victor kiwnęli sobie głowami.

- „Bwanas” to chyba nie jest dobre słowo, wujku - stwierdził Soli.

- Przecież to po klatchiańsku.

- Formalnie rzecz biorąc tak, ale z niewłaściwej części Klatchu. Może „efendiowie” albo co?

- Byle brzmiało zagranicznie - zdecydował Dibbler tonem świadczącym, że sprawa jest zakończona. Raz jeszcze poklepał Victora po plecach. - No dobrze, mały, wskakuj w swój kostium. - Zachichotał. - Sto wielbłądów! Co za głowa!

- Przepraszam, panie Dibbler - odezwał się malarz plakatów, czekający nerwowo za nimi. - Nie rozumiem tego kawałka... Dibbler wyrwał mu papier.

- Którego? - burknął.

- Tego, gdzie opisuje pan pannę De Syn...

- To oczywiste. Chcemy wywołać egzotyczny, kuszący, romantyczny,

choć daleki obraz Klatchu pełnego piramid. Jasne? Musimy zatem użyć symbolu tajemniczego, nieznanego kontynentu, jasne? Czy wszystkim muszę bez przerwy wszystko tłumaczyć?

- Myślałem tylko... - zaczął malarz.

- Rób to i nie gadaj!

Malarz spojrzał na skrawek papieru.

- O twarzy - przeczytał - godnej Finxa.

- Właśnie - zgodził się Dibbler. - Bardzo dobrze.

- Pomyślałem, że może chodzi o Sfinksa...

- Można powiedzieć: „twarz jak z Finxa”, ale „godna Finxa” lepiej brzmi. To był ten artysta, który rzeźbił klatchiańskie piękności. I różne stwory. A teraz do roboty. Te afisze mają wisieć na mieście jutro o świcie.

Malarz rzucił mu udręczone spojrzenie, które Victor zaczynał już rozpoznawać. Po pewnym czasie wszyscy w otoczeniu Dibblera tak patrzyli.

- Oczywiście, panie Dibbler - powiedział.

- I dobrze. - Dibbler zwrócił się do Victora. - Dlaczego się nie przebrałeś?

Victor szybko ukrył się w namiocie. Starsza pani[10] o kształtach bezy pomogła mu włożyć kostium zrobiony chyba z prześcieradeł, niewprawnie pofarbowanych na czarno. Chociaż, biorąc pod uwagę stan pokoiów noclegowych w Świętym Gaju, były to prawdopodobnie zwykłe prześcieradła, ściągnięte z przypadkowo wybranych łóżek. Potem wręczyła mu zakrzywiony miecz.

- Dlaczego jest krzywy? - zapytał.

- Myślę, że taki miał być, mój drogi - odparła bez przekonania.

- Sądziłem, że miecze muszą być proste - mruknął Victor. Z zewnątrz słyszał Dibblera, który pytał niebo, dlaczego wszyscy są tacy głupi.

- Może zaczynają jako proste, a potem krzywią się od zużycia - powiedziała starsza pani i poklepała go po ręku. - Jak wiele innych rzeczy.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Jeśli jesteś już gotów, mój drogi, pójdę pomóc tej młodej panience, żeby jej nie podglądały żadne skrzaty.

Wyszła. Z sąsiedniego namiotu zabrzmiało metaliczne brzękanie i płaczliwy głos Ginger.

Victor na próbę ciął kilka razy mieczem. Gaspode obserwował go, przechylając głowę.

- Kim nify masz ryć? - zapytał.

- Hersztem bandy pustynnych robójników. Romantycznym i rozbajającym.

- Kogo rozbajającym?

- Po prostu rozbajającym. Tak ogólnie. Gaspode, o co ci chodziło, kiedy mówiłeś, że coś dorwało Dibblera? Pies przygryzł łapę.

- Przyjrzyj się, jakie ma oczy - poradził. - Jeszcze gorsze niż ty.

- Ja? Co ci się nie podoba w moich oczach? Troll Detrytus wsunął głowę pod klapę namiotu.

- Pan Dibbler mówi, że jesteś potrzebny teraz - oznajmił.

- Moje oczy - mruczał Victor. - Co z moimi oczami?

- Hau.

- Pan Dibbler mówi... - zaczął Detrytus znowu.

- Dobrze, dobrze! Już idę!

Wyszedł z namiotu w tej samej chwili, kiedy Ginger stanęła przed swoim. Zamknął oczy.

- Ojej, przepraszam - wymamrotał. - Wrócę i zaczekam, aż się ubierzesz...

- Jestem ubrana.

- Pan Dibbler mówi... - powtórzył jeszcze raz Detrytus.

- Chodź. - Ginger złapała Victora za rękę. - Wszyscy na nas czekają.

- Ale jesteś... Twoje... -Victor spuścił wzrok, co jednak niewiele pomogło. - Masz pępek w swoim diamencie - zaryzykował.

- Już się przyzwyczaiłam - odparła Ginger. Wzruszyła ramionami, żeby wszystkie elementy kostiumu jakoś się poukładały. - Tylko te dwie pokrywki od rondli naprawdę mi przeszkadzają. Teraz rozumiem, jak cierpiały nieszczęśne dziewczęta w haremach.

- I nie przeszkadza ci, że ludzie cię tak zobaczą? - zdziwił się Victor.

- A czemu? To przecież ruchome obrazki. Nic tu nie jest naprawdę. Zresztą byłbyś zdumiony wiedząc, do czego muszą się posuwać dziewczęta za o wiele mniej niż dziesięć dolarów dziennie.

- Dziewięć - poprawił ją Gaspode, następujący Victorowi na pięty.

- Zbierzcie się wszyscy! - krzyknął przez tubę Dibbler. - Synowie Pustyni tam, jeśli można. Niewolnice... Gdzie są niewolnice? Dobrze. Korbowi?

- Nigdy nie widziałam tylu ludzi w jednej migawce - szepnęła Ginger. - To musiało kosztować więcej niż sto dolarów!

Victor przyjrzał się Synom Pustyni. Wyglądali, jakby Dibbler zajrzał do Borge'a i wynajął dwadzieścia osób siedzących najbliżej drzwi, nie

dbając o to, czy się nadają. A potem dał im to, co uważał za nakrycie głowy pustynnego bandyty. Byli wśród nich trollowi Synowie Pustyni - Skallin poznał go i pomachał dyskretnie ręką, krasnoludzi Synowie Pustyni oraz włokący się na końcu mały, kudłaty i drapiący się wściekle Syn Pustyni w nakryciu głowy sięgającym mu do łap.

- ...chwytniesz ją, zostajesz oczarowany jej urodą, potem przerzucasz przez łąk - przedarły się do jego świadomości instrukcje Dibblera.

Victor rozpaczliwie powtórzył je sobie w pamięci.

- Przez co? - zapytał.

- To część siodła - syknęła Ginger.

- Aha.

- A potem odjeżdżasz w noc, z Synami Pustyni podążającymi za tobą i śpiewającymi różną piosenkę pustynnych rozbójników...

- Nikt ich nie usłyszy - dodał Soli tonem wyjaśnienia. - Ale jeśli będą otwierać i zamykać usta, pomoże to stworzyć, no wiecie, atmosferę.

- Przecież to nie pasuje - zauważyła Ginger. - Jest jasny dzień. Dibbler wytrzeszczył na nią oczy. Raz czy dwa razy bezgłośnie otworzył usta.

- Soli! - wrzasnął.

- Nie możemy kręcić w nocy, wuju - odparł pośpiesznie bratanek. - Demony nic nie będą widziały. Ale możemy przecież pokazać planszę z napisem „Noc” na początku sceny, żeby...

- To nie jest magia ruchomych obrazków - warknął Dibbler. - To tylko jakieś nędzne sztuczki.

- Przepraszam - wtrącił Victor. - Przepraszam, ale to chyba bez znaczenia. Demony na pewno mogłyby namalować niebo czarne i z gwiazdami.

Wszyscy umilkli. Dibbler spojrzał na Halogena.

- Mogą? - zapytał.

- Nie - odparł krótko korbowy. - I tak wściekle trudno je zmusić, żeby malowały to, co widzą. Co tu gadać o tym, czego nie widzą.

Dibbler podrapał się w nos.

- Jestem skłonny do negocjacji - rzekł. Korbowy wzruszył ramionami.

- Nie zrozumiał pan, panie Dibbler. Po co im pieniądze? Tylko by je zjadły. A jeśli zaczniemy im tłumaczyć, żeby malowały to, czego nie ma, zaczną się poważne...

- To może będzie bardzo jasny księżyc? - zaproponowała Ginger. - W pełni?

- Rozsądny pomysł - pochwalił ją Dibbler. - Zrobimy planszę, na której Victor mówi do Ginger coś w rodzaju: Jakże jasny księżyc świeci tej nocy, bwana”.

- Coś w tym rodzaju - zgodził się dyplomatycznie Soli.

Nadeszło południe. Wzgórze Świętego Gaju jaśniało w blasku słońca niczym częściowo wyzuta guma do żucia o smaku szampana. Korbowi kręcili korbami, statyści z entuzjazmem biegali tam i z powrotem, Dibbler wściekał się na wszystkich, a historia kinematografii tworzyła się za pomocą ujęcia trzech krasnoludów, czterech ludzi, dwóch trolli i psa, dosiadających tego samego wielbłąda i wrzeszczących ze zgrozą, żeby się zatrzymał.

Victor został zwierzęciu przedstawiony. Wielbłąd mrugał, trzepocząc długimi rzęsami. Ślinił się, jakby żuł mydło. Klęczał i sprawiał wrażenie wielbłąda, który ma za sobą ciężki ranek i dla nikogo nie będzie się wysilał. Kopnął już trzech ludzi.

- Jak ma na imię? - zapytał ostrożnie Victor.

- Nazywamy go Złośliwym Psim Synem - odparł nowo mianowany wiceprezes do spraw wielbłądów.

- Nie brzmi to jak imię.

- Dla wielbłąda to bardzo dobre imię - zapewnił z przekonaniem poganiacz.

- Nie ma nic złego w fyciu psim synem - odezwał się jakiś głos za ich plecami. - Sam jestem psim synem. Mój ojciec też był psim synem, ty frudny łofuzie w nocnej koszuli.

Poganiacz uśmiechnął się nerwowo do Victora i obejrzał. Za nim nie było nikogo. Spojrzał w dół.

- Hau - powiedział Gaspode i pomachał czymś, co prawie było ogonem.

- Słyszałeś, jak ktoś coś mówił? - spytał niepewnie poganiacz.

- Nie - odparł Victor. Pochylił się do ucha wielbłąda i szepnął, na wypadek gdyby był to specjalny wielbłąd ze Świętego Gaju: - Bądźmy przyjaciółmi. Zgoda?

Złośliwy Psi Syn zastrzygł uchem grubym jak dywan[11].

- Jak się na nim jeździ?

- Kiedy chcesz jechać do przodu, klniesz na niego i walisz kijem, a kiedy chcesz się zatrzymać, klniesz na niego i mocno walisz kijem.

- A gdybym chciał skrócić?

- To jest pytanie z podręcznika dla zaawansowanych. Najlepiej wtedy zsiąść i odwrócić go ręcznie.

- Jesteście gotowi?! - ryknął Dibbler przez tubę. - Masz podjechać do

namiotu, zeskoczyć z wielbłąda, pokonać wielkich eunuchów, wedrzeć się do środka, wyciągnąć dziewczynę, wskoczyć na wielbłąda i odjechać. Zrozumiałeś? Dasz radę?

- Jakich wielkich eunuchów? - spytał Victor, wsiadając. Wielbłąd zaczął wolno rozplątywać nogi i podnosić się z piasku. Jeden z wielkich eunuchów nieśmiało podniósł rękę.

- To ja, Morry - powiedział.

- Aha. Cześć, Morry.

- Cześć, Vic.

- I ja, Skallin - dodał drugi wielki eunuch.

- Cześć, Skallin.

- Cześć, Vic.

- Wszyscy na miejsca - polecił Dibbler. - Zaraz... O co chodzi Skallin?

- Tego... Zastanawiałem się, panie Dibbler... Jaka jest moja motywacja w tej scenie?

- Motywacja?

- Tak. Właśnie... Muszę to wiedzieć, rozumie pan.

- To może: wyrzucę cię, jeśli nie zagrasz jak należy? Skallin uśmiechnął się szeroko.

- Słuszna racja, panie Dibbler - stwierdził.

- W porządku - rzucił Dibbler. - Wszyscy gotowi? Kręcimy!

Złośliwy Psi Syn odwrócił się niezgrabnie, wystawiając nogi pod dziwacznymi wielbłądzimi kątami, po czym ruszył skomplikowanym truchtem.

Korba wykonała obrót...

Powietrze zamigotało.

I Victor się obudził. Przypominało to powolne wynurzenie się z różowego obłoku albo cudowny sen, który - choćby nie wiem jak się starać - ulated się z umysłu, kiedy wkracza dzień, i pozostawia tylko dojmujące poczucie straty; człowiek instynktownie wie, że nic, ale to nic, co może go spotkać w ciągu dnia, nie będzie nawet w połowie tak przyjemne jak to we śnie.

Zamrugął. Wizje odpłynęły. Zdał sobie sprawę z bólu mięśni - jakby niedawno je nadwerężył.

- Co się stało? - wymamrotał. Spuścił wzrok.

- Oj - powiedział.

Powierzchnia ledwie okrytego poślodka zajęła miejsce, gdzie uprzednio znajdowała się wielbłądzia szyja. Była to znaczna poprawa.

- Dlaczego leżę na wielbłądzie? - spytała Ginger lodowatym tonem.

- Mnie nie pytaj. A nie chciałaś?

Zsunęła się na piasek i spróbowała poprawić kostium.

W tej właśnie chwili oboje uświadomili sobie, że mają publiczność.

Był Dibbler. Był bratanek Dibblera. Był korbowy. Byli statyści. Byli rozmaici wiceprezesi i inni ludzie, najwyraźniej przywołani do istnienia przez sam fakt kreacji ruchomych obrazków[12]. I był Gaspode, Cudowny Pies.

I wszyscy - z wyjątkiem psa, który chichotał - rozdziawiali usta.

Korbowy wciąż kręcił korbą. Wreszcie spojrzał na swą dłoń, jakby widział ją pierwszy raz w życiu, i znieruchomiał.

Dibbler wyrwał się chyba z transu czy też tego, w czym był pogrążony.

- Ho, ho... - powiedział. - Nieźle.

- Magia - szepnął Soli. - Prawdziwa magia. Dibbler szturchnął korbowego.

- Masz to wszystko? - upewnił się.

- Co wszystko? - spytali chórem Ginger i Victor.

Wtedy dopiero Victor zauważył, że Morry siedzi na piasku i ma odłupany spory kawałek ramienia. Skallin nakładał coś do rany. Troll zauważył minę Victora i rzucił mu mdły uśmieszek.

- Myślisz, że jesteś Cohenem Barbarzyńcą, co? - mruknął.

- Właśnie - poparł go Skallin. - Wcale nie musiałeś go tak nazywać, jak nazwałeś. A gdybyś dalej chciał tak fikuśnie machać mieczem, to zażądamy dodatkowego dolara dziennie jako wynagrodzenia za Odłupywanie Różnych Kawałków.

Miecz Victora miał na kłindze kilka szczerb. A Victor w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, skąd się tam wzięły.

- Słuchajcie - rzekł zrozpaczony. - Niczego tu nie rozumiem. Nikogo nijak nie nazywałem. Czy zaczęliśmy już kręcić?

- Siedzę spokojnie w namiocie, a w następnej chwili oddycham wielbłądzią sierścią - rzekła nadąsana Ginger. - Czy za wiele wymagam, kiedy chcę się dowiedzieć, co się dzieje?

Zdawało się, że nikt ich nie słucha.

- Dlaczego nie ma sposobu, żeby dołączyć dźwięk? - narzekał Dibbler.
- To był świetny dialog. Nie zrozumiałem ani słowa, ale dobry dialog umiem

rozpoznać od razu.

- Papugi - odparł spokojnie korbowy. - Takie zwykłe howondalandzkie zielone. Zadziwiające ptaki. Mają pamięć jak słonie. Wystarczy zebrać parę tuzinów różnej wielkości, a mamy pełny zestaw wokalny...

Pograżyli się w technicznej dyskusji.

Victor zsunął się z grzbietu wielbłąda i przemknął pod jego szyją, żeby dotrzeć do Ginger.

- Posłuchaj - szepnął z naciskiem. - To zupełnie tak jak poprzednio. Tylko mocniej. Jak we śnie. Korbowy zaczął robić obrazki, a reszta była jak sen.

- Tak, ale co my robiliśmy? - spytała.

- Robiliście tyle - odparł Skallin - że Victor pogalopował wielbłądem pod sam namiot, zeskoczył, ruszył na nas jak wiatrak...

- ...skakał po kamieniach i śmiał się... - uzupełnił Morry.

- Tak. I powiedziałaś do Morry'ego: „A masz, Ohydny Czarny Sługusie” - mówił dalej Skallin. - A potem walnąłeś go mieczem w ramię, aż zabrzęczało, wyciąłeś dziurę w namiocie...

- Szymierka była niezła - pochwalił Morry. - Trochę na pokaz, ale całkiem niezła.

- Przecież ja nie potrafię... - zaczął Victor.

- ...i ona leżała tam cała sennie mentalna, a ty porwałś ją, a ona powiedziała...

- Sennie mentalna? - powtórzyła niepewnie Ginger.

- Sentymentalna - wyjaśnił Victor. - Jemu chodziło o sentymentalną.

- ...ona powiedziała: „Ależ to Złodziej z... Złodziej z...” - Skallin

zawahał się. - Bok Taty, tak chyba mówiłaś.

- Bak Dziada - poprawił go Morry, rozcierając ramię.

- Właśnie; a potem powiedziała: „Grozi ci wielkie niebezpieczeństwo, gdyż ojciec mój przysiągł, że cię zabije”, a ty na to: „Teraz, najpiękniejsza róžo, mogę ci wyznać, że w istocie jest Cieniem Pustyni...”.

- Jak to: sentymentalna? - spytała podejrzliwie Ginger.

- I jeszcze: „Uciekaj ze mną do kazby” czy jakoś tak, a potem dałeś jej to coś, no, to co wy, ludzie, robicie z wargami...

- Gwizdnąłem? - spytał Victor bez wielkiej nadziei.

- Nie, to drugie. Brzmi jak korek wyskakujący z butelki.

- Pocałunek - stwierdziła zimno Ginger.

- O, właśnie. Nie znam się na tym specjalnie - przyznał Skallin - ale miałem wrażenie, że trwa dość długo. Bardzo był, no wiecie, pocałunkowy.

- Mnie tam się wydawało, że potrzebne fędzie wiadro wody - odezwał się cichy psi głos.

Victor kopnął do tyłu, ale nie trafił.

- Później znowu wskoczyłeś na wielbłąda, wciągnąłeś ją, a pan Dibbler zaczął krzyczeć: „Stop! Stop! Co się tu dzieje, do demona, dlaczego nikt mi nie mówi, co się tu dzieje” - tłumaczył Skallin. - A wtedy ty powiedziałeś: „Co się stało?”.

- Nie wiem, kiedy ostatnio widziałem taką szermierkę - oświadczył Morry.

- Tego... Dziękuję - odparł Victor.

- I te krzyki: „Ha!” i „A masz, psie”. Bardzo profesjonalne.

- Rozumiem - mruknął Victor. Sięgnął w bok i chwycił Ginger za rękę.
- Musimy porozmawiać - szepnął. - Na osobności. Za namiotem.

- Jeśli myślisz, że pójde gdzieś z tobą sama... - zaczęła.

- Słuchaj, to nie pora, żeby się zachowywać jak... Victor poczuł ciężką dłoń na ramieniu. Obejrzał się i zobaczył sylwetkę Detrytusa, przesłaniającą cały świat.

- Pan Dibbler chce, żeby nikt nie odchodził - oznajmił troll. -Wszyscy zostają, dopóki pan Dibbler nie powie.

- Straszne z tobą utrapienie - westchnął Victor.

Detrytus obdarzył go szerokim, wysadzonym klejnotami uśmiechem[13].

- Pan Dibbler mówi, że mogę zostać wiceprezesem - pochwalił się.

- Do jakich spraw?

- Do spraw wiceprezesów.

Gaspode, Cudowny Pies, zawarczał cicho w głębi krtani. Wielbłąd, leniwie obserwujący niebo, przesunął się trochę i nagle kopnął z całej siły, trafiając Detrytusa w kark. Troll jęknął. Gaspode obrzucił cały świat spojrzeniem pełnym usatysfakcjonowanej niewinności.

- Chodź - rzekł stanowczo Victor. - Póki troll szuka czegoś, czym mógłby uderzyć wielbłąda.

Po chwili usiedli w cieniu za namiotem.

- Chciałam tylko zaznaczyć - oznajmiła zimno Ginger - że nigdy w życiu nie starałam się wyglądać sentymentalnie.

- Może warto spróbować - mruknął Victor.

- Słucham?

- Przepraszam. Wiesz, nie rozumiem, co każe nam tak się zachowywać. Przecież ja nie potrafię używać miecza. Zawsze tylko machałem nim dookoła. Co wtedy czułaś?

- Wiesz... Tak jak się czujesz, kiedy nagle słyszysz, że ktoś coś mówi, i zdajesz sobie sprawę, że śniłeś na jawie.

- Jakby własne życie odpływało i jakieś inne zajmowało jego miejsce.

Zastanawiali się w milczeniu.

- Myślisz, że to ma jakiś związek ze Świętym Gajem? - spytała po chwili.

Victor przytaknął. Nagle rzucił się w bok i wylądował na Gaspode, który obserwował ich pilnie.

- Auu! - powiedział Gaspode.

- Dość tych aluzji - syknął mu Victor prosto do ucha. - Co takiego w nas zauważyłeś? Bo inaczej oddam cię Detrytusowi. Z musztardą.

Pies wił się w uścisku.

- Albo możemy ci założyć kaganiec - zaproponowała Ginger.

- Nie jestem groźny! - jęczał Gaspode, drapiąc pazurami piasek.

- Moim zdaniem gadający pies jest bardzo groźny - stwierdził Victor.

- Straszliwie - potwierdziła Ginger. - Nigdy nie wiadomo, co powie.

- Widzisz? Widzisz? - poskarżył się żałośnie Gaspode. - Wiedziałem. Jak tylko pokażę, że umiem mówić, fędę miał same kłopoty. Coś takiego nie powinno spotykać porządnego psa.

- Ale spotka - zagroził Victor.

- No dofrze, dofrze - wymruczał Gaspode. - Chociaż nie wiem, co wam

z tego przyjdzie.

Victor puścił go. Gaspode usiadł i otrzepał się z piasku.

- I tak nie zrozumiecie - narzekał. - Inny pies fy zrozumiał, ale nie wy. Widzicie, chodzi o doświadczenie gatunkowe. Jak całowanie. Wy wiecie, jak to jest, a ja nie. To nie należy do psich doświadczeń. - Zauważył ostrzegawcze spojrzenie Victora i wrócił do tematu: - Chodzi o to, że wyglądacie, jakfy tutaj fyło wasze miejsce. - Przyglądał im się przez chwilę. - Widzicie? Widzicie? Mówiłem, że nic z tego nie fędzie. Chodzi o... o terytorium, jasne? Przejawiacie wszystkie oznaki fycia właśnie tam, gdzie fyc powinniście. Prawie każdy tutaj jest ofcy, oprócz was. Hm... Na przykład, na pewno zauważyliście, że niektóre psy szczekają na was, kiedy jesteście w nowym miejscu. To nie tylko zapach; mamy taki zadziwiający zmysł przemieszczenia. Tak jak niektórzy ludzie źle się czują, kiedy widzą krzywo powieszony ofrazek. To coś w tym rodzaju, tylko gorzej. I tutaj... tak jakfy jedynym miejscem, gdzie powinniście się znaleźć w tej chwili, fyło właśnie to.

Raz jeszcze przyjrzał się im z uwagą, po czym podrapał się w ucho.

- Do licha - mruknął. - Kłopot polega na tym, że umiem to wytłumaczyć po psiemu, ale wy słuchacie tylko ludzkiego.

- Brzmi dość tajemniczo - uznała Ginger.

- Mówiłeś coś o moich oczach - przypomniał Victor.

- A tak. Przyglądałeś się swoim oczom? - Gaspode skinął głową na Ginger. - Ty też, panienko.

- Nie bądź głupi - zirytował się Victor. - Jak mogę się przyglądać własnym oczom?

Gaspode potrząsnął łbem.

- Możecie ofejrzeć je sofie nawzajem - zaproponował. Spojrzeli na siebie odruchowo.

Trwało to długą chwilę. Gaspode wykorzystał ją, by głośno oddać moc na kołek namiotu.

- O rany - szepnął w końcu Victor.

- Moje też? - upewniła się Ginger.

- Tak. Czy to boli?

- Powinieneś wiedzieć.

- Sami widzicie - odezwał się Gaspode. - I przyjrzyjcie się Difflerowi, kiedy znów go spotkacie. Ale dokładnie się przyjrzyjcie. Victor przetarł oczy, które zaczynały mu łzawić.

- To tak jakby Święty Gaj wezwał nas tutaj, coś z nami zrobił i jeszcze nas...

- ...napiętnował - dokończyła Ginger z goryczą. - Właśnie tak.

- Kiedy to, hm, wygląda całkiem atrakcyjnie - zapewnił ją szarmancko Victor. - Jakby się skrzyły. Cień upadł na piasek.

- A, tu jesteście - ucieszył się Dibbler.

Kiedy wstali, objął oboje za ramiona i lekko uściskał.

- Wy, młodzi, zawsze gdzieś się chowacie razem - powiedział żartobliwie. - Piękna rzecz. Wspaniała rzecz. Bardzo romantyczna. Ale musimy kończyć migawkę, a na planie wielu ludzi czeka już tylko na was, więc bierzmy się do pracy.

- Widzisz, o co mi chodziło? - wymruczał cichutko Gaspode. Kiedy się wiedziało, czego szukać, nie można było nie zauważyć. W samym środku oczu Dibblera tkwiły maleńkie złote gwiazdki.

W sercu wielkiego czarnego kontynentu Klatchu powietrze było ciężkie, ciężarne obietnicą nadchodzącego monsunu.

Żaby rechotały w sitowiu[14] na brzegach leniwej, brunatnej rzeki. Krokodyle drzemały na błotnistych mieliznach.

Natura wstrzymywała oddech.

Z gołębnika Azhurala N'choate, handlarza bydła, rozległo się gruchanie. Azhural przerwał drzemkę na werandzie i poszedł sprawdzić, jaka jest przyczyna takiego podniecenia.

W rozległych zagrodach za chatą czekało kilka wyliniałych, gnuśnych gnu, przeznaczonych do szybkiej sprzedaży. Ziewały i przeżuwały w upale. Teraz ze zdumieniem podniosły głowy, gdy N'choate jednym skokiem pokonał stopnie werandy i pognął w ich stronę.

Okrażył zagrody zebr i stanął przed swym asystentem, M'Bu, który powoli czyścił zagrodę strusi.

- Ile... - urwał i zaczął rzeźić.

M'Bu, który miał dwanaście lat, rzucił łopatę i z całej siły klepnął go po karku.

- Ile... - spróbował jeszcze raz Azhural.

- Znowu się szef przepracował? - spytał zatroskany M'Bu.

- Ile mamy słoni?!

- Właśnie z nimi skończyłem. Mamy trzy.

- Jesteś pewien?

- Tak, szefie - odparł spokojnie chłopak. - Trzy słonie łatwo policzyć.

Azhural przykucnął na czerwonej zapylonej ziemi i zaczął kreślić patykiem cyfry.

- Stary Muluccai musi mieć przynajmniej pół tuzina - mamrotał. - A Tazikel trzyma zwykle koło dwudziestu. Ludzie w delcie mają pewnie...

- Ktoś chce słoni, szefie?

- ...ma piętnaście sztuk, tak mówił, a dochodzi jeszcze obóz drwali, sprzedadzą chyba tanio, powiedzmy: dwa tuziny...

- Ktoś chce dużo słoni, szefie?

- ...mówił, że koło T'etse jest całe stado, nie powinno być problemów, potem wszystkie doliny aż do... M'Bu oparł się o płot i czekał.

- Koło dwustu... dziesięć więcej czy mniej, nieważne. - Azhural odrzucił patyk. - I tak o wiele za mało.

- Dziesięć słoni mniej albo więcej musi być ważne, szefie -oświadczył stanowczo M'Bu.

Wiedział, że liczenie słoni jest zajęciem bardzo precyzyjnym. Człowiek może nie być pewien, ile posiada żon, ale nigdy tego, ile posiada słoni. Słonia albo się ma, albo nie.

- Nasz agent w Klatchu dostał zamówienie na... - Azhural przełknął ślinę. - Na tysiąc słoni. Tysiąc! Natychmiast! Płatne gotówką! Upuścił papier na ziemię.

- Dostawa do miejsca zwanego Ankh-Morpork - dodał przygnębiony i westchnął. - Szkoda.

M'Bu podrapał się po głowie, patrząc na ciemne chmury gromadzące się nad szczytem F'twangi. Wkrótce wysuszona sawanna zahuczy gromem i deszczem.

Potem schylił się i podniósł patyk.

- Co robisz? - spytał Azhural.

- Rysuję mapę, szefie - odpowiedział M'Bu. Azhural pokręcił głową.

- Nie warto, chłopcze. Do Ankh mamy, o ile wiem, trzy tysiące mil. Trochę mnie poniosło. Za dużo mil, za mało słoni.

- Możemy pójść przez równiny, szefie. Na równinach żyje dużo słoni. Wyślijmy przodem gońców. Po drodze możemy zebrać mnóstwo słoni. Całe równiny są wręcz zatłoczone słoniami.

- Nie, musielibyśmy iść dookoła, wzdłuż brzegu - odparł handlarz, kreśląc w kurzu długą zakrzywioną linię. - Bo dżungla rośnie tutaj... - stuknął patykiem wyschniętą ziemię - ...i tutaj... - stuknął znowu, trafiając lekko w wychodzącą właśnie szarańczę, która pierwsze stuknięcie optymistycznie wzięła za początek deszczu. - W dżungli nie ma dróg.

M'Bu odebrał mu patyk i wyrysował prostą linię przez dżunglę.

- Kiedy tysiąc słoni chce gdzieś iść - oświadczył - nie potrzebują żadnej drogi.

Azhural przemyślał to sobie. Potem wziął patyk i narysował zygzak w poprzek dżungli.

- Ale tutaj są Góry Słońca. Bardzo wysokie. Mnóstwo głębokich wąwozów. I żadnych mostów.

M'Bu odebrał mu patyk, wskazał dżunglę i uśmiechnął się.

- Wiem, gdzie leży właśnie wyrwane z ziemi mnóstwo dobrego drewna, szefie.

- Tak? No dobrze, mój chłopcze, dobrze, ale i tak musimy jakoś dotrzeć do gór.

- Całkiem przypadkiem tysiąc bardzo silnych słoni będzie zmierzać w tamtą stronę, szefie.

M'Bu uśmiechnął się znowu, odsłaniając zęby. Członkowie jego plemienia ostrzyli sobie zęby w szpic[15]. Oddał Azhuralowi patyk. Azhural wolno otworzył usta.

- Na siedem księżyców Nasreem - szepnął. - Możemy tego dokonać. Tą trasą tylko... zaraz, tylko tysiąc trzysta, może tysiąc czterysta. Albo nawet mniej. Tak... naprawdę możemy.

- Tak, szefie.

- Wiesz, zawsze chciałem dokonać w życiu czegoś wielkiego. Czegoś... naprawdę - wyznał Azhural. - Rozumiesz, tutaj struś, tam żyrafa... To nie są rzeczy, za które będą człowieka pamiętali. - Wbił wzrok w fioletowoszary horyzont. - Możemy, prawda? - upewnił się.

- Jasne, szefie.

- Wprost przez góry!

- Jasne, szefie.

Kiedy wyteżał wzrok, widział, że ta fioletowoszarość zwieńczona jest bielą.

- To bardzo wysokie góry... - W jego głosie znów zabrzmiało zwątpienie.

- Zbocze idzie w górę, zbocze opada w dół - stwierdził gnomicznie M'Bu.

- To fakt - zgodził się Azhural. - Czyli, przeciętnie, jest płasko na całej trasie.

Raz jeszcze spojrzał na góry.

- Tysiąc słoni - mrucał. - A wiesz, chłopcze, kiedy budowali grobowiec króla Leonida z Efebu, używali stu słoni, żeby ciągnęły głazy? A dwustu słoni, jak uczy historia, użyto przy budowie pałacu Rhoxie w mieście Klatch.

W oddali zahuczał grom.

- Tysiąc słoni - powtórzył Azhural. - Ciekawe, na co im są potrzebne.

Reszta dnia upłynęła Victorowi jak w transie.

Znowu galopował i walczył, i znowu zmieniał upływ czasu. Nadal trudno mu było to pojąć. Najwyraźniej błonę można później pociąć i skleić z powrotem tak, żeby zdarzenia następowały we właściwym porządku. A niektóre wcale nie musiały nastąpić. Zauważył, jak malarz rysuje planszę z napisem „W Królewskim Pałacu, godzinę później”.

Jedna godzina zniknęła ze strumienia Czasu - ot, tak. Oczywiście wiedział, że nie została chirurgicznie wycięta z jego życia. Zresztą takie rzeczy bez przerwy zdarzały się w książkach. Na scenie także. Oglądał kiedyś występ wędrownej trupy aktorskiej. Akcja przedstawienia przenosiła się magicznie z „Pola Bitwy w Tsorcie” do „Efebiańskiej Fortecy, Tej Samej Nocy”, po krótkim tylko opuszczeniu workowej kurtyny oraz intensywnym stukaniu i przeklinaniu przy zmianie dekoracji.

Ale tutaj wyglądało to inaczej. Dziesięć minut po nakręceniu sceny musiał grać kolejną, rozgrywającą się poprzedniego dnia i całkiem gdzie indziej, ponieważ Dibbler wynajął namioty do obu scen i nie chciał przepłacać. Trzeba więc było zapomnieć o wszystkim prócz Teraz, co nie jest łatwe, kiedy w dodatku w każdej chwili oczekuje się tego dziwnego uczucia oderwania...

Nie nadeszło. Po kolejnej zagranej bez przekonania scenie bitwy Dibbler oznajmił, że to już koniec.

- Mamy jeszcze dokręcić zakończenie - przypomniała mu Ginger.
- Zagraliście je dziś rano - odparł Soli.
- Aha.

Rozległy się piski - to demony zostały wypuszczone z pudła. Teraz siedziały na brzegu pokrywy, machały w powietrzu nóżkami i podawały

sobie z ręki do ręki malutkiego papierosa. Statyści ustawili się w kolejce po wypłatę. Wielbłąd kopnął wiceprezesa do spraw wielbłądów. Korbowi wyjęli z pudeł wielkie szpule błony i odeszli do tajemniczego cięcia i klejenia, jakim korbowi zajmują się po zmroku. Pani Cosmopilite, wiceprezes do spraw garderoby, zebrała wszystkie kostiumy i podreptała gdzieś - możliwe, że chciała położyć je do łóżek.

Kilka akrów porośniętego karłowatymi krzakami terenu na tyłach wytwórni przestało być falującymi wydymami Wielkiego Nefu i stało się znowu placem na tyłach wytwórni. Victor miał uczucie, że z nim dzieje się coś podobnego.

Pojedynczo i parami twórcy ruchomych obrazków odchodzili; śmiali się, żartowali i umawiali na spotkanie u Borgle'a.

Ginger i Victor pozostali sami w coraz szerszym kręgu pustki.

- Tak się czułam, kiedy pierwszy raz widziałam, jak odjeżdża cyrk - powiedziała Ginger.

- Dibbler mówił, że jutro kręcimy następny - przypomniał Victor. - Jestem pewien, że wymyśla je na poczekaniu. Ale dostajemy po dziesięć dolarów za dzień... Minus to, co jesteśmy winni Gaspode -dodał uczciwie. I uśmiechnął się niezbyt mądrze. - Nie martw się - powiedział. - Przecież robisz to, co zawsze chciałaś robić.

- Nie bądź głupi. Parę miesięcy temu nie wiedziałam nawet, że istnieją ruchome obrazki. Bo ich nie było. Ruszyli spacerem w stronę miasta.

- A kim chciałaś zostać? - zapytał. Wzruszyła ramionami.

- Nie wiedziałam nic prócz tego, że nie chcę być dojarką. Dojarki pamiętał z domu. Spróbował sobie przypomnieć jakieś szczegóły.

- Dojenie krów zawsze wydawało mi się całkiem ciekawym zajęciem - mruknął. - No wiesz, jaskry... I świeże powietrze...

- Jest zimno, mokro, a kiedy skończysz, krowa zawsze kopie w wiadro.

Nawet mi nie mów o dojeniu. Ani o pasaniu owiec. Czy gęsi. Tak naprawdę to nienawidziłam naszej farmy.

- Aha.

- I jeszcze chcieli, żebym wyszła za kuzyna, kiedy skończyłam piętnaście lat.

- Czy to dozwolone?

- Oczywiście. Tam, skąd pochodzę, wszystkie dziewczyny wychodzą za kuzynów.

- Dlaczego? - zdziwił się Victor.

- Myślę, że przynajmniej nie trzeba się martwić, co robić w sobotnie noce.

- Aha.

- A czy... ty... chciałeś kimś zostać? - spytała Ginger, wkładając w krótkie dwie litery pogardę godną całego zdania.

- Właściwie nie - przyznał Victor. - Wszystko wygląda na interesujące, dopóki człowiek nie zacznie tego robić. Wtedy przekonuje się, że to praca jak każda inna. Założę się, że nawet taki Cohen Barbarzyńca wstaje rano, myśląc: „No nie, kolejny dzień deptania moją ciężką stopą tronów wysadzanych klejnotami”.

- Tym się zajmuje? - spytała Ginger, wbrew sobie zadowolona.

- Według legend, tak.

- Ale dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Pewnie taką ma pracę.

Ginger nabrała w dłoń piasku. Były w nim maleńkie muszle, które pozostały jej w ręku, gdy piasek przesypał się między palcami.

- Pamiętam, jak do naszej wsi przyjechał cyrk - powiedziała. - Miałam dziesięć lat. Dziewczyna w rajtuzach wyszywanych cekinami chodziła po linie; robiła nawet salta. Wszyscy bili brawo i krzyczeli. Mnie nie pozwalali wejść na drzewo, ale ją oklaskiwali. Wtedy podjęłam decyzję.

- Rozumiem - rzekł Victor, starając się nadążyć za psychologicznym wątkiem opowieści. - Wtedy postanowiłaś być kimś.

- Nie bądź głupi. Postanowiłam być więcej niż tylko kimś. - Rzuciła muszelkę w stronę zachodzącego słońca i roześmiała się. -Zamierzam być najsłynniejszą osobą na świecie, wszyscy będą mnie kochać i będę żyła wiecznie.

- Zawsze dobrze jest wiedzieć, o co człowiekowi chodzi - odparł dyplomatycznie Victor.

- Wiesz, co jest największą tragedią tego świata? - Ginger wcale nie zwracała na niego uwagi. - Ludzie, którzy nigdy nie odkryli, co naprawdę chcą robić i do czego mają zdolności. Synowie, którzy zostają kowalami, bo ich ojcowie byli kowalami. Ludzie, którzy mogliby fantastycznie grać na flecie, ale starzeją się i umierają, nie widząc żadnego instrumentu muzycznego, więc zostają oraczami. Ludzie obdarzeni talentem, którego nigdy nie poznają. A może nawet nie rodzą się w czasie, w którym mogliby go odkryć.

Odetchnęła głęboko.

- To są ludzie, którzy nigdy się nie dowiedzą, kim naprawdę mogliby zostać. Zmarnowane szansę. A Święty Gaj jest moją szansą, rozumiesz?

Victor nie rozumiał.

- Tak - powiedział jednak.

Magia dla zwykłych ludzi, jak to nazwał Silverfish. Człowiek kręci korbą i całe życie ulega zmianie.

- I nie tylko moją - podjęła Ginger. - To szansa dla nas wszystkich. Dla

ludzi, którzy nie są magami, królami ani bohaterami. Święty Gaj jest jak wielki, bulgoczący garnek z potrawką, tylko że teraz na wierzch wypływają inne składniki. Nagle można robić całkiem nowe rzeczy. Czy wiesz, że kobietom nie pozwalają występować w teatrach? A Święty Gaj pozwala. W Świętym Gaju trolle mogą znaleźć zajęcie, nie ograniczające się do bicia ludzi. A co robili korbowi, zanim pojawiły się korby do kręcenia?

Machnęła ręką mniej więcej w kierunku Ankh-Morpork.

- Teraz próbują do ruchomych obrazków dołączyć jakoś głos. A tam żyją ludzie, którzy będą znakomicie wytwarzać... głosowce. Jeszcze o tym nie wiedzą, ale są tam. Wyczuwam ich. Są...

Jej oczy lśniły złością. Może to tylko zachód słońca, pomyślał

Victor, ale...

- Dzięki Świętemu Gajowi setki ludzi dowiadują się, kim naprawdę chcieli zostać - mówiła Ginger. - A tysiące, wiele tysięcy może dzięki temu zapomnieć o sobie na mniej więcej godzinę. Cały ten przekłety świat trzęsie się w posadach.

- No właśnie - przerwał jej Victor. - To mnie martwi. Jakbyśmy byli przypisani do miejsca. Wydaje ci się, że wykorzystujesz Święty Gaj, ale to on ciebie używa. Nas wszystkich.

- Jak? Dlaczego?

- Nie wiem, ale...

- Spójrz na magów. - Głos Ginger wibrował poczuciem urazy. - Co dobrego przyszło komuś z ich magii?

- Magia tak jakby utrzymuje świat w całości - zaczął Victor.

- Całkiem dobrze im wychodzą magiczne ognie i różne takie, ale czy potrafią stworzyć bochenek chleba? - Ginger wyraźnie nie miała ochoty słuchać niczyich argumentów.

- Nie na długo - przyznał bezradnie Victor.

- Co to znaczy?

- Coś rzeczywistego, jak chleb, zawiera bardzo dużo... bardzo dużo... no, ty chyba nazwałabyś to „energią” - tłumaczył Victor. - Trzeba naprawdę być niezłym magiem, żeby stworzyć bochenek, który przetrwa w naszym świecie dłużej niż małą część sekundy. Ale rozumiesz, w magii chodzi o coś innego - dodał szybko. - Ponieważ świat jest...

- Kogo to obchodzi? - przerwała mu Ginger. - Nie widzisz tego? Możemy do czegoś dojść. Możemy kimś zostać. Dzięki Świętemu Gajowi. Świat otwiera się przed nami niby...

- Homar - dokończył Victor. Z irytacją machnęła ręką.

- Jaki chcesz skorupiak - rzuciła. - Właściwie to myślałam o ostrygach.

- Naprawdę? Ja pomyślałem o homarach.

- Kwestoor!

Nie powinienem tak biegać w moim wieku, myślał kwestor, sunąc korytarzem, by odpowiedzieć na ryk nadrektora. Właściwie czemu on się tak interesuje tym paskudztwem? Przeklęty dzbanek!

- Już idę, mistrzu! - zawołał.

Biurko nadrektora zaścilały stare dokumenty.

Kiedy umierał mag, wszystkie jego papiery składano w którejś z zewnętrznych rubieży Biblioteki. Kolejne półki murszejących kartek - siedlisko dziwnych robaków - ciągnęły się na nieodgadnioną odległość. Wszyscy powtarzali, że to prawdziwy skarbiec dla badaczy, jeśli tylko znajdą czas, żeby je zbadać.

Kwestor był poirytowany. Nigdzie nie mógł znaleźć bibliotekarza. Ostatnio mały w ogóle nie było widać, przez co musiał grzebać w archiwach osobiście.

- To już chyba wszystko, nadrektorze - oświadczył, zrzucając na biurko lawinę zatęchłych papierzyśk.

Ridcully zamachał rękami na chmurę moli.

- Papier, papier, papier... - mruczał pod nosem. - Ile nieszczęsnych kartek papieru jest w tych stosach?

- Ee... dwadzieścia trzy tysiące osiemset trzynaście, nadrektorze - odparł kwestor. - Notował je.

- Popatrz tylko... *Numerator gwiazd, Miernik wieleb. do użytku w obszarach eklezjastycznych... Bagnomierz... Bagnomierz!* Ten człowiek był wariatem!

- Miał bardzo staranny umysł.

- Na jedno wychodzi.

- Czy to, hm, ważna sprawa, nadrektorze? - spytał kwestor.

- To paskudztwo strzelało we mnie kulkami - wyjaśnił Ridcully.

- Dwa razy!

- Jestem pewien, że nie było to zamiarem...

- Chcę wiedzieć, jak to działa, człowieku! Pomyśl o zastosowaniach myśliwskich!

Kwestor spróbował pomyśleć o zastosowaniach.

- Jestem przekonany, że Riktor nie planował stworzenia żadnej broni ofensywnej - stwierdził bez wielkich nadziei. .

- Kogo obchodzi, co on planował? Gdzie to jest teraz?

- Kazałem służbie ułożyć dookoła worki z piaskiem.

- Dobry pomysł. To... ..whumm... whumm...

Z korytarza dobiegł stłumiony hałas. Obaj magowie wymienili znaczące spojrzenia.

...whumm... whumm WHUMM.

Kwestor wstrzymał oddech.

Plib.

Plib.

Plib.

Nadrektor zerknął na stojącą nad kominkiem klepsydrę.

- Robi to już co pięć minut - zauważył.

- I strzela po trzy razy - dodał kwestor. - Muszę zamówić więcej worków z piaskiem.

Przełożył kilka arkuszy. Jakieś słowo przyciągnęło jego uwagę.

„Rzeczywistość”.

Spojrzał na ręczne pismo, pokrywające stronę. Litery były małe, ciasno stłoczone i z wyglądu bardzo stanowcze. Ktoś mówił mu kiedyś, że to dlatego iż Licznik Riktor stale cierpiał na obstrukcję analną. Kwestor nie wiedział, co to znaczy, i miał nadzieję nigdy się nie dowiedzieć.

Sąsiednie słowo brzmiało: „Pomiar”. Kwestor podążył wzrokiem w górę i przeczytał cały podkreślony tytuł: „Uwagi o Obiektywnym Pomiarze Rzeczywistości”.

Na stronie był wykres. Kwestor przyjrzał mu się uważnie.

- Znalazłeś coś? - spytał nadrektor, nie podnosząc głowy.

- Nic ważnego - zapewnił go kwestor.

W dole huczał przybój (...a jeszcze niżej, pod powierzchnią wody, homary spacerowały tyłem po zatopionych ulicach...).

Victor cisnął do ognia następny kawałek drewna. Obrośnięte solą, paliło się błękitnym płomieniem.

- Nie rozumiem jej - powiedział. - Wczoraj zachowywała się całkiem normalnie, a dzisiaj coś uderzyło jej do głowy.

- Suki... - mruknął współczująco Gaspode.

- Nie, to stanowczo za mocne - sprzeciwił się Victor. - Jest po prostu oględna.

- Oględna... - powiedział współczująco Gaspode.

- Tak właśnie inteligencja wpływa na życie seksualne - stwierdził I Nie Mów Do Mnie Tuptuś. - Króliki nie mają takich problemów. Szybki numer pod ostatnim krzakiem i po sprawie.

- Mógłbyś ofiarować jej mysz - zaproponował kot. - Ż wyłączeniem tu obecnych, naturalnie - dodał, czując na sobie gniewne spojrzenie Absolutnie Nie Pipa.

- Inteligencja nie przydała mi się też w życiu towarzyskim - rzekł z goryczą Tuptuś. - Tydzień temu: najmniejszych kłopotów. A teraz nagle mam ochotę pogadać, a oni wszyscy siedzą tylko i marszczą na mnie nosy. Czuję się jak idiota.

Rozległo się zduszone kwakanie.

- Kaczor pyta, co zrobiłeś z książką - przetłumaczył Gaspode.

- Obejrzałem ją w przerwie obiadowej.

- Kaczor mówi: no dofrze, ale co zrobiłeś w sprawie książki?

- Przecież nie mogę ot tak wyjechać do Ankh-Morpork - mruknął niechętnie Victor. - To zajmie parę godzin! A przez cały dzień kręcimy.

- Poproś o dzień wolnego - poradził Tuptuś.

- W Świętym Gaju nikt nie prosi o dzień wolnego! Już raz mnie wyrzucili. Dziękuję bardzo.

- A potem przyjęli cię znowu, za większe pieniądze - przypomniał mu Gaspode. - To zafawne. - Podrapał się w ucho. - Powiedz mu, że twój kontrakt przewiduje dzień wolnego.

- Wiesz dobrze, że nie mam żadnego kontraktu. Pracujesz, dostajesz pieniądze. Prosta sprawa.

- Tak... - mruknął Gaspode. - Tak. Tak? Kontrakt ustny. Prosta sprawa. Podofa mi się.

Noc dobiegała końca. Troll Detrytus czaił się w cieniach przy tylnym wyjściu Błękitnego Liasu. Przez cały dzień dziwne uczucia targały jego ciałem. Kiedy tylko zamykał oczy, widział postać o kształtach niewielkiego pagórka.

Musiał spojrzeć w oczy faktom. Był zakochany.

Owszem, wiele lat spędził w Ankh-Morpork, bijąc ludzi za pieniądze. Owszem, stosował przemoc i nie miał przyjaciół. Był samotny. Pogodził się

już ze zgorzkniałą starością w stanie kawalerskim, gdy nagle Święty Gaj dał mu szansę, o jakiej nawet nie marzył.

Został wychowany surowo i niejasno przypominał sobie wykład, jaki wygłosił ojciec, kiedy Detrytus był jeszcze młodym trollem. Jeśli zobaczysz dziewczynę, którą polubisz, nie rzucaj się na nią. Takie rzeczy załatwia się we właściwy sposób.

Poszedł więc na plażę i znalazł kamień. Ale nie było taki kamień. Szukał pilnie i wreszcie trafił na duży, wygładzony przez morze, z żyłkami różowego i białego kwarcu. Dziewczeta lubią takie rzeczy.

A teraz czekał nieśmiało, aż Ruby skończy pracę.

Próbował wymyślić, co mógłby powiedzieć. Nikt go nigdy nie nauczył, co się mówi w takich sytuacjach. I nie należał do tych bystrych trolli w rodzaju Skallina i Morry'ego, którzy radzili sobie ze słowami. W zasadzie nigdy nie potrzebował czegoś, co można by nazwać słownictwem. Przygnębiony kopał nogą piasek. Jaką ma szansę z taką światową damą?

Zatupały ciężkie stopy i drzwi otworzyły się. Obiekt jego pożądanego wyszedł na zewnątrz i odetchnął głęboko, co wywarło na Detrytusie takie wrażenie, jakby ktoś rzucił mu kostkę lodu na kark.

W panice spojrzał na swój kamień - teraz, kiedy z bliska ocenił rozmiary wybranki, nie wydawał się już dość duży. Ale może najważniejsze jest to, co się z nim robi...

Cóż, nie ma wyjścia. Podobno nigdy nie zapomina się pierwszego razu...

Zamachnął się i trafił ją kamieniem prosto między oczy.

I wtedy wszystko zaczęło iść nie tak, jak powinno.

Tradycja mówiła, że dziewczyna - kiedy tylko zdoła na powrót zogniskować wzrok i jeśli kamień okaże się odpowiedni - powinna zgodzić się na wszystko, co zaproponuje troll. To znaczy na człowieka przy świecach,

tylko we dwoje... Chociaż teraz już się nie robi takich rzeczy, szczególnie gdy ktoś mógłby ich na tym przyłapać.

Nie powinna zmrużyć powiek ani przyłożyć mu w ucho tak, że gałki oczne zastukały w oczodołach.

- Ty głupi troll! - krzyknęła, kiedy Detrytus się zatoczył. - Czemu tak robić? Myślisz, że ja prosta dziewczyna prosto z góra? Dlaczego nie robić jak należy?

- Ale... Ale... - zaczął przerażony jej gniewem Detrytus. - Nie mogłem spytać twojego ojca o pozwolenie, żeby cię uderzyć kamieniem. Nie wiem, gdzie on mieszka...

Ruby wyprostowała się dumnie.

- Całe te staromodne zwyczaje teraz bardzo niekulturalne - parsknęła. - To nie nowoczesnie. Ja nie interesować się żaden troll - dodała - który nie nowoczesny. Cios kamieniem w głowę może i sentymentalny - mówiła dalej i z wolna traciła pewność siebie, studiując dalszy ciąg tego zdania - ale diamenty są najlepszym przyjacielem dziewczyny.

Zawahała się. Nie brzmiało to dobrze, nawet dla niej.

- Co? Chcesz, żebym sobie wybił zęby?

- No, niech będzie, nie diamenty - zgodziła się Ruby. - Ale odpowiednie nowoczesne sposoby. Masz robić zaloty. Detrytus się rozpromienił.

- Ale ja... - zaczął.

- Nie tak, że mnie podrzucać, a ja latać - przerwała mu ze znużeniem. - Teraz być odpowiednie, nowe sposoby. Musisz...

Urwała.

Nie była całkiem pewna, co takiego musi Detrytus. Ale spędziła już w Świętym Gaju kilka tygodni, a Święty Gaj zmieniał wszystkich. W Świętym

Gaju zanurzyła się w szerokim, międzygatunkowym kobiecym wolnomularstwie, którego istnienia wcześniej nawet nie podejrzewała. I uczyła się szybko. Wiele rozmawiała z sympatycznymi ludzkimi dziewczętami. I krasnoludami. Nawet krasnoludy znają lepsze rytuały godowe, na miłość bogów[16]. A to, co wymyślają ludzie, jest wręcz zadziwiające.

Dziewczyna trolli natomiast mogła liczyć najwyżej na szybkie uderzenie w głowę i resztę życia w pokorze, przy gotowaniu tego, co samiec przywlecze do jaskini.

To się zmieni. Kiedy następnym razem Ruby wróci do domu, góry trolli aż się zatrząsą - najmocniej od czasu ostatniego zderzenia kontynentów. A tymczasem miała zamiar rozpocząć nowe życie.

Machnęła potężną dłońią.

- Musisz śpiewać pod oknem dziewczyna - wyjaśniła. - I... I masz jej dawać oograah.

- Oograah?

- Tak. Ładne oograah[17]. Detrytus poskrobał się po głowie.

- Czemu?

Ruby na moment wpadła w panikę. W żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego wręczanie niejadalnej roślinności jest takie ważne. Nie miała jednak zamiaru się do tego przyznawać.

- Zabawne, że ty nie wiedzieć - rzuciła zjadliwie. Sarkazm nie trafił do Detrytusa. Jak większość rzeczy.

- Dobrze - rzekł. - Ja nie taki niekulturalny, jak myślisz. Będę nowoczesny. Zobaczysz.

Stuk młotków wznosił się pod niebo. Budynki wyrastały wokół nienazwanej głównej ulicy, sięgając między wydmy. Nikt nie posiadał tu żadnej ziemi; jeśli była pusta, stawiał na niej dom.

Dibbler miał już dwa gabinety. Jeden, w którym krzyczał na ludzi, i drugi, większy, tuż obok, gdzie ludzie sami na siebie krzyczeli. Soli krzyczał na korbowych. Korbowi krzyczeli na alchemików. Demony kręciły się po wszystkich płaskich powierzchniach, tonęły w kubkach kawy i krzyczały na siebie nawzajem. Para doświadczalnych zielonych papug krzyczała do siebie. Ludzie w dziwacznych elementach kostiumów zaglądali tutaj i po prostu krzyczeli. Silverfish krzyczał, bo zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego ma teraz biurko w zewnętrznym gabinecie, chociaż jest właścicielem wytwórni.

Gaspode stał obojętnie przy drzwiach do wewnętrznego gabinetu. W ciągu ostatnich pięciu minut zarobił odruchowego kopniaka, wilgotny herbatnik i pogłaskanie po łbie. Uznał, że wychodzi na swoje - z psiego punktu widzenia.

Starał się słuchać wszystkich rozmów jednocześnie. Były wyjątkowo pouczające. Choćby dlatego, że niektórzy z tych, co wchodził tu i krzyczeli, wnosili worki pieniędzy...

- Co?!

Krzyk dobiegł z wewnętrznego gabinetu. Gaspode nadstawił ucha.

- Ja, tego... chciałbym wolny dzień, panie Dibbler - powtórzył Victor.

- Wolny dzień? Nie chcesz pracować?

- Tylko jeden dzień, panie Dibbler.

- Ale nie myślisz chyba, że będę płacił ludziom za branie dni wolnych. Wiesz, nie jestem wypchany pieniędzmi. Przecież nie osiągamy jeszcze zysków. Równie dobrze mógłbyś przystawić mi kuszę do głowy. Proszę, nie krępuj się.

Gaspode zerknął na worki przed Sollem, który z zacięciem sumował

stosy monet. Cynicznie uniósł brew.

Za drzwiami panowało milczenie. No nie, pomyślał Gaspode; ten młody idiota zapomniał roli.

- Nie chcę zapłaty, panie Dibbler. Gaspode odetchnął.

- Nie chcesz zapłaty?

- Nie, panie Dibbler.

- Ale pewnie chciałbyś nadal tu pracować, kiedy wrócisz? - zapytał drwiąco Dibbler.

Gaspode wstrzymał oddech. Długo musiał Victora szkolić.

- Liczę na to, panie Dibbler. Ale myślałem też, że sprawdzę, co mogą zaproponować Unitarni Alchemicy.

Rozległ się dźwięk przypominający stuk oparcia uderzającego o ścianę. Gaspode złośliwie wyszczerzył zęby.

Przed Sollem wylądował kolejny worek pieniędzy.

- Unitarni Alchemicy?

- Wygląda na to, że robią postępy z głosowcami, panie Dibbler - wyjaśnił potulnie Victor.

- Ale to amatorzy! I oszuści!

Gaspode zmarszczył nos. Nie udało mu się wyćwiczyć Victora dalej niż do tego etapu.

- No i bardzo dobrze, panie Dibbler.

- A to czemu?

- Byłoby straszne, gdyby okazali się oszustami i zawodowcami.

Gaspode pokiwał głową. Nieźle, całkiem nieźle...

Usłyszał kroki obiegające biurko. Kiedy Dibbler znów się odezwał, mógłby w swoim głosie postawić pompę i sprzedawać go po dziesięć dolarów za baryłkę.

- Victor... Vic, czy nie byłem dla ciebie jak wujek?

To prawda, pomyślał Gaspode. Jest jak wujek dla większości ludzi tutaj. Ponieważ są jego bratankami.

Przestał podsłuchiwać, bo już wiedział, że Victor dostanie wolny dzień i pewnie jeszcze Dibbler mu zapłaci. W dodatku właśnie wszedł do pokoju inny pies.

Wielki i lśniący. Jego sierść błyszczała jak miód.

Gaspode rozpoznał w nim czystej krwi psa myśliwskiego z Ramtopów. Przybysz usiadł obok niego. Był jak piękny i smukły jacht regatowy, który stanął w porcie obok barki węglowej.

Gaspode usłyszał głos Solla:

- Więc to jest najnowszy pomysł wuja? Jak ma na imię?

- Laddie - odparł opiekun.

- Ile kosztował?

- Sześćdziesiąt dolarów.

- Za psa? Robimy nie w tym interesie, co trzeba.

- Hodowca twierdził, że zna wszystkie sztuczki. I jest chytry jak lis. Właśnie taki, jakiego szukał pan Dibbler.

- Dobra, przywiąż go tutaj. A jeśli ten drugi kundel spróbuje tego nowego ugryźć, wykopiesz go na dwór.

Gaspode przyjrzał się Sollowi z uwagą. Potem, kiedy nikt już nie zwracał na nich uwagi, przysunął się do nowego.

- Po co cię sprowadzili? - zapytał.

Nowy odpowiedział mu spojrzeniem pełnym eleganckiego niezrozumienia.

- Znaczy, należysz do kogoś tutaj czy co?

Nowy zaskomlał cicho.

Gaspode przeszedł na psi podstawowy, będący mieszaniną skomleń i sapnięć.

- *Hej - powiedział. - Jest tam kto?*

Ogon nowego poruszył się niepewnie.

- *Karma jest tutaj obrzydliwa. Nowy uniósł swój rasowy pysk.*

- *Co za miejsce? - zapytał.*

- *To Święty Gaj. Jestem Gaspode. Nazwany tak na pamiątkę słynnego Gaspode. Gdybyś czegoś potrzebował, to...*

- *Wszyscy dwunodzy. Tam... Co za miejsce?*

Gaspode wytrzeszczył na niego oczy.

W tej chwili otworzyły się drzwi gabinetu Dibblera. W progu stanął Victor. Kaszłał, trzymając w ustach koniec cygara.

- Świetnie, świetnie - stwierdził Dibbler, wychodząc za nim. - Wiedziałem, że dojdziemy do porozumienia. Nie marnuj tego, chłopcze, nie marnuj... Kosztują dolara za pudełko. O, widzę, że przyprowadziłeś swojego pieska.

- Hau - odparł Gaspode z irytacją.

Drugi pies szczeknął krótko i usiadł; posłuszna czujność promieniowała z każdego włosa jego sierści.

- Aha - ucieszył się Dibbler. - Widzę, że mamy naszego cudownego psa.

Nędzna imitacja ogona Gaspode drgnęła raz czy dwa. Dopiero po chwili zrozumiał, jaka jest prawda. Spojrzał niechętnie na większego psa, otworzył pysk, by coś powiedzieć, opanował się w ostatniej chwili i zdołał zmienić słowa w krótkie:

- Szczek?

- Wpadłem na ten pomysł wczoraj w nocy, kiedy zobaczyłem twojego - mówił Dibbler. - Pomyślałem, że przecież ludzie lubią zwierzęta. Ja na przykład lubię psy. Pies dobrze się kojarzy. Ratuje życie. Najlepszy przyjaciel człowieka i takie rzeczy.

Victor dostrzegł wściekłą minę Gaspode.

- Gaspode jest bardzo mądry - powiedział.

- Rozumiem, że tak uważasz. Ale przyjrzyj się im obu. Z jednej strony mamy to sprytne, bystre, piękne zwierzę, a z drugiej kłab kurzu na kacu. Żadna konkurencja. Mam rację?

Cudowny pies zaszczekał głośno.

- *Co za miejsce? Dobry Laddie!*

Gaspode przewrócił oczami.

- Widzisz, o co mi chodzi? - dokończył Dibbler. - Wystarczy dać mu odpowiednie imię, trochę przeszkolić i rodzi się gwiazda. - Klepnął Victora po ramieniu. - Miło było cię widzieć, naprawdę miło, wpadnij znowu, kiedy tylko zechcesz, byle nie za często, a teraz już idź... Soli!

- Idę, wujku!

Victor został nagle sam - jeśli nie liczyć dwóch psów i pokoju pełnego ludzi. Wyjął z ust cygaro, napluł na rozżarzony koniec i starannie ukrył je za doniczką.

- Wykluła się gwiazda - odezwał się cichy głos z dołu.

- *Co mówi? Co za miejsce?*

- Nie patrz tak na mnie - poprosił Victor. - Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Może mu się przyjrzyj? Jesteśmy w Mieście Tępaków czy co? - prychnął Gaspode.

- *Dobry Laddie!*

- Chodźmy - zaproponował Victor. - Za pięć minut powinienem być na planie.

Gaspode powlókł się za nim, mamrocząc coś pod nosem. Do Victora dobiegały takie określenia jak „stary futrzak”, „najlepszy przyjaciel człowieka” i „piekielnie cudowny piekielny pies”. Wreszcie nie mógł już tego wytrzymać.

- Jesteś zwyczajnie zazdrosny - stwierdził.

- Nify jak? O tego przerośniętego szczeniaka z jednocyfrowym ilorazem inteligencji?

- Ale też ze lśniącą sierścią i z rodowodem długim jak twoja... jak moja ręka.

- Rodowód? Rodowód? Cóż to jest rodowód? Zwykła hodowla. Ja też miałem ojca, wiesz? I dwóch dziadków. I czterech pradziadków. A wielu z nich fyło nawet tym samym psem. Więc nie opowiadaj mi o rodowodach.

Zatrzymał się, żeby zadrzeć nogę przy jednej z podpór nowej tablicy „Siedziba Wytwórni Ruchomych Obrazków Wieku Nietoperza”.

Był to kolejny element, który zastanawiał Thomasa Silverfisha. Przyszedł rano do pracy i odkrył, że ręcznie malowany szyld „Ciekawa i Pouczająca Kinematografia” zniknął, zastąpiony przez tę ogromną tablicę. Teraz siedział w gabinecie, podpierał głowę rękami i usiłował sam siebie przekonać, że to jego pomysł.

- To mnie wezwał Święty Gaj - mrucał smętnie Gaspode. - Przyfylem z tak daleka, a oni wyfrali to wielkie, kudłate zwierzę. I pewnie jeszcze zgodzi się pracować za miskę mięsa dziennie.

- Wiesz co? A może Święty Gaj nie wezwał cię po to, żebyś został cudownym psem? - zastanowił się Victor. - Może zaplanował dla ciebie coś innego?

To śmieszne, pomyślał. Dlaczego opowiadam takie rzeczy? Przecież miejsce nie myśli. Nie może nikogo do siebie wzywać... No, chyba że się tęskni za domem... Ale nie może budzić nostalgii miejsce, którego się jeszcze nigdy nie widziało; to przecież logiczne. A ludzie mieszkali tu ostatnio pewnie tysiące lat temu...

Gaspode obwąchał ścianę.

- Powiedziałeś Difflerowi wszystko, tak jak ci kazałem? - zapytał.

- Tak. Bardzo się zdenerwował, kiedy wspomniałem, że pójde do Unitarnych Alchemików. Gaspode parsknął drwiąco.

- I powiedziałeś, że ustny kontrakt nie jest wart papieru, na którym został spisany?

- Tak. Nie zrozumiał, o co mi chodzi. Ale dał mi cygaro. I obiecał, że zapłaci za mój i Ginger W)jazd do Ankh-Morpork. Już niedługo. Mówił, że planuje naprawdę wielki obrazek.

- Jaki? - spytał podejrzliwie Gaspode.

- Nie powiedział.

- Posłuchaj, mały - rzekł Gaspode. - Diffler robi tu majątek. Policzyłem

wszystko. Na fiurku Solla fyło pięć tysięcy dwieście siedemdziesiąt trzy dolary i pięćdziesiąt dwa pensy. Tyje zarofiłeś. To znaczy ty i Ginger.

- O rany...

- Dlatego chciałfym, żefyś nauczył się paru nowych słów. Myślisz, że dasz radę?

- Mam nadzieję.

- Procent wpływów frutto - powiedział Gaspode. - Tyle. Zapamiętasz?

- Procent wpływów brutto - powtórzył Victor.

- Zuch chłopak.

- Ale co to znaczy?

- O to się nie martw. Masz tylko powiedzieć, że tego właśnie chcesz. Kiedy nadejdzie właściwa chwila.

- A kiedy nadejdzie? - spytał Victor. Gaspode uśmiechnął się złośliwie.

- Hm... Najlepsza chyfa wtedy, kiedy Diffler fędzie miał pełne usta jedzenia.

Święty Gaj przypominał mrowisko. Od strony morza Jodłowe Studio pracowało nad *Trzecim gnomem*. Mikrolityczne Obrazki, prowadzone niemal wyłącznie przez krasnoludów, przygotowywały *Poszukiwaczy złota 1457*, po których planowano *Gorączkę złota*. W Dryfującym Pęcherzu - Ruchomych Obrazkach szykowali *Indyczne uda*. U Borgle'a był tłok.

- Nie wiem, jaki będzie tytuł, ale robimy teraz coś o wyprawie na spotkanie z magiem. Coś o pójściu za stogiem żółtej cegły - tłumaczył sąsiadowi w kolejce mężczyzna w połówce kostiumu lwa.

- Myślałem, że w Świętym Gaju nie ma magów.
- Ten nikomu nie przeszkadza. Nie jest zbyt dobry w magowaniu.
- Jak oni wszyscy!

Dźwięk - to był najważniejszy problem. W całym Świętym Gaju w szopach pracowali alchemicy; krzyczeli na papugi, przekonywali gadające szpaki, konstruowali niezwykle butelki, by uwięzić w nich głos i odbijać między ściankami do chwili, kiedy trzeba będzie go wypuścić. Do huku wybuchającej czasem oktocelulozy dołączyły teraz znużone szlochy albo wrzaski bólu, kiedy zirytowana papuga brała nieostrożny kciuk za orzeszek.

Papugi nie przyniosły rozwiązania, na które wszyscy liczyli. Owszem, pamiętały, co się do nich mówi, i powtarzały to - w pewnym sensie. Ale nie dało się ich wyłączyć, w dodatku miały zwyczaj dodawania innych zasłyszanych słów. Dibbler podejrzewał, że słów tych uczą je złośliwi korbowi. W efekcie krótkie fragmenty romantycznego dialogu przerywały wrzaski „Brrrawo! Pokaż majtki!”, a Dibbler twierdził, że nie zamierza robić takich ruchomych obrazków. Przynajmniej na razie.

Głos... mówiono, że kto pierwszy wprowadzi głos, będzie władał Świętym Gajem. Publiczność tłoczyła się na migawkach, ale publiczność jest kapryśna. Kolor okazał się łatwiejszy - to tylko kwestia wyhodowania demonów, które potrafiły odpowiednio szybko malować. Ale głos byłby prawdziwym przełomem.

Tymczasem próbowano innych sposobów. Krasnoludzie studio zrezygnowało z powszechnej praktyki wypisywania dialogów na planszach pomiędzy kolejnymi scenami i wynalazło napisy w dole ekranu. Sprawdzały się doskonale, pod warunkiem że aktorzy pamiętali, by nie wychodzić za daleko do przodu i nie przewracać liter.

Ale jeśli nawet brakowało głosu, to ekrany od brzegu do brzegu powinna wypełniać prawdziwa uczta dla oczu. Stukanie młotków zawsze było dźwiękowym tłem Świętego Gaju, a teraz stało się dwa razy głośniejsze...

W Świętym Gaju wznoszono miasta z całego świata.

Zaczęli Unitarni Alchemicy, budując drewniano-płócienną kopię Wielkiej Piramidy Tsortu w skali jeden do dziesięciu. I wkrótce na placach wytwórni zaczęły rosnąć całe ulice Ankh-Morpork, pałace z Pseudopolis, zamki z krain osiowych. W niektórych przypadkach pałace były namalowane na tylnych powierzchniach ulic, tak że książąt od chłopów dzieliła tylko grubość farby i płótna.

Victor do końca dnia pracował przy jednoszpulowcu. Ginger prawie się do niego nie odzywała, nawet po obowiązkowym pocałunku, kiedy ocalił ją przed tym, czym miał być Morry. Jeśli Święty Gaj wywierał na nich czarodziejski wpływ, dzisiaj z tego zrezygnował. Victor ucieszył się, kiedy wreszcie skończyli.

Potem przyglądał się, jak treser ćwiczy z Laddie, Cudownym Psem.

Kiedy patrzył, jak pełne gracji zwierzę niczym strzała przelatuje nad przeszkodami i chwytając tresera za dobrze owiniętą poduszkami rękę, nie miał wątpliwości, że pies ten został właściwie przez samą Naturę stworzony do ruchomych obrazków. Nawet szczekał fotogenicznie.

- A wiesz, co on mówi? - odezwał się niechętny głos obok jego nogi. Był to Gaspode, obraz krzywonożnej żalości.

- Nie. Co? - spytał Victor.

- Ja Laddie. Ja dofry piesek. Dofry Laddie” - przetłumaczył Gaspode. - Rzygać się chce od tego, prawda?

- Niby tak, ale potrafiłbyś przeskoczyć nad sześciostopowym płotem?

- Inteligencja, nieprawdaż... Ja zawsze ofchodzę przeszkody fokiem. Co oni teraz rofią?

- Chyba dają mu obiad.

- To coś nazywają ofiadem?

Gaspode podszedł i zajrzał do psiej miski. Laddie zerknął na niego z ukosa. Gaspode szczeknął cicho. Laddie zaskomlał. Gaspode szczeknął znowu.

Nastąpiła dłuższa wymiana ujadów.

Potem Gaspode wrócił i usiadł obok Victora.

- Patrz uważnie - powiedział.

Laddie chwycił miskę w zęby i odwrócił ją dnem do góry.

- Ofrzydliwe paskudztwo - stwierdził Gaspode. - Same żyły i flaki. Psu fym tego nie dał, a przecież sam nim jestem.

- Namówiłeś go, żeby wyrzucił swój obiad? - upewnił się wstrząśnięty Victor.

- Posłuszny chłopak, muszę przyznać - odparł z satysfakcją Gaspode.

- To bardzo brzydko...

- Ależ nie. Udzieliłem mu też pewnej rady. Laddie szczeknął rozkazująco do otaczających go ludzi. Victor słyszał, jak rozmawiają między sobą.

- Pies nie je obiadu - dobiegł głos Detrytusa. - Pies będzie głodny.

- Nie bądź głupi. Pan Dibbler mówi, że jest więcej wart od nas wszystkich.

- Może nie do tego jest przyzwyczajony. Wiecie, taki elegancki pies i w ogóle. To żarcie wygląda dość obrzydliwie.

- To jest psie żarcie! Coś takiego jedzą psy!

- Tak, ale czy to żarcie dla cudownych psów? Czym się żywią cudowne psy?

- Pan Dibbler nakarmi go tobą, jeśli będą z nim jakieś kłopoty.

- Dobrze już, dobrze. Detrytus, skocz do Bogle'a. Zobacz, co tam mają. Ale nie to, co dają zwykłym klientom.

- Właśnie to dają zwykłym klientom.

- O to mi chodziło.

Po pięciu minutach Detrytus wrócił, niosąc ogromny surowy stek. Wrzucił go do miski. Treserzy spojrzeli na Laddiego wyczekująco.

Laddie zerknął dyskretnie na Gaspode, który prawie niedostrzegalnie skinął głową.

Wielki pies przytrzymał stek łapą, chwycił w zęby i oderwał spory kawałek. Potem przekroczył ogrodzenie i z szacunkiem złożył mięso przed Gaspode, który ocenił je wyrachowanym spojrzeniem.

- Sam nie wiem - mruknął w końcu. - Powiedz, Victor, czy to jest dziesięć procent?

- Negocjowałeś jego obiad?!

- Moim zdaniem dziesięć procent to uczciwe honorarium - wymamrotał Gaspode z pyskiem pełnym mięsa. - Fardzo skromne w tych okolicznościach.

- Wiesz, naprawdę chytry z ciebie sukinsyn - stwierdził Victor.

- I jestem z tego dumny - zapewnił niewyraźnie pies. Przełknął reszkę jedzenia. - Co fędziemy teraz rofić?

- Powinienem wcześniej iść spać. Jutro z samego rana ruszamy do Ankh.

- Nie posunąłeś się dalej z tą książką?

- Nie.

- To daj, ofejrzę ją.
- Umiesz czytać?
- Nie wiem, nigdy nie prófowałem.

Victor rozejrzał się. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Jak zwykle - kiedy korby przestawały się kręcić, nikt nie przejmował się aktorami. Całkiem jakby chwilowo stawali się niewidzialni.

Usiadł na stosie desek, otworzył książkę na przypadkowej stronie, blisko początku, i przytrzymał przed pyskiem Gaspode.

- Jest tu mnóstwo różnych znaczków - oświadczył po chwili pies.

Victor westchnął.

- To pismo - wyjaśnił. Gaspode przyjrzał się jeszcze raz.

- Co? Te wszystkie ofrazki?

- Wczesne pismo tak właśnie wyglądało. Ludzie rysowali małe obrazki, żeby przedstawić różne idee.

- Czyli... jeśli jest dużo jakiegoś ofrazka, to przedstawia jakąś ważną ideę?

- Co? Tak, chyba tak.

- Na przykład martwy człowiek. Victor stracił wątek.

- Martwy człowiek na plaży?

- Nie. Martwy człowiek na papierze. Zofacz, wszędzie tu jest martwy człowiek.

Victor spojrzał na niego ze zdziwieniem, po czym odwrócił książkę i obejrzał pismo.

- Gdzie? Nie widzę tu żadnych martwych ludzi. Gaspode parsknął.

- Popatrz uważnie. Na całej stronie - powiedział. - Wygląda jak te grofy, co sieje spotyka w starych świątyniach i różnych takich. Nie wiesz? Kiedy rofią posąg sztywniaka, jak leży na płycie ze skrzyżowanymi rękami i trzyma miecz. Martwy władca...

- Na bogów! Masz rację! Rzeczywiście wygląda jak, no... martwy...

- I pewnie całe to pismo opowiada, jakim świetnym facetem był za życia - stwierdził z powagą Gaspode. - Wiesz, Pogromca Tysięcy i takie różne. Na pewno zostawił kapłanom dużo pieniędzy, żefy się modlili, palili świece, zafijali kozły ofiarne i wszystko co trzefa. Dużo jest takich, co to przez całe życie piją, gwałcą i rofią co chcą, a kiedy Mroczny Żniwiarz zacznie ostrzyć kosę, nagle stają się pofożni i płacą kapłanom za szyfkie pranie i czyszczenie duszy, i w ogóle za powtarzanie fogom, jakimi to fyli przyzwoitymi ludźmi.

- Gaspode... - odezwał się Victor z kamiennym spokojem.

- Słucham?

- Byłeś psem cyrkowym. Skąd wiesz o takich sprawach?

- Fo nie byłem tylko ładną fuzią.

- Nawet nie masz ładnej buzi, Gaspode. Pies wzruszył ramionami.

- Zawsze miałem oczy i uszy - odpowiedział. - Zdziwiłfys się, co można zofaczyć i usłyszeć, kiedy się jest psem. Oczywiście, wtedy nie wiedziałem, co to wszystko znaczy. Teraz wiem.

Victor znowu obejrzał zapisaną stronicę. Rzeczywiście, powtarzał się na niej pewien kształt, który - oglądany spod zmrużonych powiek - był bardzo podobny do posągu rycerza z dłońmi opartymi na mieczu.

- Może nie chodzi o człowieka - powiedział. - Pismo piktograficzne nie zawsze tak funkcjonuje. Rozumiesz, wszystko zależy od kontekstu. - Poszukał w pamięci informacji z książek, jakie kiedyś czytał. - Na przykład

w języku agatejskim znaki „kobiety” i „niewolnika” napisane obok siebie oznaczają „żonę”.

Przyjrzał się dokładniej. Martwy człowiek - albo śpiący człowiek, albo leżący człowiek, albo stojący człowiek wsparty na mieczu - postać była zanadto stylizowana, by mieć pewność - pojawiał się zwykle obok innego znaku. Victor przesunął palcem wzdłuż linii piktogramów.

- Popatrz - powiedział. - Możliwe, że ta ludzka postać to tylko część słowa. Widzisz? Zawsze jest po prawej stronie innego obrazka, który wygląda jak... trochę jak brama albo coś takiego. To może oznaczać... - zawahał się. - Brama/człowiek? - spróbował.

Przekręcił książkę.

- Może to jakiś dawny król? - zgadywał Gaspode. - I razem to znaczy jakieś: Człowiek z Mieczem Uwięziony, albo coś w tym rodzaju. A może: Uważaj, za Drzwiami Czeka Człowiek z Mieczem? Właściwie to może znaczyć wszystko.

Victor raz jeszcze obejrzał tekst.

- Zabawne - mruknął. - On nie wygląda na martwego. Tylko na... nie żyjącego. Czeka, by ożyć? Czekający człowiek z mieczem?

Zbadał wzrokiem maleńką ludzką postać. Nie miała właściwie żadnych rysów, a mimo to zdołała wyglądać odrobinę znajomo.

- Wiesz co? - powiedział. - Jest całkiem podobny do mojego wuja Osrica.

Klikaklikaklika. Klik.

Szpula znieruchomiała. Rozległ się grzmot oklasków i tupanie, runęła kanonada pustych torebek po pukanych ziarnach.

W pierwszym rzędzie na widowni Odium bibliotekarz wpatrywał się w pusty już ekran. Już po raz czwarty tego popołudnia obejrzał *Cienie wśród pisków*, ponieważ w trzystufuntowym orangutanie jest coś takiego, co zniechęca do prób wyrzucenia go z sali między pokazami. Przy jego stopach powstał już niewysoki łańcuch górski z łupinek fistaszków i zgniecionych papierowych torebek.

Bibliotekarz uwielbiał migawki. Przemawiały do jakiegoś zakątka jego duszy. Zaczął nawet pisać opowiadanie, świetnie się nadające - tak uważał - na ruchomy obrazek[18]. Wszyscy, którym je pokazywał, twierdzili, że jest doskonałe; często jeszcze zanim zdążyli je przeczytać.

Ale w tej migawce coś go niepokoiło. Przesiedział cztery pokazy i nadal był niespokojny.

Wstał wreszcie z trzech miejsc, które zajmował, i podpierając się dłońmi ruszył między fotelami do małego pokoiku, gdzie Bezam przewijał film.

Bezam podniósł głowę, słysząc skrzypienie drzwi.

- Wynocha... - zaczął, po czym uśmiechnął się z wysiłkiem. - Dzień dobry panu. Ciekawa migawka, prawda? Za chwilę zaczniemy kolejny pokaz i... Co ty wyprawiasz, do demona? Nie wolno tak!

Bibliotekarz wyrwał z projektora wielką rolkę błony i podnosząc ją do światła, przesuwał między palcami. Bezam spróbował mu ją wyrwać, ale został odepchnięty i usiadł mocno na podłodze, a zwoje błony spływały mu na głowę.

Patrzył z przerażeniem, jak wielka mała stęka, oburącz chwytając błonę i dwoma kłapnięciami zębów wycina kawałek.

Potem bibliotekarz podniósł go, otrzepał z kurzu, pogłaskał po głowie, wcisnął w ręce rozwiniętą migawkę i wyszedł pośpiesznie. Kilka klatek błony zwisało mu z wielkiej łapy.

Bezam spoglądał za nim bezradnie.

- Masz zakaz wstępu! - krzyknął, kiedy uznał, że mała oddaliła się bezpiecznie poza zasięg głosu.

Potem obejrzał dwa rozerwane końce.

Przerwy w błonie nie były niczym niezwykłym. Bezam wiele razy spędzał po kilka gorączkowych minut, tnąc i klejąc, gdy publiczność radośnie tupiała nogami i entuzjastycznie ciskała w ekran orzeszkami, nożami i ciężkimi toporami.

Zrzucił z siebie zwoje błony i sięgnął po nożyczki i klej. Przynajmniej - co odkrył, przysuwając oba końce do latarni - bibliotekarz nie zabrał żadnego ciekawego kawałka. Bezam sądził, że mała byłaby zdolna do porwania klatki, na której dziewczyna pokazywała stanowczo zbyt dużą część odsłoniętej piersi, albo jednej ze scen walki. Ale zniknął tylko fragment pokazujący Synów Pustyni galopujących ze swej górskiej fortecy, rzędem, na identycznych wielbłądach.

- Nie wiem, po co mu to było - mruknął do siebie Bezam. -Widać tylko kupę kamieni.

Victor i Gaspode stali wśród wydym na plaży.

- Tutaj była ta chata. - Victor pokazał palcem. - A jeśli się dobrze przyjrzysz, możesz dostrzec taką jakby drogę prowadzącą prosto do wzgórza. Ale na tym wzgórzu niczego nie ma, tylko stare drzewa.

Gaspode spojrzał na Zatokę Świętego Gaju.

- Zafawne, że jest taka okrągła - zauważył.

- Też tak myślę - zgodził się Victor.

- Słyszałem, że kiedyś fyło miasto tak zepsute, że fogowie zmienili je w kałużę roztopionego szkła - oświadczył Gaspode, nie całkiem na temat. -

Jedyna osoba, która to widziała, zmieniła się w słup soli za dnia i maszynkę do sera nocą.

- O rany... Co ci ludzie tam robili?

- Nie wiem. Pewnie nic wielkiego. Niewiele trzeffa, żefy zirytować fogów.

- *Ja dobry! Dobry Laddie!*

Pies nadbiegł przez wydmy niczym smuga, kometa złocistej i pomarańczowej sierści. Wyhamował przed Gaspode i zaczął podskakiwać z podnieceniem. Ujadał.

- Uciekł i teraz chce, żefym się z nim fawił - wyjaśnił zrezygnowany Gaspode. - Śmieszne, prawda? Żefyś padł, Laddie!

Laddie posłusznie upadł na grzbiet, wyciągając w górę cztery łapy.

- Widzisz? Rozumie każde moje słowo - mruczał Gaspode.

- Lubi cię - uznał Victor.

- Ha - parsknął Gaspode. - Jak psy chcą do czegoś dojść, jeśli tylko skaczą w kółko i wielfią różnych takich, fo dostały porządny ofiad? Co nify mam z tym zrofić?

Laddie upuścił patyk przed Gaspode i teraz patrzył na niego wyczekująco.

- Chce, żebyś rzucił ten patyk - wyjaśnił Victor.

- Po co?

- Żeby mógł go przynieść z powrotem.

- Jednego nie rozumiem - oświadczył Gaspode, kiedy Victor podniósł patyk i rzucił z całej siły, a Laddie pognał za nim jak strzała. - Tego, że podobno pochodzimy od wilków. Przecież taki przeciętny wilk to fystrzak,

nie? Sprytu w nim po uszy i w ogóle. Mówimy o szarych łapach mknących przez fezkresną tundrę... Rozumiesz, o co mi chodzi.

Spojrzał tęsknie w stronę dalekich gór.

- I nagle, ledwie po paru pokoleniach, mamy słodkiego szczeniaczka z zimnym nosem, flyszczącymi oczami i mózgiem przestraszonego śledzia.

- I ciebie - dodał Victor.

Laddie przybiegł z powrotem z chmurze piasku, upuścił mu pod nogi wilgotny patyk. Victor podniósł go i rzucił znowu. Laddie ruszył w pościg, szczekając z radości.

- Nify tak - zgodził się Gaspode, maszerując na krzywych nogach. - Tylko że ja potrafię o siebie zadbać. To świat, gdzie pies psu jest wilkiem... Myślisz, że ten głupawy kundel przetrwałby chociaż pięć minut w Ankh-Morpork? Postawiłby tylko łapę na ulicy, a już byłby trzema parami rękawiczek i Chrupkim Smażonym nr 27 w najbliższym klatchiańskim całonocnym farze.

Victor znów rzucił patyk.

- Powiedz - poprosił - kim był ten sławny Gaspode, po którym dostałeś imię?

- Nie słyszałeś o nim?

- Nie.

- Był strasznie sławny.

- Był psem?

- Tak. Wiele lat temu. Żył kiedyś w Ankh-Morpork taki gość, który kopnął w kalendarz, a należał do jednej z tych starych religii, gdzie człowieka po śmierci zakopują w ziemi. Więc go zakopali, a jego pies...

- ...imieniem Gaspode...

- Tak, więc ten pies był jego jedynym towarzyszem, a kiedy już go pochowali, położył się na jego grofie i wył, i wył. Parę tygodni. Warczał, jeśli ktoś chciał podejść za flisko. A potem zdechł. Victor znieruchomiał z patykiem w ręku.

- To bardzo smutne - stwierdził.

Rzucił. Laddie pomknął pod patykiem i zniknął w kępie karłowatych drzew na zboczu.

- Owszem. Wszyscy powtarzają, że dowodzi to niewinnej i dozgonnej miłości psa do pana - stwierdził Gaspode, wypluwając słowa, jakby to był popiół.

- Ale ty w to nie wierzysz?

- Właściwie nie. Uważam, że każdy pies fy tam został i wył, gdyfy mu upuścili na ogon płytę nagrofną. Usłyszeli wściekłe ujadanie.

- Nie przejmuj się. Laddie znalazł pewnie jakieś groźne kamienie albo coś w tym rodzaju - powiedział Gaspode. Znalazł Ginger.

Bibliotekarz przemaszerował przez labirynt Biblioteki Niewidocznego Uniwersytetu i zszedł po schodach do półek najwyższego zagrożenia.

Prawie wszystkie tomy w Bibliotece były - jako magiczne - uważane za bardziej niebezpieczne od zwykłych książek. Większość przykuto do półek łańcuchami, żeby nie trzepotały dookoła.

Ale na niższych poziomach...

Na niższych poziomach trzymano książki dzikie, książki, których zachowanie albo zawartość wymagały dla nich całej półki, nawet całego pokoju. Książki kanibale, które - zostawione obok swych słabszych kuzynów - na drugi dzień stałyby pośród dymiących popiołów, grubsze i bardziej

zadowolone z siebie. Książki, których sam spis treści potrafił zmienić nieprzygotowany umysł w szary twaróg. Książki, które nie były po prostu książkami o magii, ale książkami magicznymi.

O magii krąży wiele fałszywych poglądów. Ludzie opowiadają o mistycznych harmoniach, kosmicznej równowadze i jednorożcach, które jednak wobec prawdziwej magii są tym, czym drewniana kukielka wobec Royal Shakespeare Company.

Prawdziwa magia to dłoń na pile elektrycznej, to iskra rzucona w baryłkę z prochem, tunel podprzestrzenny łączący z sercem gwiazdy, ognisty miecz, który płonie cały, łącznie z rękojęścią. Lepiej żonglować pochodniami w smolnym dole niż zadawać się z prawdziwą magią. Lepiej położyć się na drodze tysiąca słońi.

Przynajmniej tak twierdzą magowie i dlatego właśnie żądają tak druzgocąco wysokich opłat za zajmowanie się czymś podobnym.

Ale tutaj, na dole, w mrocznych tunelach nie można się było schować za amuletami, gwiazdzistymi szatami i szpiczastymi kapeluszami. Tutaj człowiek albo miał w sobie to coś, albo nie. A jeśli nie miał, mógł dostać - zwykle za swoje.

Bibliotekarz słyszał dziwne odgłosy dochodzące zza okratowanych drzwi, które mijał po drodze. Raz czy dwa coś rzuciło się na te drzwi, aż zagrzechotały.

Słyszał hałasy...

Zatrzymał się przed łukowo sklepionym przejściem, zamkniętym drzwiami nie z drewna, ale z kamienia, i tak wyważonymi, że można je było bez trudu otworzyć z zewnątrz, ale wytrzymałyby ogromny nawet nacisk od środka. Zastanowił się chwilę, po czym sięgnął do niewielkiej niszy, wyjął maskę z żelaza i okopconego szkła, którą zaraz włożył, oraz parę skórzanych rękawic wzmocnionych stalową siatką. Była tam również żagiew z nasączonych olejem szmat - zapalił ją od piecyka w korytarzu.

W głębi niszy znalazł mosiężny klucz.

Odetchnął głęboko.

Wszystkie Księgi Mocy przejawiały własną, specyficzną naturę. Octavo było surowe i władcze. *Grimoire Skuterów* lubił płać zabójcze psikusy. *Radości Seksu Tantrycznego* trzeba było trzymać w lodowatej wodzie. Bibliotekarz znał je wszystkie i umiał z nimi postępować.

Ta była inna. Ludzie widywali zwykle dziesiąte czy dwunaste kopie, tak się mające do oryginału, jak rysunek wybuchu do... no, do wybuchu. Ta księga promieniowała czystym, grafitowoszarym złem swej tematyki.

Tytuł dzieła wykuto nad łukiem przejścia, na wypadek gdyby ludzie i mały zapomnieli.

NECROTELICOMNICON.

Orangutan wsunął klucz do zamka i zmówił gorącą modlitwę do bogów.

- Uuk - powiedział żarliwie. - Uuk.

Drzwi stanęły otworem.

W ciemności usłyszał cichy brzęk łańcucha.

- Oddycha - oznajmił Victor.

Laddie skakał wokół nich i ujadał wściekle.

- Może powinienes rozpiąć jej suknię albo co - zaproponował Gaspode.
- Tak tylko pomyślałem - dodał. - Nie musisz tak na mnie patrzeć. Jestem psem, co mogę wiedzieć?

- Chyba nic jej nie dolega, ale... Spójrz na jej ręce. Do licha, co ona tu robiła?

- Prófowała otworzyć te wrota - odparł Gaspode.

- Jakie wrota?

- Te tutaj.

Fragment zbocza osunął się i teraz z piasku wystawały wielkie kamienne bloki. Połamane starożytne kolumny sterczały jak fluorowane zęby.

Między dwoma filarami otwierało się łukowo sklepione przejście, trzy razy wyższe niż Victor i zamknięte bladoszarymi wrotami z kamienia lub z drewna, które po latach stwardniało na kamień. Jedno skrzydło było nieco uchylone, ale nie mogło się otworzyć z powodu nawianego piasku. W tym piasku ktoś gorączkowo wyrył głębokie bruzdy - to Ginger próbowała odgarnąć go gołymi rękami.

- Bez sensu tak się męczyć w upale - stwierdził ogólnikowo Victor. Spojrzał na drzwi, potem na błękitne morze i na Gaspode.

Laddie rozkopywał piasek i podniecony ujadał na szczelinę we wrotach.

- Dlaczego on się tak zachowuje? - zapytał Victor, nagle przejęty dreszczem. - Sierść mu stanęła dęba. Nie wydaje ci się, że ogarnęło go to tajemnicze zwierzęce przeczucie zła?

- Myślę, że jest głupi jak poduszka - odparł Gaspode. - Zamknij się, Laddie!

Zabrzmiął głośny skowyt. Laddie odskoczył od wrót, stracił równowagę na sypkim piasku i potoczył się po zboczu. Kiedy tylko poderwał się na nogi, znowu zaczął szczekać - ale tym razem nie było to zwykłe szczenie głupiego psa, ale prawdziwy jazgot typu „kot na drzewie”.

Victor pochylił się i dotknął wrót. Były zimne, mimo wiecznego upału Świętego Gaju; wyczuwał leciutką sugestię wibracji.

Przesunął palcami po powierzchni. Była nierówna, jakby rzeźbiona, ale

lata całkiem zatarły wizerunek.

- Takie wrota... - odezwał się za nim Gaspode. - Takie wrota, jeśli chcesz poznać moje zdanie, takie wrota, takie wrota... - Nabrał tchu. - Wróżą.

- Hm. A co wróżą?

- Nie muszą wróżyć niczego konkretnego. Możesz mi wierzyć, wystarczy sam fakt wrózenia.

- Musiały być ważne. Wyglądają trochę jak w świątyni - zauważył Victor. - Dlaczego próbowała je otworzyć?

- Osuwa się kawałek zfocza i odsłania tajemnicze wejście. - Gaspode pokręcił głową. - To fardzo wrózenie. Chodźmy gdzieś daleko stąd i zastanówmy się poważnie. Zgoda?

Ginger jęknęła cicho. Victor przykucnął.

- Co powiedziała?

- Nie wiem.

- Brzmiało jak „Postawcie mnie z mamą”.

- To głupie. Pewnie słońce tak na nią podziałało, moim zdaniem - stwierdził mądrym tonem Gaspode.

- Może masz rację. Rzeczywiście jest rozgorączkowana. - Victor podniósł Ginger i zachwiał się lekko pod jej ciężarem. - Chodźmy - wysapał. - Pójdziemy do miasta. Niedługo zrobi się ciemno.

Przyjrzał się karłowatym drzewom. Wrota stały w płytkim zagłębieniu, które zapewne wychwytywało dość rosy, by roślinność była tutaj mniej wysuszona niż gdzie indziej.

- Wiesz co? To miejsce wygląda znajomo - stwierdził. - Tutaj kręciliśmy naszą pierwszą migawkę. Tutaj pierwszy raz ją spotkałem.

- Fardzo romantyczne - przyznał Gaspode, oddalając się szybkim krokiem. Laddie skakał wesoło wokół niego. - Jeśli przez te wrota wyjdzie coś okropnego, fędziecie mogli to nazwać Naszym Potworem.

- Hej! Zaczekaj!

- To się pośpiesz.

- Dlaczego chciała stać, jak myślisz? I dlaczego niby akurat teraz zatęskniła za mamą?

- Nie mam pojęcia.

Kiedy odeszli, zagłębienie na powrót wypełniła cisza.

Trochę później zaszło słońce. Ostatnie promienie padły na wrota, zmieniając drobne zadrapania w głębokie rzeźbienia. Z pomocą wyobraźni mogłyby tworzyć wizerunek człowieka.

Z mieczem.

Zabrzmiął najcichszy szelest, kiedy - ziarnko po ziarnku - piasek odsuwał się od wrót. Do północy otworzyły się o co najmniej jedną szesnastą cala.

Holy Wood śniło.

Śniło o przebudzeniu.

Ruby wygasila ogień pod kotłami, ustawiła ławy na stołach i już miała zamykać Błękitny Lias. Zanim jednak zdmuchnęła ostatnią lampę, przystanęła jeszcze przed lustrem.

On na pewno czeka dzisiaj przed wyjściem. Jak co wieczór. Był w lokalu i uśmiechał się do siebie. Na pewno coś planował.

Ruby poradziła się kilku pracujących w migawkach dziewcząt i jako dodatek do boa z piór zainwestowała w kapelusz z szerokim rondem i jakimś oograah - nazywały to chyba kwiatem wiśni. Zapewniły ją, że efekt jest porażający.

Kłopot - musiała przyznać - polegał na tym, że był z niego kawał trolla. Przez miliony lat kobiety trollów czuły naturalny pociąg do trolli zbudowanych jak monolity z jabłkiem na czubku. Odwieczne instynkty wysyłały wiadomości wzdłuż kręgosłupa Ruby, zdradziecko przekonując, że długie kły i krzywe nogi to wszystko, czego trollowa dziewczyna może wymagać od partnera.

Takie trolle jak Skallin czy Morry były oczywiście bardziej nowoczesne, potrafiły używać noża i widelca... Ale Detrytus miał w sobie coś... coś uspokajającego. Może to, jak kostki palców dynamicznie ciągnął po ziemi... A poza wszystkim innym Ruby była pewna, że jest mądrzejsza od niego. Dostrzegała w nim rodzaj bezmyślnej przebojowości, która wydała jej się fascynująca. To znowu działał instynkt - inteligencja nigdy nie była u trolli cechą szczególnie pożądaną.

Musiała też przyznać, że niezależnie od prób z boa i stylowymi kapeluszami, dobiegała już stuczterdziestki i miała czterysta funtów więcej, niż dopuszczała moda.

Gdyby tylko zdołał rozwinąć pewne myśli...

A przynajmniej jedną...

Może warto by spróbować makijażu, o którym opowiadały dziewczęta.

Westchnęła, zgasiła lampę, otworzyła drzwi i wyszła w płataninę korzeni.

Gigantyczne drzewo leżało wzdłuż całej długości zaułka. Detrytus musiał je ciągnąć tu przez wiele mil. Nieliczne ocalałe gałęzie przebijały okna albo żałośnie falowały w powietrzu.

A pośrodku tego wszystkiego Detrytus siedział dumnie na pniu, z

uśmiechem jak cząstka arbuza. Rozłożył ręce.

- Tralaa! - powiedział.

Ruby westchnęła ciężko. Romanse nie są rzeczą łatwą, kiedy jest się trollem.

Bibliotekarz z wysiłkiem przewrócił stronę i przycisnął ją łańcuchem. Książka usiłowała przytrzasnąć mu palce. To zawartość uczyniła ją taką. Złą i zdradziecką.

Księga zawierała zakazaną wiedzę.

A właściwie nie tak dokładnie zakazaną. Nikt nie posunął się do tego, by jej zakazać. Poza wszystkim innym, musiałby ją poznać, żeby wiedzieć, czego zakazuje. Jednak księga zawierała takie informacje, że człowiek, który je poznał, natychmiast tego żałował[19].

Legenda głosiła, że każdy człowiek śmiertelny, który przeczyta więcej niż kilka linijek oryginalnego egzemplarza, umrze obłąkany.

Z pewnością była to prawda.

Legenda głosiła także, że księga zawiera ilustracje, od których mózg silnego mężczyzny wycieka mu przez uszy.

Prawdopodobnie to również była prawda.

Legenda mówiła dalej, że samo otworzenie *Necrotelicomniconu* sprawi, że ciało człowieka popęźnie z jego dłoni w górę ramienia.

Nikt właściwie nie wiedział, czy to prawda, ale brzmiało to dostatecznie przerażająco i nikt nie zamierzał tego sprawdzać.

Legenda miała sporo do powiedzenia na temat *Necrotelicomniconu*, ale

nie wspominała nic o orangutanach, które potrafiłyby podrzeć książkę na małe kawałeczki i przeżuć ją, nie dbając o żadne legendy. Najgorsze, co spotkało bibliotekarza, kiedy do niej zaglądał, to lekki ból głowy i niewielka egzema - jednak nie zamierzał z tego powodu zapominać o środkach ostrożności. Poprawił wizjer z okopconego szkła i przesunął palcem w czarnej rękawicy wzdłuż indeksu; słowa jeżyły się, kiedy je mijał, i próbowały kąsać.

Od czasu do czasu podnosił do światła pasek błony.

Wiatr i piasek wygładziły kamienie, ale bez wątpienia były na nich jakieś rzeźby. A bibliotekarz widział już wcześniej takie rysunki.

Znalazł poszukiwany odnośnik i po krótkiej walce, w czasie której musiał pogrozić *Necrotelicomniconowi* pochodnią, zmusił książkę do otworzenia się na właściwej stronie.

Przyjrzał się dokładnie.

Dobry stary Ahmed Czasem Tylko Boli Mnie Głowa...

...a we wzgórzu tym, jest powiedziane, Wrota tego świata zostały odnalezione, a ludzie z miasta oglądali To, co Widzialne było za nimi, nie wiedząc, iż Groza czeka między wszechświatami...

Palec bibliotekarza przejechał od prawej do lewej przez ilustracje i zatrzymał się na następnym akapicie.

...gdyż Inni odkryli Wrota Holy Woodu i opadli Świat, aż jednej nocy Wszelkie Szaleństwa zapanowały, Chaos zwyciężył, a Miasto zatoneło w Morzu i jednym się stało z rybami i homarami, prócz tych mieszkańców jego, co uciekli...

Odwinął wargę i zaczął czytać niżej na stronie.

...Złoty Wojownik, który przepędził Monstra i Świat ocalił, i rzeki: Gdzie Wrota są, Tam i Ja Jestem; Jestem Tym, co Zrodził się z Holy Woodu, by strzec Dzikiej Idei. A oni rzekli na to: Co czynić nam trzeba, by Wrota Zniszczyć na Wieczność; odparł im: Tego Uczynić nie Możecie, gdyż nie Są One Rzeczą. Oni zaś, jako że nie Urodzili się Wczoraj, i lękając się Lekarstwa bardziej niż Choroby, spyтали go: Czegóż Zażądasz od Nas za to, że Strzec będziesz Wrót. A on rósł, aż stał się wysoki jak drzewo, i odparł im: Tylko waszej Pamięci, abym Nie Usnął. Trzy razy dziennie będziecie wspominać Holy Wood. Inaczej Miasta Świata Zadrżą i Upadną, a Największe z nich zobaczycie w Płomieniach. Powiedziawszy to, Złoty Człowiek chwycił swój złoty miecz i poszedł do Wzgórza, by stać u Wrót po Wieczność. Ludzie zaś powiadali jeden do drugiego: Zabawne, on wygląda całkiem jak mój wujek Osbert...

Bibliotekarz przewrócił kartkę.

...Żyli jednakże, pośród ludzi i zwierząt zarówno, dotknięci magią Holy Woodu. Przekazywana jest ona z pokolenia na pokolenie niczym pradawna klątwa, póki kapłani nie zaprzestaną Pamiętania i Złoty Człowiek uśnie. A wtedy niech lęka się świat...

Bibliotekarz zatrzasnął księgę.

Nie była to jakaś wyjątkowa legenda. Czytał już o niej, a przynajmniej przeczytał większą jej część, i to w książkach o wiele mniej groźnych niż ta. Warianty tej historii powtarzano praktycznie we wszystkich miastach

Równiny Sto. Pośród mgieł prehistorii istniało kiedyś wielkie miasto, większe niż Ankh-Morpork, jeśli coś takiego jest możliwe. Jego mieszkańcy zrobili... coś. Popełnili jakąś przerażającą zbrodnię, nie przeciwko Ludzkości czy bogom, ale przeciwko samej naturze wszechświata - zbrodnię tak potworną, że pewnej burzliwej nocy miasto zatoniło w morzu. Tylko niewielka grupka ocalała z katastrofy, by ponieść do barbarzyńskich plemion Dysku wszelkie sztuki i zdobycze cywilizacji, takie jak lichwa czy tkanie dywanów.

Nikt nigdy nie traktował tej historii poważnie. Była jednym z mitów typu „oślepniesz, jeśli nie przestaniesz”, które cywilizacje zwykle przekazują swoim spadkobiercom. W końcu samo Ankh-Morpork uważano powszechnie za najbardziej zepsute miasto, jakie może poznać marynarz, przez rok wyłącznie schodząc na ląd. A jednak udało mu się jakoś uniknąć nadprzyrodzonej kary i zemsty, choć możliwe, że miała ona miejsce, ale nikt tego nie zauważył.

Legenda zawsze umieszczała bezimienne miasto gdzieś bardzo daleko.

Nikt nie wiedział, gdzie się znajdowało, ani nawet czy w ogóle istniało.

Bibliotekarz raz jeszcze przyjrzał się rysunkom.

Były znajome. Pokrywały stare ruiny w całym Świętym Gaju.

Azhural stał na niskim pagórku i obserwował przesuwające się w dole morze słoń. Tu i tam wóz z zaopatrzeniem kołysał się między szarymi cielskami jak łódź bez steru. Na przestrzeni mili sawanna została zdeptana i zmieniona w wilgotne bagnisko, pozbawione trawy, chociaż - sądząc po zapachu - gdy tylko nadejdą deszcze, stanie się najzwyklejszym terenem na Dysku.

Przetarł oczy skrajem szaty.

Trzysta sześćdziesiąt trzy... Kto by pomyślał?

Powietrze wibrowało od dumnego trąbienia trzystu sześćdziesięciu trzech słoni. A że grupy łowieckie wyruszyły już przodem, wkrótce będzie ich więcej. Tak uważał M'Bu. I Azhural nie miał zamiaru się z nim spierać.

Właściwie to zabawne. Przez całe lata uważał M'Bu za coś w rodzaju chodzącego uśmiechu. Chłopak owszem, szybki z łopata i miotłą, ale wcale nie wyjątkowo zdolny do wielkich czynów.

Aż nagle ktoś gdzieś chce tysiąca słoni i chłopak podnosi głowę, oko mu błyska... widać, że pod tym uśmiechem kryje się sprawny kilopachydermatolista, gotów odpowiedzieć na wezwanie. Zabawne. Można znać kogoś przez całe życie i nie zdawać sobie sprawy, że bogowie zesłali go na ten świat, by mógł przetransportować po nim tysiąc słoni.

Azhural nie miał synów. Zdecydował już, że wszystko, co posiada, pozostawi swemu asystentowi. W tej chwili to „wszystko” składało się z trzystu sześćdziesięciu trzech słoni i - trudno zapomnieć - mamuciego debetu na koncie. Jednak ważna była sama myśl.

M'Bu zbliżył się ścieżką. Pod pachą mocno ścisnął notatnik.

- Wszystko gotowe, szefie - oznajmił. - Wystarczy, że powiesz słowo.

Azhural wyprostował się. Spojrzał na falującą sawannę, na odległe pnie baobabów, na fioletowe góry. Ach tak... góry. Góry wciąż go niepokoiły. Wspomniał o tym M'Bu, który odpowiedział tylko: „Będziemy przekraczać mosty, kiedy już do nich dotrzemy”. A kiedy Azhural przypomniał mu, że nie ma tam żadnych mostów, chłopak spojrzał mu prosto w oczy i oświadczył stanowczo: „Najpierw zbudujemy mosty, a potem je przekroczymy”.

Daleko za górami leżało Okrągłe Morze, Ankh-Morpork i to dziwne miejsce zwane Świętym Gajem. Dalekie miejsca o dziwnych nazwach...

Wiatr dmuchnął nad sawanną, nawet tutaj niosąc ciche szepty.

Azhural podniósł łaskę.

- Od Ankh-Morpork dzieli nas półtora tysiąca mil - rzekł. - Mamy trzysta sześćdziesiąt trzy słonie, pięćdziesiąt wozów z paszą, nadchodzi pora monsunów i nosimy... nosimy... takie ze szkła, tylko że ciemne... ciemne szklane rzeczy na oczach...

Umilkł. Zmarszczył czoło, jak gdyby właśnie słuchał własnego głosu i nie zrozumiał ani słowa.

Powietrze zdawało się migotać.

Zauważył, że M'Bu mu się przygląda.

Wzruszył ramionami.

- Ruszajmy - powiedział.

M'Bu złożył dłonie. Przez całą noc opracowywał porządek marszu.

- Sekcja Niebieska pod wodzą wujka N'gru... Naprzód! - krzyknął. - Sekcja Żółta pod ciocią Googool... Naprzód! Sekcja Zielona pod kuzynem! Kckiem!... Naprzód!

Godzinę później sawanna pod niskim pagórkiem opustoszała. Pozostał tylko miliard much i żuk gnojnik, który nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

Coś plusnęło w czerwony pył, pozostawiając mały krater.

I jeszcze raz. I znowu.

Błyskawica rozszczepiła pień rosnącego nieopodal baobabu.

Nadeszła pora deszczowa.

Victora zaczął boleć grzbiet. Noszenie na rękach młodych kobiet w

bezpieczne miejsce może wydawać się dobrym pomysłem na papierze, ale już po pierwszych pięćdziesięciu sążniach sprawa poważne kłopoty.

- Wiesz może, gdzie ona mieszka? - zapytał. - I czy to gdzieś blisko?

- Nie mam pojęcia - odparł Gaspode.

- Wspominała kiedyś, że nad sklepem z ubraniami.

- To w alejce obok Forgle'a.

Gaspode i Laddie prowadzili go wąskimi uliczkami, a potem po chwiejnych schodach na zewnątrz ściany budynku. Może wywęszyli pokój Ginger. Victor nie miał ochoty spierać się z tajemniczymi zwierzęcymi zmysłami.

Wspinał się po schodach jak najciszej. Niejasno zdawał sobie sprawę, że miejsca, gdzie ludzie wynajmują pokoje, często nawiedzane są przez Gospodynie Pospolite, zwane też Niezwykłe Podejrzliwymi. Uznał, że i tak ma już dość kłopotów.

Za pomocą stóp Ginger otworzył drzwi.

Pokój był mały, niski, wyposażony w smętne, wyblakłe meble, jakie spotyka się we wszystkich wynajętych pokoikach w multiwersum. A przynajmniej tak było na początku.

Teraz umeblowany był Ginger.

Zachowała wszystkie plakaty. Nawet te z pierwszych filmów, gdzie była wpisana małymi literkami jako Dziewczyna. Wisiały przypięte do ścian. Twarze Ginger - i jego własna - spoglądały na Victora ze wszystkich stron.

Na drugim końcu ciasnego pokoju wisało duże lustro, a przed nim stało kilka nadpalonych świec.

Victor ostrożnie ułożył Ginger na wąskim łóżku i rozejrzał się czujnie. Szósty, siódmy i ósmy zmysł krzyczały do niego ostrzegawczo. Znalazł się w miejscu magicznym.

- To coś w rodzaju świątyni - powiedział. - Świątyni... jej samej.

- Dreszcz mnie od tego przechodzi - wyznał Gaspode.

Victor patrzył. Owszem, udawało mu się dotąd uniknąć wręczenia szpiczastego kapelusza i wielkiej laski, jednak zdołał nabyć instynkty maga. W jego głowie pojawiła się nagle wizja miasta pod morzem, z ośmiornicami rozwijającymi macki w zatopionych bramach i homarami obserwującymi ulice.

- Los nie lubi, kiedy ludzie zajmują więcej miejsca, niż powinni. Wszyscy o tym wiedzą.

„Zamierzam być najsłynniejszą osobą na świecie”, przypomniał sobie. Tak powiedziała.

Potrząsnął głową.

- Nie - zaprzeczył głośno. - Ona po prostu lubi plakaty. To zwykła próżność.

Nawet w jego własnych uszach nie zabrzmiało to wiarygodnie. Pokoik aż brzęczał od...

...czego? Nigdy jeszcze czegoś takiego nie odczuwał. Jakaś moc, to oczywiste. Coś muskało kusząco jego zmysły... Nie całkiem magia, a przynajmniej nie taka, do jakiej był przyzwyczajony. Ale to coś wydawało się całkiem podobne, choć nie takie samo - jak cukier w porównaniu z solą: ten sam kształt, ten sam kolor, a jednak...

Ambicja nie jest magiczna. Potężna, owszem, ale nie magiczna... Na pewno?

Magia nie jest trudna. To największa tajemnica, jaką miała ukrywać wzniesiona przez magów barokowa hierarchia. Kto tylko posiadał choć

odrobinę inteligencji i dostateczny upór, mógł dokonywać czarów; właśnie dlatego magowie przesłaniali ten fakt rytuałami i całą tą zabawą ze szpiczastymi kapeluszami.

Sztuka polegała na tym, żeby czarować i wyjść z tego cało.

Całkiem tak jakby rasa ludzka była polem kukurydzy, a magia pomagała jej użytkownikom wyrosnąć nieco wyżej, tak że wystawali ponad resztę. A to ściągało na nich uwagę bogów i... Victor zawahał się... i różnych Stworów spoza tego świata. Ludzie, którzy zajmowali się magią, nie wiedząc, co robią, kończyli zwykle lekko.

Czasem nawet rozmazani po całym pokoju.

Wyobraził sobie Ginger, wtedy na plaży. „Zamierzam być najsłynniejszą osobą na świecie”. Jeśli się dobrze zastanowić, może w tym tkwił nowy element. Ktoś pragnął nie złota, władzy, ziemi ani żadnej z tych rzeczy, które stanowiły znajome elementy świata ludzi. Nie, pragnął po prostu być sobą, tak wielkim, jak to tylko możliwe. Nie mieć, ale być...

Pokręcił głową. Przecież to zwykły wynajęty pokój w tanim domku, w jakimś miasteczku mniej więcej tak rzeczywistym, jak... jak... powiedzmy, jak grubość migawki. Nie miejsce, żeby snuć takie myśli.

Najważniejsze to pamiętać, że Święty Gaj w ogóle nie jest rzeczywistym miejscem.

Raz jeszcze spojrzał na plakaty. Ma się tylko jedną szansę, mówiła. Człowiek może przeżyć siedemdziesiąt lat i jeśli ma szczęście, dostanie jedną szansę. Wystarczy pomyśleć o utalentowanych narciarzach, którzy przyszli na świat na pustyni. O genialnych kowalach, którzy urodzili się setki lat przed wynalezieniem konia. Nigdy nie wykorzystane zdolności, zmarnowane szansę...

Mam szczęście, pomyślał smętnie, że przypadkiem żyję akurat w tych czasach.

Ginger odwróciła się na bok. Jej oddech stał się bardziej regularny.

- Chodźmy - ponaglał Gaspode. - Nie wypada, żefyś przerywał sam w fuduarze damy.

- Nie jestem sam - zauważył Victor. - Ona jest ze mną.

- O to właśnie chodzi.

- Hau - dodał lojalnie Laddie.

- A wiesz - odezwał się Victor, schodząc za psami po schodach - zaczynam wyczuwać, że coś tu jest nie w porządku. Coś się dzieje, a ja nie wiem co. Po co próbowała dostać się pod wzgórze?

- Pewnie jest w zмовie z mrocznymi Potęgami - domyślił się Gaspode.

- Miasto, wzgórze, ta stara książka i w ogóle... - Victor nie zwracał na niego uwagi. - Wszystko to miałoby sens, gdybym tylko wiedział, co je łączy.

Wyszedł na ulicę, we wczesny wieczór, w światła i gwar Świętego Gaju.

- Jutro pójdziemy tam za dnia i sprawdzimy, co to za wrota - oświadczył.

- Nie, nie pójdziemy - sprzeciwił się Gaspode. - Jutro jedziemy do Ankh-Morpork. Zapomniałeś?

- My? - zdziwił się Victor. -Jedziemy Ginger i ja. O tobie pierwszy raz słyszę.

- Laddie też jedzie. A ja...

- *Dobry Laddie!*

- Tak, tak. Słyszałem rozmowę treserów. Więc i ja muszę z nim jechać, żefy nie wpadł w jakieś kłopoty i w ogóle. Victor ziewnął.

- Wszystko jedno. Idę do łóżka. Pewnie trzeba będzie wcześniej

wyjechać.

Gaspode rozejrzał się niewinnie po ulicy. Gdzieś niedaleko otworzyły się drzwi i zabrzmiał pijacki śmiech.

- Pomyślałem, że przed snem moglifyśmy się przespacerować - powiedział. - Pokażę Laddie...

- *Dobry Laddie!*

- ...widoki i różne rzeczy...

Victor przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Tylko niech nie wraca za późno - uprzedził. - Będą się martwić.

- Pewnie, oczywiście - uspokoił go Gaspode. - Dofranoc. Patrzył za odchodzącym Victorem.

- Ha - mruknął pod nosem. - Ciekawe, czy o mnie ktoś fy się martwił. - Zerknął na Laddie, który posłusznie się poderwał. - No dofrze, szczeniaku - rzekł. - Pora na naukę. Lekcja Pierwsza: Zdofywanie Darmowych Drinków w Farach. Masz szczęście - dodał - że mnie spotkałeś.

Była północ. Dwie psie sylwetki sunęły chwiejnie środkiem

- To my, dwa małe jagniątko... - wył Gaspode - które zgubiły drogę...

- *Hau! Hau! Hau!*

- Jesteśmy małe owieczki, co się... co się... - Gaspode usiadł i podrapał się w ucho, a przynajmniej w miejsce, gdzie niejasno pamiętał, że powinno być ucho. Łapa pomachała niepewnie w powietrzu.

Laddie spojrzał na niego ze współczuciem.

Wieczór okazał się niezwykle udany. Gaspode zawsze zdobywał drinki, po prostu siedząc i patrząc na ludzi z naciskiem, aż poczuli zakłopotanie i nalewali mu trochę piwa na spodek, w nadziei że wypije i sobie pójdzie. Technika była powolna i nużąca, ale skuteczna. Jednak Laddie...

Laddie robił sztuczki. Laddie umiał pić z butelki. Laddie wyszczeniwał, ile palców ktoś mu pokazuje. Gaspode też to potrafił, oczywiście, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że takie wyczyny zasługują na nagrodę.

Laddie mógł podejść do młodej kobiety, zaproszonej na kolację przez ambitnego adoratora, położyć jej głowę na kolanach i rzucić obojgu tak wyraziste spojrzenie, że adorator kupował mu miseczkę piwa i torbę herbatników w kształcie złotych rybek, żeby tylko zrobić wrażenie na potencjalnej ukochanej. Gaspode nie mógłby osiągnąć tego efektu, ponieważ był za niski względem kolan, a zresztą gdyby nawet próbował, wywołałby jedynie zdegrustowane okrzyki.

Siedział więc pod stołem z początku zakłopotany i pełen niesmaku, a później pijany, zakłopotany i pełen niesmaku, gdyż Laddie -jeśli chodziło o dzielenie się piwem - był wcieleniem wielkoduszności.

Teraz, kiedy wyrzucili ich już z baru, Gaspode uznał, że przyszła pora na wykład prawdziwej psiowości.

- Nie wolno tak się nanizać... polizać... poniżać wofec ludzi - oświadczył. - W ten sposób kompletujesz... kompromitujesz wszystkich. Nigdy nie zrzucimy kajdan zależności od ludzi, jeśli takie psy jak ty tylko fiegają i fez przerwy się cieszą na widok człowieka. Muszę zaznaczyć, że poczułem się osofiście narażony... porażony... urażony, kiedy rofiłeś ten numer z leżeniem na grzbiecie i udawaniem trupa.

- *Hau.*

- Jesteś psem łańcuchowym ludzkiego imperializmu - dodał oskarżycielskim tonem Gaspode.

Laddie zakrył łapami nos.

Gaspode spróbował wstać, potknął się o własne nogi i usiadł ciężko. Po chwili dwie wielkie łzy spłynęły mu po pysku.

- No tak... - powiedział. - Ja nigdy nie miałem takiej szansy, ot co. - Zdołał jakoś stanąć na wszystkich czterech łapach. - Pomyśl, jaki start miałem w życiu, Ciśnięty do rzeki w worku... W zwyczajnym worku. Śliczny mały szczeniaczek otwiera oczęta, spogląda w zachwycie na świat i w ogóle, i nagle trafia do worka. - Łzy kapały mu z nosa. - Przez dwa tygodnie myślałem, że cegła jest moją mamusią.

- *Hau* - odpowiedział Laddie ze współczuciem i całkowitym brakiem zrozumienia.

- Takie już moje szczęście, że wrzucili mnie do Ankh - mówił dalej Gaspode. - W każdej innej rzece fym utonął i poszedł do psiego niefa. Słyszałem, że kiedy zdychasz, przychodzi do ciebie taki wielki, czarny, widmowy pies i mówi: Nadszedł twój czas. Choć... Chodź.

Gaspode zapatrzył się na nic szczególnego.

- W Ankh nie można utonąć - stwierdził po namyśle. - Twarda rzeka z tej Ankh.

- *Hau*.

- Nawet psu fym tego nie życzył. Metaforycznie.

- *Hau*.

Gaspode spojrzał w bystre, czujne i nieodmiennie głupie oczy Laddiego.

- Nie zrozumiałeś ani słowa z tego, co ci mówiłem, co? - mruknął.

- *Hau* - odpowiedział Laddie i zaczął służyć.

- Szczęściarz - westchnął Gaspode.

Przy wylocie zaułka dostrzegł jakiś ruch. Usłyszał ludzki głos.

- Tam jest! Tutaj, Laddie, do nogi! Słowa wręcz ociekały ulgą.

- To Człowiek - warknął Gaspode. - Nie musisz iść.

- *Dobry Laddie! Laddie dobry!* - zaszczekał Laddie i posłusznie, choć trochę chwiejnie potruchtał na spotkanie ludzi.

- Wszędzie cię szukaliśmy - mruknął jeden z treserów i podniósł kij.

- Nie bij go - powstrzymał go drugi. - Wszystko popsujesz. Spojrzał w głąb zaułka i napotkał biegnący w przeciwną stronę wzrok Gaspode.

- To ten worek pcheł, który stale się kręci w pobliżu - stwierdził. - Dreszczy dostaje na jego widok.

- Rzuć w niego czymś - poradził pierwszy.

Treser schylił się po kamień, ale kiedy się wyprostował, zaułek był pusty. Pijany czy trzeźwy, w pewnych sytuacjach Gaspode reagował błyskawicznie.

- Widziałeś? - burknął treser, badając wzrokiem cienie. - Jakby czytał w myślach.

- To zwykły kundel - uspokoił go towarzysz. - Nie przejmuj się. Weźmy tego na smycz i wracajmy, zanim pan Dibbler coś odkryje.

Laddie posłusznie szedł za nimi aż do Wieku Nietoperza i pozwolił przypiąć się łańcuchem do budy. Może mu się to nie spodobało, ale trudno mieć pewność wśród tego labiryntu obowiązków, odruchów i niejasnych emocjonalnych cieni, które tworzyły coś, co z braku lepszego określenia można nazwać jego umysłem.

Na próbę raz czy dwa szarpnął łańcuch, po czym położył się i czekał na rozwój wydarzeń.

Po chwili z drugiej strony ogrodzenia odezwał się cichy, chrapliwy

głos:

- Mógłbym posłać ci kość z ukrytym w środku pilnikiem, ale pewnie fyś go zjadł.

Laddie podniósł głowę.

- *Dobry Laddie! Dobry Gaspode!*

- Cicho! Cicho! Powinni przynajmniej pozwolić ci porozmawiać z adwokatem. Przykuwanie kogoś łańcuchem stanowi złamanie przyrodzonych praw psa.

- *Hau!*

- Zresztą odplaciłem im. Poszedłem za tym okropnym do jego domu i ofsiusiałem mu całe drzwi.

- *Hau!*

Gaspode westchnął i odszedł. Czasami w głębi serca rozważał, czy nie byłoby przyjemniej do kogoś należeć. Nie być czyjąś własnością, nie być uwiązany przez kogoś na łańcuchu, ale naprawdę należeć, cieszyć się na jego widok, przynosić mu w zębach kapcie, tęsknić, kiedy umrze i tak dalej.

Laddie naprawdę lubił takie rzeczy, jeśli można to nazwać lubieniem, skoro miał te uczucia wbudowane w same kości. Gaspode myślał ponuro, czy nie tym jest prawdziwa psiowość... Zawarczał głucho. Nie, nie tym, jeśli on ma w tej sprawie coś do powiedzenia. Prawdziwa psiowość to nie żadne kapcie, spacery i tęsknoty za ludźmi; tego Gaspode był pewien. Psiowość to być twardym, niezależnym i sprytnym.

Tak.

Gaspode słyszał, że wszystkie psy mogą się ze sobą krzyżować; wszystkie - aż do oryginalnych wilków. To oznacza, że gdzieś w głębi każdy pies jest wilkiem. Można wilka przemienić w psa, ale nie można psa przemienić w wilka. Kiedy łapy bolą coraz bardziej, pchły dokuczają nieznośnie, a ruchy są ociężałe, taka myśl daje pocieszenie.

Pomyślał, jak by tu skrzyżować się z wilkiem i co by go czekało, gdyby przestał.

To zresztą nieważne. Liczy się to, że prawdziwe psy nie biegają w kółko i nie wariują ze szczęścia tylko dlatego, że człowiek coś do nich powie.

Tak.

Warknął na stos śmieci, jakby wyzywał go, by spróbował się nie zgodzić.

Fragment stosu poruszył się nagle i na Gaspode spojrzała kocia mordka z martwą rybą. Pies miał właśnie zaszczekać, choć bez entuzjazmu, tak tylko dla zachowania tradycji, kiedy kot wypluł rybę.

- Cześć, Gaspode - powiedział. Gaspode uspokoił się.

- Och... cześć, kocie. Nie chciałem cię urazić. Nie wiedziałem, że to ty.

- Nie znoszę ryb - oświadczył kot. - Ale przynajmniej nie gadają. Poruszył się kolejny fragment stosu śmieci i z ciemności wynurzyła się mysz Pip.

- Co tu roficie? - zdziwił się Gaspode. - Mówiliście przecież, że na wzgórzu jest fezpieczniej.

- Już nie - wyjaśnił kot. - Robi się za bardzo nieszamowicie. Gaspode zmarszczył brwi.

- Jesteś kotem - zauważył z dezaprobatą. - Powinieneś być przyzwyczajony do niesamowitości.

- Tak, ale to nie obejmuje złotych iszkiełek sztrzelających z futra ani ziemi, która czały czas się trzęsie. Ani dziwnych głosów, czo to myślisz, że pewnie gadają w twojej głowie. Tam się robi sztrasznie.

- Dlatego wszyscy zesłiliśmy - dokończył Pip. - Tuptuś i kaczor chowają się na wydmach...

Drugi kot zeskoczył z płotu tuż obok nich. Był duży, żółty i nie pobłogosławiony inteligencją Holy Woodu. Wytrzeszczył oczy, widząc mysz stojącą spokojnie obok kota.

Pip szturchnął kota w łapę.

- Pozbądź się go - powiedział. Kot spojrzał groźnie na przybysza.

- Szpadaj - rzucił. - No, już cię nie ma. Bogowie, to ponizające...

- Nie tylko dla ciebie - mruknął Gaspode, kiedy drugi kot odszedł, kręcąc ze zdziwienia głową. - Gdyby jakieś psy w tym mieście zofaczyły, że gawędzę sofie z kotem, moja opinia ległaby w gruzach.

- Pomyśleliśmy - tłumaczył kot, od czasu do czasu zerkając nerwowo na Pipa - że może trzeba jednak usztąpić i zobaczyć... zobaczyć... zobaczyć...

- On próbuje powiedzieć, że może znajdzie się dla nas zajęcie w ruchomych obrazkach - dokończył Pip. - Co o tym myślisz?

- Jako zespół? - upewnił się Gaspode. Przytaknęli.

- Nie ma szans - stwierdził. - Kto zechce płacić dobre pieniądze za oglądanie, jak kot i mysz się gonią? Ich nawet psy interesują tylko wtedy, kiedy przez cały czas podlizują się ludziom; na pewno nie zechcą patrzeć, jak kot goni mysz. Możecie mi wierzyć. Znam się na ruchomych obrazkach.

- W takim razie najwyższa pora, żeby ci twoi ludzie wymyślili, o czo tu chodzi, i żebyśmy mogli w końcu wrócić do domu - warknął gniewnie kot. - Ten chłopak nicz nie robi.

- Jest bezużyteczny - dodał mysz.

- Jest zakochany - wyjaśnił Gaspode. - To trudna sprawa.

- Tak... Wiem, jak to jest - wyznał kot ze współczuciem. - Ludzie rzucają w ciebie butami i różnymi rzeczami.

- Butami? - zdziwiła się mysz.

- We mnie zawsze rzuczali, kiedy byłem zakochany.

- U ludzi jest inaczej - powiedział niezbyt pewnym tonem Gaspode. - Nie rzucają w ciebie futami ani nie leją wody. Chodzi raczej o kwiaty, kłótnie i różne takie.

Zwierzęta spojrzały po sobie ponuro.

- Przyglądałem się im - oświadczył Pip. - Ona uważa go za idiotę.

- Tak właśnie z nimi jest - dodał Gaspode. - Nazywają to romansem.

Kot wzruszył ramionami.

- Wolę już buty. Ż butem wiesz, na czym sztoisz.

Migotliwy duch Holy Woodu wypływał na świat już nie wąską stróżką, ale wzburzoną rzeką. Bulgotał w żyłach ludzi, a nawet zwierząt. Był przy korbowych, kiedy kręcili korbami. Kiedy cieśle wbijali gwoździe, robili to dla Holy Woodu. Holy Wood był w potrawce u Borgle'a, w piasku, w powietrzu... I rósł. I zamierzał rozkwitać...

Gardło Sobie Podrzynam Dibbler, czy też G.S.P., jak wołał, by go nazywano, usiadł na łóżku i wpatrzył się w ciemność. W jego głowie płonęło miasto.

Pospiesznie wymacał przy łóżku zapalki, zdołał jakoś zapalić świecę i po chwili znalazł pióro.

Nie było papieru. Wyraźnie przecież polecił, żeby papier zawsze leżał przy jego łóżku, na wypadek gdyby obudził się z pomysłem. Najlepsze pomysły przychodzą przecież do głowy właśnie wtedy - przez sen.

Miał przynajmniej pióro i atrament...

Obrazy przewijały się pod powiekami. Musiał je pochwycić, bo odpłyną już na zawsze...

Złapał za pióro i zaczął pisać na pościeli. Mężczyzna i Kobieta w Ogniu Namyętności, w Mieście Rozdartem Wojną Domową!

Pióro skrzypiało i chlapało na szorstkim lnieniu. Tak! Tak! Właśnie!

On im pokaże - im wszystkim, z tymi nędznymi gipsowymi piramidami i pałacami po pensie za tuzin. Zrobi obrazek, któremu będą próbowali dorównać! Kiedy ktoś zacznie pisać historię Świętego Gaju, wskaże ten właśnie i powie: Oto Ruchomy Obrazek, który Pokonał Wszystkie Ruchome Obrazki!

Trolle! Bitwy! Romanse! Mężczyźni z cienkimi wąsikami! Żołnierze fortuny! I kobieta, walcząca, by zachować... Dibbler zawahał się... zachować to czy tamto, co kocha, jutro o tym pomyślimy... w świecie ogarniętym szaleństwem!

Pióro podskakiwało, szarpało się i pędziło naprzód. Brat przeciwko bratu! Kobiety w krynolinach policzkuje ludzi! Upadek potężnej dynastii!

Miasto w ogniu! Nie namyętności, zanotował na marginesie, ale pożaru.

Może nawet...

Przygryzł wargę.

Tak! Na to właśnie czekał. Tak!

Tysiąc słoń!

(Soli Dibbler powiedział później:

- Wiesz co, wujku? To świetny pomysł: wojna domowa w Ankh-Morpork. Żaden problem. Słynne wydarzenie historyczne, jasna sprawa. Tyle że żaden z historyków nie zanotował obecności tysiąca słoń.

- To była wielka wojna - bronił się Dibbler. - Nie wszystko można zauważyć.

- Ale tysiąc słoni raczej tak.

- Kto jest szefem tej wytwórni?

- Chciałem tylko...

- Teraz ty posłuchaj - rzekł Dibbler. - Może i nie mieli tam tysiąca słoni, ale my będziemy mieli tysiąc słoni, ponieważ tysiąc słoni jest bardziej realistyczne, jasne?).

Prześcieradło stopniowo zapełniało się nerwowym pismem. Dibbler dotarł do końca i kontynuował na deskach łóżka.

Na bogów, to będzie prawdziwa wojna! Koniec z małymi, udawanymi bitwami! Będą potrzebowali wszystkich korbowych w Świętym Gaju!

Wyprostował się, zdyszany, ale szczęśliwy.

Teraz widział już całość. Praktycznie skończoną.

Potrzebował jeszcze tytułu. Czegoś, co dobrze zabrzmie. Czegoś, co ludzie zapamiętają. Czegoś... poskrobał się piórem po brodzie... co da do zrozumienia, że sprawy ludzi są jak pyłki w wielkich sztormach historii. Sztormy, o to chodzi. Dobry obraz, taki sztorm. Gromy. Błyskawice. Deszcz. Wiatr.

Wiatr! To jest to!

Poczołgał się na górę prześcieradła i bardzo starannie wykaligrował:

PORWANE WIATREM.

Victor rzucał się i przewracał w wąskim łóżku. Nie mógł zasnąć. Wizje sunęły przez jego na wpół uśpiony umysł. Były tam wyścigi rydwanów, pirackie statki, jakieś obiekty, których nie zdołał zidentyfikować, a pośród tego wszystkiego coś wspinało się na wieżę. Coś wielkiego i strasznego, rzucającego wyzwanie całemu światu. I ktoś krzyczał...

Poderwał się, zlany potem.

Po kilku minutach zsunął nogi na podłogę, wstał i podszedł do okna.

Ponad światłami miasta wzgórze Świętego Gaju drzemało w pierwszych bladych promieniach świtu. Zapowiadał się kolejny piękny dzień.

Sny Holy Woodu płynęły po ulicach wielkimi, złocistymi, niewidzialnymi falami.

I Coś przypląnęło wraz z nimi.

Coś, co nigdy, ale to nigdy nie śniło. Coś, co nigdy nie zasypiało.

Ginger wstała z łóżka i także spojrzała na wzgórze, choć można wątpić, czyje widziała. Poruszając się jak niewidoma, przeszła po schodach i pobiegła śladem odpływającej nocy.

Nieduży pies, kot i mysz obserwowali ją z cienia.

- Widzieliście jej oczy? - upewnił się Gaspode.

- Świeciły - potwierdził kot. - Faj!

- Idzie na wzgórze - stwierdził Gaspode. - Wcale mi się to nie podoba.

- Co z tego? - zapytał Pip. - Zawsze się kręci koło wzgórza. Przychodzi co noc i wzdycha tam dramatycznie.

- Co?

- Każdej nocy. Myśleliśmy, że chodzi o te romanse.

- Ale przecież choćby po tym, jak się rusza, widać, że coś jest nie w porządku - przekonywał zrozpaczony Gaspode. - Ona nie idzie normalnie, tylko się zatacza. Jakby coś ją popychało, jakiś wewnętrzny głos albo co.

- Wcale tak nie uważam - odparł Pip. - Według mojego słownika, chodzenie na dwóch nogach to właśnie zataczanie.

- Popatrzcie tylko na jej twarz! Coś z nią jest nie tak!

- Oczywiście, że coś z nią jest nie tak. Jest człowiekiem - burknął Pip.

Gaspode rozważył możliwości. Nie miał ich wiele. Oczywistym rozwiązaniem byłoby odszukanie Victora i sprowadzenie go tutaj.

Odrzucił ten pomysł. Przypominał głupie nadszakiwanie Laddiego. Sugerował, że najlepsze, co mógł zrobić pies, gdy stanie wobec zagadki, to znaleźć człowieka, żeby ją rozwiązał.

Podbiegł i chwycił w zęby wlokący się po ziemi skraj nocnej koszuli Ginger. Szła dalej, ciągnąc go za sobą. Gaspode usłyszał śmiech kota, trochę zbyt ironiczny jak na jego gust.

- Pora się zbudzić, panienko - warknął, puszczaając koszulę. Ginger nie zatrzymała się nawet.

- Widzisz? - zawołał kot. - Wystarczy dać im przeciwny kciuk, a już uważają się za coś lepszego.

- Pójdę za nią - oświadczył Gaspode. - Samotna dziewczyna nocą nie jest fezpieczna.

- No i masz te pszy - zwrócił się kot do myszy. - Zawsze nadszakuja ludziom. Mówię ci, następnym razem będzie już miał diamentową obrożę i miszkę ze swoim imieniem.

- Jeśli szukasz okazji, żefy stracić trochę sierści z pyska, to trafiłeś we właściwe miejsce, koteczku - warknął Gaspode, odsłaniając swoje spróchniałe zęby.

- Nie mam zamiaru tego szłuchać - oświadczył kot, z wyższością zadzierając nos. - Chodź, Pip, sprawdzimy tamten sztosz odpadków. Tam nie ma tylu śmieci.

Gaspode obserwował ich spod zmrużonych powiek.

- Mruczuś! - krzyknął jeszcze.

Potem pobiegł za Ginger. Sam siebie nienawidził.

Gdyfym był wilkiem, myślał, którym technicznie przecież jestem, stanowczo rozdarłfym ją szczękami i tak dalej. Każda dziewczyna włócząca się samotnie, i to po ciemku, fyłafy w poważnych kłopotach. Mógłfym zaatakować, mogę zaatakować, kiedy tylko zechcę, po prostu nie mam ochoty. Coś, czego na pewno nie rofię, to jej nie pilnuję. Wiem, Victor prosił, żefym na nią uważał, ale nikt mnie nie przyłapie na wykonywaniu rozkazów ludzi. Jeszcze nie widziałem ludzi, którzy moglify mi rozkazywać. Gardłofym rozdarł i tyle. Ha. A gdyfy coś jej się stało, on fy chodził smętny całymi dniami i pewnie zapominał mnie nakarmić. Co prawda takie psy jak ja nie potrzebują ludzi, żefy ich karmili, mogę przecież powalać renifery, skakać im na grzfiety i przegryzać tętnice, ale o wiele wygodniej jest dostawać wszystko na talerzu.

Ginger szła dość szybko. Gaspode wywiesił język, próbując dotrzymać jej kroku. Głowa go bolała.

Zaryzykował kilka spojrzeń na boki, by sprawdzić, czy nie widzą go inne psy. Gdyfy tak, pomyślał, zawsze mogę udawać, że ją gonię.

Zresztą to właśnie robił. Kłopot w tym, że nigdy nie był zbyt sprawny, nawet w najlepszych czasach, i coraz trudniej mu było nadążyć. Powinna mieć odrobinę przyzwoitości i zwolnić trochę.

Ginger zaczęła się wspinać na zbocze.

Gaspode pomyślał, czyby głośno nie zaszczekać. Gdyby potem ktoś się zainteresował, zawsze mógłby tłumaczyć, że chciał ją przestraszyć. Ale powietrza w płucach pozostało mu najwyżej na groźne rżenie.

Ginger pokonała grzbiet i zniknęła w zagłębieniu między drzewami.

Gaspode powłókł się za nią, wyprostował się, otworzył pysk, żeby zaskomleć ostrzegawczo, i niemal połknął własny język.

Wrota otworzyły się na kilka cali. Na jego oczach z niewielkiej wydmy spłynęła strużka piasku.

I słyszał głosy. Miał uczucie, że nie wymawiają słów, ale kości słów, znaczenia bez żadnej osłony. Brzęczały wokół jego spłaszczonej głowy niczym żebrzące moskity, proszące, kuszące i...

...był najślawniejszym psem na świecie. Sierść wygładziła mu się, wytarte miejsca wypuściły lśniące włosy, futro porosło zwinną nagle postać i przestało wchodzić w zęby. Przed nim pojawiały się półmiski, pełne nie wielobarwnych i tajemniczych organów, jakie zwykle mu dawano do jedzenia, ale ciemnoczerwonych steków. Była też słodka woda, nie, to piwo w misce z wypisanym jego imieniem. Kuszące zapachy w powietrzu sugerowały, że kilka psich dam chętnie się z nim zapozna, kiedy już zje i wypije do syta. Tysiące ludzi uważało, że jest wspaniały. Miał obrozę ze swoim imieniem i...

Nie, to się nie zgadza. Nie obrozę. Jeśli nie wyznaczy się granicy przy obrożach, następnym razem to będzie piszcząca gumowa zabawka.

Wizja rozwiała się w chaosie i teraz...

...stado pędziło między ciemnymi, zasypanymi śniegiem drzewami, pędziło za nim, rozdziawiając czerwone paszcze. Długie łapy pożerały dystans. Uciekający saniami ludzie nie mieli żadnych szans;

jeden wypadł, kiedy płoza podskoczyła na gałęzi, i leżał teraz na drodze; wrzeszczał, kiedy dopadł go Gaspode i wilki...

Nie, tutaj też coś jest nie tak, myślał ogłupiały. Przecież naprawdę nie je się ludzi. Owszem, ma się ich po uszy, to prawda, bogowie świadkami, ale żeby ich zjadać...

Zamęt instynktów groził spięciem w jego schizofrenicznym psim umyśle.

Głosy z niesmakiem zrezygnowały z ataku i skupiły się na Ginger, która próbowała metodycznie odgarniać jak najwięcej piasku.

Pchła ukąsiła mocno Gaspode. Pewnie śniła, że jest największą pchłą na świecie. Odruchowo podniósł łapę, żeby się podrapać... i zakłęcie opadło.

Zamrugął.

- Niech to demony... - jęknął.

Coś takiego dzieje się z ludźmi? Ciekawe, jakie sny zsyłają na nią...

Włosy stanęły mu dęba na grzbiecie.

Nie potrzebował żadnych tajemniczych zwierzęcych instynktów. Całkiem zwyczajne, ogólne instynkty zupełnie wystarczały, by go przerazić.

Za wrotami czaiło się coś potwornego. A ona próbowała to wypuścić.

Musiał ją obudzić.

Ugryzienie nie było najlepszym pomysłem. Zęby miał już nie takie jak kiedyś. Wątpił też, czy szczekanie odniesie lepszy skutek. Pozostała więc tylko jedna możliwość.

Piasek poruszał się dziwnie pod łapami - może śnił, że jest kamieniami? Karłowate drzewa wokół zagłębienia spowijały fantazje sekwoi. Nawet powietrze owiewające spleśzczoną głowę Gaspode płynęło leniwie, choć trudno zgadnąć, o czym może śnić powietrze.

Gaspode podbiegł do Ginger i przycisnął nos do jej łydki.

Wszechświat dopuszcza liczne sposoby straszliwego przebudzenia, na przykład ryk tłumu wyłamującego drzwi frontowe, wycie syren straży pożarnej czy nagła świadomość, że dziś jest właśnie poniedziałek, który jeszcze w piątek wieczorem wydawał się przyjemnie odległy. Wilgotny psi nos nie jest - ściśle rzecz ujmując - najgorszą możliwością; posiada jednak własną, niezwykle straszność, którą koneserzy koszmarów oraz właściciele psów dobrze poznali i nauczyli się jej lękać. To jakby ktoś przycisnął człowiekowi do skóry kawałek zamrożonej i tającej powoli wątróbki.

Ginger zamrugała. Lśnienie w jej oczach przygasło. Spojrzała w dół i wyraz grozy na jej twarzy zmienił się w zdumienie, a potem, kiedy dostrzegła Gaspode, w zwykły, przyziemny strach.

- Dzień dofry - powiedział przymilnie Gaspode.

Cofnęła się, w obronnym geście wznosząc ręce. Piasek spływał jej między palcami. Zerknęła zdumiona na swe dłonie i znowu spojrzała na Gaspode.

- Bogowie, to potworne - szepnęła. - Co się dzieje? Skąd się tu wzięłam? - Zasłoniła dłonią usta. - O nie! - jęknęła. - Znowu...

Przyglądała mu się przez chwilę, obejrzała się na wrota, po czym odwróciła się, uniosła nocną koszulę i pobiegła do miasta spowitego w poranne mgły.

Gaspode pospieszył za nią; wyczuwał gniew w powietrzu i rozpaczliwie usiłował jak najbardziej oddalić się od wrót.

Jest tu coś paskudnego, myślał. Pewnie jakieś Stwory z mackami, które zdzierają twarz aż do kości. Przecież kiedy znajduje się tajemnicze wrota w

starym wzgórzu, to chyba jasne, że to, co przez nie wylezie, nie ucieszy się na widok znalazcy. Złe Stwory, których nie powinien znać Człowiek, a pewien pies też woli nie wiedzieć. Dlaczego ona...

Narzekał przez całą drogę.

Za nim wrota przesunęły się o maleńki ułamek cala.

Święty Gaj przebudził się jeszcze przed Victorem i stuk młotków w wytwórni Wieku Nietoperza wznosił się pod samo niebo. Wozy z drewnem czekały w kolejce przed bramą. Victor przepychał się między zaaferowanymi malarzami i stolarzami. Wewnątrz robotnicy krzatali się wokół pogrążonych w dyskusji Silverfisha i G.S.P. Dibblera.

Victor dotarł do nich i usłyszał zdumiony głos Silverfisha.

- Całe miasto?

- Możesz opuścić te kawałki na obrzeżach - odparł Dibbler. - Ale chcę mieć całe centrum. Pałac, Uniwersytet, gildie... wszystko, co tworzy prawdziwe miasto. Rozumiesz? I musi być podobne.

Miał zaczerwienioną twarz. Za nim stał troll Detrytus i jedną ręką cierpliwie trzymał nad głową coś, co przypominało łóżko; wyglądał jak kelner z tacą. Dibbler przewiesił sobie przez ramię pościel. Dopiero teraz Victor zauważył, że nie tylko pościel, lecz całe łóżko pokryte jest pismem.

- Ale koszty... - protestował Silverfish.

- Jakoś zdobędziemy pieniądze - przerwał mu spokojnie Dibbler. Silverfish nie byłby chyba bardziej przerażony, gdyby Dibbler przyszedł do wytwórni w sukience. Próbował dyskutować.

- Jeśli tak się upierasz, Gardło...

- Tak jest!

- ...możemy chyba jakoś to zorganizować. Spróbujemy rozłożyć koszt na kilka migawek, albo nawet wynajmować je później...

- O czym ty gadasz? - zirytował się Dibbler. - Budujemy przecież do Porwanego wiatrem!

- No tak, naturalnie - uspokajał go Silverfish. - Ale potem możemy...

- Potem? Nie będzie żadnego potem! Nie czytałeś scenariusza? Detrytus, pokaż mu scenariusz!

Detrytus posłusznie opuścił między nimi łóżko.

- To twoje łóżko, Gardło.

- Łóżko czy scenariusz, co za różnica. Popatrz... o, tutaj... Nad rzeźbieniem.

Na chwilę zapadło milczenie. Przedłużało się. Silverfish nie był przyzwyczajony do lektury czegoś, czego nie spisano w kolumnach, z sumą łączną na samym dole.

- Chcesz... - odezwał się wreszcie - to wszystko... podpalić?

- To historia. Nie można się kłócić z historią - odparł z satysfakcją Dibbler. - Miasto spłonęło w czasie wojny domowej. Wszyscy o tym wiedzą.

Silverfish wyprostował się z godnością.

- Miasto może i spłonęło - oświadczył. - Aleja nie muszę tego finansować. To bezsensowna rozrzutność.

- Ja za to zapłacę - odparł spokojnie Dibbler.

- Jednym słowem: nie-możliwe.

- To dwa słowa.

- Absolutnie nie mam zamiaru przy czymś takim pracować! - rzekł Silverfish, ignorując to spostrzeżenie. - Próbowałem zrozumieć twój punkt widzenia, naprawdę próbowałem. Ale ty bierzesz ruchome obrazki i usiłujesz zamieniać je... w sny! Nie takie miały być! Możesz mnie wliczyć poza tym wszystkim!

- Jak chcesz. - Dibbler obejrzał się na trolla. - Pan Silverfish właśnie wychodzi - powiedział.

Detrytus skinął głową, a następnie powoli, lecz stanowczo złapał Silverfisha za kołnierz.

Silverfish zbladł.

- Nie pozbędziesz się mnie w ten sposób - oznajmił.

- Chcesz się założyć?

- Żaden alchemik w Świętym Gaju nie zechce dla ciebie pracować! Zabierzemy ze sobą korbowych! Będziesz skończony!

- Słuchaj mnie! Po tej migawce cały Święty Gaj zacznie szukać u mnie pracy! Detrytus, wyrzuć tego dupka!

- Się robi, panie Dibbler - zahuczał troll i mocniej złapał kołnierz Silverfisha.

- To jeszcze nie koniec, ty... ty fałszywy, oszukańczy megalomanie! Dibbler wyjął z ust cygaro.

- Dla ciebie: panie Megalomanie - odrzekł krótko. Wsadził cygaro w zęby i skinął znacząco trollowi, który łagodnie, ale pewnie chwycił Silverfisha również za nogę.

- Tknij mnie choćby palcem, a już nigdy nie będziesz pracował w tym mieście! - krzyczał Silverfish.

- Mam już posadę, panie Silverfish - odparł grzecznie troll, niosąc Silverfisha w stronę bramy. - Jestem wiceprezesem do spraw wyrzucania

ludzi, którzy nie spodobają się panu Dibblerowi.

- To będziesz musiał znaleźć sobie kogoś do pomocy.

- Mam siostrzeńca, którzy marzy o karierze. Miłego dnia.

- No dobrze. - Dibbler zatarł ręce. - Soli! Soli wynurzył się zza ustawionego na kozłach blatu, zavalonego zwojami planów. Wyjął z ust ołówkę.

- Słucham, wujku.

- Ile to potrwa?

- Jakieś cztery dni, wujku.

- Za długo. Wynajmij więcej ludzi. Ma być gotowe na jutro, zrozumiano?

- Ale wujku...

- Bo cię zwolnię - zagroził Dibbler. Soli chyba się przestraszył.

- Jestem twoim bratankiem, wujku - przypomniał. - Nie możesz zwalniać bratanków.

Dibbler rozejrzał się i chyba po raz pierwszy zauważył Victora.

- Aha, Victor. Ty sobie radzisz ze słowami. Czy mogę zwolnić bratanka?

- Hm... Raczej nie. Bratanków trzeba wydziedziczyć albo coś w tym rodzaju - odpowiedział niepewnie Victor. - Ale...

- Bardzo dobrze! - przerwał mu Dibbler. - Zuch chłopak. Wiedziałem, że jest takie słowo. Wydziedziczyć. Słyszałeś, Soli?

- Tak, wujku - przyznał zniechęcony Soli. - Spróbuję poszukać cieśłów, dobrze?

- Dobrze.

Soli rzucił Victorowi na pożegnanie spojrzenie pełne załęknionego podziwu. Dibbler zaczął poganiać grupkę korbowych. Instrukcje płynęły z jego ust niczym woda z fontanny.

- Chyba nikt dzisiaj nie pojedzie już do Ankh-Morpork - odezwał się głos z wysokości Victorowego kolana.

- Rzeczywiście, Dibbler jest dzisiaj bardzo... ambitny. Zupełnie do siebie niepodobny.

Gaspode podrapał się w ucho.

- Muszę ci o czymś powiedzieć. Zaraz, co to było? A, już wiem. Twoja dziewczyna jest opętana przez demoniczne moce. Nocą widzieliśmy ją na wzgórzu, prawdopodobnie zamierzała połączyć się z diablem. Co o tym myślisz?

Wyszczrzył zęby. Był dumny ze sposobu, w jaki przedstawił sprawę.

- To miło - odparł z roztargnieniem Victor. Dibbler zachowywał się dzisiaj jeszcze bardziej dziwnie niż zwykle. A nawet bardziej niż zwykle mieszkańcy Świętego Gaju.

- No tak... - Gaspode nieco się zirytował tą reakcją. - Hasa pewnie po nocach z przerażającymi, okultystycznymi Inteligencjami z Tamtej Strony... Wcale rym się nie zdziwił...

- Dobrze - odpowiedział Victor.

Normalnie nikt niczego w Świętym Gaju nie pali. Raczej zachowuje na później i zamalowuje drugą stronę. Wbrew sobie, zaczął odczuwać zaciekawienie.

- ...tysiące statystów - mówił Dibbler. - Nie obchodzi mnie, skąd ich weźmiemy. Jak będzie trzeba, zatrudnimy cały Święty Gaj, jasne? I jeszcze...

- Pomaga im w nienawistnych staraniach zmierzających do przejęcia

władzy nad całym światem, jeśli mam wyrazić swoją opinię - stwierdził Gaspode.

- Rzeczywiście? - spytał Victor.

Dibbler rozmawiał z dwoma uczniami alchemików. Co? Dwudziestospulowiec? Przecież nikt dotąd nawet nie myślał o przekroczeniu granicy pięciu szpul...

- Tak; kopala u wrót, fo chciała przefudzić je z pradawnego snu, fy mogły szerzyć zniszczenie, i takie rzeczy - tłumaczył Gaspode. - Pewnie z pomocą kotów, zapamiętaj moje...

- Słuchaj, czy nie mógłbyś się na chwilę uciszyć? - przerwał mu z irytacją Victor. - Chcę wiedzieć, o czym oni mówią.

- No to przepraszam fardzo... Prófowałem tylko ocalić świat - mruczał Gaspode. - A kiedy już upiorne Stwory sprzed Zarania Czasu zaczną machać do ciebie spod łóżka, nie przychodź do mnie się skarżyć.

- O czym ty gadasz?

- Nic ważnego.

Dibbler obejrzał się i dostrzegł Victora z wyciągniętą szyją. Skinął na niego.

- Hej, chłopcze! Chodź no tutaj. Czyżbym miał dla ciebie rolę?

- Ma pan? - spytał Victor, przeciskając się przez tłum.

- Przecież mówię.

- Nie. Pytał pan... - zaczął Victor i zrezygnował.

- A gdzie panna Ginger, jeśli wolno spytać? Jak zawsze się spóźnia?

- ...pewno zasnęła... - mamrotał ponury, całkowicie ignorowany głos, wydobywający się spomiędzy lasu nóg. - Pewnie takie grze-fanie się w

okultyzmie męczy...

- Soli, poślij kogoś, żeby ją sprowadził.

- Tak, wujku.

- ...ale czego tu się dziwić, hm, tacy, co lufią koty, są zdolni do wszystkiego, nie można takim ufać...

- I znajdź kogoś, kto przepisze łóżko.

- Tak, wujku.

- ...ale czy ktoś mnie słucha? Nie oni. Jakfym miał lśniące futro, fiegał w kółko i szczekał, wtedy fy słuchali, jasne...

Dibbler otworzył usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale nagle zmarszczył brwi i unióś rękę.

- Co to za mamrotanie? - zapytał.

- ...pewnie ocalilem dla nich świat i słusznie mi się należy jakiś pomnik, ale nie, nie, panie Gaspode, fo nie jest pan odpowiednią osofą, więc...

Narzekanie ucichło. Ludzie rozstąpili się, odsłaniając małego szarego psa na krzywych nogach, który spojrzał spokojnie na Dibblera.

- Szczek? - powiedział z niewinną miną.

W Świętym Gaju wydarzenia zawsze biegły prędko, ale praca nad *Porwanym wiatrem* mknęła naprzód niczym kometa. Wszystkie inne migawki Wieku Nietoperza zostały wstrzymane. Podobnie jak większość innych w mieście, ponieważ Dibbler podkupiał aktorów i korbowych, płacąc im dwa razy więcej niż inni.

Miedzy wydmanami powstawalo cos w rodzaju Ankh-Morpork. Byloby taniej, narzekal Soli, gdyby zaryzykować gniew magów, zrobić parę obrazków w prawdziwym Ankh-Morpork, a potem wsunąć komuś garść dolarów, żeby podłożył ogień w mieście.

Dibbler się nie zgadzał.

- Poza wszystkim innym - mówił - nie wyglądałoby to jak należy.

- Przecież to prawdziwe Ankh-Morpork, wujku - protestował Soli. - Jest dokładnie takie, jak należy. Jak może wyglądać inaczej?

- Ankh-Morpork, rozumiesz, wcale nie wygląda tak znowu naturalnie - oświadczył po namyśle Dibbler.

- Przecież jest naturalne! - krzyknął Soli. Więzy rodzinne napружиły się do granicy pęknięcia. - Naprawdę tam stoi! Jest naprawdę sobą! Nie można zrobić bardziej naturalnego Ankh-Morpork! Jest tak naturalne, jak to tylko możliwe!

Dibbler wyjął z ust cygaro.

- Nie jest - rzucił krótko. - Zobaczysz.

Ginger pojawiła się koło południa. Była tak blada, że nawet Dibbler na nią nie krzyczał. Cały czas z niechęcią zerkala na Gaspode, który starał się schodzić jej z drogi.

Zresztą Dibbler i tak był zajęty. Siedział w gabinecie i tłumaczył Fabułę.

Zasadniczo była całkiem prosta i rozwijała się wzdłuż typowych wątków: Chłopak Spotyka Dziewczynę, Dziewczyna Spotyka Innego Chłopaka, Chłopak Traci Dziewczynę... Tyle że tutaj akurat w środku tego wszystkiego trwała wojna domowa...

Przyczyny wybuchu Ankh-Morporkańskiej Wojny Domowej (od 20:32, 3 Grune'a 432 r. do 10:45, 4 Grune'a 432 r.) zawsze były tematem gorących dyskusji historyków. Istnieją dwie główne teorie:

1) Prosty lud, nękany podatkami przez wyjątkowo głupiego i niemilego króla, uznał, że starczy już tego i czas zrezygnować z przestarzałej koncepcji monarchii, by zastąpić ją - jak się potem okazało - ciągiem despotycznych władców, którzy nadal nękali podatkami, ale mieli przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby nie udawać, iż bogowie dali im do tego prawo;

albo 2) Jeden z graczy w Okalecz Pana Cebulę oskarżył w tawernie innego gracza, że ma w ręku więcej asów, niż zwykle występuje w talii, sięgnięto po noże, potem ktoś uderzył kogoś innego ławą, potem ktoś jeszcze dźgnął kogoś, zaczęły fruwać strzały, ktoś zaczął się huścić na żyrandolu, nieostroźnie ciśnięty topór trafił kogoś na ulicy, później wezwano Straż, ktoś podłożył ogień w lokalu, ktoś jeszcze uderzył wiele innych osób stołem, aż w końcu wszyscy stracili cierpliwość i zaczęły się walki.

W każdy razie przyczyny te doprowadziły do wojny domowej, która niezbędna jest każdej dojrzałej cywilizacji[20]...

- Widzę to tak - mówił Dibbler. - Jest taka szlachetnie urodzona dziewczyna, mieszkająca całkiem sama w wielkim domu, jasne, a jej chłopak odchodzi, by walczyć z buntownikami, rozumiecie, ona spotyka innego, więc zaczynają działać między nimi różne reakcje chemiczne...

- Wybuchają? - zdziwił się Victor.

- To znaczy, że się zakochują - wyjaśniła lodowato Ginger.

- Coś w tym stylu. - Dibbler kiwnął głową. - Oczywiście spotykają się w zatłoczonym pokoju i w ogóle. A jest całkiem sama, jeśli nie liczyć służby i, pomyślny, może jej psa...

- To będzie Laddie? - upewniła się Ginger.

- Tak. I oczywiście robi wszystko, co może, żeby zachować rodzinną kopalnię, więc tak niby flirtuje z oboma, chłopakami znaczy, nie z psem, a potem jeden z nich ginie na wojnie, a ten drugi ją rzuca, ale to nic nie szkodzi, bo w głębi serca jest twarda. - Wyprostował się. - Co o tym myślicie? - zapytał.

Ludzie w gabinecie z zakłopotaniem spoglądali na siebie nawzajem.

Trwało niespokojne milczenie.

- Brzmi świetnie, wujku - oświadczył wreszcie Soli, który wołał już dzisiaj nie mieć kłopotów.

- Technicznie bardzo wymagające - dodał Halogen. Rozległ się chór wspierających go z ulgą głosów.

- Sam nie wiem - odezwał się wolno Victor.

Wszyscy obecni zwrócili ku niemu oczy w taki sposób, w jaki widzowie wokół areny z lwami spoglądają na pierwszego skazańca, który ma zostać wepchnięty zza żelaznej kraty.

Victor mówił dalej:

- To już wszystko? Niezbyt to, jak by to powiedzieć, skomplikowane jak na taką długą migawkę. Ludzie się zakochują, kiedy w tle toczy się wojna domowa... Nie bardzo widzę, jak można z tego zrobić obrazek.

Znowu zapadła cisza. Ludzie stojący obok Victora zaczęli się lekko odsuwać. Dibbler patrzył na niego nieruchomo.

Spod krzesła Victora dobiegał niemal niesłyszalny cichy głos,

- ...och, oczywiście, zawsze jest jakaś rola dla Laddie... Co on ma takiego, czego mnie frakuje, tego chciałyby się... Dibbler wciąż patrzył na Victora.

- Masz rację - stwierdził w końcu. - Masz rację. Victor ma rację. Dlaczego nikt inny tego nie zauważył?

- Tak właśnie myślałem, wujku - rzekł pośpiesznie Soli. - Musimy trochę to nadmuchać. Dibbler machnął cygarem.

- Możemy dołożyć coś w czasie pracy, żaden problem. Na przykład... no... Co powiecie na wyścig rydwanów? Ludzie zawsze lubili wyścigi

rydwanów. Trzymają w napięciu. Czy ktoś wypadnie, czy urwą się koła? Tak. Wyścig rydwanów.

- Wujku... Wiesz, tego... czytałem trochę o wojnie domowej - powiedział ostrożnie Soli - i raczej nikt nie wspominał, że...

- Nie było tam wyścigów rydwanów. Mam rację? - zapytał Dibbler uprzejmym tonem, kryjącym jednak brzytwy groźby. Soli zgarbił się.

- Skoro tak stawiasz sprawę, wujku... Tak, masz rację.

- I jeszcze... - Dibbler się zamyślił. - Moglibyśmy spróbować... wielkiego, ogromnego rekina?

Nawet on sam wydawał się nieco zaskoczony tym pomysłem. Soli zerknął z nadzieją na Victora.

- Jestem prawie pewien, że rekiny nie walczyły w Ankh-Morporkańskiej Wojnie Domowej - oświadczył Victor.

- Jesteś pewien?

- Jestem pewien, że ludzie by zauważyli.

- Słonie by je stratowały - mruknął pod nosem Soli.

- No tak - westchnął smętnie Dibbler. - To była tylko sugestia. Sam nie wiem, po co o tym mówiłem.

Przez chwilę wpatrywał się w pustkę, po czym energicznie potrząsnął głową.

Rekin, myślał Victor. Wszystkie złote rybki własnych myśli pływają sobie wesoło, aż nagle woda porusza się i z zewnątrz nadpływa wielki rekin idei. Zupełnie jakby ktoś myślał za nas.

- Nie potrafisz się zachować - powiedział do Gaspode Victor, kiedy zostali sami.

- Przez cały czas słyszałem, jak marudzisz pod krzesłem.

- Może i nie potrafię, ale przynajmniej nie wzdycham do dziewczyny, która wpuszcza do naszego świata jakieś straszliwe Stwór; Ciemności - odparł Gaspode.

- Mam nadzieję, że nie wzdychasz - mruknął Victor. I dodał: - O co ci chodzi?

- Aha! Teraz słucha. Twoja dziewczyna...

- Ona nie jest moją dziewczyną!

- Niedoszła dziewczyna - poprawił się Gaspode - wychodzi co noc i próbuje otworzyć wrota we wzgórzu. Wczoraj też prófowała, kiedy już poszedłeś. Zofaczyłem ją. I powstrzymałem - dodał wyzywająco. - Oczywiście, nie oczekuję pochwał. Ale tam jest coś strasznego, a ona chce to wypuścić. Nic dziwnego, że stale się spóźnia i rano jest zmęczona, skoro całe noce tylko kopie w piasku.

- Skąd wiesz, że są straszne? - spytał Victor słabym głosem.

- Ujmę to w ten sposób- rzekł Gaspode. - Jeśli coś siedzi w jaskini pod wzgórzem, za wielkimi, ciężkimi wrotami, to nie dlatego że ludzie chcą, fy co wieczór wychodziło i zmywało naczynia, prawda? Oczywiście - dodał łaskawie - nie twierdzę, że ona wie, co rofi. Prawdopodobnie opanowali jej słafy, kofiecy, kotolufny umysł i kierują nim wedle swej złej woli.

- Czasami opowiadasz straszne bzdury - stwierdził Victor, ale nawet sobie nie wydał się przekonujący.

- No to ją zapytaj - poradził pies.

- Zapytam!

- I dofrze!

Ale jak? - zastanawiał się Victor, kiedy wyszli na słońce. Przepraszam, panienko, mój pies twierdzi, że... nie. Cześć, Ginger, podobno wychodzisz nocami i... nie. Hej, Gin, jak to się stało, że mój pies cię widział... nie.

Może powinien zwyczajnie zacząć rozmowę i czekać, aż w naturalny sposób dojdą do potworów Spoza Pustki?

Ale rozmowa musiała zaczekać, ponieważ właśnie toczyła się kłótnia.

Chodziło o trzecią główną rolę w Porwanym wiatrem. Victor miał oczywiście zagrać bohatera przystojnego i rozbrawającego, Ginger była jedyną możliwą do głównej roli kobiecej, ale druga rola męska - tego nudnego, ale solidnego - sprawiała problemy.

Victor nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś tupał nogą ze złości. Zawsze uważał, że takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach. Ale Ginger właśnie to robiła.

- Bo będę wyglądać jak idiotka, oto dlaczego! - mówiła. Soli, który w tej chwili czuł się już jak piorunochron w burzliwy dzień, rozpaczliwie wymachiwał rękami.

- Przecież jest idealny do tej roli - tłumaczył. - To ma być ktoś solidny...

- Solidny? Oczywiście, że jest solidny! Przecież jest z kamienia! - krzyczała Ginger. - Może nosić kolczugę i sztuczny wąsik, ale wciąż będzie trollem!

Skallin, który wyrastał monolitycznie nad obojgiem, chrząknął głośno.

- Przepraszam bardzo - powiedział. - Mam nadzieję, że nie wpadamy tutaj w elementalizm.

Teraz Ginger zamachała rękami.

- Lubię trolle - oświadczyła. - To znaczy jako trolle. Ale chyba nie mówisz poważnie, przekonując mnie, że mam zagrać romantyczną scenę ze... ze skarpą.

- Jedną chwileczkę - przerwał jej Skallin. Jego głos wznosił się powoli, niby ramię miotacza. - Chcesz powiedzieć, że można pokazywać trolle, jak biją ludzi maczugami, ale nie można pokazywać, że trolle mają też bardziej wyrafinowane uczucia, nie mniej wyrafinowane od gąbczastych ludzi?

- Ona wcale tego nie powiedziała - zaprotestował zrozpaczony Soli. - Ona nie...

- Jeśli mnie zranisz, czy nie będę krwawił? - przerwał mu Skallin.

- Nie, nie będziesz - odparł Soli. - Ale...

- No tak, ale mógłbym. Gdybym miał krew, zachlapałbym nią tu wszystko dookoła.

- I jeszcze jedno - wtrącił się krasnolud, szturchając Solla w kolano. - W scenariuszu stoi napisane, że ona jest właścicielką kopalni pełnej zadowolonych, wesołych, rozśpiewanych krasnoludów. Zgadza się?

- Tak - potwierdził Soli, odsuwając od siebie problem trolli. - O co chodzi?

- To trochę stereotypowe, nie? Znaczy założenie, że krasnoludy oczywiście są górnikami. Nie rozumiem, czemu przez cały czas obsadzają nas w takich charakterystycznych rolach.

- Przecież większość krasnoludów jest górnikami...

- Niby tak, ale wcale nie jesteśmy z tego powodu szczęśliwi - oświadczył inny krasnolud. - No i nie śpiewamy przez cały czas.

- Ma rację - dodał trzeci krasnolud. - Chodzi o bezpieczeństwo, rozumiesz? Jak zaczniesz śpiewać, możesz sobie zwalić na głowę cały strop.

- I jeszcze w pobliżu Ankh-Morpork nie ma żadnych kopalni - stwierdził krasnolud, być może ten pierwszy, chociaż Sollowi wydawali się identyczni. - Wszyscy o tym wiedzą. Miasto stoi na łożach. Będziemy pośmiewiskiem, jeśli nasi zobaczą, że kopieemy za klejnotami w okolicach

Ankh-Morpork.

- Nie powiedziałbym, że mam twarz jak skarpa - huknął Skallin, który potrzebował czasu, żeby coś przetrwać. - Urwistą, może. Ale nie skarpową.

- Chodzi o to - rzekł jeden z krasnoludów - że nie rozumiemy, dlaczego ludzie dostają wszystkie dobre role, a my tylko takie drobiazgi.

Soli zaśmiał się sztucznie, jak ktoś zapędzony do ślepego zaułka, kto ma nadzieję, że jakiś żart poprawi atmosferę.

- To dlatego - wyjaśnił - że jesteście...

- Tak? - spytały krasnoludy chórem.

- Ehm... - odpowiedział Soli i szybko zmienił temat. - Widzicie, cała akcja, jak rozumiem, opiera się na tym, że Ginger robi absolutnie wszystko, żeby utrzymać rezydencję i kopalnię, więc...

- Mam nadzieję, że zaraz zaczniemy - odezwał się Halogen. - Za godzinę muszę wyczyścić chochlikom klatkę.

- Aha, rozumiem - mruknął Skallin. - To ja jestem to „absolutnie wszystko”, tak?

- Nie utrzymuje się kopalni - orzekł jeden z krasnoludów. - To kopalnie utrzymują ciebie. Ty wyciągasz z nich skarby. Nie wkładasz ich do środka. To podstawowa zasada kopalnianego interesu.

- No to może ta kopalnia jest już wyczerpana - tłumaczył nerwowo Soli. - Poza tym ona...

- W takim razie nie warto jej trzymać - oświadczył inny krasnolud tonem kogoś, kto zamierza wygłosić solidny, długi wykład. - Należy ją porzucić, oczywiście stemplując i podpierając tam, gdzie to konieczne, a potem wydrążyć nowy szyb na linii głównego pokładu...

- Uwzględniając progi tektoniczne i struktury izoklinowe - wtrącił inny krasnolud.

- Oczywiście, uwzględniając progi tektoniczne i struktury izoklinowe, a potem...

- I ogólne przesunięcia skorupy.

- No dobrze, a potem...

- Chyba że się rąbie na podsadzkę, naturalnie.

- Ma się rozumieć, ale...

- Nie rozumiem - zaczął Skallin - dlaczego można nazywać moją twarz...

- CISZA! - wrzasnął Soli. - Wszyscy mają się zamknąć! CISZA! Następna osoba, która się odezwie, już nigdy nie będzie pracować w tym mieście. Zrozumiano? Czy wyrażam się JASNO? Dobrze. - Odkasznął i mówił dalej, już normalnym głosem: - Doskonale. Spróbujcie zrozumieć, że to Zapierający Dech, Przebojowy, Romantyczny ruchomy obrazek o kobiecie, która walczy, by ocalić swoją... - Zajął do notatek i mężnie kontynuował: - Ocalić wszystko, co kocha, na tle Świata Ogarniętego Szaleństwem, i nie chcę już słyszeć żadnych narzekania.

Któryś z krasnoludów niepewnie podniósł rękę.

- Można?

- Słucham?

- Dlaczego właściwie ruchome obrazki pana Dibblera zawsze mają w tle świat ogarnięty szaleństwem? Soli zmrużył oczy.

- Ponieważ pan Dibbler - warknął - jest człowiekiem bardzo spostrzegawczym.

Dibbler miał rację. Nowe miasto było starym miastem wydestylowanym. Wąskie zaułki były węższe, wysokie budynki wyższe. Gargulce wydawały się straszniejsze, a dachy bardziej strome. Wznosząca się nad Niewidocznym Uniwersytetem Wieża Sztuk - choć cztery razy mniejsza od oryginału - okazała się tutaj jeszcze wyższa i wznosiła się bardziej imponująco; sam Niewidoczny Uniwersytet sprawiał wrażenie silniej barokowego, z liczniejszymi przyporami, a pałac Patrycjusza miał więcej kolumn. Stolarze biegali po konstrukcji, która - po dokończeniu - uczyni Ankh-Morpork nędzną kopią samego siebie. Tyle że budynki w oryginalnym mieście nie były zwykle wymalowane na płótnie rozpiętym na deskach i nie miały na ścianach starannie naniesionego brudu. Budynki w Ankh-Morpork brudziły się same z siebie.

Ankh-Morpork w Świętym Gaju wyglądało bardziej jak Ankh-Morpork, niż kiedykolwiek prawdziwe Ankh-Morpork.

Ginger musiała pobiec do namiotów garderobianych, zanim Victor zdążył z nią porozmawiać. Potem zaczęli kręcić i było już za późno.

W Wieku Nietoperza (a teraz na tablicy dopisano trochę mniejszymi literami: „Więcej Gwiazd, niż Jest Ich na Niebie”[21]) uważano, że produkcja migawki powinna zajmować około dziesięć razy mniej czasu, niż jej oglądanie. *Porwane wiatrem* miało być inne. Zaplanowano bitwy. Zaplanowano sceny nocne, a chochliki malowały wściekle przy świetle pochodni. Krasnoludy pracowały wesoło w kopalni, jakiej nikt wcześniej ani później nie widział, gdzie w gipsowe ściany powtykano fałszywe złote samorodki wielkości kurczaków. Ponieważ Soli uznał, że powinny poruszać wargami, śpiewały nieprzyzwoitą wersję piosenki *Hejho hejho*, która zyskała popularność wśród krasnoludzkich mieszkańców Świętego Gaju.

Całkiem możliwe, że Soli wiedział, jak to wszystko do siebie pasuje. Victor nie miał pojęcia. Przekonał się zresztą, że najlepiej nie śledzić fabuły żadnej migawki, w której występował. Poza tym Soli kręcił nie tylko od tyłu do przodu, ale też z boków do środka. Całość była straszliwie zagmatwana,

tak jak prawdziwe życie.

Kiedy w końcu miał okazję, żeby porozmawiać z Ginger, obserwowali ich dwaj korbowi i wszyscy na planie, którzy akurat nie mieli nic do roboty.

- Uwaga wszyscy - powiedział Soli. - To scena z końca, kiedy

Victor spotyka Ginger po tym wszystkim, co razem przeszli, a na planszy będzie mówił... - Spojrzał na duży czarny prostokąt, który mu podano. - Tak, będzie mówił: „Wyznam ci, moja najdroższa, że oddałbym wszystko za porcję... żeberek... wieprzowych... u Hargi... w specjalnym... sosie... curry...”.

Soli mówił coraz wolniej, aż umilkł. Kiedy wypuścił powietrze, przypominał wypływającego na powierzchnię wieloryba.

- Kto to napisał?!

Jeden z malarzy lękliwie podniósł rękę.

- Pan Dibbler mi kazał - wyjaśnił szybko.

Soli przerzucił wielki stos plansz przedstawiających dialogi do większej części migawki. Zaciśnął wargi. Skinął na jednego z ludzi z plikami kartek.

- Mógłbyś pobiec do biura i poprosić mojego wuja, żeby tu zajrzał, jak tylko znajdzie wolną chwilę? Wyjął ze stosu inną planszę.

- „Tęsknię za starą kopalnią, ale gdybym szukał prawdziwej wiejskiej kuchni, na pewno... poszedłbym... do Najlepszych... Żeberek...”. Rozumiem.

Nie patrząc sięgnął po następną.

- Aha. Widzę, że ostatnie słowa rannego żołnierza rojalistów brzmią: „Ach, cóż bym teraz oddał zajedź Aż Cię Brzuch Rozboli za 1\$, specjalność kuchni w... Najlepszych... Żeberkach... Hargi... Mamo!”.

- Uważam, że to wyjątkowo wzruszające - oświadczył Dibbler, stając

obok niego. - Cała widownia będzie przecierać zapłakane oczy.

- Wujku... - zaczął Soli. Dibbler podniósł ręce.

- Mówiłem, że zdobędę jakoś pieniądze - przypomniał. - A Sham Harga dostarczył nam nawet jedzenia do sceny z pieczeniem przy ognisku.

- Obiecałeś, że nie będziesz się wtrącał do scenariusza!

- To nie jest wtrącanie - stwierdził Dibbler z kamiennym spokojem. - Nie rozumiem, jak możesz to uznać za wtrącanie. Wygładziłem tylko tu i tam kilka dialogów. Uważam, że dobrze im to zrobiło. Poza tym „Ile Tylko Zdołasz Pożreć -jeden dolar” to rzeczywiście wyjątkowa okazja.

- Ale akcja dzieje się sto lat temu! - krzyknął Soli.

- Noo... To przecież ktoś może powiedzieć: „Zastanawiam się czy za sto lat jedzenie w Najlepszych Żeberkach Hargi też będzie takie dobre”.

- To nie są ruchome obrazki! To prymitywna komercja!

- Mam nadzieję - westchnął Dibbler. - Jeśli nie, wszyscy wpadniemy w kłopoty.

- Posłuchaj... - zaczął groźnie Soli. Ginger zwróciła się do Victora.

- Możemy pójść gdzieś i porozmawiać? - spytała cicho. - Bez twojego psa - dodała już zwykłym głosem. - Stanowczo bez psa.

- Chcesz ze mną rozmawiać? - zdziwił się Victor.

- Ostatnio nie mieliśmy zbyt wielu okazji.

- Rzeczywiście. Masz rację. Gaspode, zostań. Dobry piesek. -Victor odczuł niejaką satysfakcję, widząc na pysku Gaspode wyraz czystego niesmaku.

Za nimi wieczny spór Świętego Gaju nabierał tempa. Soli i G.S.P. stali nos w nos i kłócili się pośrodku kręgu rozbawionego i zaciekawionego

personelu.

- Nie muszę się na to godzić. Zawsze mogę zrezygnować!

- Nie możesz! Jesteś moim bratankiem! Nie możesz zrezygnować z bycia bratankiem...

Ginger i Victor usiedli na stopniach rezydencji z płótna i desek. Mogli rozmawiać swobodnie. Nikt nie zamierzał ich podglądać, kiedy tuż obok toczyła się wściekła kłótnia.

- Ehm... - zaczęła Ginger.

Splatała nerwowo palce. Trudno było nie zauważyć, że ma połamane paznokcie.

- Ehm... - powtórzyła.

Jej blada pod charakterystyczną twarz wyrażała cierpienie. Nie jest piękna, pomyślał Victor, ale wiara w to może sprawić pewne kłopoty.

- Ja... tego... nie wiem, jak to powiedzieć. Ale, no wiesz... Czy ktoś może zauważył, że chodzę przez sen?

- Na wzgórze? - upewnił się Victor.

Błyskawicznie jak wąż odwróciła głowę w jego stronę.

- Wiesz? Skąd o tym wiesz? Szpiegowałeś mnie? - rzuciła gniewnie. Znowu była dawną Ginger, pełną ognia, jadu i paranoicznie agresywną.

- Laddie cię znalazł... śpiącą. Wczoraj po południu.

- W biały dzień?

- Tak.

Podniosła dłoń do ust.

- Jest gorzej, niż myślałam - szepnęła. - Coraz gorzej. Pamiętasz, jak spotkaliśmy się na wzgórzu? Zanim znalazł nas Dibbler i pomyślał, że... że się całujemy... - Zarumieniła się. - Nie wiedziałam nawet, skąd się tam wzięłam!

- I wróciłaś wczoraj w nocy - dodał Victor.

- Pies ci powiedział, tak?

- Tak. Przykro mi.

- To się powtarza co noc -jęknęła Ginger. - Wiem, bo nawet jeśli wrócę do łóżka, cała podłoga jest zasypana piaskiem, a paznokcie mam połamane! Chodzę tam każdej nocy i nie wiem po co!

- Próbujesz otworzyć wrota. Widać tam teraz takie wielkie, stare wrota, bo część zbocza się osunęła i...

- Tak, widziałam je. Ale po co?

- Mam kilka pomysłów - stwierdził ostrożnie Victor.

- Powiedz!

- Hm... Słyszałaś o czymś, co nazywa się geniusz loci?

- Nie. - Zmarszczyła brwi. - Jest mądre, tak?

- To coś w rodzaju duszy miejsca. Może być potężna. Może zyskać potęgę dzięki wierze, miłości albo nienawiści, jeśli tylko trwają dostatecznie długo. Zastanawiałem się, czy taki duch miejsca może przyzywać ludzi. Albo zwierzęta. Rozumiesz, Święty Gaj to niezwykle miejsce, prawda? Ludzie tutaj zachowują się inaczej niż zwykle. Na całym świecie najważniejsi są bogowie albo pieniądze, albo bydło... Tutaj najważniejsze to być kimś ważnym.

Słuchała go z uwagą.

- I co? - rzuciła zachęcająco. - Na razie nie wydaje się to groźne.

- Dochodzę do najgorszego.

- Aha.

Victor przełknął ślinę. Mózg bulgotał mu jak zupa. Na wpół zapomniane fakty wynurzały się kusząco na powierzchnię i znowu tonęły. Zasuszeni, starzy wykładowcy w wysokich, starych salach opowiadali mu o nudnych, starych faktach, które nagle stały się ważne i niebezpieczne jak klinga miecza. Odgrzebywał je z pokładów zapomnienia.

- Nie jestem... - wychrypiał i odchrząknął. - Nie jestem pewien, czy to prawda - wymówił z wysiłkiem. - To przyszło skądinąd. Może się zdarzyć. Słyszałeś o ideach, dla których nadszedł właściwy czas?

- Tak.

- No więc to są te oswojone. Są też inne: idee tak pełne wigoru, że nie chcą czekać na swój czas. Dzikie idee. Zbiegłe idee. A problem polega na tym, że kiedy taka się trafi, powstaje otwór...

Spojrzał na jej uprzejmą, obojętną minę. Porównania wypływały na powierzchnię jak nasiąknięte zupą grzanki. Wyobraź sobie wszystkie światy, jakie zaistniały, w pewnym sensie sprasowane razem jak kanapka... talia kart... książka... złożona kartka... Jeśli powstaną odpowiednie warunki, coś może się przemieszczać w poprzek, nie wzdłuż... Ale jeśli otworzyć bramę między światami, pojawiają się straszliwe zagrożenia, jak na przykład... Jak na przykład... Jak na przykład... Jak na przykład co?

Wiadomości wypłynęły z pamięci niby kawałek podejrzonej macki, dostrzeżony nagle w chwili, kiedy człowiek już sądził, że może bezpiecznie zjeść zupę.

- Możliwe, że coś innego próbuje przedostać się tą drogą - powiedział Victor. - W tym, no... w niczym pomiędzy różnymi gdzieś... istnieją stwory, których wolałbym ci raczej nie opisywać.

- Właśnie to robisz - zauważyła Ginger z napięciem w głosie.

- I one, wiesz, one zwykle bardzo chcą się przedostać do prawdziwych światów, więc może jakoś nawiązują z tobą kontakt, kiedy zaśniesz, i...

Umilkł. Nie mógł znieść wyrazu jej twarzy.

- Mogę się mylić - zapewnił pośpiesznie.

- Musisz rennie powstrzymać przed otwarciem wrót - szepnęła. - Mogę być jedną z Nich.

- Nie sądzę - odparł swobodnie. - O ile pamiętam, mają zwykle za dużo ramion.

- Próbowałam rozrzucić na podłodze pinezki, żeby się obudzić.

- Brzmi okropnie. Udało się?

- Nie. Rano wszystkie były w torbie. Musiałam je pozbierać.

Victor ściągnął wargi.

- To może być dobry znak - stwierdził.

- Dlaczego?

- Gdyby przywoływało cię, hm, coś niemiłego, pewnie by się nie przejmowało, po czym chodzisz.

- No, może.

- Nie masz pewnie pojęcia, dlaczego to się dzieje?

- Nie. Ale zawsze nawiedza mnie taki sam sen. - Nagle zmrużyła oczy.
- Zaraz... Skąd ty wiesz o takich sprawach?

- Ja... jeden mag mi kiedyś opowiadał.

- A sam nie jesteś magiem?

- Absolutnie - zapewnił ją Victor. - W Świętym Gaju nie ma magów. Jaki to sen?

- Zbyt dziwny, żeby cokolwiek znaczył. Zresztą śnił mi się, kiedy jeszcze byłam mała. Zaczyna się od góry, ale to nie jest normalna góra, bo...

Nagle wyrósł nad nimi troll Detrytus.

- Młody pan Dibbler mówi, że pora znów kręcić - oznajmił grzmiącym głosem.

- Przyjdiesz wieczorem do mojego pokoju? - szepnęła Ginger. - Proszę! Obudzisz mnie, gdybym znów zaczęła chodzić przez sen.

- Ale... twojej gospodyni może się to nie spodobać... - wykrztusił Victor.

- Och, pani Cosmopilite jest bardzo tolerancyjna - zapewniła Ginger.

- Naprawdę?

- Pomyśli tylko, że uprawiamy seks.

- Aha - rzekł głucho Victor. - W takim razie oczywiście.

- Młody pan Dibbler nie lubi, kiedy każe mu się czekać - przypomniał Detrytus.

- Zamknij się - rzuciła Ginger. Wstała i otrzepała sukienkę.

Detrytus zamrugał. Ludzie zwykle nie kazali mu się zamykać. Kilka tektonicznych zmarszczek pojawiło się na jego czole. Odwrócił się i spróbował raz jeszcze groźnie spojrzeć z góry, tym razem na Victora.

- Młody pan Dibbler nie lubi...

- Odczep się - mruknął Victor i poszedł śladem Ginger.

Detrytus został sam. Zezując na własny nos, usiłował myśleć.

Oczywiście, ludzie mówili mu czasem takie rzeczy jak „odczep się” albo „zamknij się”, ale zawsze z drżeniem zaleknionej brawury w głosie, więc naturalnie odpowiadał zawsze „cha, cha!” i bił ich. Ale nikt jeszcze nie odezwał się do niego tak, jakby jego istnienie było ostatnią rzeczą, jaką ktokolwiek na świecie mógłby się przejmować. Przygarbił potężne ramiona. Może to chodzenie za Ruby zaczęło źle na niego wpływać...

Soli stał nad malarzem wypisującym litery na planszach. Podniósł głowę, kiedy zbliżyli się Ginger z Victorem.

- Dobrze - uznał. - Wszyscy na miejsca. Przechodzimy do sceny balu.

Wydawał się bardzo zadowolony z siebie.

- Ustaliliście już wszystkie słowa? - spytał Victor.

- Bez problemów - odparł z dumą Soli. Spojrzał na słońce. - Straciliśmy dużo czasu - dodał. - Więc nie marnujmy go więcej.

- Zabawne, że udało ci się tak przekonać G.S.P., aż zrezygnował - zauważył Victor.

- Nie miał żadnych argumentów. Wrócił do biura i teraz pewnie będzie się dąsał. Uwaga wszyscy, bierzemy... Malarz liter pociągnął go za rękaw.

- Zastanawiam się, panie Soli, co mam napisać do wielkiej sceny, skoro Victor nie wspomina już o żeberkach...

- Nie przeszkadzaj nam teraz, człowieku...

- Gdyby pan coś zasugerował...

Soli stanowczo zdjął jego dłoń z rękawa.

- Szczerze mówiąc - oznajmił - niewiele mnie to obchodzi. I odszedł na plan.

Malarz został sam. Chwycił pędzel. Bezgłośnie poruszał wargami, układając je wokół słów.

- Hmm... - mruknął po chwili. - Całkiem niezłe.

Banani N’Vectifa, najchytrzejszy łowca na rozległych, żółtych równinach Klatchu, wstrzymując oddech umieścił na miejscu ostatni element. Deszcz bębnił o dach jego chaty. Gotowe. To było to.

Nigdy jeszcze nie robił czegoś takiego, ale wiedział, że robi to jak należy.

Chwytał w życiu wszystko, od zebr po thargi, i co z tego miał? Ale wczoraj, kiedy dostarczył do N’Kouf ładunek skór, usłyszał jakiegoś kupca. Przybysz twierdził, że gdyby ktokolwiek zbudował lepszą pułapkę na myszy, świat w pokorze wydeptałby ścieżkę do jego drzwi.

Przez całą noc nie mógł zasnąć ani myśleć o niczym innym. O bladym świetle naszkicował patykiem na ścianie chaty kilka projektów i wziął się do pracy. W mieście skorzystał z okazji i obejrzał parę pułapek na myszy - stanowczo wiele im brakowało do doskonałości. Nie budowali ich łowcy.

Sięgnął po gałązkę i delikatnie wsunął ją w mechanizm.

Trzask!

Idealnie.

Teraz musiał tylko zabrać ją do N’Kouf i sprawdzić, czy kupiec...

Deszcz był rzeczywiście bardzo głośny. Właściwie ten dźwięk bardziej przypominał...

Kiedy Banani się ocknął, leżał w ruinach swej chaty, na półmilowym pasie zdeptanego błota.

Spojrzał otępiały na to, co pozostało z jego domu. Spojrzał na brązową bliznę, sięgającą od horyzontu po horyzont. Spojrzał na ciemną, brudną

chmurę, ledwie widoczną na jej końcu.

Potem spojrzał w dół. Lepsza pułapka na myszy była teraz ładnym dwuwymiarowym deseniem, wgniecionym w ziemię pośrodku wielkiego odcisku stopy.

- Nie wiedziałem, że jest aż tak dobra - stwierdził.

Według dzieł historycznych, decydująca bitwa, która zakończyła wojnę domową w Ankh-Morpork, toczyła się między dwoma garściami śmiertelnie zmęczonych ludzi, o mglistym poranku na bagnie. I chociaż jedna ze stron uznała się za zwycięzców, bitwa zakończyła się rezultatem: Ludzie: O, Kruki: 1000, jak to się zwykle dzieje w przypadku bitew.

Obaj Dibblerowie zgadzali się, że gdyby oni tam dowodzili, nikt nie mógłby przeforsować tak marnej gatunkowo wojny. To zbrodnia, że komuś pozwala się stawać w głównym punkcie zwrotnym historii miasta i nie korzystać z tysięcy żołnierzy, wielbłądów, okopów, wałów, machin oblężniczych, katapult, koni i proporców.

- W dodatku we mgle - dodał Halogen. - W ogóle nie myśleli o poziomie oświetlenia.

Oślaniając dłonią oczy, obejrzał wyznaczone pole bitwy. Miało tu pracować jedenastu korbowych, rejestrujących akcję z każdego możliwego kąta. Jeden po drugim podnosili kciuki do góry.

Halogen stuknął w stojące przed nim obrazkowe pudło.

- Gotowi? - zapytał. Odpowiedział mu chór pisków.

- Świetnie, chłopaki. Sprawcie się dobrze, a dostaniecie dodatkową jaszczurkę do herbaty.

Jedną ręką chwycił korbę, a drugą podniósł do ust megafon.

- Gotowi, kiedy pan każe, panie Dibbler! - wrzasnął.

G.S.P. skinął głową i już miał podnieść rękę, kiedy nagle z boku wystrzeliła dłoń Solla i chwyciła go mocno za przegub. Bratanek przyglądał się uważnie szeregom jeźdźców.

- Chwileczkę - rzucił spokojnie, po czym uniósł dłonie do ust. - Hej, ty tam! Piętnasty rycerz w szeregu! Czy mógłbyś rozwinąć proporzec? Dziękuję. Zgłoś się do pani Cosmopilite po nowy. Dziękuję.

Wznosząc brwi, spojrzał na wuja.

- To... To symbol heraldyczny - powiedział szybko Dibbler.

- Skrzyżowane żeberka na tle liści sałaty?

- Dawni rycerze lubili dobrze zjeść.

- Podobała mi się jego dewiza - rzekł zgryźliwie Soli. - „Prawdziwy rycerz jada tylko w Najlepszych Żeberkach Hargi”. Gdybyśmy mieli głos, ciekawe, jak brzmiałby jego krzyk bojowy.

- Jesteś moim krewnym! - Dibbler smętnie pokręcił głową. - Jak możesz mi to robić?

- Bo jestem z twojej krwi i kości - wyjaśnił Soli. Dibbler rozjaśnił się. Oczywiście, jeśli spojrzeć na to z tej strony, nie mógł właściwie narzekać.

To Holy Wood. Aby czas mijał szybciej, wystarczy nakręcić zegar z szybko sunącymi wskazówkami...

Na Niewidocznym Uniwersytecie resograf rejetrował już siedem plibów na minutę.

Późnym popołudniem spalili Ankh-Morpork.

Prawdziwe miasto w swej długiej historii zostało spalone wielokrotnie - z zemsty, z nieuwagi, ze złości, a nawet dla ubezpieczenia. Większość kamiennych budynków, które tak naprawdę czyniły je miastem, a więc odróżniały od zbiorowiska szop ustawionych w jednym miejscu, przetrwała te pożary. Wielu ludzi[22] uważało, że solidny pożar - mniej więcej co kilkaset lat - jest niezwykle ważny dla zdrowia samego miasta, gdyż pozwala pozbyć się szczurów, karaluchów, pcheł i - oczywiście - ludzi nie dość bogatych, żeby mieszkać w kamiennych domach.

Słynny pożar w czasie wojny domowej był niezwykle jedynie dlatego, że ogień wzniciły obie strony równocześnie, nie chcąc dopuścić, by miasto wpadło w ręce przeciwnika.

Poza tym - zgodnie z opinią historyków - nie był szczególnie imponujący. Ankh tego lata osiągnęła bardzo wysoki poziom i większa część miasta okazała się zbyt wilgotna, by stanąć w płomieniach.

Tym razem pożar udał się o wiele lepiej.

Płomienie strzeliły w niebo. Ponieważ działo się to w Świętym Gaju, spaliło się wszystko, jedyną bowiem różnicą między kamiennymi i drewnianymi budynkami było to, co wymalowano na płótnie. Spłonął dwuwymiarowy Niewidoczny Uniwersytet. Spłonęła frontowa i jedyna ściana pałacu Patrycjusza. Nawet redukcyjny model Wieży Sztuk tryskał ogniem niczym rzymska świeca.

Dibbler obserwował to zatroskany.

- Czekasz na coś, wujku? - zapytał po chwili Soli.

- Słucham? Nie, nie. Mam nadzieję, że Halogen skupi się na wieży. To bardzo ważna, historyczna budowla.

- Z całą pewnością. Bardzo ważna. Tak ważna, że w czasie przerwy

obiadowej posiałem tam paru chłopców, żeby sprawdzili, czy wszystko jest jak należy.

- Posłałeś? - zaniepokoił się Dibbler.

- Tak. I wiesz, co znaleźli? Odkryli, że ktoś poprzybijał do niej fajerwerki. Mnóstwo fajerwerków z lontami. I dobrze, że je znaleźli, bo gdyby odpaliły, zepsułyby całe ujęcie i nigdy już nie zdołalibyśmy go powtórzyć. Ale wiesz co? Powiedzieli, że wyglądało to tak, jakby sztuczne ognie miały się układać w słowa.

- Jakie słowa?

- Nie wpadło mi do głowy, żeby ich zapytać - zapewnił Soli. - Naprawdę, nawet mi to przez myśl nie przyszło.

Wbił ręce w kieszenie i zaczął pogwizdywać pod nosem. Po chwili zerknął na wuja z ukosa.

- „Najostrzejsze żeberka w mieście” - mruknął. - Też coś. Dibbler zmartwił się wyraźnie.

- Byłby humorystyczny akcent - powiedział.

- Posłuchaj, wujku. To nie może tak trwać - rzekł Soli. - Dość już tych komercyjnych wstawek, dobrze?

- No dobrze.

- Na pewno? Dibbler kiwnął głową.

- Przecież powiedziałem, że dobrze, prawda?

- Chciałbym czegoś więcej, wujku.

- Uroczyscie obiecuję, że nie będę się więcej wtrącał do produkcji tej migawki - oświadczył posępnie Dibbler. - Jestem twoim wujem. Jestem rodziną. Czy to ci wystarczy?

- No... no dobrze.

Kiedy zgasł ogień, zgrabili resztę żaru i upiekli kiełbaski na imprezie pod gwiazdami, wydanej z okazji skończenia migawki.

Aksamitna zasłona nocy opadła na klatkę pełną papug, jaką był Święty Gaj. W takie ciepłe noce zwykle wielu ludzi zajmuje się własnymi sprawami.

Para młodych, idąca przez wydmy, doznała ataku śmiertelnego przerażenia, kiedy ogromny troll wyskoczył na nich zza skały, zamachał rękami i krzyknął groźnie „Aargh!”.

- Przestraszyłem was, prawda? - spytał z nadzieją w głosie. Oboje, bladzi, pokiwali głowami.

- Co za ulga - odetchnął Detrytus. Pogłaskał oboje po głowach, lekko wciskając ich stopy w piasek. -.Bardzo wam dziękuję. Jestem głęboko wdzięczny. Życzę miłej nocy - dodał z żalem.

Patrzył, jak odchodzą, trzymając się za ręce. A potem zalał się łzami.

W szopie korbowych G.S.P. Dibbler przyglądał się, jak Halogen tnie i klei namalowaną dzisiaj błonę. Korbowy czuł się zaszczycony; pan Dibbler nigdy przedtem nie wykazywał najmniejszego zainteresowania techniczną obróbką błony. To zapewne tłumaczyło, dlaczego swobodniej niż zwykle traktował tajemnice gildii, przekazywane z pokolenia na to samo pokolenie adeptów.

- Dlaczego wszystkie te małe obrazki są takie same? - spytał Dibbler, gdy korbowy nawijał błonę na szpulę.

- Tak naprawdę wcale nie są takie same - wyjaśnił Halogen. - Każdy trochę się różni od poprzedniego. Widzi pan? Ludzkie oko ogląda mnóstwo trochę się różniących obrazków i myśli, że patrzy na coś, co się rusza.

Dibbler wyjął z ust cygaro.

- Chcesz powiedzieć, że to tylko sztuczka? - upewnił się oszołomiony.

- Zgadza się. - Korbowy parsknął śmiechem i sięgnął po naczynie z klejem.

Dibbler obserwował go zafascynowany.

- Zawsze myślałem, że to jakiś specjalny rodzaj magii - wyznał z odrobiną rozczarowania. - A teraz mi mówisz, że to coś w rodzaju gry w trzy karty.

- Mniej więcej. To jest tak: ludzie tak naprawdę nie widzą żadnego z tych obrazków. Widzą je wszystkie naraz. Rozumie pan?

- Zaraz, gdzieś się przy tym zgubiłem.

- Każdy obrazek dokłada się do ogólnego efektu. Ludzie nie widzą... hm, jak to ująć... żadnego z pojedynczych obrazków, tylko efekt wywołany przez bardzo dużo obrazków przesuwających się bardzo szybko.

- Naprawdę? To bardzo ciekawe - stwierdził Dibbler. - Naprawdę bardzo ciekawe.

Strzepnął popiół z cygara w stronę demonów. Któryś z nich złapał ten popiół i zjadł.

- A co by się stało - spytał ostrożnie Dibbler - gdyby, powiedzmy, jeden obrazek w całej migawce był inny?

- Zabawne, że pan o to pyta - przyznał Halogen. - To się zdarzyło wczoraj, kiedy kleiliśmy *Za Doliną Trolli*. Jeden z uczniów wstawił w błonę tylko jeden obrazek z *Poszukiwaczy złota*, a my przez cały ranek myśleliśmy tylko o złocie. I nie wiedzieliśmy, z jakiego powodu. Całkiem jakby wlaźło nam to prosto do głów, chociaż oczy niczego nie zauważyły. Znalazłem ten obrazek tylko dzięki temu, że przypadkiem przeglądałem migawkę bardzo powoli. Oczywiście, spuściłem chłopakowi lanie.

Chwycił pędzel do kleju i skleił kilka prostokątów błony. Po chwili zdał sobie sprawę z nagłego milczenia za plecami.

- Dobrze się pan czuje, panie Dibbler? - zapytał z niepokojem.

- Hm? Aha. - Dibbler myślał intensywnie. - I wystarczył jeden obrazek, żeby wyrzucić taki skutek?

- Tak. Na pewno nic panu nie dolega?

- Nigdy nie czułem się lepiej. - Dibbler zatarł ręce. - Nigdy. A teraz może pogadamy w cztery oczy, ty i ja. Bo wiesz... - Przyjazne położył dłoń na ramieniu Halogena. - Mam przeczucie, że to może być twój szczęśliwy dzień.

W ciemnym zaułku siedział Gaspode i mruczał do siebie. - Ha... Zostań, powiada. Daje mi rozkazy. Żeby tylko jego dziewczyna nie musiała znosić u siebie w pokoju okropnego cuchnącego psa. I teraz siedzę tuja, najlepszy przyjaciel człowieka, porzucony na deszczu. Gdyby padało. Fo może i nie pada, ale gdyby padało, byłbym cały mokry. Dofrze by mu zrofiło, gdybym teraz wstał i sobie poszedł. Mógłbym to zrofić. W każdej chwili. Wcale nie muszę tutaj siedzieć. Nikt nie przypuszcza, mam nadzieję, że tutaj siedzę, fo mi kazali tutaj siedzieć. Chciałbym zofaczyć takiego człowieka, który mógłby mi rozkazywać. Siedzę tu, fo mam na to ochotę. Otóż to.

Potem poskomał trochę i podreptał w cień, gdzie była mniejsza szansa, że ktoś go zobaczy.

W pokoju na górze Victor stał twarzą do ściany. To było poniżające. Jakby nie wystarczyło, że na schodach wpadli na panią Cosmopilite. Uśmiechnęła się do niego szeroko i wykonała skomplikowany gest z intensywnym użyciem łokcia; Victor był pewien, że starsze panie nie powinny znać takich gestów.

Słyszał trzaski i od czasu do czasu szelesty - to Ginger szykowała się do snu.

- Jest naprawdę bardzo miła - powiedziała. - Mówiła mi wczoraj, że miała czterech mężów.

- A jak się pozbyła zwłok? - spytał Victor.

- Absolutnie nie rozumiem, co masz na myśli. - Ginger prychnęła z oburzeniem. - Dobrze, możesz się już odwrócić. Jestem w łóżku.

Victor odetchnął i obejrzał się. Ginger podciągnęła kołdrę pod szyję i trzymała ją tam, jak oblężony garnizon utrzymuje ostatnie barykady.

- Musisz mi obiecać - rzekła - że jeśli coś się stanie, nie będziesz próbował wykorzystać sytuacji. Victor westchnął.

- Obiecuję.

- Chodzi mi o to, że muszę pamiętać o karierze. Rozumiesz chyba.

- Tak, rozumiem.

Victor usiadł przy lampie i wyjął z kieszeni książkę.

- Nie żebym była niewdzięczna ani nic podobnego.

Victor przerzucał pośólkę stronic, szukając miejsca, gdzie ostatnio skończył. Dziesiątki ludzi spędziły całe życie na wzgórzu Świętego Gaju, najwyraźniej wyłącznie po to, żeby podtrzymywać ogień i modlić się trzy razy dziennie. Po co? Kto był Strażnikiem u Wrót?

- Co czytasz? - zapytała po chwili Ginger.

- Taką starą książkę, którą znalazłem - odparł krótko Victor. - O Świętym Gaju.

- Aha.

- Na twoim miejscu spróbowałbym się trochę przespać - poradził. Przesunął się trochę, żeby w słabym świetle lepiej widzieć niewyraźne pismo.

Usłyszał, jak ziewa.

- Czy skończyłam ci opowiadać mój sen? - spytała.

- Chyba nie - odpowiedział tonem, który uznał za uprzejmie zniechęcający.

- Zawsze zaczyna się od góry...

- Posłuchaj, nie powinnaś rozmawiać...

- ...a wokół niej są gwiazdy, no wiesz, takie na niebie, tylko że jedna spada na dół i to już wcale nie jest gwiazda, tylko kobieta trzymająca nad głową pochodnię...

Victor powoli wrócił na sam początek książki.

- Tak?

- I ciągle próbuje mi coś powiedzieć, coś, czego nie rozumiem, o budzeniu kogoś, a potem jest mnóstwo świateł i coś ryczy, jakby lew albo tygrys. I się budzę.

Palec Victora obrysował sylwetkę góry pod gwiazdami.

- To na pewno tylko sen - stwierdził. - Niczego nie musi oznaczać.

Oczywiście, wzgórze Świętego Gaju nie było szpiczaste. Teraz nie - ale może kiedyś było, w czasach kiedy w miejscu dzisiejszej zatoki wznosiło się miasto. Na bogów, coś musiało tego miasta naprawdę nienawidzić.

- Zapamiętałaś jeszcze coś ze snu? - zapytał z udawaną obojętnością.

Nie odpowiedziała. Na palcach podszedł do łóżka.

Zasnęła.

Wrócił na krzesło, które zapowiadało, że najdalej za pół godziny stanie się irytująco niewygodne. Zgasił lampę.

Coś pod wzgórzem. Tam czaiło się zagrożenie.

Ale zagrożeniem bardziej bezpośrednim był fakt, że on sam też za chwilę zaśnie.

Siedział w ciemności i martwił się. Jak właściwie należy budzić kogoś, kto chodzi przez sen? Niewyraźnie sobie przypominał, że może to być bardzo niebezpieczne. Słyszał historie o ludziach, którzy śnili, że ścinają im głowy, a potem, kiedy ktoś klepnął ich w ramię, głowy naprawdę im odpadały. Skąd ktoś mógł wiedzieć, o czym śnią martwe osoby, nie zostało wyjaśnione. Może ich duchy przychodziły nocą i stawały przy łóżku, żeby się poskarżyć?

Krzesło zaskrzypiało głośno, kiedy zmienił pozycję. Może gdyby wystawił jedną nogę, o tak, mógłby ją oprzeć o brzeg łóżka. Wtedy gdyby nawet zasnął, nie mogłaby wstać, nie budząc go przy tym.

Właściwie to zabawne. Od paru tygodni całymi dniami brał ją w ramiona, ratował przed wszystkim, za co akurat przebrał się Morry, całował i ogólnie odjeżdżał z nią w stronę zachodzącego słońca, żeby żyć potem długo i szczęśliwie, możliwe, że nawet ekstatycznie. Prawdopodobnie nikt, kto oglądał migawki, nie uwierzyłby, że spędził noc w jej pokoju, siedząc na stołku zrobionym z nierównych desek. Takie rzeczy nie zdarzają się w migawkach. Migawki są o Namyętności w Świecie Ogarniętym Szaleństwem. Gdyby to była migawka, to nie siedziałby tak po ciemku na twardym krześle. Raczej by... no, nie siedziałby tak po ciemku na twardym krześle, to pewne.

Kwestor zamknął na klucz drzwi gabinetu. Nie miał wyjścia. Nadrektor uważał, że pukanie do drzwi to coś, co przytrafia się innym.

Dobrze przynajmniej, że ten straszny człowiek stracił zainteresowanie

dla resografu, czy jak tam Riktor nazwał swoje urządzenie. Kwestor przeżył ciężki dzień - próbował jak zwykle kierować sprawami Uniwersytetu, ale przez cały czas nie mógł zapomnieć, że dokument leży w jego pokoju.

Wyjął go spod dywanu, zapalił lampę i zaczął czytać.

Sam chętnie przyznawał, że nie radzi sobie z mechaniką. Szybko więc ominął fragmenty dotyczące osi, oktironowych wahadeł i powietrza sprężanego w miechach.

Od razu odszukał akapit stwierdzający: *Jeśli zatem zakłócenie osnowy rzeczywistości wywoła fale rozchodzące się od epicentrum, wahadło odchyli się, spręży powietrze w odpowiednim miechu i sprawi, że najbliższy epicentrum ozdobny słoń wypuści do naczynia niewielką ołowianą kulkę. Dzięki temu kierunek i skalę zakłócenia...*

...whumm... whumm...

Słyszał nawet tutaj. Ułożyli dookoła kolejne worki z piaskiem, ale nikt już nie śmiał ruszać aparatu. Kwestor spróbował wrócić do lektury.

... można ocenić na podstawie liczby, kierunku i siły...

...whumm... whummWHUMMWHUMM!

Kwestor zauważył, że wstrzymuje oddech.

... wyrzucania kulek. Jak oceniam, w przypadku poważnych zakłóceń...

Plib.

...ich liczba może nawet...

Plib.

... przekroczyć dwie kulki...

Plib.

...wyrzucone na kilka cali...

Plib.

...w okresie około...

Plib.

...jednego...

Plib.

... miesiąca.

Plib.

Gaspode obudził się i szybko stanął w pozycji znamionującej - miał nadzieję - czujność.

Ktoś krzyczał, ale bardzo grzecznie, jakby chciał, żeby mu pomóc, jednak tylko pod warunkiem że nie sprawi tym zbyt wielkiego kłopotu.

Wbiegł na schody. Drzwi były uchylone, więc pchnął je lekko głową.

Victor leżał na plecach, przywiązany do krzesła. Gaspode usiadł i zaczął go pilnie obserwować, na wypadek gdyby zrobił coś ciekawego.

- Wszystko w porządku, co? - zapytał po chwili.

- Nie siedź tak, durniu! Rozwiąż mnie! - odpowiedział Victor.

- Durniem może i jestem, ale nie związanym - zauważył spokojnie Gaspode. - Skoczyła na ciebie?

- Musiałem się na chwilę zdrzemnąć.

- Tak długą chwilę, że zdążyła wstać, podrzeć prześcieradło i przywiązać cię do krzesła?

- Dobrze już, dobrze. Możesz to przegryźć?

- Tymi zębami? Ale mogę kogoś sprowadzić. - Gaspode uśmiechnął się.

- Hm... To chyba nie jest najlepszy...

- Nie martw się. Zaraz wracam. I Gaspode wybiegł.

- Trudno mi będzie wytłumaczyć... - zawołał jeszcze Victor, ale pies zbiegł już ze schodów.

Przez labirynt zaułków i uliczek dotarł na tyły wytwórni Wieku Nietoperza. Zbliżył się do wysokiego płotu. Z drugiej strony cicho brzęknął łańcuch.

- Laddie? - szepnął chrapliwie. Odpowiedziało mu zachwycone szczekanie.

- *Dobry Laddie!*

- Tak - mruknął Gaspode. - No tak.

Westchnął. Czy on też kiedyś był taki? Jeśli tak, to dzięki bogom, że tego nie pamięta.

- *Ja dobry piesek!*

- Oczywiście, Laddie, na pewno. Fądz cicho. Gaspode przecisnął swe artretyczne ciało pod płotem. Gdy tylko się wynurzył, Laddie polizał go po pysku.

- Za stary już jestem na takie rzeczy - burczał Gaspode. Obejrzał łańcuch.

- Kolczatka - stwierdził. - Głupia kolczatka. Przestań się szarpać, tumanie. Cofnij się. Do tyłu! Dofrze.

Wcisnął łapę w pętlę i przeciągnął łańcuch przez głowę Laddiego.

- Już - stwierdził. - Gdybyśmy wszyscy wiedzieli, jak się to rofi, mogliśmy rządzić światem. Przestań fiegać w kółko. Jesteś nam potrzebny.

Laddie stanął na baczność, wywieszając język. Gdyby psy potrafiły salutować, z pewnością by to zrobił.

Gaspode przeczołgał się z powrotem i czekał. Słyszał za płotem kroki Laddiego, ale wielki pies wyraźnie oddalał się od ogrodzenia.

- Nie! - syknął Gaspode. - Za mną!

Zatupały łapy, coś świsnęło, Laddie przefrunął nad płotem i wylądował na czterech łapach przed Gaspode. Gaspode mało się nie zadławił językiem.

- Dofry piesek - wymruczał. - Dofry piesek.

Victor usiadł i roztarł głowę.

- Stuknąłem o podłogę, kiedy krzesło upadło do tyłu - wyjaśnił.

Laddie siedział, wyraźnie na coś czekając. Resztki prześcieradła zwisały mu z pyska.

- Czego on chce? - spytał Victor.

- Masz mu powiedzieć, że jest dofrym pieskiem. - Gaspode westchnął ciężko.

- A nie spodziewa się kawałka mięsa albo czegoś słodkiego?

Gaspode pokręcił głową.

- Powiedz mu tylko, jakim to dofrym jest pieskiem. U psów to lepsze

niż twarda waluta.

- Naprawdę? No dobrze. Dobry piesek, Laddie. Podniecony Laddie podskoczył kilka razy. Gaspode zaklął pod nosem.

- Przepraszam - rzucił. - Ale przyznasz, że to żałosne.

- Dobry piesek... Szukaj Ginger - powiedział Victor.

- Przecież ja też mogę ją znaleźć - przypomniał Gaspode, gdy Laddie zaczął obwąchiwać podłogę. - Ofaj wiemy, dokąd poszła. Nie musisz przecież...

Laddie skoczył do drzwi - ale z gracją. Przystanął u stóp schodów i wydał szczeknięcie typu „za mną”.

- Żałosne - mruknął smętnie Gaspode.

Gwiazdy nad Świętym Gajem zawsze zdawały się świecić jaśniej. Oczywiście, powietrze było tu czystsze niż w Ankh i prawie bez dymu, ale... gwiazdy wyglądały na większe i bliższe - jakby niebo zmieniło się w wielką soczewkę.

Laddie mknął przez wydmy, zatrzymując się co jakiś czas, żeby Victor mógł go dogonić. Gaspode podążał za nimi w pewnej odległości, kołysał się z boku na bok i rzeził.

Trop prowadził do zagłębienia, które było puste. Wrota rozwarły się mniej więcej na stopę. Piasek wokół był rozkopany. Czy coś wyszło na zewnątrz? Ginger w każdym razie weszła do środka.

Victor patrzył.

Laddie siedział przy wrotach i przyglądał mu się z nadzieją.

- On czeka - zauważył Gaspode.

- Na co? - spytał lękliwie Victor. Gaspode jęknął.

- A jak myślisz?

- Aha. No tak. Dobry piesek, Laddie. Laddie zaszczekał i spróbował wykręcić salto.

- Co teraz? - chciał wiedzieć Victor. - Przypuszczam, że powinniśmy tam wejść...

- Możliwe - zgodził się Gaspode.

- Hm... Możemy też zaczekać, aż ona wyjdzie. Widzisz, nigdy specjalnie nie lubiłem ciemności. Znaczy, rozumiesz, noc może być, ale absolutna czernść...

- Założę się, że Cohen Farfarzyńca nie foi się ciemności.

- Niby tak...

- I Czarny Cień Pustyni też się nie foi ciemności.

- Zgadza się, ale...

- A także Howondaland Smith, Łowca Farlgrogów, ten to praktycznie zjada ciemność na śniadanie.

- Tak, aleja nie jestem tymi ludźmi! - zaprotestował Victor.

- Spróbuj to wytłumaczyć tym wszystkim, którzy wydawali swoje pensy, żefy zofaczyć, jak nimi jesteś. - Gaspode drapnął jakąś cierpiącą na bezsenność pchłę. - Fyłały zafawa, gdyfyśmy mieli tu teraz korfowego - stwierdził radośnie. - Zrofiły z tego niezłą migawkę. *Fohater nie działa po ciemku...* Tak, to dofry tytuł. Lepsza komedia niż *Indyczne uda*. Lepsza nawet niż *Noc na arenie*. Ludzie ustawialify się w kolejkach, żefy tylko...

- Dobrze, przestań już - przerwał mu Victor. - Może wejść, ale tylko

kawałek. - Rozejrzał się rozpaczliwie po wyschniętych drzewach wokół zagłębienia. - I to z pochodnią - dodał.

Spodziewał się pajaków, wilgoci, a może i węży, jeśli nie czegoś gorszego...

Zamiast nich zobaczył korytarz prowadzący lekko w dół. Powietrze miało słony posmak, sugerujący, że gdzieś dalej tunel łączy się z morzem.

Victor postąpił kilka kroków w głąb i przystanął.

- Chwileczkę. Jeśli pochodnia zgaśnie, możemy się beznadziejnie zgubić.

- Nie, nie możemy - odparł Gaspode. - Zapominasz o psim węchu.

- Sprytne...

Victor wszedł trochę dalej. Ściany pokrywały powiększone wersje ideogramów, które znał z książki.

- A wiesz - powiedział, przesuwając po nich palcami. - To właściwie nie wygląda na pismo. Raczej...

- Idź i przestań szukać pretekstów - rzucił zza jego pleców Gaspode.

Victor kopnął w coś, co potoczyło się w mrok.

- Co to było? - szepnął przerażony.

Gaspode zniknął w ciemności i wrócił po chwili.

- Nie masz się czym przejmować - uspokoił go.

- Naprawdę?

- To tylko czaszka.

- Czyja?

- Nie powiedział.

- Zamknij się!

Coś zachrząściło pod sandałem Victora.

- A to... - zaczął Gaspode.

- Nie chcę wiedzieć!

- To była muszla.

Victor wpatrywał się w kwadrat ciemności. Zaimprovizowana pochodnia jasno płonęła w przeciagu. Kiedy wyteżał słuch, słyszał rytmiczny odgłos: albo ryk jakiejś bestii w mroku, albo szum morza w podziemnym tunelu. Wolał to drugie wyjaśnienie.

- Coś ją przyzywało - powiedział głośno. - W snach. Ktoś, kto chce, żeby go wypuścić. Boję się, że zrobi jej krzywdę.

- Nie jest tego warta - oświadczył Gaspode. - Fieganie za dziewczętami pozostającymi pod wpływem Stworów z Pustki się nie opłaca. Możesz mi wierzyć na słowo. Nigdy nie wiesz, ofok czego się ofudzisz.

- Gaspode!

- Przekonasz się, że mam rację.

Pochodnia zgasła.

Victor pomachał nią rozpaczliwie, potem dmuchnął, próbując rozpalić na nowo. Kilka iskiełek rozjarzyło się i zniknęło... Zapewne w pochodni nie zostało już dość pochodni.

Nadpłynęła fala ciemności.

Takiej ciemności Victor nie znał. Choćby nie wiadomo jak długo się w nią wpatrywał, oczy nie mogły się przyzwyczaić. Nie istniało w niej nic, do czego mogłyby się przyzwyczajać. To była ciemność - matka wszelkiej ciemności, ciemność absolutna, podziemna, tak gęsta, że niemal dotykalna, niby zimny aksamit.

- Ależ tu ciemno - odezwał się Gaspode.

Zalałem się tym, co nazywają zimnym potem, myślał Victor; zawsze się zastanawiałem, jakie to uczucie. Przesunął się w bok i dotknął ściany.

- Lepiej wracajmy - zaproponował, miał nadzieję, że rzeczowym tonem. - Przed nami może się czaić... rozpadlina albo coś innego. Możemy zebrać więcej pochodni, więcej ludzi i wrócić.

Z głębi tunelu dobiegł głuchy dźwięk.

Umpf!

I zaraz potem rozbłysło światło tak ostre, że rzuciło obraz gałek ocznych na wewnętrzną powierzchnię czaszki Victora. Przygasło po kilku sekundach, ale nadal było nieznośnie jaskrawe. Laddie zaskomlał.

- Sprawa załatwiona - rzucił chrapliwie Gaspode. - Masz już światło, więc wszystko jest w porządku.

- Tak, ale skąd się wzięło?

- Nify ja mam to wiedzieć?

Victor ruszył ostrożnie naprzód; cień, tańcząc, podążał za nim krok w krok.

Po mniej więcej pięćdziesięciu sążniach tunel doprowadził do czegoś, co pewnie było kiedyś naturalną grota. Światło padało z przejścia po drugiej stronie, było jednak tak jasne, że ukazywało nawet najmniejsze szczegóły.

Grota była większa niż Główny Hol Niewidocznego Uniwersytetu, a kiedyś pewnie także bardziej imponująca. Światło odbijało się od

wyszukanych złotych ornamentów i od stalaktytów zwisających ze sklepienia. Stopnie, dostatecznie szerokie dla regimentu wojska, wynurzały się z szarego otworu w podłodze; regularny szum, huk i zapach soli dowodził, że gdzieś w dole morze odnalazło drogę do wejścia. Powietrze było wilgotne.

- Jakaś świątynia? - szepnął Victor.

Gaspode obwąchał ciemnoczerwoną kotarę wiszącą obok wejścia. Rozpadła się w wilgotną masę.

- Faj - rzeki. - Wszystko tu spleśniało!

Coś wielonożnego przemknęło po podłodze i wpadło do otworu schodów.

Victor delikatnie szturchnął palcem gruby czerwony sznur, zawieszony między połączanymi słupkami. Sznur się rozsypał.

Spękane stopnie prowadziły do dalekiego rozświetlonego otworu. Wspięli się na nie, przestępując nad stosami gnijących wodorostów i kawałkami drewna, przyniesionymi tu przez jakiś dawny, wysoki przypływ.

Za przejściem zobaczyli następną wielką jaskinię, podobną do amfiteatru. Rzędy siedzeń ciągnęły się w dół, aż do...

...ściany?

Błyszczała jak rtęć. Gdyby wypełnić rtęcią podłużny basen wielkości domu, a potem przechylić go w bok tak, żeby się nie wylała, powstałoby coś podobnego.

Tylko nie wyglądałoby tak złowieszczo.

To coś było płaskie i czyste, ale Victor poczuł nagle, że jest obserwowany, niby pod mikroskopem.

Laddie zaskomlał.

I wtedy Victor zrozumiał, co go tak niepokoi.

To nie była ściana. Ściany są zwykle do czegoś przyczepione, w przeciwieństwie do tej rzeczy. Wisiała tylko w powietrzu, falowała i marszczyła się jak odbicie w lustrze, tyle że bez lustra.

Światło padało zza niej. Victor dostrzegał je teraz: jaskrawy punkt, przesuwający się w cieniu po przeciwnej stronie groty.

Ruszył w dół przejściem między rzędami kamiennych siedzeń. Psy biegły mu przy nogach; położyły płasko uszy i podkuliły ogony. Szli po czymś, co kiedyś mogło być dywanem; rozrywał się z wilgotnym trzaskiem i rozpadał pod stopami.

- Nie wiem, czy zauważyłeś - odezwał się po chwili Gaspode - ale niektóre...

- Wiem - przerwał mu posępnie Victor.

...miejsca nadal są...

- Wiem.

...zajęte.

- Wiem!

Ludzie - te rzeczy, które kiedyś były ludźmi - siedzieli w rzędach. Jakby oglądali migawkę.

Dotarł już niemal do tego dziwnego obiektu, który migotał teraz w górze - prostokąt mający długość i wysokość, ale bez grubości.

Tuż przed nim, niemal dokładnie pod srebrnym ekranem, kilka wąskich stopni prowadziło w dół do okrągłego otworu, w połowie wypełnionego gruzem. Victor wspął się i zajrzał za ekran w miejsce, skąd padało światło.

To była Ginger. Stała nieruchomo, wznosząc rękę nad głową. Pochodnia, którą trzymała, jaśniała jak fosfor.

Patrzyła na ciało na kamiennej płycie - ciało olbrzyma. A przynajmniej podobne do ciała olbrzyma. Może była to tylko zbroja z leżącym na niej mieczem, przysypana kurzem i piaskiem.

- To jest to coś z książki - syknął. - Na bogów, co ona sobie myśli?

- Nie wydaje mi się, żefy cokolwiek myślała - stwierdził Gaspode.

Ginger odwróciła się nieco i Victor zobaczył jej twarz. Uśmiechała się.

Za kamienną płytą dostrzegł jakiś duży, zaśnieżony dysk. Na szczęście wisiał jak należy, na umocowanych do stropu łańcuchach, nie zaprzeczając sile grawitacji.

- Dość tego - rzekł Victor. - Zamierzam natychmiast to przerwać. Ginger!

Głos zahuczał echem między ścianami. Słyszał, jak odbija się w korytarzach i jaskiniach: ...er, ...er, ...er. Z tyłu stuknął spadający kamień.

- Tylko cicho! - szepnął Gaspode. - Całe sklepienie może się na nas zawalić.

- Ginger! - syknął Victor. - To ja!

Odwróciła się i spojrzała na niego albo poprzez niego, albo w niego, do wnętrza.

- Victorze - rzekła słodko. - Odejdź stąd. Odejdź daleko. Inaczej zdarzy się wielkie zło.

- Zdarzy się wielkie zło - powtórzył Gaspode. - To wróżne słowa, nie ma co.

- Nie wiesz, co robisz - tłumaczył Victor. - Sama prosiłaś, żebym cię zatrzymał. Wracajmy. Odprowadzę cię do domu.

Spróbował się wspiąć...

...i coś zapadło się pod jego stopą. Gdzieś w dali rozległ się bulgot, metaliczne brzęknięcie, wreszcie jedna wodnista, muzyczna nuta wezbrała wokół i odbiła się echem od ścian jaskini. Victor szybko przesunął nogę, ale nastąpił na inną część gzymsu, która opadła tak jak pierwsza, budząc drugą nutę.

Usłyszał też jakiś zgrzyt. Stał w niewielkim otworze i nagle uświadomił sobie z przerażeniem, że wznosi się do góry przy wtórze grzmiących akordów oraz stukotu i jęków starożytnej maszynierii. Nerwowo wyciągnął ręce na boki. Uderzył w zardzewiałą dźwignię, która wywołała odmienny akord i pękła z trzaskiem. Laddie zaczął wyć. Victor dostrzegł, że Ginger upuszcza pochodnię, by rękami zatkać uszy.

Kamienny blok wyrwał się ze ściany i powoli runął na siedzenia. Odłamki skały zabębniły o podłogę, a głuchy huk sugerował, że hałas zmienia rozkład całej jaskini.

I nagle huk ucichł z długim, zduszonym bulgotem i z ostatnim sieknięciem. Szarpnięcia i zgrzyty świadczyły, że uruchomiona przez Victora pradawna machina dała z siebie wszystko, nim się rozpadła.

Powróciła cisza.

Victor zsunął się powoli z muzycznej platformy, sterczącej teraz kilka stóp nad podłogą, i podbiegł do Ginger. Osunęła się na kolana i płakała.

- Chodź - powiedział. - Musimy się stąd wydostać.

- Gdzie ja jestem? Co się dzieje?

- Nie mogę nawet zacząć ci tłumaczyć.

Pochodnia na podłodze strzelała iskrami. Zgasł gdzieś niesamowity ogień; teraz był to tylko kawałek zwęglonego, prawie wypalonego drzewa. Victor chwycił ją i machał, póki nie pojawił się mętny żółty płomień.

- Gaspode! - rzucił.

- Słucham?

- Wy, psy, prowadzicie.

- Och, dziękuję ci fardzo.

Ginger przylgnęła do niego, kiedy szli przejściem między siedzeniami. Mimo narastającej grozy Victor musiał przyznać, że jest to bardzo miłe uczucie. Rozejrzał się, popatrzył na nielicznych siedzących na miejscach i zadrżał.

- Wyglądają, jakby umarli podczas oglądania migawki - zauważył.

- Owszem. Komedii - odezwał się biegnący przodem Gaspode.

- Dlaczego tak uważasz?

- Fo wszyscy szczerzą zęby.

- Gaspode!

- Trzeba patrzeć na wszystko od jasnej strony - mruknął pies. - Nie można się zadręczać tylko dlatego, że trafiliśmy do zapomnianego podziemnego grofowca, w towarzystwie ofłakanej miłośniczki kotów i z pochodnią, która lada chwila zgaśnie...

- Prędej! Biegiem!

Potykając się, wbiegli po schodach; ślizgając się po wodorostach, ruszyli do przejścia prowadzącego ku cudownej obietnicy świeżego powietrza i światła dnia. Pochodnia zaczęła parzyć Victora w rękę. Odrzucił ją. W korytarzu nie było żadnych pułapek; wystarczy trzymać się jednej ściany i nie robić niczego nierozsądnego, a muszą dotrzeć do wrót. Zresztą wstał już pewnie świt, a to znaczy, że wkrótce zobaczą światło.

Wyprostował się z dumą. Zachował się naprawdę bohatersko. Co prawda nie musiał walczyć z potworami, ale pewnie nawet potwory zgniłyby tutaj już całe wieki temu. Oczywiście, trochę to było przerażające, ale w końcu okazało się... właściwie okazało się archeologią. Miał to już za sobą i nic nie wydawało się straszne...

Biegący przodem Laddie zaszczeakał ostro.

- Co mówi? - spytał Victor.

- Mówi - odparł Gaspode - że tunel jest zaflokowany.

- No nie...

- To pewnie twój recital organowy zawalił strop.

- Naprawdę zablokowany?

Naprawdę.

Victor wczółgał się na stos głazów. Kilka wielkich bloków ze stropu runęło, pociągając za sobą tony skalnych odłamków. Próbował naciskać i ciągnąć za jeden czy dwa głazy, ale doprowadził tylko do kolejnych zawałów.

- Może jest jakieś inne wyjście? - zastanowił się. - Psy mogłyby pewnie je znaleźć...

- Zapomnij o tym, kolego. Zresztą jedyna inna droga do wyjścia musi prowadzić w dół, po schodach. Czyli do morza, zgadza się? Możecie płynąć w głaf i mieć nadzieję, że płuca wytrzymają.

Laddie zaszczeakał.

- Nie ty - rzucił krótko Gaspode. - Nie mówiłem do ciebie. Nigdy do niczego nie zgłaszaj się na ochotnika. Victor wciąż grzebał w osypisku.

- Nie jestem pewien - odezwał się po chwili - ale wydaje mi że widzę jakieś światło. Jak sądzisz? Usłyszał, jak Gaspode wdrapuje się po kamieniach.

- Możliwe - przyznał z rezerwą pies. - Wygląda na to, że parę floków się zaklinowało i zostało trochę miejsca.

- Dostyc, żeby ktoś mały się przecisnął?

- Wiedziałem, że to powiesz - mruknął Gaspode.

Po chwili Victor usłyszał skrobanie pazurów na luźnych kamieniach.

- Trochę się poszerza - zabrzmiał stłumiony głos. - Znowu ciasno...
Niech to...

Zapadła cisza. . - Gaspode! - zawołał niespokojnie Victor.

- Nic mi nie jest. Przeszedłem. I widzę wrota.

- Świetnie.

Victor poczuł lekki podmuch i usłyszał drapanie. Ostrożnie wyciągnął rękę i trafił palcami na przeciskające się gorączkowo owłosione ciało.

- Laddie próbuje iść za tobą!

- Jest za duży. Utknie.

Rozległo się psie sieknięcie, wściekłe kopanie, które obsypało Victora żwirem, i ciche, tryumfalne szczeknięcie.

- Oczywiście, jest trochę chudszy ode mnie - przyznał po chwili Gaspode.

- A teraz biegnijcie obaj i sprowadźcie pomoc - polecił Victor. - My zaczekamy tutaj.

Słyszał, jak odbiegają. Dalekie szczekanie Laddiego dowodziło, że dotarli do otwartej przestrzeni. Usiadł.

- Teraz pozostaje nam tylko czekać - oświadczył.

- Jesteśmy pod wzgórzem, prawda? - dobiegł z ciemności głos Ginger.

- Tak.

- Skąd się tu wzięliśmy?

- Przyszedłem za tobą.
- Prosiłam, żebyś mnie powstrzymał.
- Tak, ale potem mnie związałaś.
- Nie zrobiłam tego!

- Związałaś mnie - powtórzył Victor. - A potem przyszedłaś tutaj, otworzyłaś wrota, zrobiłaś jakąś dziwną pochodnię i dotarłaś aż do... do tamtego miejsca. Boję się myśleć, co byś zrobiła, gdybym cię nie obudził.

Przez chwilę trwało milczenie.

- Naprawdę? - spytała niepewnie Ginger.
- Naprawdę.
- Ale ja nic takiego nie pamiętam.
- Wierzę ci. Ale tak było.
- A jakie... Gdzie my jesteśmy?

Victor przesunął się trochę w ciemności, szukając wygodniejszej pozycji.

- Sam nie wiem - przyznał. - Z początku myślałem, że to jakaś świątynia. Mam wrażenie, że ludzie wykorzystywali ją do oglądania ruchomych obrazków.

- Przecież wyglądała, jakby miała setki lat!
- Raczej tysiące.

- To niemożliwe! - oświadczyła Ginger niepewnym głosem osoby, która usiłuje zachować rozsądek, choć szaleństwo tasakiem rąbie drzwi. - Alchemicy wpadli na ten pomysł dopiero kilka miesięcy temu.

- Owszem. Jest się nad czym zastanawiać. Wyciągnął rękę i znalazł ją - była sztywna jak posąg; drgnęła, kiedy jej dotknął.

- Tutaj jesteśmy bezpieczni - dodał. - Niedługo Gaspode sprowadzi jakąś pomoc. Nie ma się o co martwić.

Próbował nie myśleć o morzu chlupiącym na schodach, o wielonogich stworzeniach biegających po posadzce w ciemności. Starął się tłumić myśli o ośmiornicach przelewających się wolno przez siedzenia przed tym żywym, falującym ekranem. Usiłował zapomnieć o widzach siedzących w mroku, gdy nad nimi mijały stulecia. Może czekali, aż zjawi się ktoś, kto sprzeda im pukane ziarna i gorące kiełbaski.

Całe życie jest jak oglądanie migawki, pomyślał. Tylko zawsze wygląda tak, jakby człowiek przyszedł o dziesięć minut spóźniony i nikt nie chce mu opowiedzieć, o co chodzi, więc musi sam się wszystkiego domyślać.

I nigdy, ale to nigdy nie zdarza się okazja, żeby zostać na drugi pokaz.

W korytarzu Niewidocznego Uniwersytetu zamigotała świeca. Kwestor nigdy nie uważał się za człowieka odważnego. Najszczęśliwszy czuł się wtedy, kiedy siadał nad kolumnami liczb; zresztą talent do liczb doprowadził go wyżej w uniwersyteckiej hierarchii, niż mógłby dotrzeć dzięki magii. Ale czegoś takiego nie mógł zlekceważyć.

...whumm... whumm... whummwhummwhummWHUMMWHUMM.

Schowany za filarem, naliczył jedenaście kulek. Nad workami wykwiwały małe wachlarze piasku. Kanonada następowała już w odstępach dwuminutowych.

Podbiegł do stosu worków i pociągnął za róg pierwszego. Rzeczywistość nie jest taka sama we wszystkich punktach. To oczywiste; każdy mag jest tego świadomy. Zresztą nigdzie na Dysku rzeczywistość nie

zalega zbyt grubą warstwą, a tu i tam jest nader cienka. Dlatego działa magia. Riktor uważał, że potrafi mierzyć zmiany rzeczywistości, wskazywać miejsca, gdzie to, co rzeczywiste, nagle staje się nierzeczywiste. A każdy mag dobrze wiedział, co może się zdarzyć, jeśli rzeczy stają się dostatecznie nierzeczywiste, by uformować przejście.

Ale przecież, myślał, szarpiąc worki, trzeba do tego ogromnych ilości magii. Musielibyśmy zauważyć tyle magii. Rzucałaby się w oczy jak... jak... jak mnóstwo magii.

Musiało już chyba upłynąć z pięćdziesiąt sekund.

Spojrzał na wazę za ścianą worków z piaskiem.

Ojej.

Miał nadzieję, że się myli.

Wszystkie kulki zostały wystrzelone w jednym kierunku i gęsto podziurawiły pół tuzina worków. A Licznik sądził, że dwie kulki na miesiąc wskazują groźny przyrost nierzeczywistości...

Kwestor poprowadził w myślach linię od wazy, przez podziurawione worki, aż do końca korytarza.

...whumm... whumm...

Odskoczył nerwowo, ale zaraz uświadomił sobie, że nie musi się obawiać. Wszystkie kulki wystrzeliwały z ozdobnej głowy słonia po drugiej stronie wazy. Uspokoił się.

...whumm... whumm...

Waza zakołysała się gwałtownie, gdy w jej wnętrzu poruszyła się tajemnicza maszyna. Kwestor przysunął ucho... Tak, bez wątpienia słyszał jakieś syczenie, jakby ściskanego powietrza... Jedenaście kulek z dużą prędkością trafiło w worek.

Waza odchyliła się w przeciwną stronę, zgodnie ze słynną zasadą

reakcji. Zamiast uderzyć o worek z piaskiem, uderzyła w kwestora.

Ming-ng-ng...

Zamrugął. Cofnął się o krok. I upadł.

Ponieważ zakłócenia rzeczywistości ze Świętego Gaju sięgały słabymi, ale upartymi czułkami aż do Ankh-Morpork, kilka małych, niebiesko upierzonych ptaszków przez chwilę krążyło kwestorowi nad głową i ćwierkało. Potem zniknęły.

Laddie biegał wokół i szczekał ponaglająco. Gaspode leżał na piasku, ciężko dysząc.

- Wyszliśmy - wykrztusił wreszcie, wstał i otrząsnął się. Laddie szczekał i wyglądał niezwykle fotogenicznie.

- Dofrze już, dofrze - westchnął Gaspode. - A może poszukalifyśmy jakiegoś śniadania, potem trochę się przespali i dopiero wtedy... Laddie szczeknął krótko.

- Niech ci fędzie. Jak sofie chcesz. Ale pamiętaj, i tak nikt ci nie podziękuje.

Wielki pies pomknął po piasku. Gaspode ruszył za nim spokojniejszym, równym krokiem. Bardzo się zdziwił, kiedy Laddie zawrócił, podniósł go delikatnie za skórę na karku i znów pobiegł w stronę miasta.

- Rofisz mi to tylko dlatego, że jestem mały - narzekał Gaspode, kołyszając się z boku na bok. - Nie, nie tędy! Ludzie o tej porze do niczego się nie nadają. Potrzefujemy trolli. Na pewno jeszcze nie śpią, a znają się na podziemnej rofocie. Następna w prawo. Szukaj Fłękitnego Liasu. A niech to!

Uświadomił sobie nagle, że będzie zmuszony mówić. I to publicznie.

Całe wieki można starannie ukrywać swoje głosowe talenty, aż nagle bęc, zdarza się coś niezwykłego i trzeba przemówić. W przeciwnym razie młody Victor i Kobieta-Kot będą tam pleśnieli przez wieczność. Młody Laddie pewnie upuści go komuś pod nogami i Gaspode będzie musiał wytłumaczyć. A potem resztę życia spędzi w klatce jako dziwoląg.

Laddie przebiegł przez ulicę do zadymionego wejścia Błękitnego Liasu. Wewnątrz był tłok. Pies przemknął przez labirynt nóg podobnych do pni drzew. Dotarł do baru, zaszczekał głośno i upuścił Gaspode na podłogę.

Wyglądał, jakby na coś czekał.

Gwar rozmów ucichł z wolna.

- To ten Laddie - stwierdził jakiś troll. - Co on chce? Gaspode podszedł z wahaniem do najbliższego trolla i uprzejmie pociągnął zwisający pasek zardzewiałej kolczugi.

- Przepraszam fardzo - powiedział.

- On piekielnie mądry pies - oświadczył inny troll, niedbale odsuwając Gaspode nogą. - Ja widział go w migawka wczoraj. Udaje trup i liczy do pięć.

- To o dwa więcej od ciebie. Odpowiedzią był rubaszny rehot[23].

- Cicho! - zawołał pierwszy troll. -Ja myślę, on chce coś powiedzieć!

- Przepraszam fardzo...

- Wystarczy patrzeć, jak on skacze i szczeka.

- Zgadza się. Ja widział go wczoraj w migawka; on pokazał ludzi, gdzie znaleźć zagubione dzieci w jaskinia.

- Przepraszam fardzo... Zmarszczka przecięła czoło trolla.

- Znaczy, żeby je zjeść?

- Nie, żeby wyprowadzić na zewnątrz.

- Niby na ognisko albo co?

- Przepraszam fardzo!

Kolejna stopa trafiła Gaspode w bok jego spłaszczonej głowy.

- Może on by znalazł jeszcze jakieś. Patrzcie, jak on biega z powrotem i tam, do drzwi. On mądry pies.

- Możemy poszukać - uznał pierwszy troll.

- Dobry pomysł. Od wieki nie miałem nic do herbata.

- Słuchaj no, nie wolno jeść ludzie w Święty Gaj. To nam psuje opinia! A do tego Liga Obrony Dobre Imię Krzemu spadnie na ciebie jak tona prostokątne rzeczy do budowa.

- Tak, ale może być nagroda albo co.

- PRZEPRASZAM FARDZO...

- Właśnie. I jeszcze poprawa wizerunek trolli i stosunki z ludzie, jak my znajdziemy zgubione dzieci.

- A jak nawet nie, zawsze możemy zjeść pies. Tak?

Bar opustoszał. Wewnątrz pozostały tylko zwykłe kłęby dymu, kociołki roztopionych trollowych drinków, Ruby, bezmyślnie zeszkrobująca z kubków zastygłą lawę, i mały, zmęczony, wyliniały pies.

Mały, zmęczony, wyliniały pies myślał o różnicy między wyglądem i zachowywaniem się jak cudowny pies a byciem cudownym psem.

- Niech to demon - powiedział.

Victor pamiętał, że kiedy był mały, bał się tygrysów. Na próżno przekonywano, że najbliższy tygrys żyje trzy tysiące mil od niego. Pytał wtedy: „Czy jest jakieś morze między nami a miejscem, gdzie żyją tygrysy?”. Ludzie odpowiadali: „No nie, ale...”, na co stwierdzał: „W takim razie to tylko kwestia odległości”. Z ciemnością było podobnie. Wszystkie straszne, ciemne miejsca łączyła ze sobą natura samej ciemności. Ciemność istniała zawsze i wszędzie; czekała tylko, aż zgasną światła. Właściwie była całkiem podobna do Piekielnych Wymiarów. Czekających tylko, aż pęknie rzeczywistość.

Tulił do siebie Ginger.

- Już nie trzeba - powiedziała. -Jakoś się trzymam.

- To dobrze.

- Kłopot w tym, że i ty mnie trzymasz. Mocno. Rozluźnił uścisk.

- Zimno ci? - zapytała.

- Trochę. Bardzo tu wilgotno.

- Czy to twoje zęby tak szczękają?

- A czyje inne? Nie - dodał szybko. - Nawet się nad tym nie zastanawiaj.

- Wiesz - zaczęła po chwili - nie pamiętam, żebyś cię wiązała. Wcale się nie znam na węzłach.

- Były całkiem udane - zapewnił ją Victor.

- Pamiętam tylko sen. Jakiś głos powtarzał mi, że muszę obudzić... obudzić śpiącego?

Victor przypomniał sobie postać w zbroi na kamiennej płycie.

- Przyjrzałaś mu się? - spytał. - Jak wyglądał?

- Nie wiem, jak dzisiaj - odparła ostrożnie. - Ale w snach zawsze trochę przypominał mojego wujka Oswalda.

Victor pomyślał o mieczu, dłuższym niż on sam. Cięcia takim mieczem nie można odparować; przerąbie wszystko. Trudno jakoś sobie wyobrazić cokolwiek podobnego do wujka Oswalda z takim mieczem.

- A dlaczego ci przypomina wujka Oswalda?

- Bo wujek Oswald też tak leżał nieruchomo. Ale widziałam go tylko raz: na jego pogrzebie.

Victor otworzył usta... i wtedy rozległy się dalekie, niewyraźne głosy. Poruszyło się kilka kamieni.

- Hej, małe dzieci! Tędy! - zakwilił ktoś, teraz już trochę bliżej.

- To Skallin! - zawołała Ginger.

- Ten głos poznałbym wszędzie - zgodził się Victor. - Hej, Skallin! To ja, Victor!

Zapadła niespokojna cisza.

- To mój przyjaciel Victor! - zahuczał głos Skallina.

- Znaczy my go nie zjemy?

- Nikomu nie wolno zjadać mojego przyjaciela Victora! Wykopiemy go, bardzo szybko!

Rozległo się chrupanie. Po chwili jakiś inny troll poskarżył się:

- Oni nazywają to piaskowiec? Ja to nazywani paskudztwo. Znowu zgrzytanie.

- Nie rozumiem, czemu nie możemy go zjeść - odezwał się trzeci głos.

- Kto się dowie?

- Ty prymitywny trollu! - zganił go Skallin. - O czym ty myślisz? Zjadasz ludzi, a wszyscy śmieją się z ciebie i mówią: „To jakiś uszkodzony troll, nie umie się zachować w grzecznym towarzystwie”. Przestają ci płacić po trzy dolary dziennie i odsyłają w góry.

Victor wydał z siebie coś, co - miał nadzieję - zabrzmiało jak swobodny śmieszek.

- Zabawni są, prawda?

- Boki zrywać - mruknęła Ginger.

- Oczywiście, całe to gadanie o jedzeniu ludzi to zwykłe przechwałki. Prawie nigdy tego nie robią. Nie musisz się martwić.

- Nie martwię się. W każdym razie nie tym. Martwię się, ponieważ chodzę przez sen i nie mam pojęcia dlaczego. Z tego, co mówisz, wynika, że chcę obudzić jakąś śpiącą istotę. To straszna myśl. Coś wdarło mi się do głowy.

Zgrzytały odciągane na boki głązy.

- Wiesz, co mnie dziwi? - spytał Victor. - Kiedy ludzie są, no wiesz... opętani, to ta, no... moc opętująca zwykle się nie przejmuje ani tymi ludźmi, ani nikim innym. Rozumiesz, nie kazałaby ci mnie związać, ale raczej walnąć czymś w głowę.

W ciemności chwycił ją za rękę.

- Ten olbrzym na płycie - powiedział.

- Tak?

- Widziałem go wcześniej. W tej książce, którą znalazłem. Są tam dziesiątki jego portretów, a ci ludzie musieli uznać za bardzo ważne, żeby trzymać go za zamkniętymi wrotami. Tak mówią piktogramy... myślę. Wrota... człowiek. Człowiek za bramą. Więzień. Widzisz, jestem pewien, że

to był powód, dla którego wszyscy ci kapłani, kaznodzieje czy kto tam jeszcze musieli wychodzić na wzgórze i trzy razy dziennie wznosić modły...

Blok tuż przy jego głowie został nagle odsunięty na bok i przez otwór wlało się słabe światło, a zaraz wczołgał się Laddie, próbując równocześnie lizać Victora po twarzy i szczekać.

- Tak, tak. Dobra robota, Laddie. - Victor starał się go odepchnąć. - Dobry piesek. Dobry Laddie.

- *Dobry Laddie! Dobry Laddie!*

Szczekanie strąciło ze stropu kilka kamiennych odłamków.

- Aha! - zawołał Skallin.

Victor i Ginger wyjrzeni przez otwór. Za Skallinem dostrzegli głowy kilku innych trolli.

- To nie małe dzieci - stwierdził ten, który narzekał na zakaz jedzenia. - Wyglądają łykowate.

- Już ci mówiłem - przypomniał groźnie Skallin. - Nie wolno jeść ludzi. Są z tego same kłopoty.

- A może tylko noga? Wszyscy będą...

Skallin podniósł półtonowy kamienny blok, zważył go w ręku i uderzył drugiego trolla tak mocno, że kamień pękł.

- Mówiłem - zwrócił się do leżącej postaci. - Trolle takie jak ty psują nam opinię. Jak możemy zająć należne nam miejsce w społeczności istot myślących, jeśli takie uszkodzone trolle jak ty cały czas przynoszą nam wstyd?

Sięgnął przez otwór i wyciągnął Victora na zewnątrz.

- Dzięki, Skallin. Hm... Tam jest jeszcze Ginger.

Skallin szturchnął go porozumiewawczo, znacząc żebra siniakami.

- Rozumiem - powiedział. - I to w pięknym jedwabnym nagoliżu. Znaleźliście dobre miejsce, żeby bliżej się poznać. A potem Dysk się dla was zakołysał, co?

Pozostałe trolle uśmiechnęły się ze zrozumieniem.

- Hm, no tak, myślę... - zaczął Victor.

- To nieprawda! - warknęła Ginger, przeciskając się przez otwór. - Wcale nie...

- Owszem, prawda - przerwał Victor, dając jej nerwowe znaki rękami i brwiami. - Szczera prawda. Masz absolutną rację, Skallin.

- Tak - odezwał się jeden z trolli za plecami Skallina. - Widziałem oni w migawki. On ją cały czas całuje i porywa.

- Chwileczkę... - zaczęła Ginger.

- A teraz uciekajmy stąd szybko - rzekł Skallin. - Cały strop wygląda mi na uszkodzony. W każdej chwili może się zawalić.

Victor podniósł głowę. Kilka bloków osunęło się niebezpiecznie.

- Masz rację - przyznał.

Chwycił protestującą Ginger za rękę i pociągnął ją korytarzem. Trolle podniosły powalonego ziomka, który nie potrafił się zachować w grzecznym towarzystwie, i ruszyły za nimi.

- To było obrzydliwe - szepnęła Ginger. - Sugerowałeś, że my...

- Cicho bądź! - rzucił Victor. - Co miałem im powiedzieć? Jakie wytłumaczenie by do nich przemówiło? O czym, twoim zdaniem, powinni się wszyscy dowiedzieć?

Zawahała się.

- No dobrze - ustąpiła. - Ale mogłeś przecież wymyślić coś innego. Mogłeś powiedzieć, że badaliśmy ten tunel, że szukaliśmy, na przykład skamielin...

Umilkła.

- Tak, w środku nocy, z tobą w jedwabnym nagoliżu... A właściwie co to jest nagoliż?

- On chciał powiedzieć: w negliżu.

- Nieważne. Wracajmy do miasta. Potem zdążę się może parę godzin przespać.

- Co to znaczy: potem?

- Musimy postawić tych chłopcom po dużym drinku... Spod wzgórza rozległ się grzmot. Chmura pyłu wypłynęła przez wrota i spowiła trolle. Pozostała część stropu runęła.

- I po wszystkim - odetchnął Victor. - Sprawa skończona. Możesz to jakoś wytłumaczyć tej swojej części, która chodzi przez sen? Nie warto przedzierać się do środka, nie ma już drogi. Zasypało ją. Zniknęła. Dzięki bogom.

Taki bar można znaleźć w każdym mieście. Jest słabo oświetlony, a pijący tutaj, chociaż mówią, nie kierują swoich słów do nikogo. I nie słuchają. Zagadują tylko wewnętrzny ból. To bar dla wyrzutków, pechowców i wszystkich tych, którzy z wyścigowego toru życia musieli zjechać do boksów. Taki bar zawsze ma dużo klientów.

Tego dnia o świcie smętni goście siedzieli wzdłuż lady, każdy we własnym obłoku smutku, każdy przekonany, że jest najniezwyklejszym osobnikiem na świecie.

- Ja je stworzyłem - oświadczył ponuro Silverfish. - Myślałem, że będą edukować. Mogły poszerzać ludziom horyzonty. Nie zamierzałem przerabiać ich na... na... na cyrk. Z tysiącem słoni - dodał złośliwie.

- Tak - zgodził się Detrytus. - Sama nie wie, czego chce. Robię, co mi każe, a ona wtedy mówi, że to nie tak, jesteś trollem bez wyższych uczuć, nie rozumiesz, czego dziewczynie trzeba. Mówi: Dziewczyna chce lepkich rzeczy do jedzenia w pudełku z kokardą, ja robię pudełko z kokardą, ona otwiera, krzyczy i mówi, że obdarty ze skóry koń to nie to, co myślała. Nie wie, czego chce.

- Tak - odezwał się głos spod krzesła Silverfisha. - Mielify za swoje, gdyfym odszedł i przysłał do wilków.

- Weźmy choćby to Porwane wiatrem- ciągnął Silverfish. - Przecież to nieprawda. Wszystko działa się inaczej. To zwykłe kłamstwa. Każdy potrafi opowiadać kłamstwa.

- Tak - zgodził się Detrytus. - Albo mówi: Dziewczyna chce muzyka pod okno, więc gram jej muzykę pod oknem, cała ulica się budzi i wrzeszcza: Ty zły troll, czemu tłuczysz kamienie o tej porze? A ona nawet się nie budzi.

- Tak - przyznał Silverfish.

- Tak - powtórzył Detrytus.

- Tak - dodał głos spod krzesła.

Człowiek za barem był z natury wesoły. Nie jest to właściwie nic trudnego, kiedy klienci działają jak piorunochrony dla wszelkich nieszczęść, jakie mogłyby krążyć w okolicy. Przekonał się już, że lepiej nie wypowiadać przy nich zdań typu: „Spójrz na to od jaśniejszej strony”, bo tej nigdy nie ma, ani „Daj spokój, może nic takiego się nie stanie”, bo już się stało. Po nim spodziewali się tylko tego, żeby dolewał na czas.

Dzisiejszym rankiem był jednak nieco zdziwiony. Wydawało mu się, że przy barze siedzi jeszcze jedna osoba, i to nie licząc tego kogoś, kto odzywa się spod krzesła. Wciąż miał wrażenie, że podaje dodatkowego

drinka, bierze za to pieniądze, a nawet rozmawia z tajemniczym klientem. Ale nie mógł mu się przyjrzeć. Właściwie nie był całkiem pewien, co w ogóle widzi i z kim rozmawia.

Przeszedł na koniec baru.

Szklanka przesunęła się w jego stronę.

JESZCZE RAZ TO SAMO, zabrzmiał głos z półmroku.

- Ehm... - odpowiedział barman. - Oczywiście. Już podaję. A co to było?

COKOLWIEK.

Barman nalał rumu i szklanka się odsunęła.

Barman zastanowił się, co by tu powiedzieć. Z jakiegoś powodu był wystraszony.

- Nieczęsto tu pana widuję - oświadczył w końcu.

PRZYCHODZĘ DLA ATMOSFERY JESZCZE RAZ.

- Pracuje pan w Świętym Gaju, prawda? - Barman szybko nappełnił szklankę. Znowu zniknęła.

JUŻ OD DAWNA NIE. JESZCZE RAZ.

Barman zawahał się. W głębi serca był człowiekiem dobrodusznym.

- Nie wydaje się panu, że już dosyć?

DOKŁADNIE WIEM, KIEDY MAM DOSYĆ.

- Każdy tak mówi.

WIEM, KIEDY KAŻDY MA DOSYĆ.

Głos wydawał się jakiś dziwny. Barman nie był przekonany, czy słyszy go uszami.

- Aha. No tak, hm... Jeszcze raz to samo?

NIE. JUTRO CZEKA MNIE PRACOWITY DZIEŃ. RESZTY NIE TRZEBA.

Po blacie przesunęła się garść monet. Były lodowato zimne i w większości mocno skorodowane.

- Tego... ale... - zaczął barman.

Drzwi otworzyły się i zamknęły, wpuszczając podmuch mroźnego powietrza, mimo ciepłej nocy na zewnątrz.

Barman odruchowo przetarł ładę, starannie omijając monety.

- Dziwne typy można spotkać w barze - mruknął.

ZAPOMNIAŁEM, odezwał się głos przy jego uchu. PACZKĘ ORZESZKÓW POPROSZĘ.

Śnieg migotał na krawędziowych zboczach Ramtopów, potężnego łańcucha górskiego, ciągnącego się przez cały kontynent. W miejscu gdzie wyginały się, obejmując Okrągłe Morze, tworzyły naturalny mur pomiędzy Klatchem a rozległymi równinami Sto.

Tutaj rodziły się kapryśne lodowce, agresywne lawiny, tu trwały w milczeniu śnieżne pola.

I żyły yeti. Yeti to wysokogórska odmiana trolli, całkiem nieświadoma faktu, że pożeranie ludzi wyszło z mody. Ich pogląd na świat da się streścić w dwóch zdaniach: jeśli coś się rusza, zjedz to. Jeśli nie, zaczekaj, aż się ruszy - i wtedy zjedz.

Yeti przez cały dzień nasłuchiwały niezwykłych dźwięków. Echa odbijały się od szczytu do szczytu, wzdłuż zamarzniętych grani, aż w końcu stały się równym, głuchym grzmotem.

- Mój kuzyn - rzekł jeden z yeti - mówić, że to wielkie szare zwierzęta. Słonie.

- Większe od nas? - spytał inny yeti.

- Prawie większe - odparł pierwszy. - Mnóstwo ich. Więcej, niż umieć policzyć.

Drugi yeti wciągnął nosem wiatr i zastanowił się.

- No tak - mruknął ponuro. - Ale twój kuzyn nie umieć liczyć do więcej niż jeden.

- On mówić, że być mnóstwo jednych. Wielkie, tłuste, szare słonie. Wspinać się, związane lina. Wielkie i powolne. Wszystkie dźwigać mnóstwo oograah.

- Aha.

Pierwszy yeti wskazał rozległe, pochylone śnieżne pole.

- Śnieg dzisiaj dobry i głęboki - stwierdził. - Nic nie ruszać się szybko. My położyć się w śnieg, one nas nie widzieć, dopóki na nas nie wejść. Myje nastraszyć, one w panika. Czas Wielkie Jedzenie. - Machnął swą wielką łapą. - Bardzo ciężkie, mówić mój kuzyn. Nie ruszać się szybko, ty zapamiętać moje słowa.

Drugi yeti wzruszył ramionami.

- My to zrobić - powiedział.

Coraz głośniejszeli dalekie, przerażone trąbienie.

Obaj położyli się w śniegu; białe futra zmieniły ich w dwie niepozorne zasy. Ta technika sprawdziła się już wielokrotnie. Od tysięcy lat yeti

przekazywały ją sobie z pokolenia na pokolenie... a dalej nie zostanie już przekazana.

Czekali.

Słyszeli coraz głośniejsze trąbienie - zbliżało się stado.

Po chwili odezwał się pierwszy troll.

- Co dostać - zapytał bardzo powoli, ponieważ myślał nad tym bardzo długo - kiedy skrzyżować... kiedy skrzyżować słoń z górą?

Nigdy nie doczekał się odpowiedzi.

Yeti miały rację.

Kiedy pięćset prymitywnych, dwusłoniowych sanek przemknęło przez grań o dziesięć stóp nad nimi, przy prędkości sześćdziesięciu mil na godzinę, ich trąbiący w panice pasażerowie nie zauważyli yeti, nawet kiedy na nie wjechali.

Victor spał tylko dwie godziny, ale obudził się zadziwiająco świeży i pełen optymizmu.

Skończyło się. Teraz wszystko będzie jak trzeba. Ginger całkiem miło zachowywała się w nocy - a raczej kilka godzin temu. A to, co leżało pod wzgórzem, zostało dokładnie i porządnie zasypane.

Takie rzeczy czasem się zdarzają, myślał, nalewając wody do popękanej miednicy, żeby się umyć. Jakiś zły władca albo mag zostaje pochowany, a jego duch powraca, próbując naprawić krzywdy albo coś w tym rodzaju. Dobrze znany efekt. Ale teraz pewnie miliony ton skały blokują tunel, więc raczej nic już tamtędy nie powróci.

Nieprzyjemnie żywy ekran wypłynął nagle z pamięci, ale nawet on nie

wydawał się już tak przerażający. W sali panował mrok, poruszały się cienie, sam Victor był napięty jak sprężyna - nic dziwnego, że wzrok płatał mu różne sztuczki. Owszem, na miejscach siedziały szkielety, ale i one straciły moc straszenia. Victor słyszał o wodzach różnych plemion z lodowatych równin, którzy kazali się grzebać z całymi armiami jeźdźców na koniach, dzięki czemu ich dusze mogły żyć dalej na tamtym świecie. Może i tutaj zdarzyło się coś podobnego. Tak, w zimnym blasku dnia nic już nie budziło takiego lęku.

I to było właśnie to: zimny blask.

Pokoik wypełniało światło, jakie widzi się po przebudzeniu w zimowy poranek, kiedy człowiek wie, poznaje od razu, że nocą spadł śnieg. Blask bez cieni.

Victor podszedł do okna i wyrzwał na blade, srebrzyste lśnienie.

Święty Gaj zniknął.

Wspomnienia nocy znowu wypłynęły z pamięci, tak jak powraca ciemność, kiedy tylko gasną lampy.

Zaraz, chwileczkę, myślał nerwowo, walcząc z ogarniającą go paniką. To tylko mgła. W końcu tak blisko morza musi czasem pojawić się mgła. A błyszczcy, bo wzeszło słońce. We mgle nie ma nic tajemniczego. To tylko maleńkie kropelki wody w powietrzu. Nic więcej...

Wciągnął ubranie, otworzył drzwi na korytarz i niemal potknął się o Gaspode, który wyciągnął się na progu niczym najbrudniejszy na świecie dywanik.

Pies uniósł się niepewnie na przednich łapach i przeszył Victora spojrzeniem żółtego oka.

- Chcę tylko zaznaczyć - powiedział - że leżę na progu nie z powodu jakichś fzdur typu „wierny pies pilnuje swego pana”. Jasne? Po prostu kiedy wróciłem...

- Zamknij się, Gaspode.

Victor otworzył drzwi na zewnątrz. Do korytarza wdarł się kłęb mgły. Sprawiał wrażenie, jakby chciał zbadać dom, jakby tylko czekał na okazję.

- Mgła to mgła - oświadczył głośno Victor. - Chodź, Gaspode. Jedziemy dzisiaj do Ankh-Morpork, pamiętasz?

- Moja głowa... -jęknął Gaspode. - Czuję się, jakbym tam miał kocie pudełko z piaskiem.

- Możesz się przespać w powozie. Ja też mogę się przespać w powozie, skoro już o tym mowa.

Wszedł na kilka kroków w srebrzyste lśnienie i niemal natychmiast się zgubił. W wilgotnym powietrzu wyrastały niewyraźne sylwetki budynków.

- Gaspode... - rzucił w wahaniem.

Mgła to mgła, powtórzył w myślach. Ale wydaje się... zatłoczona. I gdyby nagle zniknęła, zobaczyłbym, że przygląda mi się mnóstwo ludzi. Z zewnątrz. Ale to bez sensu, ponieważ jestem właśnie na zewnątrz, a na zewnątrz zewnątrz nic nie ma.

W dodatku migocze.

- Pewnie chcesz, żebym cię poprowadził - odezwał się pogardliwy głos obok jego kolana.

- Bardzo tu cicho, prawda? - spytał Victor, starając się mówić nonszalancko. - Pewnie ta mgła tłumi wszystkie głosy.

- Oczywiście, upiorne potwory mogły też wyleźć z morza i wymordować tu wszystkich oprócz nas - stwierdził swobodnie Gaspode.

- Zamknij się!

Coś wyrosło nagle w jasności. W miarę zbliżania się malało, a czułki i macki, w jakie wyposażała to coś wyobraźnia Victora, stały się mniej więcej

zwyczajnymi rękami i nogami Solla Dibblera.

- Victor? - zapytał lękliwie.

- Soli?

Soli westchnął z ulgą.

- Niczego nie widać w tej mgle - oświadczył. - Myśleliśmy, że się zgubiłeś. Chodź, już prawie południe. Wszystko jest gotowe do wyjazdu.

- Możemy jechać.

- To dobrze. - Kropelki mgły osiadały Sollowi na włosach i ubraniu. - Hm.... A gdzie właściwie jesteśmy?

Victor odwrócił się. Swoją pokój miał przecież za plecami...

- Mgła wszystko zmienia, prawda? - mruknął zmartwiony Soli. - A może twój pies potrafiłby znaleźć drogę do wytwórni? Wydaje się całkiem sprytny.

- Wark-wark - powiedział Gaspode, usiadł i zaczął służyć w sposób, który przynajmniej Victor uznał za pełen ironii.

- A niech mnie - mruknął Soli. - Całkiem jakby rozumiał, nie? Gaspode zaszczekał głośno. Po sekundzie czy dwóch odpowiedziała mu kanonada radosnych szczęknięć.

- Oczywiście, to przecież Laddie! - zawołał Soli. - Co za mądry pies.

Gaspode zrobił dumną minę.

- To cały Laddie - stwierdził Soli, kiedy ruszyli w stronę źródła ujadania. - Mógłby nauczyć twojego psa kilku sztuczek.

Victor nie śmiał nawet spojrzeć w dół.

Po kilku błędnych zakrętach brama Wieku Nietoperza przesunęła im

się nad głowami niczym widmo. Spotkali tu więcej ludzi - plac zdawał się wypełniać zagubionymi wędrowcami, nie wiedzącymi, dokąd pójść.

Powóz czekał już przed biurem Dibblera, a sam Dibbler stał obok i przestępował z nogi na nogę.

- Chodźcie, chodźcie! - zawołał. - Wysłałem przodem Halogena z błoną. Wsiadajcie.

- Mamy jechać w taką pogodę? - upewnił się Victor.

- A co może się stać? Tylko jedna droga prowadzi do Ankh-Morpork. Zresztą wydostaniemy się pewnie z tej mgły, jak tylko odjedziemy dalej od brzegu. Nie rozumiem, czemu wszyscy tak się denerwują. Mgła to tylko mgła.

- To samo mówię - zgodził się Victor i wspiął do wnętrza powozu.

- Prawdziwe szczęście, że *Porwane wiatrem* skończyliśmy już wczoraj - stwierdził Dibbler. - Ta mgła to na pewno zjawisko sezonowe. Nie ma się o co martwić.

- Już to mówiłeś - zauważył Soli. - Dziś rano przynajmniej pięć razy.

Ginger skuliła się na siedzeniu; pod nim leżał Laddie. Victor przesunął się i usiadł obok niej.

- Przespałeś się trochę? - zapytał szeptem.

- Chyba z godzinę, najwyżej dwie - odpowiedziała. - Nic się nie stało. Żadnych snów ani niczego. Victor odetchnął.

- Więc już po wszystkim - uznał. - Nie byłem pewien.

- A ta mgła? - spytała.

- Słucham? - Zakłopotany Victor udał, że nie rozumie.

- Co wywołuje tę mgłę?

- No wiesz... O ile pamiętam, kiedy chłodne powietrze przepływa nad ciepłym gruntem, woda skrapla się i...

- Wiesz, o co mi chodzi! To nie jest zwyczajna mgła! Ona... tak jakby dziwnie płynie... - dokończyła niepewnie Ginger. - I prawie słyszysz w niej głosy - dodała.

- Nie można prawie słyszeć głosów - odparł Victor w nadziei, że jego własny racjonalny umysł uwierzy słowom. - Albo je słyszysz, albo nie. Posłuchaj, oboje jesteśmy zmęczeni, i to wszystko. Ciężko pracowaliśmy i, tego... nie wysypialiśmy się jak należy, więc nic dziwnego, że wydaje się nam, jakbyśmy prawie słyszeli i widzieli różne rzeczy.

- Aha! Czyli prawie widzisz różne rzeczy, tak? - zawołała tryumfalnie Ginger. - I przestań mówić do mnie takim uspokajającym i rozsądnym tonem. Nie cierpię, kiedy ludzie zachowują się wobec mnie uspokajająco i rozsądnie.

- Mam nadzieję, że nasze gruchające gołębki się nie posprzeczały?

Victor i Ginger zeszywnieli. Dibbler opadł na fotel naprzeciwko i zachęcająco wyszczerzył do nich zęby. Soli wsiadł za nim. Woźnica z rozmachem zatrzasnął drzwiczki karety.

- W połowie drogi zatrzymamy się na posiłek - obiecał Dibbler, kiedy ruszyli wolno. Zawahał się nagle i podejrzliwie wciągnął nosem powietrze. - Co tak pachnie? - zapytał.

- Obawiam się, że mój pies leży pod pańskim siedzeniem - wyjaśnił Victor.

- Jest chory?

- Obawiam się, że zawsze tak pachnie.

- Nie wydaje ci się, że dobrze byłoby go czasem umyć?

- Nie wydaje ci się - odpowiedziało mu mamrotanie na samej granicy słyszalności - że dofrze fyłofy odgryźć ci stopy? Tymczasem mgła nad Świętym Gajem gęstniała...

Plakaty *Porwanego wiatrem* krążyły po Ankh-Morpork już od kilku dni i zainteresowanie obrazkiem rosło. Tym razem dotarły nawet na Niewidoczny Uniwersytet. Bibliotekarz przypiął jeden w dusznym, otoczonym książkami gniazdku, które nazywał domem[24]; inne potajemnie pokazywali sobie nawzajem sami magowie.

Malarz stworzył arcydzieło. W ramionach Victora, na tle płonącego miasta, Ginger pokazywała nie tylko prawie wszystko, co miała, ale też wiele z tego, czego jej - w ścisłym sensie - brakowało. Reakcja magów mogła spełnić wszelkie marzenia Dibblera. W sali klubowej przekazywano sobie plakat z drżącej ręki do drżącej ręki, ostrożnie, jakby mógł eksplodować.

- Oto dziewczyna, która ma co trzeba - stwierdził kierownik Katedry Studiów Nieokreślonych.

Był jednym z najgrubszych magów, tak obszernej postury, że jego pierwotne kształty trudno byłoby dokładnie określić. Wyglądał, jakby miał zaraz pęknąć w szwach. Przypominał fotel, który zwykle zajmował - tak bardzo, że na jego widok ludzie odczuwali przemożną chęć sięgnięcia w liczne fałdy szaty, w poszukiwaniu zgubionych drobnych.

- A co to takiego, kierowniku? - zainteresował się inny mag.

- No wiecie... Co trzeba. Fiu-fiu. Bam-bam. Obserwowali go z zaciekawieniem i uprzejmie, jak ludzie oczekujący na pointę dowcipu.

- Wielcy bogowie, czy muszę wam wszystko tłumaczyć? - zirytował się w końcu.

- Jemu chodzi o magnetyzm seksualny - wyjaśnił z dumą wykładowca run współczesnych. - Pokusę obfitego, miękkiego łona, pulsujących ud i zakazanych owoców pożądania, które...

Dwóch magów stanowczo odsunęło od niego swoje krzesła.

- Aha... seks - stwierdził dziekan Wydziału Pentagramów, przerywając wykładowcy run współczesnych pełne zachwytu westchnienie. - Za dużo tego w dzisiejszych czasach, jeśli chcecie znać moje zdanie.

- No, nie wiem - odpowiedział tęsknie wykładowca run współczesnych.

Hałas obudził Windle'a Poonsa, który w wózku inwalidzkim drzemał spokojnie przy kominku. Zimą czy latem, w sali klubowej zawsze w kominku płonął ogień.

- O co chodzi? - zapytał Poons. Dziekan pochylił mu się do ucha.

- Mówilem - powiedział głośno - że za młodych lat nie znaleźliśmy nawet znaczenia słowa „seks”.

- To prawda. Szczera prawda - przyznał Poons. W zadumie przyglądał się płomieniom. - A czy kiedyś, mm, je odkryliśmy? Nie pamiętasz może?

Na chwilę zapadło milczenie.

- Mówcie co chcecie, ale to piękny okaz młodej kobiety - oświadczył wyzywająco wykładowca run współczesnych.

- Kilku młodych kobiet - odparł dziekan. Windle Poons przyjrzał się plakatowi.

- Kim jest ten młodziak? - zapytał.

- Jaki młodziak? - zdziwiło się kilku magów równocześnie.

- W samym środku obrazu. Trzymają w ramionach. Spojrzeli.

- Ach, ten... - mruknął lekceważąco kierownik katedry.

- Wydaje mi się, mm, że już go kiedyś widziałem - oznajmił Poons.

- Drogi Poons, mam nadzieję, że nie wymykałeś się na ruchome obrazki. - Dziekan uśmiechnął się porozumiewawczo do pozostałych. -

Wiesz, że uczestnictwo w zabawach pospólstwa jest dla maga poniżające. Nadrektor byłby bardzo zły.

- Czego? - Poons przyłożył dłoń do ucha.

- Chociaż, kiedy już o tym wspomniałeś, rzeczywiście wygląda znajomo - przyznał dziekan, wpatrując się w plakat. Wykładowca run współczesnych przechylił głowę.

- To przecież młody Victor...

- Co? - spytał Poons.

- A wiesz, że chyba masz rację - zgodził się kierownik Katedry Studiów Nieokreślonych. - On też miał taki rzadki wąsik.

- Kto to jest? - dopytywał się Poons.

- Ale on przecież był studentem. Mógł zostać magiem. - Dziekan nie mógł zrozumieć. - Dlaczego miałby stąd odejść i pieścić młode kobiety?

- To rzeczywiście Victor, ale nie nasz Victor - stwierdził kierownik katedry. - Tutaj jest napisane, że to Victor Maraschino.

- To tylko migawkowy pseudonim - odparł swobodnie wykładowca run współczesnych. - Oni wszyscy przybierają takie zabawne nazwiska, na przykład Delores De Syn, Blanche Languish, Skal-lin Yierche i tak dalej... - Uświadomił sobie, że wszyscy spoglądają na niego podejrzliwie. - Tak przynajmniej słyszałem - dokończył zakłopotany. - Woźny mi powiedział. Codziennie wychodzi, żeby obejrzeć migawkę.

- O czym rozmawiacie? - zawołał Poons, wymachując w powietrzu laską.

- Kucharka też chodzi co wieczór - dodał kierownik katedry. -I prawie wszystkie podkuchenne. Spróbujcie dostać po dziewiątej choćby kanapkę z szynką.

- Właściwie to wszyscy chodzą - przyznał wykładowca. - Oprócz nas.

Któryś z pozostałych przeczytał tekst u dołu plakatu.

- Tutaj piszą - poinformował - „Porywayąca Namyętność i Szerokie Schody w Burzliwej Hystorii Ankh-Morpork!”.

- Hm... To znaczy, że obrazek jest historyczny, prawda? - upewnił się wykładowca.

- I jeszcze „Epicka opowieść o Miłości, która zadziwiła Ludzi i Bogów!!”.

- Tak? A więc i religijny?

- I „oraz 1000 słoni!!!”.

- Hm... Przyroda. Przyroda zawsze jest kształcąca - stwierdził kierownik katedry, patrząc z naciskiem na dziekana. Inni magowie również to robili.

- Wydaje mi się - rzekł wolno wykładowca - że nikt nie mógłby krytykować poważnych magów oglądających dzieło o znaczeniu historycznym, religijnym i, tego... przyrodoznawczym.

- Regulamin Uniwersytetu wyraża się całkiem jasno - przypomniał dziekan, choć bez wielkiego entuzjazmu.

- Ale z pewnością dotyczy on jedynie studentów. Doskonale rozumiem, dlaczego studenci nie powinni oglądać takich rzeczy. Na pewno by gwizdali i rzucali śmieciami w ekran. Ale chyba nikt by poważnie nie sugerował, że starsi magowie, tacy jak my, nie powinni badać tego popularnego fenomenu. Laska Poonsa trafiła dziekana w łydki.

- Chcę wiedzieć, o czym wszyscy rozmawiają! - krzyknął stary mag.

- Nie rozumiemy, dlaczego poważnym magom zabraniać oglądania ruchomych obrazków! - huknął kierownik katedry.

- Bardzo słusznie! - rzucił Poons. - Każdy lubi sobie popatrzeć na ładne panienki.

- Nikt tu nie mówił o ładnych panienkach - zaprotestował kierownik katedry. - Bardziej interesują nas popularne fenomena.

- Nazywaj to sobie jak chcesz, mm.

- Gdyby ludzie zobaczyli magów wychodzących przez bramę i idących do zwyczajnej ruchomoobrazkowej piwnicy, straciliby cały szacunek dla naszej profesji - ostrzegł dziekan. - To przecież nie jest nawet prawdziwa magia. Zwykle sztuczki.

- A wiecie... - odezwał się w zamyśleniu jeden z młodszych magów. - Zawsze się zastanawiałem, czym są właściwie te nieszczęsne migawki. Jakiś teatrzyk kukielkowy? Czy też ci ludzie grają na scenie? A może to teatr cieni?

- Widzicie? - zawołał tryumfalnie kierownik katedry. - Niby mamy być mędrkami, a nawet tego nie wiemy. Wszyscy obejrżeli się na dziekana.

- Niby racja - westchnął smętnie. - Ale kto by chciał oglądać dużo młodych kobiet tańczących w kółko w rajtuzach?

Myślak Stibbons, najszczęśliwszy absolwent magii w historii Niewidocznego Uniwersytetu, wesoło szedł spacerem w stronę sekretnego przejścia przez mur. W jego zwykle niezbyt zatłoczonym umyśle krążyły przyjemne wizje piwa, może obejrzenia jakiejś migawki, potem ewentualnie porcja klatchiańskiego ostrego curry, by miło zakończyć wieczór. A potem... Była to druga najgorsza chwila jego życia. Czekali tu wszyscy. Cała kadra dydaktyczna. Nawet dziekan. Nawet stary Windle Poons w swoim wózku inwalidzkim. Stali w mroku i patrzyli na niego surowo. Paranoja odpaliła swe fajerwerki w koszu umysłu: czekali tu właśnie na niego.

Znieruchomiał. Przemówił dziekan.

- Och. Oj. Ojej. Ehm. Ee. Tego - zaczął i nagle jakby odzyskał dar

wymowy. - Aha. Co to ma znaczyć? Co to ma znaczyć? Uciekaj stąd natychmiast, młody człowieku!

Myślak zawahał się. A potem uciekł co sił w nogach.

- To był młody Stibbons, tak? - zapytał po chwili wykładowca run współczesnych. - Poszedł sobie?

- Chyba tak.

- Na pewno komuś coś wygada.

- Nie wygada - zapewnił dziekan.

- Jak myślicie, zauważył, że wyjęliśmy cegły?

- Nie, zasłoniłem wszystkie dziury - uspokoił wszystkich kierownik katedry.

- No to chodźmy. Na czym skończyliśmy?

- Słuchajcie, naprawdę uważam, że to nierozsądne - upierał się dziekan.

- Nie gadaj tyle, staruszkule, tylko potrzyмай tę cegłę.

- No dobrze, ale wytłumaczcie mi, jak chcecie przenieść wózek?

Spojrżeli na wózek Poonsa.

Istnieją wózki inwalidzkie lekkie i zbudowane tak, by umożliwić ich właścicielom swobodne i niezależne funkcjonowanie w nowoczesnym społeczeństwie. Wobec pojazdu, z którego korzystał Windle Poons, były niczym gazy wobec hipopotama. Poons doskonale rozumiał swoje funkcje w nowoczesnym społeczeństwie; polegały one na byciu popychanym i ogólnie obsługiwany przez innych.

Jego wózek inwalidzki był szeroki, długi, sterowany małym przednim kołem poprzez długi uchwyt z lanego żelaza. Lane żelazo było też zasadniczym elementem konstrukcji. Kute barokowe elementy zdobiły ramę,

która wyglądała jak zrobiona z połączonych żelaznych rynien. Tylne koła nie miały wprawdzie umocowanych ostrzy, jednak sprawiały wrażenie, jakby te ostrza stanowiły opcjonalny dodatek. Tu i tam sterczały jakieś straszne dźwignie o funkcjach znanych tylko Poonsowi. Był też wielki skórzany dach, który - rozłożony w ciągu zaledwie kilku godzin - chronił pasażera przed deszczem, ulewą, a prawdopodobnie również uderzeniami meteorów i walącymi się budynkami. Dla zapewnienia rozrywki przedni uchwyt wyposażono w zestaw trąbek, syren i gwizdków, którym Poons zwykle informował o swojej trasie po korytarzach i dziedzińcach Uniwersytetu. Co prawda trzeba było silnego mężczyzny, by wprowadzić wózek w ruch, ale kiedy już jechał, czynił to w sposób majestatyczny i niepowstrzymany; może i miał hamulce, ale Windle Poons nigdy nie starał się ich znaleźć. Kadra i studenci wiedzieli, że jedyną nadzieją ocalenia, kiedy usłyszą blisko trąbienie albo gwizd, jest rozpląszczenie się na najbliższej ścianie i odczekanie, aż straszliwa machina przejedzie obok ze stukiem.

- Nigdy go nie przeniesiemy - stwierdził dziekan. - Waży przynajmniej tonę. Zresztą i tak powinniśmy Poonsa zostawić. Jest już za stary na takie rzeczy.

- Kiedy byłem młodszy, przechodziłem przez ten mur, mm, każdej nocy - oświadczył z urazą Windle Poons. Zachichotał. - To były czasy, mówię wam. Gdybym dostawał pensa za każdym razem, kiedy Straż ścigała mnie aż tutaj, to... - Zasuszone wargi poruszyły się bezgłośnie w gorączkowych obliczeniach. - To miałbym dzisiaj pięć i pół pensa.

- A może byśmy... - zaczął kierownik katedry i urwał. - Jak to pięć i pół pensa? - zapytał.

- Pamiętam, że raz zrezygnowali w pół drogi. Piękne dni... Kiedyś na przykład ja, Licznik Riktor i Tęgus Spold wspięliśmy się na świątynię Pomniejszych Bóstw, rozumiecie, w samym środku nabożeństwa, a Tęgus miał takiego prosiaka w worku...

- Widzisz, co zrobiłeś? - narzekał wykładowca run współczesnych. - Uruchomiłeś go...

- Możemy spróbować unieść go czarami - podjął kierownik katedry. -

Łatwa Winda Grindle'a powinna załatwić sprawę.

- ...a wtedy najwyższy kapłan odwrócił się i... cha, cha... ależ miał minę! A Licznik mówi...

- Trudno to uznać za godne wykorzystanie magii - parsknął dziekan.

- O wiele godniejsze niż własnoręczne dźwiganie tej maszyny przez mur, nie sądzisz? - Wykładowca run współczesnych podwinął rękawy. - Dalej, chłopcy.

- ...i zaraz potem Pryszczu zaczął walić do bramy Gildii Skrytobójców, więc stary Scummidge, który był tam portierem, prawdziwa zgroza, wyszedł, mm, a zza rogu pokazali się strażnicy...

- Wszyscy gotowi? Dobra!

- ...co mi przypomina, jak raz ja i Ogór Framer wzięliśmy trochę kleju i...

- W górę z tamtego końca, dziekanie! Magowie stęknęli z wysiłku.

- ...pamiętam, mm, jakby to było wczoraj, jego minę, kiedy...

- A teraz opuszczać!

Okute żelazem koła brzęknęły cicho o bruk w zaułku.

Poons przyjaźnie kiwał głową.

- Piękne czasy. Piękne czasy - wymruczał i usnął. Magowie powoli i niezgrabnie przekroczyli mur; księżyc oblewał blaskiem ich obfite siedzenia. Potem stanęli zdyszani po drugiej stronie.

- Powiedz, dziekanie - sapnął wykładowca, usiłując powstrzymać drżenie nóg - czy... podwyższaliśmy... ten mur... w ciągu ostatnich... pięćdziesięciu lat?

- Nie... Raczej... nie.

- Dziwne. Wskakiwałem na niego jak gazela. Nie tak wiele lat temu. Całkiem niedawno.

Magowie ocierali czoła i spoglądali na siebie zmieszani.

- Wyskakiwałem na piwo praktycznie co wieczór - mruknął kierownik katedry.

- Ja się wieczorami uczyłem - oświadczył z wyższością dziekan. Kierownik katedry zmrużył oczy.

- Tak, rzeczywiście. Pamiętam.

Magowie z wolna uświadamiali sobie, że znaleźli się poza terenem Uniwersytetu, nocą i bez zezwolenia - po raz pierwszy od dziesiątków lat. Tłumione podniecenie skrzyło się między nimi. Każdy obserwator, wprawny w czytaniu mowy ciała, pewnie byłby skłonny się założyć, że po migawce ktoś zaproponuje, by zajrzeć gdzieś i wypić parę drinków, potem ktoś inny będzie miał ochotę coś zjeść, po czym znajdzie się jeszcze trochę miejsca na jeszcze kilka drinków, a wtedy nadejdzie już piąta rano i straż miejska z szacunkiem zapuka do uniwersyteckiej bramy, pytając, czy nadrektor zechciałby zajrzeć do aresztu i zidentyfikować rzekomych magów, którzy śpiewali na sześć głosów obsceniczne piosenki, i może też wzięłyby ze sobą trochę pieniędzy, żeby zapłacić za szkody. A to dlatego że wewnątrz każdego starego człowieka tkwi młody człowiek i dziwi się, co się stało.

Kierownik katedry podniósł dłoń i chwycił rondo swego wysokiego, szerokiego, obwisłego magowskiego kapelusza.

- W porządku, chłopcy - rzekł. - Kapelusze z głów.

Posłuchali go, choć z ociąganiem. Magowie są bardzo przywiązani do swoich szpiczastych kapeluszy. Dają im poczucie tożsamości. Ale, jak zauważył wcześniej kierownik katedry, skoro ludzie poznają maga po tym, że nosi szpiczasty kapelusz, to kiedy zdejmie szpiczasty kapelusz, wezmą go za jakiegoś zwykłego bogatego kupca albo kogoś podobnego.

Dziekan zadrżał.

- Czuję się, jakbym był nagi - powiedział.

- Możemy je wcisnąć pod koc Poonsa - poradził kierownik katedry. - Nikt nas nie pozna.

- Owszem - przyznał wykładowca run współczesnych. - Ale czy my poznamy samych siebie?

- Wezmą nas za... no, solidnych rajców.

- Tak właśnie się czuję - wyznał dziekan. - Jak solidny rajca.

- Albo kupców - dodał kierownik. Przygłodził siwe włosy. - Pamiętajcie - dodał. - Jeśli ktokolwiek do nas zagada, to nie jesteśmy magami. Po prostu uczciwymi kupcami szukającymi wieczornej rozrywki. Jasne?

- A jak wygląda uczciwy kupiec?

- Skąd mogę wiedzieć? W każdym razie nie wolno czarować. Nie muszę wam chyba tłumaczyć, co będzie, jeśli nadrektor usłyszy, że jego kadrę widziano w miejscu pospolitych rozrywek.

- Bardziej się martwię, że zobaczą nas studenci. - Dziekan zadygotał.

- Sztuczne brody! - zawołał tryumfalnie wykładowca run współczesnych. - Powinniśmy nosić sztuczne brody. Kierownik wzniosł oczy do nieba.

- Przecież wszyscy mamy brody - przypomniał. - Po co nam sztuczne do przebrania?

- To jest właśnie najsprytniejsze. Człowieka ze sztuczną brodą nikt nie będzie podejrzewał, że ma pod spodem brodę prawdziwą. Mam rację?

Kierownik katedry otworzył usta, żeby zaprotestować, ale się zawahał.

- Właściwie...

- Ale skąd o tej porze weźmiemy sztuczne brody? - zapytał z po-

wątpiewaniem któryś z magów.

Rozpromieniony wykładowca sięgnął do kieszeni.

- Nie są nam potrzebne - wyjaśnił. - To dopiero jest naprawdę sprytne. Zabrałem trochę drutu. Trzeba tylko przełamać go na dwa kawałki, wkręcić końce w bokobrody, o tak, potem dość krzywo zagiąć na uszach, o tak. - Zademonstrował. - I gotowe.

Kierownik wytrzeszczył oczy.

- Niewiarygodne - stwierdził po chwili. - To prawda! Wyglądasz jak ktoś, kto nosi bardzo marnie wykonaną sztuczną brodę.

- Niezwykłe, prawda? - Zadowolony wykładowca rozdał kolegom kawałki drutu. - To głowologia.

Przez kilka minut słychać było tylko brzdękania drutu i od czasu do czasu jęk, kiedy któryś z magów się nim kaleczył. W końcu jednak byli gotowi. Spojrzeli na siebie nieśmiało.

- Gdybyśmy mieli poszwę na poduszkę bez poduszki w środku i wsunęli ją pod szatę kierownika katedry tak, żeby widać było brzег, wyglądałby jak ktoś chudy, kto próbuje użyć poduszki, żeby wyglądać na straszego grubasa - zaproponował któryś z entuzjazmem. Napotkał wzrok kierownika katedry i zamilkł.

Dwóch magów złapało za uchwyty straszliwego wózka Poonsa i popchnęło go po wilgotnym bruku.

- Co jest? Co wszyscy robią? - zapytał Poons, nagle przebudzony.

- Będziemy udawać solidnych rajców - wytłumaczył mu dziekan.

- To dobra zabawa - zgodził się Poons.

- Słyszysz mnie, chłopie? Kwestor otworzył oczy.

Uniwersytecki szpital był raczej niewielki i rzadko używany. Magowie byli zwykle albo doskonałego zdrowia, albo martwi. Jedyne lekarstwo, którego często potrzebowali, to środek na zgagę i zaciemniony pokój aż do obiadu.

- Przyniosłem ci coś do czytania - mówił niepewnie głos. Kwestor zdołał jakoś zogniskować wzrok na grzbiecie Przygód z kuszą i wędką.

- Solidnie oberwałś, kwestorze. Cały dzień leżysz bez zmysłów.

Kwestor wpatrzył się tępo w różową i pomarańczową mgiełkę, która z wolna nabierała kształtów różowo-pomarańczowej twarzy nadrektora.

Chwileczkę, pomyślał, jak właściwie...

Usiadł nagle, chwycił szatę nadrektora i wrzasnął w to różowe i pomarańczowe oblicze:

- Zdarzy się coś strasznego!

Magowie szli raźnie przez pogrążone w mroku ulice. Jak dotąd maskowanie działało bezbłędnie. Ludzie nawet ich potrącali. Nikt jeszcze nigdy świadomie nie potrącił maga - było to całkiem nowe doznanie.

Przed wejściem do Odium czekał już tłum, a kolejka ciągnęła się wzdłuż ulicy. Dziekan zignorował ją i poprowadził kolegów prosto do drzwi, gdzie usłyszał głośnie:

- Hej!

Podniósł głowę i spojrzał na zaczerwienioną twarz trolla w źle dopasowanym, wojskowo skrojonym kostiumie z epoletami wielkości bębnow i bez spodni.

- Słucham? - powiedział.

- Tam być kolejka - oznajmił troll.

Dziekan uprzejmie skinął głową. W Ankh-Morpork kolejka niemal z definicji była czymś z magiem na samym początku.

- Widzę - przyznał dziekan. - I bardzo dobrze. A teraz, gdybyś zechciał się odsunąć, moglibyśmy zająć miejsca. Troll dźgnął go palcem w brzuch.

- Ty myśleć, że kim być? - zapytał gniewnie. - Mag albo co? Najbliżsi czekający parsknęli śmiechem. Dziekan pochylił się bliżej.

- W samej rzeczy, jesteśmy magami - syknął. Troll uśmiechnął się szeroko.

- Nie robić ze mnie dumny trylobit - rzekł. -Ja widzieć twój sztuczny broda.

- Posłuchaj no... - zaczął dziekan, ale jego głos zmienił się w nieartykułowany pisk, kiedy został złapany za kołnierz i pchnięty na ulicę.

- Wy stawać w kolejka jak każdy inny - oznajmił troll. Z kolejki rozległy się okrzyki poparcia.

Dziekan skrzywił się gniewnie i uniósł prawą dłoń, rozkładając palce...

Kierownik katedry złapał go za ramię.

- No tak - szepnął. - Bardzo byś nam pomógł, nie ma co. Chodźmy stąd.

- Dokąd?

- Na koniec kolejki.

- Przecież jesteśmy magami! Magowie nigdy po nic nie stoją w kolejce.

- Jesteśmy uczciwymi kupcami, zapomniałeś? - Kierownik katedry

zerknął na najbliższych migawkomanów, którzy przyglądali im się podejrzliwie. - Jesteśmy uczciwymi kupcami - powtórzył głośno. Szturchnął dziekana. - No już... - szepnął.

- No już co?

- Powiedz coś kupieckiego.

- Ale co jest kupieckie? - zdziwił się dziekan.

- Powiedz cokolwiek! Wszyscy na nas patrzą!

- Ojej... - Na twarzy dziekana pojawił się wyraz paniki, a po chwili zbawienna ulga. - Śliczne jabłuszka! - zawołał. - Bierzcie, póki gorące! Świeżuteńkie... To wystarczy?

- Chyba tak. A teraz chodźmy na koniec...

Na końcu ulicy wybuchło jakieś zamieszanie. Ludzie pobiegli w tamtą stronę. Kolejka rozsypała się i ruszyła do szturm, a uczciwych kupców otoczył nagle rozpychający się gorączkowo tłum.

- Zaraz, obowiązuje chyba jakaś kolejka, prawda? - gniewnie zawołał odsunięty na bok uczciwy kupiec run współczesnych.

Dziekan chwycił za ramię chłopca, który gwałtownie odpychał go łokciem.

- Co się tam dzieje, młody człowieku? - zapytał srogo.

- Jadą już! - krzyknął chłopak.

- Ale kto?

- Gwiazdy!

Magowie jak jeden mąż spojrzeli w niebo.

- Nie, wcale nie - zapewnił dziekan, ale chłopiec wyrwał mu się i

zniknął w ciżbie. - Dziwny, prymitywny przesąd - uznał dziekan.

Magowie - z wyjątkiem Poonsa, który narzekał i wymachiwał laską - wyciągnęli szyję, by lepiej widzieć.

Kwestor spotkał nadrektora w korytarzu. - Nie ma nikogo w sali klubowej! - zawołał. - Biblioteka jest pusta! - huknął nadrektor.

- Słyszałem o takich zjawiskach - jęczał kwestor. - Spontaniczne to czy tamto... Wszyscy się uspontanicznili!

- Spokojnie, chłopie. Tylko dlatego...

- Nie znalazłem nawet nikogo ze służby! Wie pan, co się dzieje, kiedy poddaje się rzeczywistość? Już w tej chwili z pewnością gigantyczne macki...

W oddali zabrzmiało głucho whumm... whummm i stuk kulek odbijających się od ściany.

- Zawsze w tym samym kierunku - wymamrotał kwestor.

- A jaki to kierunek?

- Kierunek, skąd przybędą Oni! Chyba tracę rozum!

- Spokojnie, tylko spokojnie... - Nadrektor poklepał go po ramieniu. - Nie wolno opowiadać takich rzeczy. To wariackie gadanie.

Ginger w panice wyglądała przez okno powozu.

- Kim są ci wszyscy ludzie?

- To fani - wyjaśnił Dibbler.

- Kto?

- Wujek chciał powiedzieć, że to ludzie, którzy lubią cię oglądać w migawkach - wyjaśnił Soli. - Bardzo lubią.

- Są też kobiety - zauważył Victor.

Ostrożnie pomachał ręką. Jedna z kobiet w ciżbie zemdlała.

- Jesteś sławna - stwierdził. - Mówiłaś, że zawsze chciałaś być sławna.

Ginger raz jeszcze spojrzała na tłum.

- Ale nie sądziłam, że to tak wygląda. Oni wszyscy wykrzykują nasze nazwiska!

- Poświęciliśmy sporo pracy, żeby opowiedzieć ludziom o Porwanym wiatrem - oznajmił Soli.

- Tak jest - zgodził się Dibbler. - Mówiliśmy, że to największa migawka w całej historii Świętego Gaju.

- Przecież wytwarzamy migawki dopiero od paru miesięcy - przypomniała Ginger.

- Co z tego? To niby nie historia?

Victor dostrzegł wyraz twarzy Ginger. Jak długą właściwie Święty Gaj miał prawdziwą historię? Może na morskim dnie, wśród homarów spoczywał wyryty w kamieniu kalendarz... A może nie da się tego zmierzyć? Bo jak można obliczyć wiek idei?

- Zjawia się też wielu miejskich dygnitarzy - dodał Dibbler. - Patrycjusz, arystokracja, szefowie gildii, kilku najwyższych kapłanów. Nie magowie, oczywiście, ci nadęci idioci. Ale i tak dzisiejsza noc zapisze się w pamięci.

- Czy musimy być im wszystkim przedstawieni? - zainteresował się

Victor.

- Nie. To oni zostaną wam przedstawieni. Nigdy nie przeżyją większych emocji.

Victor raz jeszcze wyrzwał przez okno.

- Czy mi się zdaje - mruknął - czy mgła się podnosi?

Poons uderzył laską w nogi kierownika katedry.

- Co się dzieje? - zapytał. - Dlaczego wszyscy krzyczą?

- Patrycjusz właśnie wysiadł z karocy - odparł kierownik katedry.

- Nie rozumiem, co w tym niezwykłego - stwierdził Poons. - Sam setki razy wysiadałem z karoc. Żadna sztuka.

- To rzeczywiście dziwne - przyznał kierownik katedry. - Poprzednio wiwatowali na cześć prezesa Gildii Skrytobójców i najwyższego kapłana Ślepego Io. A teraz ktoś rozwinął czerwony dywan.

- Niby jak? Na ulicy? W Ankh-Morpork?

- Tak.

- Oho, nie chciałbym płacić ich rachunku z pralni - mruknął

Poons.

Wykładowca run współczesnych szturchnął mocno kierownika katedry w żebra, a przynajmniej w miejsce, gdzie żebra skrywały się pod warstwami pięćdziesięciu lat bardzo obfitych posiłków.

- Ciszej! - syknął. - Jadą.

- Kto?

- Chyba ktoś ważny.

Twarz kierownika katedry pobladła pod sztuczną prawdziwą brodą.

- Nie myślisz chyba, że zaprosili nadrektora, co? Magowie usiłowali schować się w swoich szatach, niby ustawione pionowo żółwie.

Powóz prezentował się o wiele bardziej okazale niż którakolwiek z odrapanych bryczek w uniwersyteckiej wozowni. Tłum naparł na szereg troli i strażników miejskich. Wszyscy wpatrywali się w drzwiczki powozu. Powietrze aż brzęczało od napięcia wyczekiwania.

Pan Bezam, z piersią tak dumnie wypiętą, że zdawał się unosić nad ziemią, podpłynął do powozu i ujął klamkę.

Tłum jak jeden mąż wstrzymał oddech - cały, z wyjątkiem swej bardzo niewielkiej części, która tłukła sąsiadów laską i powtarzała:

- Co się dzieje? O co tam chodzi? Dlaczego nikt nie chce mi powiedzieć, co się dzieje? Żądam, żeby ktoś mi, mm, wytłumaczył, co się dzieje!

Drzwiczki pozostały zamknięte. Ginger ścisnęła klamkę, jakby to była lina ratownicza.

- Są ich tam całe tysiące! - zawołała. - Tysiące ludzi! Nie mogę do nich wyjść!

- Wszyscy oglądali cię w migawkach - tłumaczył Soli. - To twoja publiczność.

- Nie!

Soli rozłożył ręce.

- Możesz ją przekonać? - zwrócił się do Victora.

- Nie jestem nawet pewien, czy potrafię przekonać sam siebie.

- Ale przecież całe dnie spędzaliście przed tymi ludźmi - przypomniał Dibbler.

- Wcale nie - odparła Ginger. - Był tylko pan, korbowi, trolle i cała reszta. To co innego. Zresztą to nie ja - dodała. - Tylko Delores De Syn.

Victor w zadumie przygryzł wargę.

- Może w takim razie powinniśmy tam posłać Delores De Syn - zaproponował.

- Jak to możliwe? - spytała.

- No wiesz... Możemy udawać, że to migawka...

Dibblerowie, wuj i bratanek, porozumieli się wzrokiem. Soli złożył dłonie przy twarzy, na podobieństwo oka obrazkowego pudła, a Dibbler - po zachęcającym kuksańcu - ułożył jedną rękę na głowie bratanka, a drugą zakręcił niewidzialną korbą w jego uchu.

- Akcja! - zawołał.

Drzwi powozu się otworzyły.

Tłum westchnął, jakby góra nabierała tchu. Victor wysiadł, ujął dłoń Ginger... Tłum wiwatował szaleńczo.

Wykładowca run współczesnych przygryzł palce z emocji. Kierownik Katedry Studiów Nieokreślonych wydał dziwny, chrapliwy odgłos z głębi

krtani.

- A pytałeś, co chłopak może znaleźć do roboty lepszego niż kariera maga - powiedział.

- Prawdziwy mag myśli tylko o jednym - mruknął dziekan. - Wiesz dobrze.

- Tak, wiem dobrze.

- Mówiłem o magii.

Kierownik katedry przyglądał się idącym po czerwonym dywanie postaciom.

- A wiesz, to rzeczywiście młody Victor - stwierdził. - Mógłbym przysiąc.

- To obrzydliwe - oświadczył dziekan. - Wybrać towarzystwo młodych kobiet, kiedy mógł zostać magiem.

- Rzeczywiście. Co za dureń - zgodził się wykładowca run współczesnych, który miał wyraźne kłopoty z oddychaniem. Rozległo się chóralne westchnienie.

- Musisz przyznać, że niezła z niej dziewczyna - stwierdził kierownik katedry.

- Jestem starym człowiekiem - odezwał się gderliwy głos za ich plecami. - I jeśli ktoś nie pozwoli mi popatrzeć w tej chwili, poczuje, mm, koniec mojej laski.

Dwaj magowie rozstąpili się i wciągnęli między siebie wózek. Kiedy już raz wprawili go w ruch, dotarł na sam skraj dywanu, odpychając wszelkie kostki i kolana, jakie stanęły mu na drodze.

Poons rozdziawił usta.

Ginger ścisnęła dłoń Victora.

- Tam stoi grupa tłustych staruszków ze sztucznymi brodami. Machają do ciebie - poinformowała przez zaciśnięte, wyszczerzone w uśmiechu zęby.

- Tak, to chyba magowie. - Victor również odpowiedział jej uśmiechem.

- Jeden podskakuje w swoim wózku inwalidzkim i wykrzykuje różne „hejho”, „łubu-dubu” i „hubba-bubba”.

- To najstarszy mag na świecie - wyjaśnił Victor. Pomachał do tłustej damy, która zemdląca.

- Wielkie nieba! Jaki był pięćdziesiąt lat temu?

- No, przede wszystkim był osiemdziesięciolatkiem[25]. Nie posyłaj mu całusa!

Tłum ryknął z zachwyty.

- Wydaje się słodki...

- Uśmiechaj się tylko i machaj.

- Bogowie... Spójrz na tych ludzi, którzy czekają, żeby zostać nam przedstawieni!

- Widzę.

- Przecież są ważni - szepnęła Ginger.

- My chyba też.

- Jakim cudem?

- Bo jesteśmy nami. Sama mówiłaś wtedy, na plaży. Jesteśmy tak wielcy, jak to tylko możliwe. Tego chciałaś. My...

Urwał nagle.

Troll przed drzwiami Odium zasalutował mu służbiście. Stuk dłoni uderzającej o ucho słychać było mimo wiwatów...

Gaspode człapał szybko przez zaułek. Laddie posłusznie biegł lekkim truchtem tuż za nim. Nikt nie zwrócił uwagi, kiedy wyskoczyli, czy też - w przypadku Gaspode - wypadli z powozu.

- Cały wieczór w jakiejś dusznej piwnicy to nie jest coś, co uważam za mile spędzony czas - mruczał Gaspode. - Trafiliśmy do wielkiego miasta. To nie żaden Święty Gaj. Trzymaj się mnie, szczeniaku, a nic ci nie grozi. Pierwszy przystanek: Najlepsze Zeferka Hargi. Znają mnie tam. Jasne?

- *Dobry Laddie!*

- No tak...

- Patrz, co on ma na sobie - szepnął Victor.

- Czerwoną aksamitną kurtkę ze złotymi obszyciem - odpowiedziała Ginger kącikiem ust. - Co z tego? Przydałyby mu się spodnie.

- O bogowie! - westchnął Victor.

Wkroczyli w jasno oświetlone foyer Odium.

Bezam naprawdę się postarał. Trolle i krasnoludy pracowały przez całą noc, żeby wszystko skończyć.

Były tu draperie z czerwonego pluszu, kolumny i zwierciadła.

Pulchne cherubiny i rozmaite owoce, pomalowane bez wyjątku na

złoto, zdawały się pokrywać każdą wolną powierzchnię.

Przypominało to pudełko bardzo drogich czekoladek.

Albo koszmar. Victor oczekiwał niemal, że usłyszy huk morza, zobaczy, jak draperie rozpadają się w plamach czarnej mazi.

- O bogowie! - powtórzył.

- Co z tobą? - spytała Ginger, uśmiechając się nieruchomo w stronę szeregu dygnitarzy, czekających na prezentację.

- Zobaczysz - odparł chrapliwie Victor. - To Święty Gaj! Święty Gaj trafił do Ankh-Morpork!

- Tak, ale...

- Niczego nie pamiętasz? Ta noc pod wzgórzem... Zanim się obudziłaś...

- Nie. Przecież ci mówiłam.

- To zobaczysz.

Victor zerknął na ozdobną tablicę pod ścianą.

Napis głosił: „Trzy pokazy dziennie”.

Victor pomyślał o wydmach, o starożytnych mitach i o homarach.

Kreślenie map nigdy nie było na Dysku sztuką precyzyjną. Ludzie zwykle zaczynali pełni dobrych intencji, a potem tak bardzo dawali się ponieść różnym wielorybom z fontannami, potworom, falom i innym kartograficznym ozdobnikom, że często całkiem zapominali o zaznaczeniu jakichś nieciekawych gór czy rzek.

Nadrektor przycisnął przepełnioną popielniczką róg mapy, grożącej zwinięciem się w rulon. Przejechał palcem po zakurzonej powierzchni.

- Tutaj piszą „Tu żyją smoki” - zauważył. - W samym środku miasta. Dziwne.

- To Słoneczne Schronisko dla Chorych Smoków lady Ramkin - wyjaśnił odruchowo kwestor.

- A tu napis „Terra Incognita”. Dlaczego? Kwestor wyciągnął szyję.

- No... To chyba ciekawsza nazwa niż zaznaczenie mnóstwa farm kapusty.

- A tutaj znowu „Tu żyją smoki”.

- Myślę, że to zwykłe kłamstwo.

Stwardniały kciuk nadrektora przesunął się w kierunku, który mieli zbadać. Starł kilka plamek po muchach.

- Niczego tu nie ma - stwierdził Ridcully, pochylając się nad mapą. - Tylko morze i... - Zezując odczytał napis. - Święty Gaj. To coś znaczy?

- Czy nie tam odeszli alchemicy? - przypomniał sobie kwestor.

- Ach, oni...

- Mam nadzieję - rzekł powoli kwestor - że nie odprawiają żadnych czarów.

- Alchemicy? I czary?

- Przepraszam. Zabawny pomysł, wiem o tym. Woźny mówił, że urządzają jakieś, no... teatrzyki cieni czy jakoś tak. Albo kukielki.

Albo coś podobnego. Obrazki. Albo co. Właściwie nie słuchałem zbyt uważnie. Żeby... alchemicy... Też pomysł! Owszem, skrytobójcy... tak. Złodzieje... owszem. Nawet kupcy; kupcy potrafią czasem być bardzo

sprytni. Ale alchemicy... Nie ma istot bardziej oderwanych od ziemi, roztargnionych, pełnych dobrych chęci... Głos cichł z wolna, kiedy uszy odrabiały dystans do ust.

- Nie ośmieliliby się, prawda? - powiedział kwestor.

- Nie?

Zaśmiał się głucho.

- Nieee. Nie ośmieliliby się. Wiedzą, że gdyby tylko spróbowali tu gdzieś jakiejś magii, spadlibyśmy na nich jak tona cegieł... Znów umilkł.

- Jestem pewien, że nie - powiedział.

- Znaczy, nawet tak daleko stąd - powiedział.

- Nie mieliby odwagi - powiedział.

- Nie magia. Na pewno nie - powiedział.

- Nigdy nie ufałem tym draniom z brudnymi łapami - powiedział. - Są całkiem inni od nas, mistrzu. Nie mają pojęcia o godności!

Tłum wokół kasy stawał się coraz gęściejszy i coraz bardziej poirytowany.

- Naprawdę przeszukałeś wszystkie kieszenie? - zapytał kierownik katedry.

- Tak - mruknął dziekan.

- To przeszukaj jeszcze raz.

Jeśli chodzi o opinię magów, płacenie za cokolwiek to coś, co

przytrafia się innym. Szpiczasty kapelusz zwykle doskonale wystarczał.

Gdy dziekan szukał w zakamarkach swej szaty, kierownik katedry uśmiechał się nerwowo do młodej kobiety sprzedającej bilety.

- Zapewniam, droga pani - tłumaczył zdesperowany - że jesteśmy magami.

- Widzę, że macie sztuczne brody - odparła dziewczyna i parsknęła pogardliwie. - Różni tu przychodzą. Skąd mam wiedzieć, że nie jesteście trzema małymi chłopcami w płaszczu ojca?

- Droga pani!

- Mam dwa dolary i piętnaście pensów - oznajmił dziekan, wyławiając monety z garści paprochów i tajemniczych obiektów okultystycznych.

- To dwa na parterze - stwierdziła dziewczyna i niechętnie odwinęła z rolki dwa bilety. Kierownik katedry porwał je natychmiast.

- W takim razie zabiorę ze sobą Windle'a - oznajmił pospiesznie, zwracając się do kolegów. - Obawiam się, że pozostali muszą wrócić do uczciwego kupiectwa. Hm... do tyłu... panowie.

Znacząco poruszył brwiami.

- Nie rozumiem, dlaczego mamy... - zaczął dziekan.

- Pieniądzy wystarczyło tylko, hm... na tyle... biletów. - Kierownik katedry robił wściekłe miny. - Zbyt skromne mieliśmy, hm... zaplecze... finansowe. Nie zmarzniecie, przecież, hm... to a... letnia... noc.

- Ale to były moje pieniądze - tłumaczył dziekan, jednak wykładowca run współczesnych chwycił go za ramię.

- Chodźmy już - rzekł i powoli, wyraźnie mrugnął na kierownika katedry. - Hm... na tyle... nas było stać.

- Nie rozumiem, czemu... - irytował się dziekan, kiedy go odciągali.

W magicznym zwierciadle nadrektora kłębiły się szare chmury. Wielu magów miało takie zwierciadła, ale tylko nieliczni próbowali z nich korzystać; były kapryśne i zawodne. Nawet golenie się przy nich sprawiało poważne trudności. Ridcully używał zwierciadła zadziwiająco sprawnie.

- Tropienie - rzucił jako wytłumaczenie tego faktu. - Na bogów, nie mogłem przecież czołgać się godzinami po mokrych paprociach. Nalej sobie drinka, chłopie. I dla mnie też.

Chmury zamigotały.

- Jakoś nie widać nic innego - stwierdził. - Dziwne. Tylko mgła, i coś w niej mruga.

Odchrząknął. Kwestor zaczynał właśnie zdawać sobie sprawę, że wbrew wszelkim oczekiwaniom nadrektor jest w istocie całkiem inteligentny.

- Widziałeś kiedy te ruchome cienie kukielkowego teatrzyku na obrazkach? - zapytał Ridcully.

- Służba tam chodzi - odparł kwestor. To, jak uznał Ridcully, oznaczało „nie”.

- Myślę, że powinniśmy popatrzeć - rzekł.

- Oczywiście, nadrektorze - zgodził się pokornie kwestor.

Niewzruszona zasada konstrukcji budynków, gdzie pokazuje się ruchome obrazki - zasada obowiązująca w całym multiwersum - nakazuje, by upiorność architektury na tyłach była wprost proporcjonalna do przepychu od frontu. Od frontu: kolumny, arkady, złote liście, światła. Od tyłu: krzywe

rynny, popękane rury, ślepe ściany, cuchnące zaułki. I okno do toalety.

- Naprawdę nie widzę powodu, żebyśmy musieli to robić - jęczał dziekan, kiedy magowie wysilali się w mroku.

- Zamknij się i pchaj - mamrotał wykładowca run współczesnych z drugiej strony okna.

- Mogliśmy coś zmienić w pieniądze - stwierdził dziekan. - Zwykła szybka iluzja. Komu by to zaszkodziło?

- To się nazywa „psucie pieniądza” - wyjaśnił wykładowca run współczesnych. - Za takie rzeczy wrzucają do jamy ze skorpionami. Gdzie stawiam nogi? No gdzie?

- Wszystko w porządku - uspokoił go któryś z magów. - Teraz dziekan. Do góry!

- Ojej - stękał dziekan, przeciągany przez wąskie okienko w niewymowny mrok po drugiej stronie. - To się musi źle skończyć.

- Uważaj tylko, gdzie stawiasz nogi. No i widzisz, co narobiłeś? Mówiłem, żebyś uważał. Trudno. Idziemy.

Magowie podreptali, czy też - w przypadku dziekana - pochłupali dyskretnie przez kulisy, na przyciemnioną gwarną widownię, gdzie Windle Poons bronił wolnych miejsc, wymachując groźnie laską na wszystkich, którzy próbowali się zbliżyć. Dotarli do niego, potykając się o własne nogi, i usiedli.

Spojrzeli na szary prostokąt zawieszony w cieniu na drugim końcu sali.

- Osobiście nie rozumiem, co ludzie w tym widzą - wyznał po chwili kierownik katedry.

- Czy ktoś już robił „Kalekiego królika”? - zapytał wykładowca run współczesnych.

- Jeszcze się nie zaczęło - syknął dziekan.

- Wiecie, co on zrobił? - poskarżył się rozgniewany kierownik katedry.
- Wiecie, co zrobił ten stary dureń? Kiedy młoda dama z pochodnią prowadziła nas na miejsca, uszczypnął ją w... w fundament.

Poons prychnął wzgardliwie.

- Hubba-bubba. Czy twoja matka wie, gdzie się włóczysz? - Zachichotał.

- To dla niego zbyt wiele wrażeń. Nie powinniśmy go zabierać.

- Czy zdajecie sobie sprawę, że właśnie tracimy kolację? - przypomniał dziekan.

Magowie ucichli. Jakaś krępa kobieta, przeciskająca się obok wózka Poonsa, drgnęła nagle i rozejrzała się podejrzliwie. Zobaczyła jedynie miłego staruszka, najwyraźniej pogrążonego w drzemce.

- A we wtorki podają gęś - westchnął dziekan.

- Tantarabum! Jak twojej babci zamydlić oczy?

- Widzicie, o co mi chodzi? - szepnął kierownik katedry. - On nawet nie wie, jakie mamy stulecie.

Poons zwrócił ku niemu błyszczące oczka.

- Stary może i jestem, mm, i głupi też - oznajmił - ale głodował nie będę.

Sięgnął w tajemne głębie zakamarków swego wózka i wyjął brudną czarną sakiewkę. Zabrzęczała.

- Widziałem z przodu młodą damę sprzedającą specjalne ruchomoobrazkowe jedzenie.

- To znaczy, że przez cały czas miałeś pieniądze? - oburzył się dziekan.
- I nic nie powiedziałeś?

- Nie pytaliście - odparował Poons. Magowie patrzeli zachłannie na sakiewkę.

- Mają tam pukane ziarna polane masłem, kielbaski w bułce, takie czekoladowe rzeczy z różnymi rzeczami w środku i inne rzeczy. - Poons rzucił im bezzębny uśmiech. - Jeśli chcecie, możecie wziąć trochę dla siebie - dodał łaskawie.

Dziekan zaznaczał na liście swoje zakupy. - Chwileczkę - mruczał. - Mamy sześć toreb pukanych ziaren patrycjuszowskich rozmiarów plus dodatkowe masło, osiem kielbasek w bułce, największy kubek gazowanego napoju i torbę rodzynek oblanych czekoladą. Wręczył sprzedawczyni pieniądze.

- Zgadza się. - Kierownik katedry zebrał zakupy. - Hm... Myślisz, że powinniśmy wziąć też coś dla reszty?

W pokoiku projekcyjnym Bezam kłął pod nosem, wkładając do pudła projekcyjnego wielką szpulę *Porwanego wiatrem*.

Kilka stóp od niego, za ścianą, w odgradzonej sznurami części balkonu, lord Vetinari, Patrycjusz Ankh-Morpork, także odczuwał pewien niepokój.

Owszem, musiał przyznać, że to całkiem sympatyczna para młodych ludzi. Nie był tylko pewien, dlaczego siedzi obok nich i dlaczego są tacy ważni.

Był przyzwyczajony do ważnych osób, a przynajmniej do osób, które uważają się za ważne. Magowie stawali się ważni dzięki swym niezwykłym magicznym dokonaniom. Złodzieje stawali się ważni dzięki śmiałym kradzieżom; podobnie - choć w nieco inny sposób - kupcy. Wojownicy

stawali się ważni, wygrywając bitwy i pozostając przy życiu; skrytobójcy poprzez trudne inhumacje. Istniało wiele dróg prowadzących na szczyty społecznej hierarchii, ale zawsze były widoczne, możliwe do zrozumienia. Miały jakiś sens.

Podczas gdy ta para jedynie poruszała się w interesujący sposób przed nowo wymyśloną ruchomoobrazkową maszyną. Najmarniejszy aktorzyzna z miejskiego teatru był w porównaniu z nimi wszechstronnie utalentowanym mistrzem sceny, a jednak nikomu nie przyszłoby do głowy, by wykrzykiwać na ulicach jego imię.

Patrycjusz nigdy jeszcze nie oglądał migawek. O ile zdołał ustalić, Victor Maraschino słynny był ze swego zamglonego spojrzenia, od którego mdlały starsze damy, choć naprawdę powinny być mądrzejsze. Natomiast atutem panny De Syn były leniwe ruchy, policzkowanie ludzi i fantastyczne prezentowanie się w pozycji leżącej wśród jedwabnych poduszek.

Podczas gdy on, Patrycjusz Ankh-Morpork, władał miastem, chronił miasto, kochał miasto, nienawidził miasta i całe życie poświęcił służbie dla miasta...

Ale kiedy prosty lud wypełniał widownię, jego ostry jak brzytwa słuch wyłowił z gwaru rozmowę:

- Kto tam siedzi?
- To Victor Maraschino i Delores De Syn. Co ty, nie wiesz?
- Chodzi mi o tego wysokiego gościa w czerni.
- Nie mam pojęcia. Pewnie jakiś ważniak.

Tak, to fascynujące. Można zostać sławnym tylko dzięki temu, że jest się, no... sławnym. Przyszło mu do głowy, że to bardzo niebezpieczne i całkiem możliwe, że będzie musiał polecić kogoś zabić, choć z najwyższą niechęcią[26]. Tymczasem spływał na niego rodzaj odbitej chwały, wynikającej z przebywania w towarzystwie ludzi prawdziwie sławnych. I ku własnemu zdumieniu bardzo mu się to podobało.

Poza tym siedział obok panny De Syn, a zazdrość widowni była tak intensywna, że niemal czuł jej smak, a to więcej niż mógłby powiedzieć o białych, puszystych przedmiotach do jedzenia, których dostał całą torbę.

Z drugiej strony ten straszny Dibbler tłumaczył mechanikę ruchomych obrazków w całkowicie mylnym przekonaniu, że Patrycjusz wysłucha choćby jednego słowa.

Nagle zagrzmiały oklaski.

Patrycjusz pochylił się do Dibblera.

- Dlaczego zgaszono wszystkie lampy? - zapytał.

- Żebyś, panie, mógł lepiej widzieć obrazki.

- Doprawdy? Można by pomyśleć, że w ten sposób trudniej je będzie oglądać.

- Z ruchomymi obrazkami jest inaczej, wasza wysokość.

- To fascynujące.

Patrycjusz wychylił się w drugą stronę, do Ginger i Victora. Ku jego lekkiemu zaskoczeniu oboje sprawiali wrażenie bardzo zdenerwowanych. Zauważył to, kiedy tylko weszli do Odium. Chłopak przyglądał się bezsensownym ozdobom, jakby były czymś przerażającym, a kiedy dziewczyna wkroczyła na widownię, słyszał, jak jęknęła cicho.

Wyglądali, jakby doznali szoku.

- Sądzę, że dla was obojga wszystko to jest całkiem zwyczajne - powiedział.

- Nie - odparł Victor. - Właściwie nie. Nigdy jeszcze nie byliśmy w prawdziwej obrazkowej piwnicy.

- Tylko raz - wtrąciła posępnie Ginger.

- Tak. Tylko raz.

- Ależ, hm, przecież tworzycie ruchome obrazki - przypomniał łagodnie Patrycjusz.

- Owszem, ale ich nie oglądamy. Najwyżej kawałki, kiedy korbowi je skleją. Tylko raz oglądałem migawkę, na placu, z prześcieradłem jako ekranem.

- Więc to dla was nowość?

- Niezupełnie - odparł Victor z poszarzałą twarzą.

- Fascynujące - stwierdził Patrycjusz i powrócił do niesłuchania Dibblera. Swojej dzisiejszej pozycji nie zdobył, przejmując się tym, jak funkcjonują różne rzeczy. Intrygowało go, jak funkcjonują ludzie.

Kawałek dalej Soli przechylił się przez oparcie i rzucił wujowi na kolana małą szpulkę błony.

- To twoje - wyjaśnił słodkim głosem.

- Co to jest? - zdziwił się Dibbler.

- Pomyślałem, że może szybko przejrzę migawkę, zanim ją pokazemy...

- Naprawdę?

- I coś takiego znalazłem w samym środku sceny pożaru miasta? Pięć minut taśmy pokazującej tylko talerz żeberek w specjalnych sosie fistaszkowym Hargi. Wiem dlaczego, naturalnie. Chcę wiedzieć, dlaczego coś takiego.

Dibbler uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Pomyślałem sobie - wyjaśnił - że jeśli jeden krótki, szybki obrazek sprawia, że ludzie mają ochotę kupować różne rzeczy, to do czego doprowadzi ich całe pięć minut?

Soli patrzył na niego ze zdumieniem.

- Ale jestem naprawdę urażony - mówił dalej Dibbler. - Nie zaufałeś mi. Swojemu własnemu wujowi. Nie ufałeś mi, chociaż złożyłem uroczystą obietnicę, że nie będę już niczego więcej próbował. Zraniłeś mnie, Soli. Co się stało z wiarą w szczerość?

- Przypuszczam, że komuś ją sprzedałeś, wujku.

- Zraniłeś mnie - powtórzył Dibbler.

- Ale przecież nie dotrzymałeś obietnicy, wujku.

- To nie ma nic do rzeczy. Chodziło o interes. A ja mówię teraz o uczuciach rodzinnych. Musisz się nauczyć ufać rodzinie, Soli. Zwłaszcza mnie.

Soli wzruszył ramionami.

- Dobrze, dobrze.

- Na pewno?

- Tak, wujku. - Soli uśmiechnął się nagle. - Uroczyście ci obiecuję.

- Zuch chłopak.

Na drugim końcu rzędu Victor i Ginger patrzyli z grozą na pusty ekran.

- Wiesz, co się teraz stanie, prawda? - spytała Ginger.

- Tak. Ktoś zacznie grać z dziury w podłodze.

- Ta jaskinia naprawdę była piwnicą obrazkową?

- Myślę, że czymś w tym rodzaju - zgodził się niepewnie Victor.

- Ale ekran tutaj to tylko ekran. Nie taki... No, to całkiem zwykły ekran. Trochę lepsze prześcieradło. Wcale nie...

W przedniej części sali zahuczało. Z brzękiem i sykiem rozpaczliwie uciekającego powietrza Calliope, córka Bezama, wyrosła powoli nad podłogą, z werwą atakując klawisze niedużych organów. Efekt godny był kilku godzin ćwiczeń i wysiłków dwóch mocnych trolli, pracujących przy miechach za sceną. Jakąkolwiek grała melodię, wyraźnie przegrywała pojedynek.

Na parterze dziekan podsunął torebkę kierownikowi katedry.

- Zjedz rodzinę oblaną czekoladą - zaproponował.

- Wyglądają jak szczurze bobki - zauważył kierownik katedry. Dziekan przyjrzał się im w mroku.

- To wyjaśnia sprawę - stwierdził. - Przed chwilą torebka upadła mi na podłogę i już wtedy pomyślałem, że jakoś za dużo ich zebrałem z powrotem.

- Psst! - uciszyła ich kobieta siedząca o rząd przed nimi. Chuda twarz Poonsa odwróciła się w jej stronę jak magnes.

- Kici-kici - zarechotał. - Jeszcze dwa pensy i w górę idzie osioł.

Światła przygasły jeszcze bardziej. Ekran zamigotał. Przez chwilę rozbłyskiwały na nim liczby, coraz niższe.

Calliope spojrzała w skupieniu na ustawione przed sobą nuty, podwinęła rękawy, odgarnęła włosy z oczu i z entuzjazmem przypuściła szturm na coś, co trochę przypominało stary hymn Ankh-Morpork[27].

Światła zgasły całkowicie.

Niebo mrugało. Nie była to przyzwoita mgła. Spływał z niej dziwny srebrzysty blask, migoczący wewnętrznie niczym - skrzyżowanie zorzy polarnej z letnią błyskawicą.

Od strony Świętego Gaju niebo płonęło blaskiem. Był widoczny nawet w zaułku za Najlepszymi Żeberkami Hargi, gdzie dwa psy rozkoszowały się specjalnością kuchni: Wszystko, co możesz wyciągnąć ze stosu odpadków, za darmo.

Laddie podniósł głowę i zawarczał.

- Nie dziwię ci się - stwierdził Gaspode. - Mówiłem, że to wróży. Mówiłem, że dzieje się coś wróżnego, prawda? Iskry strzelały mu z sierści.

- Chodźmy - powiedział. - Musimy ostrzec ludzi. W tym jesteś dofry.

Klikaklikaklika...

Był to jedyny dźwięk we wnętrzu Odium. Calliope przestała grać i wpatrywała się w ekran.

Usta widzów trwały otwarte i zamykały się tylko po to, by zgryźć garść pukanych ziaren.

Victor niejasno zdawał sobie sprawę, że przez chwilę z tym walczył. Próbował odwrócić wzrok. Nawet teraz jakiś głosik wewnątrz umysłu powtarzał, że dzieje się coś niedobrego; nie zwracał uwagi na ten głosik. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Wzdychał ze wszystkimi, gdy heroina starała się utrzymać dawną rodzinną kopalnię w Świecie Ogarniętym Szaleństwem. Drżał, obserwując walki na wojnie. Obserwował scenę w sali balowej, spowity obłokiem romantycznej mgiełki. Potem...

...poczuł coś zimnego na nodze. Jakby na wpół roztopiona kostka lodu przesączała mu się przez spodnie... Próbował zignorować to uczucie, ale było wyraźnie nieignorowalne. Zerknął w dół.

- Przepraszam fardzo - odezwał się Gaspode.

Victor zogniskował spojrzenie. I zaraz jego oczy poczuły, że znowu

ściąga je ekran, gdzie ogromna wersja jego samego całowała ogromną wersję Ginger.

I znowu poczuł lekki chłód. Znowu odzyskał przytomność umysłu.

- Jeśli wolisz, mogę cię ugryźć w nogę - zaproponował Gaspode.

- Ja... tego... Ja... - jękał się Victor.

- Umiem gryźć mocno - dodał Gaspode. - Wystarczy, że powiesz słowo.

- Nie, tego...

- Coś tu wróży, jak już mówiłem. Wróży, wróży, wróży. Laddie próbował czekać, aż całkiem zachrypl, ale nikt go nie słuchał. Więc pomyślałem, że trzeba sprawdzić starą technikę zimnego nosa. Nigdy nie zawodzi.

Victor rozejrzał się. Wszyscy widzowie wpatrywali się w ekran, jakby byli gotowi pozostać na miejscach przez... przez...

...przez wieczność.

Kiedy podniósł dłonie z poręczy, iskry strzeliły mu z palców; powietrze wydawało się oleiste, co nawet student magii szybko uczy się kojarzyć z potężnymi akumulacjami potencjału magicznego. A w piwnicy kłębiła się mgła. To śmieszne, ale była wewnątrz i pokrywała podłogę niby błada, srebrzysta fala.

Potrząsnął Ginger za ramię. Pomachał jej dłonią przed oczami. Krzyknął jej prosto do ucha.

Spróbował z Patrycjuszem i z Dibblerem. Pochylali się pod naciskiem, ale zaraz, kołysząc się lekko, powracali do dawnej pozycji.

- Obrazek coś z nimi robi - stwierdził. - Na pewno obrazek. Ale nie rozumiem w jaki sposób. Przecież to całkiem zwyczajna migawka. W Świętym Gaju nie używamy magii. A przynajmniej... nie... normalnej magii.

Przechodząc nad sztywnymi kolanami, dotarł do przejścia i pobiegł w górę przez pasemka mgły. Zaczął się dobijać do drzwi pokoju projekcyjnego. Kiedy nikt nie odpowiadał, wyłamał je kopniakiem.

Bezam zerkał przez kwadratowy otwór wycięty w ścianie; w skupieniu oglądał migawkę. Projektor obrazków stukał radośnie, sam z siebie. Nikt nie kręcił korbą. A w każdym razie, poprawił się w myślach Victor, nikt widzialny.

Gdzieś zahuczało i ziemia zadrżała.

Spojrzał na ekran. Rozpoznał ten fragment: tuż przed sceną pożaru Ankh-Morpork.

Myśli pędziły mu jak szalone. Co takiego mówiło się o bogach? Nie istnieliby, gdyby nie ludzie, którzy w nich wierzą. To samo odnosi się do wszystkiego. Rzeczywistość jest tym, co istnieje w ludzkich umysłach. A przed nim siedziały setki ludzi naprawdę wierzących w to, co widzą...

Victor poszukał nożyczek czy noża wśród śmieci na stole Bezama. Nie znalazł. Maszyna szumiała spokojnie, przewijając rzeczywistość z przyszłości w przeszłość.

W tle usłyszał głos Gaspode:

- Chyfa ocaliłem świat, prawda?

Mózg w normalnych warunkach rozbrzmiewa echem najrozmaitszych błahych myśli starających się zwrócić na siebie uwagę. Dopiero prawdziwe zagrożenie skłania je do milczenia. Coś takiego działo się w tej chwili. Jedna klarowna myśl, która już od dawna starała się być słyszana, teraz zadźwięczała wśród ciszy.

Przypuśćmy, że istnieje taki punkt, gdzie rzeczywistość jest cieńsza niż gdzie indziej. I przypuśćmy, że robi się coś, co tę rzeczywistość osłabi jeszcze bardziej. Książki tego nie dokonają. Nawet zwykły teatr nie wystarczy, bo w głębi serca człowiek wie, że widzi na scenie tylko ludzi w dziwnych kostiumach. Ale Święty Gaj sięgał wprost od oczu do mózgu.

W sercu wszyscy wierzyli, że jest rzeczywisty. Migawki mogły to sprawić.

To właśnie odkryli pod wzgórzem Świętego Gaju. Mieszkańcy starożytnego miasta wykorzystywali otwór w rzeczywistości dla rozrywki. A wtedy znalazły ich Stwory.

Teraz ludzie próbowali znowu. To tak jakby w fabryce fajerwerków uczyli się żonglować płonącymi pochodniami. A Stwory czekały... Ale dlaczego to wciąż się działo? Przecież powstrzymał Ginger. Błona przewijała się dalej. Zdawało mu się, że mgła spowiła pudło projekcyjne, rozmywając jego kontury.

Chwycił wirującą korbę. Przez chwilę stawiała opór, a potem pękła. Wtedy delikatnie zepchnął Bezama, podniósł stołek i uderzył nim o pudło. Stołek z trzaskiem rozpadł się na kawałki. Otworzył klatkę z tyłu pudła i wyjął salamandry, ale ruchome obrazki wciąż tańczyły na dalekim ekranie. Budynek znowu się zatrząsł.

Masz tylko jedną szansę, pomyślał. A potem umierasz. Zerwał koszulę i owinał nią dłoń. Chwycił mocno taśmę. Zerwała się. Pudło projekcyjne zadygotało. Błona w błyszczących zwojach wciąż spływała ze szpuli i opadała na podłogę. Klikaklik... a... klik. Szpule znieruchomiały.

Victor ostrożnie trącił stos nogą. Nie zdziwiłby się, gdyby taśma skoczyła na niego jak wąż.

- Ocaliliśmy świat? - spytał Gaspode. - Chciałbym wiedzieć. Victor spojrzał na ekran.

- Nie - odpowiedział.

Wciąż były tam obrazy, choć niezbyt wyraźne. Nadal rozpoznawał zamglone kształty Ginger i swój, kurczowo czepiające się istnienia. Sam ekran też się poruszał, wybrzuszał tu i tam, jak fale w basenie zmętniałej rtęci. Wyglądał nieprzyjemnie znajomo.

- Znalazły nas - stwierdził.

- Kto znalazł? - zdziwił się Gaspode.

- Pamiętasz te upiorne istoty, o których mówiłeś? Gaspode zmarszczył brwi.

- Te sprzed zarania czasu?

- Tam, skąd przychodzą, nie istnieje czas - odparł Victor. Widownia zaczynała się poruszać.

- Musimy wyprowadzić stąd wszystkich - postanowił Victor. - Ale bez paniki...

Rozległy się chóralne krzyki. Widzowie już się obudzili.

Ekranowa Ginger wychodziła na świat. Była trzy razy większa od prawdziwej i wyraźnie migotała. Była także półprzeźroczysta, choć miała ciężar, gdyż podłoga ugięła się i pękała pod jej stopami.

Widzowie tratowali się, by jak najszybciej opuścić salę. Victor przeciskał się między nimi, gdy minął go jadący tyłem wózek inwalidzki Poonsa, popychany przez uciekającą ciżbę. Jego pasażer rozpaczliwie wymachiwał laską.

- Hej! Zaraz! - krzyczał. -Właśnie zaczęło być ciekawie! Kierownik katedry nerwowo chwycił Victora za ramię.

- Czy to powinno się tak zachowywać? - zapytał.

- Nie!

- Więc to nie jakiś specjalny efekt kinematograficzny? - rzucił z nadzieją w głosie.

- Nie, chyba że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zrobili prawdziwe postępy - odparł Victor. - Sądzę, że to Piekierne Wymiary.

Kierownik katedry przyjrzał mu się z uwagą.

- Jesteś młodym Victorem, prawda?

- Tak. Przepraszam bardzo.

Victor wyminął oszołomionego maga i przechodząc przez oparcia krzeseł, dotarł do Ginger, wciąż zapatrzonej w swój wizerunek. Potworna Ginger rozglądała się i mrugała bardzo powoli, jak jaszczurka.

- To ja?

- Nie - stwierdził Victor. - To znaczy tak. Może. Niezupełnie. Tak jakby. Chodź.

- Przecież to wygląda tak jak ja! - krzyknęła Ginger głosem modulowanym przez histerię.

- To dlatego że muszą wykorzystywać Święty Gaj! On... on określa, jak wyglądają. Tak myślę - tłumaczył pośpiesznie Victor.

Poderwał ją z fotela i pobiegł, kopiąc stopami srebrzystą mgłę i rozrzucając pukane ziarna. Ginger, potykając się, biegła za nim i oglądała się przez ramię.

- Drugi próbuje wyjść z ekranu - poinformowała.

- Chodźmy!

- To ty!

- Ja jestem tutaj. To... to coś innego. Musi tylko używać mojego kształtu.

- A jaki ma normalnie?

- Nie chcesz wiedzieć!

- Właśnie że chcę! Inaczej bym nie pytała! - krzyknęła, kiedy biegli między połamanymi krzesłami.

- Wygląda gorzej, niż możesz sobie wyobrazić!
- Umiem sobie wyobrazić parę bardzo paskudnych rzeczy!
- Dlatego powiedziałem, że gorzej!
- Aha...

Ogromna widmowa Ginger wyprzedziła ich, migając jak lampa stroboskopowa, i wybiła sobie wyjście przez ścianę. Z zewnątrz rozległy się krzyki.

- Wyjdź stąd - polecił Victor. - Sprowadź magów, żeby to zatrzymali.
- A co ty chcesz zrobić?

Victor wyprostował się na pełną wysokość.

- Są rzeczy - oświadczył - które mężczyzna musi zrobić sam. Obrzuciła go spojrzeniem pełnym irytacji i niezrozumienia.

- Co? Co takiego? Chcesz iść do toalety czy co?
- Po prostu wyjdź stąd!

Pchnął ją w stronę drzwi. Potem odwrócił się i zauważył dwa psy, przyglądające mu się wyczekująco.

- Wy dwaj też - rzucił. Laddie zaszczeakał.

- Pies musi zostać przy swoim panu i takie tam... - wyjaśnił zakłopotany Gaspode.

Victor rozejrzał się nerwowo, chwycił odłamek krzesła, otworzył drzwi, cisnął go jak najdalej i zawołał:

- Aport!

Oba psy, pchane instynktem, pognały przed siebie. Gaspode zachował

dość przytomności umysłu, by po drodze krzyknąć jeszcze:

- Ty draniu!

Victor zniknął za drzwiami pokoju projekcyjnego i wybiegł z naręczem *Porwanego wiatrem*.

Gigantyczny Victor miał kłopoty z wyjściem z ekranu. Głowa i jedna ręka uwolniły się już i stały trójwymiarowe. Ręka machała na Victora, gdy metodycznie rzucał na olbrzyma zwoje oktocelulozy. Wrócił do pokoiku i wyciągnął stosy migawek, które Bezam - wbrew zdrowemu rozsądkowi - zmagazynował pod ławą.

Działając z metodycznym spokojem, jak często się zdarza pod wpływem skręcającej trzewia zgrozy, układał przed ekranem stosy puszek. Stwór zdołał wyrwać z dwuwymiarowości drugą rękę i usiłował je rozrzucić, ale to, co nim kierowało, miało kłopoty w opanowaniu nowego kształtu.

Pewnie nie jest przyzwyczajony do posiadania tylko dwóch ramion, pomyślał Victor.

Rzucił na stos ostatnią puszkę.

- W naszym świecie musisz przestrzegać naszych reguł - powiedział. - Założę się, że płoniesz tak dobrze, jak wszystko inne. Co?

Stwór usiłował wyrwać z ekranu nogę.

Victor poklepał się po kieszeniach. Biegiem wrócił do pokoju projekcyjnego i zaczął go nerwowo przeszukiwać.

Zapałki! Nigdzie nie było zapałek!

Pchnął drzwi do foyer i wybiegł na ulicę; tłum kłębił się dookoła i z zaleknioną fascynacją podziwiał pięćdziesięciopową Ginger, otrząsającą się z ruin budynku.

Victor usłyszał obok znajome stukanie. Korbowy Halogen pilnie rejestrował scenę na błonie.

Kierownik katedry krzyczał na Dibblera:

- Oczywiście, że nie możemy użyć przeciw temu magii! One potrzebują magii! Od magii stają się silniejsze!

- Ale musicie przecież coś zrobić! - wrzeszczał Dibbler.

- Drogi panie, to nie my zaczęliśmy się mieszać do rzeczy, które lepiej zostawić... - zająknął się w połowie okrzyku - ...niemieszane - dokończył niepewnie.

- Zapalki! - krzyknął Victor. - Zapalki! Prędko! Wszyscy obejrżeli się na niego. Po chwili kierownik katedry pokiwał głową.

- Zwyczajny ogień - powiedział. - Masz rację. Powinno się udać. Dobrze kombinujesz, chłopcze.

Wyjął z kieszeni wiązkę zapalek, które palący bez przerwy magowie zawsze nosili przy sobie.

- Nie możesz podpalić Odium - ostrzegł Dibbler. - Tam są stosy błony.

Victor zerwał ze ściany plakat, zwinął z niego prymitywną żagiew i podpalił jeden koniec.

- Ją właśnie mam zamiar spalić.

- Przepraszam...

- Głupi! Dureń! - huknął Dibbler. - Taśma pali się bardzo szybko.

- Przepraszam...

- Co z tego? Nie mam zamiaru zostawać tam na dłużej.

- To znaczy naprawdę szybko.

- Przepraszam - powtórzył cierpliwie Gaspode. Spojrzeli na niego.

- Ja i Laddie możemy to zrofić - oświadczył. - Cztery nogi są lepsze niż dwie i tak dalej. Kiedy chodzi o ratowanie świata, w każdym razie.

Victor zerknął na Dibblera i uniósł brwi.

- Myślę, że może im się udać - przyznał Dibbler. Victor skinął głową. Laddie wyskoczył z gracją, wyrwał mu z ręki żagiew i wbiegł do wnętrza. Gaspode podążył za nim.

- Czy mam złudzenia, czy ten mały pies umie mówić? - zapytał Dibbler.

- Twierdzi, że nie umie - odparł Victor.

Dibbler zawahał się. Emocje trochę nim wstrząsnęły.

- Cóż - mruknął. - On sam chyba wie najlepiej.

Psy podbiegły do ekranu. Stwór-Victor już prawie się wydostał i leżał rozciągnięty między puszkami błony. - Mogę zapalić ogień? - poprosił Gaspode. - To właściwie moja rofota.

Laddie szczechnął posłusznie i upuścił płonący plakat. Gaspode podniósł go i ostrożnie zbliżył się do Stwora.

- Ratujemy świat - oświadczył niewyraźnie i rzucił żagiew na zwój błony. Zapłonęła natychmiast i rozjarzyła się białym płomieniem, niby spowolniona magnezja.

- I dofrze - stwierdził Gaspode. - A teraz uciekajmy stąd jak...

Stwór wrzasnął. Podobieństwo do Victora zniknęło całkowicie, teraz wśród płomieni poruszało się coś przypominającego wybuch w akwarium. Macka wystrzeliła z ognia i chwyciła Gaspode za nogę.

Odwrócił się i spróbował ją ugryźć.

Laddie jak strzała przebiegł z powrotem po pustej widowni i zaatakował wijącą się mackę. Odskoczyła, powaliła go i cisnęła wirującym Gaspode o podłogę.

Pies wstał, kulejąc zrobił kilka kroków i upadł.

- Przekłeta noga! Fyła i już po niej - mruknął. Laddie spojrzał na niego ze smutkiem. Płomienie strzelały wokół puszek z błoną.

- No już, uciekaj stąd, głupi kundlu! - zawołał Gaspode. -Wszystko tu lada chwila wyfuchnie. Nie! Nie podnoś mnie! Postaw mnie natychmiast! Nie masz czasu....

Ściany Odium rozděły się z pozorną powolnością; każda deska i kamień zdawała się zachowywać swoją pozycję względem pozostałych, ale płynęła samodzielnie.

A potem Czas doścignął wydarzenia.

Victor upadł na twarz.

Bum!

Pomarańczowa kula ognia uniosła dach; wzleciał w zamglone niebo. Odłamki uderzyły o ściany innych domów. Rozgrzana do czerwoności puszka błony z groźnym wizgiem przeleciała nad głowami leżących na bruku magów i huknęła o daleki mur.

Słysać było wysokie, cienkie wycie, które urwało się nagle.

Stwór-Ginger zakołysał się w żarze. Podmuch gorącego powietrza unióś wokół talii fałdy jego ogromnej spódnicy. Stwór stał, migoczący i niepewny, a dookoła spadały gruzy.

Potem odwrócił się chwiejnie i ruszył naprzód.

Victor zerknął na Ginger, która wpatrywała się w rzednące chmury dymu i stos ruin, jeszcze niedawno tworzących Odium.

- To nie tak - mruczała pod nosem. - Tak się nie zdarza.. Kiedy już myślisz, że jest za późno, wybiegają z dymu. - Zwróciła ku niemu przerażony wzrok. - Prawda? - spytała błagalnie.

- Tamto jest w migawkach - odrzekł Victor. - Tu jest rzeczywistość.

- Co za różnica?

Kierownik katedry chwycił Victora za ramię i szarpnął mocno.

- Idzie do Biblioteki! - zawołał. - Musisz ją powstrzymać! Jeśli tam dotrze, magia uczyni ją niezwyciężoną! Nigdy jej nie pokonamy! I będzie mogła sprowadzić następne!

- Jesteście magami - wtrąciła Ginger. - Czemu wy tego nie zatrzymacie?

Victor pokręcił głową.

- Stwory lubią naszą magię - wyjaśnił. - Jeśli użyje się jej gdzieś blisko nich, stają się silniejsze. Ale nie wiem, co mógłbym zrobić...

Umilkł niepewnie. Tłum obserwował go w napięciu.

Nie patrzyli na niego, jakby był ich ostatnią nadzieją. Patrzyli, jakby był ich pewnością.

Usłyszał słowa jakiegoś dziecka.

- Co teraz będzie, mamo?

- To proste - odparła spokojnie trzymająca dzieciaka gruba kobieta. - On rzuci się tam i powstrzyma to w ostatniej chwili. Jak za każdym razem. Widziałam już, jak to robi.

- Nigdy czegoś takiego nie robiłem - zaprotestował Victor.

- Widziałam - upierała się z satysfakcją kobieta. - W *Cieniach wśród pisków*. Kiedy ta młoda dama... - dygnęła w stronę Ginger - ...jechała na koniu, a on ją zrzucił z urwiska, ty przygalopowałeś i złapałeś ją w ostatniej chwili. Imponujące, pomyślałam wtedy.

- To nie były *Cienie wśród pisków*- sprzeciwił się starszy mężczyzna, spokojnie nabijając fajkę. - To była *Dolina Trolli*.

- Właśnie że *Cienie* - wtrąciła stojąca za nim chuda kobieta. -Wiem dobrze. Widziałam je dwadzieścia siedem razy.

- Tak... Znakomity ruchomy obrazek - zgodziła się pierwsza. - Za każdym razem, kiedy widzę tę scenę, jak ona go opuszcza, a on patrzy na nią i rzuca jej to swoje spojrzenie, od razu łzy stają mi w oczach...

- Przepraszam bardzo, ale to nie były *Cienie wśród pisków* - oświadczył mężczyzna. Mówił powoli i z naciskiem. - Myśli pani o słynnej scenie na placu w *Płomyeniach namyetności*.

Gruba kobieta poklepała Ginger po ręce.

- Masz, panienko, dobrego chłopaka - powiedziała. - Zawsze rusza ci na ratunek. Gdyby to mnie ciągnęły gdzieś szalone trolle, mój stary słowa by nie powiedział. Najwyżej by spytał, gdzie ma mi wysłać rzeczy.

- Mój mąż nawet by nie wstał z fotela, gdyby to mnie pożerały smoki - dodała chuda. Szturchnęła lekko Ginger. - Ale przydałoby ci cię więcej ubrania, panienko. Następnym razem, kiedy trzeba cię będzie ratować, upieraj się, żeby pozwolili ci włożyć ciepły płaszcz. Ile razy zobaczę cię na ekranie, zaraz myślę: ona sama się prosi o grypę, kiedy biega w takim stanie. Ot co.

- Gdzie jego miecz? - zapytał dzieciak, kopiąc matkę w łydkę.

- Przypuszczam, że zaraz po niego pójdzie - odpowiedziała, uśmiechając się do Victora zachęcająco.

- Ehm... No tak - wymamrotał. - Chodź, Ginger. Chwycił ją za rękę.

- Zróbcie chłopakowi miejsce! - krzyknął władczo palacz fajki. Ludzie rozstapili się wokół nich. Ginger i Victor zobaczyli tysiące twarzy zwróconych ku nim wyczekująco.

- Oni myślą, że byliśmy rzeczywiści - jęknęła Ginger. - Nikt nic nie robi, na miłość bogów, bo uważają, że to ty jesteś bohaterem! A my też nic nie możemy zrobić. Ten Stwór jest większy niż my oboje!

Victor wpatrywał się w mokre kamienie bruku. Pewnie mógłbym sobie przypomnieć jakieś czary, myślał, ale zwyczajne czary nic nie działają przeciwko Piekielnym Wymiarom. I jestem pewien, że prawdziwi bohaterowie nie stoją wśród wiwatujących tłumów. Bohaterowie wykonują swoją robotę. Są jak ten biedny Gaspode - nikt ich nie zauważa, dopiero potem. To właśnie jest rzeczywistość.

Wolno uniósł głowę.

Ale czy to naprawdę rzeczywistość?

Powietrze trzeszczało. Wypełniał je inny rodzaj magii. Ta magia fruwała po świecie jak zerwana taśma ruchomego obrazka. Gdyby tylko zdołał chwycić koniec...

Rzeczywistość nie musi być rzeczywista. W odpowiednich warunkach może być tym, w co wierzą ludzie...

- Cofnij się - szepnął.

- Co chcesz zrobić? - zdziwiła się Ginger.

- Spróbować magii Świętego Gaju.

- W Świętym Gaju nie ma nic magicznego!

- Myślę, że jest. Inna odmiana magii. Czuliśmy ją. Magia jest tam, gdzie możesz ją znaleźć.

Kilka razy odetchnął głęboko i pozwolił, by umysł odwijał się z wolna. Na tym polegał sekret. Trzeba to robić, a nie o tym myśleć. Wystarczy pozwolić, żeby instrukcje napłynęły z zewnątrz. Praca jak każda. Człowiek czuł na sobie oko obrazkowego pudła i świat się zmieniał - świat będący jedynie migotliwym srebrzystym prostokątem.

W tym cała tajemnica. W migotaniu.

Zwykła magia tylko przesuwa obiekty. Nie potrafi stworzyć niczego rzeczywistego, co przetrwa dłużej niż kilka sekund; wymaga to zbyt wielkiej energii.

Ale magię Świętego Gaju wykorzystuje się według jego zasad...

Pewnie wyciągnął rękę w stronę nieba.

- Światła!

Sieć błyskawic rozjaśniła całe miasto...

- Obrazkowe pudło!

Halogen wściekle zakręcił korbą.

- Akcja!

Nikt nie zauważył, skąd wziął się koń. Po prostu nagle się zjawił, przeskoczył nad głowami tłumu. Był biały i miał piękne, zdobione srebrem wodze. Victor wskoczył na siodło, kiedy rumak go mijał, po czym kazał mu stanąć dęba i przebierać w powietrzu przednimi nogami. Dobył miecza, który jeszcze przed chwilą nie istniał.

Miecz i wierzchołek migotały prawie niedostrzegalnie.

Victor uśmiechnął się. Światło odbiło się od jego zębów... ting!... Odblask, ale bez dźwięku. Nie wymyślili jeszcze obrazków z głosem.

Wierz w to. To jedyny sposób. Nie przestawaj wierzyć. Oszukuj oczy, oszukuj mózg...

Ruszył galopem w szpalerze entuzjastycznych widzów. Pognał w stronę Uniwersytetu i wielkiej sceny finałowej.

Korbowy zwolnił. Ginger stuknęła go w ramię.

- Jeśli przestaniesz kręcić korbą - ostrzegła - skreć ci kark.

- Ale jest już prawie poza...

Ginger pchnęła go do starożytnego wózka inwalidzkiego Windle'a Poonsa i rzuciła właścicielowi taki uśmiech, że małe chmurki wrzącej woskowiny wypłynęły mu z uszu.

- Jeśli wolno - powiedziała głosem tak namiętym, że wszyscy magowie zwinęli palce u nóg w swych szpiczastych butach. - Możemy pożyczyć pana na moment?

- Hej, hej! Nie tak ostro, maleńka!

...whumm... whumm...

Myślak Stibbons oczywiście wiedział o wazie. Wszyscy studenci przychodzili tu, żeby popatrzeć.

Dlatego nie zwrócił na nią uwagi, kiedy przemykał się korytarzem, podejmując kolejną próbę swobodnego wieczornego wyjścia.

.. .whummwhummWHUMMWHUMMWHUMMMwhumm.

Musiał tylko przebiec krużgankiem i...

PLIB.

Wszystkie osiem glinianych słoni wystrzeliło kulki jednocześnie. Resograf eksplodował, zmieniając sufit w coś podobnego do pieprzniczki.

Po minucie czy dwóch Myślak podniósł się bardzo ostrożnie. Stracił kawałek ucha, a jego kapelusz stał się zestawem dziur, trzymany razem pojedynczymi nitkami.

- Chciałem tylko wyskoczyć na piwo - wymamrotał oszołomiony. - Co w tym złego?

Bibliotekarz przykucnął na kopule Biblioteki; obserwował biegające ulicami tłumy i zbliżającą się monstrualną postać.

Z pewnym zdziwieniem zauważył, że ściga ją jakiś widmowy koń, którego podkowy nie stukają o bruk.

Konia zaś ścigał trzykołowy leżak, który na dwóch kołach brał zakręty i strzelał za sobą iskrami. Był obwieszony magami i wszyscy krzyczeli co sił w płucach. Od czasu do czasu któryś wypadał i musiał biec za pojazdem, aż nabrał szybkości i wskakiwał znowu.

Trójce się ta sztuka nie udała. To znaczy jednemu udała się na tyle, że pochwycił wiszący z tyłu skórzany dach, a pozostałej dwójce na tyle, że złapali za szatę tego z przodu. Teraz, przy każdym skręcie, ogon trzech krzyczących „Łaaa!” magów szorował na boki po drodze.

Było tam również kilku cywilów, ale ci tylko jeszcze głośniej wrzeszczeli.

Bibliotekarz oglądał w życiu wiele niezwykłych zjawisk, ale to było bez wątpienia pięćdziesiątym siódmym najdziwniejszym[28].

Tutaj, w górze, bardzo wyraźnie słyszał ich głosy.

- ...musisz kręcić! On ma szansę tylko wtedy, kiedy będziesz kręcił! To magia Świętego Gaju! On sprawia, że działa w świecie rzeczywistym!

To był głos dziewczyny.

- Dobrze, ale chochliki robią się strasznie marudne, jeśli... A to głos mężczyzny pracującego w strasliwym napięciu.

- Do demona z chochlikami!

- Ale jak mógł stworzyć konia? - To pytał dziekan. Bibliotekarz rozpoznał jękliwy ton. - Przecież to magia najwyższej próby!

- To nie jest prawdziwy koń, tylko koń z ruchomych obrazków. - Znowu dziewczyna. - Hej, ty! Zwalniasz!

- Nie, wcale nie! Patrz, kręcę korbą! Naprawdę kręcę!

- Nie może dosiadać konia, który nie jest prawdziwy!

- Jesteś magikiem i wierzysz w takie rzeczy?

- Ściśle mówiąc, magiem.

- Wszystko jedno. To nie wasz typ magii.

Bibliotekarz pokiwał głową i przestał słuchać. Musiał się zająć innymi sprawami.

Stwór zrównał się niemal z Wieżą Sztuk i wkrótce skręcił do Biblioteki. Stwory zawsze kierowały się do najbliższego źródła magii. Potrzebowały jej.

W jednym z zakurzonych magazynów Uniwersytetu bibliotekarz znalazł długą żelazną pikę. Trzymał ją teraz mocno w jednej stopie; odwiązał linę, którą umocował wcześniej do wiatrowskazu. Sięgała aż do szczytu Wieży; przeciągnięcie jej zajęło mu całą noc.

Spojrzał na miasto w dole, po czym zabębnił pięściami o pierś i ryknął:

- AaaaAAaaaaAAA... ehem, ehem!

Może to bębnienie nie było konieczne, pomyślał czekając, aż ucichnie rżenie i zgasną latające przed oczami maleńkie światełka.

Chwycił pikę w jedną rękę, linę w drugą - i skoczył.

Najbardziej obrazowym sposobem opisu lotu bibliotekarza ponad budynkami Niewidocznego Uniwersytetu będzie chyba transkrypcja dźwięków, jakie wydawał w tym czasie.

Najpierw: „AaaAAaaaaAAaaa”. To nie wymaga tłumaczenia i odpowiada początkowym etapom lotu, kiedy wydawało się, że wszystko idzie dobrze.

Potem: „Aaaarghhh”. Ten odgłos wydał, kiedy o kilka łokci minął Stwora i zaczął sobie uświadamiać, że jeśli przywiąże się linę do szczytu bardzo wysokiej i wyjątkowo solidnej kamiennej wieży, i jeśli huśta się na końcu tej liny, to nietrafienie w coś po drodze stanowi błąd, którego będzie się żałować do końca gwałtownie skróconego życia.

Koniec liny dotarł do końca łuku. Rozległ się dźwięk dokładnie taki, jaki wydaje gumowy worek pełen masła trafiający w kamienną płytę. Po chwili czy dwóch zabrzmiało jeszcze bardzo ciche „uuk”.

Pika z brzękiem upadła w ciemność. Bibliotekarz niczym rozgwieżdżona rozciągnął się na murze, wbijając palce we wszystkie dostępne pęknięcia.

Może zdołałby jakoś zejść na ziemię, ale nie miał okazji się o tym przekonać, gdyż Stwór wyciągnął migoczące ramię i oderwał go od ściany z odgłosem zbliżonym do tego, jaki powstaje, gdy przetykacz usuwa wyjątkowo trudny zator w zlewie.

Stwór podniósł go do tego, co w tej chwili było twarzą.

Tłum wlał się na plac przed Niewidocznym Uniwersytetem. Dibblerowie biegli na czele.

- Popatrz tylko - westchnął smutnie Gardło Sobie Podrzynam. - Muszą ich być tysiące i nikt im niczego nie sprzedaje. Wózek zahamował wśród

snopu iskier.

Victor czekał na niego. Widmowy koń migotał pod siodłem. Właściwie niejeden koń, ale cały ciąg koni, nieruchomych, zmieniających od klatki do klatki.

Znowu zajaśniały błyskawice.

- Co on robi? - zainteresował się kierownik katedry.

- Stara się nie dopuścić jej do Biblioteki - wyjaśnił dziekan, wyteżając wzrok pośród deszczu, który właśnie zastukał o bruk. - Żeby przeżyć w naszej rzeczywistości, Stwory potrzebują magii. Inaczej się rozpadają. Rozumiesz, brak im naturalnego pola morfogenicznego...

- Zróbcie coś! Zabijcie to czarami! - krzyczała Ginger. - Biedna małpka!

- Nie możemy rzucać czarów! To jak gasić ogień olejem! - odparł dziekan. - Poza tym... Nie wiem, jak się zabrać do zabijania pięćdziesięciopowej kobiety. Nigdy jeszcze nie wystąpiła taka potrzeba.

- To nie jest kobieta! To... To stwór z ruchomych obrazków, wy idioci! Myślicie, że naprawdę jestem taka wielka? - krzyczała Ginger. - To wykorzystuje Święty Gaj! Jest monstrum ze Świętego Gaju! Z krainy ruchomych obrazków!

- Steruj, do licha! Steruj! - Nie wiem jak!

- Musisz balansować ciałem!

Kwestor nerwowo ścisnął kij miotły. Łatwo ci mówić, myślał. Ty jesteś przyzwyczajony.

Wychodzili właśnie z Głównego Holu, kiedy gigantyczna kobieta

przeszła przez bramę, trzymając w dłoni bełkoczącą małpę. A teraz kwestor usiłował kierować antyczną miotłą z uniwersyteckiego muzeum, natomiast szaleniec za jego plecami gorączkowo ładował kuszę.

Atak powietrzny, stwierdził nadrektor. Jest absolutnie konieczne, by zaatakować z powietrza.

- Nie możesz lecieć równo? - zapytał właśnie.

- Nie jest dwuosobowa, nadrektorze!

- Przecież nie mogę celować, człowieku, dopóki tak zygzakujesz po niebie!

Zaraźliwy duch Świętego Gaju, śmigający nad miastem niczym odcięta nagle stalowa cuma, raz jeszcze przeciął umysł nadrektora.

- Nie porzucamy naszych ludzi - oświadczył z mocą Ridcully.

- Małp, nadrektorze - poprawił go odruchowo kwestor.

Stwór kroczył w stronę Victora. Poruszał się chwiejnie, walcząc z szarpiącymi go siłami rzeczywistości. Migotał, starając się zachować kształt, w jakim przedostał się do tego świata. W rezultacie obrazy Ginger pojawiały się na zmianę z przebłyskami czegoś, co wiło się i skręcało.

Stwór potrzebował magii.

Zauważył Victora z mieczem i - jeśli zdolny był do czegoś tak skomplikowanego, jak wiedza - wiedział, że jest zagrożony. Skręcił, by ruszyć na Ginger i magów...

...którzy buchnęli płomieniem.

Dziekan palił się wyjątkowo ładnym niebieskim kolorem. - Proszę się nie obawiać, panienko - odezwał się kierownik katedry z wnętrza swego płomienia. - To tylko iluzja. Nie jest prawdziwy.

- Mnie to mówicie? - parsknęła Ginger. - Do dzieła!

Magowie postąpili naprzód.

Ginger usłyszała za sobą kroki. To byli Dibblerowie.

- Dlaczego to coś boi się ognia? - spytał Soli, kiedy Stwór cofnął się przed magami. - Przecież to iluzja. Na pewno czuje, że nie wydziela ciepła.

Ginger pokręciła głową. Wyglądała jak ktoś, kto płynie na załamującej się fali hysterii. Może dlatego że człowiek nieczęsto ogląda rozdeptujące miasto, gigantyczne wizerunki samego siebie.

- Użyło magii Świętego Gaju - powiedziała. - Nie może zatem naruszyć zasad Świętego Gaju. Nic nie czuje, nic nie słyszy. Jedynie widzi. To, co widzi, jest rzeczywiste. A ruchome obrazki boją się ognia.

Ogromna Ginger stanęła u stóp wieży.

- Wpadło w pułapkę - stwierdził Dibbler. - Mają to. Stwór mrugał oczami, patrząc na coraz bliższe płomienie. Odwrócił się. Wyciągnął w górę wolną rękę. I zaczął się wspinać na wieżę.

Victor zeskoczył z siodła i przestał się koncentrować. Koń zniknął.

Mimo ogarniającej go paniki, Victor znalazł w umyśle miejsce na niewielkie poczucie dumy. Gdyby tylko magowie oglądali migawki, dokładnie by wiedzieli, jak to robić.

Chodziło o krytyczną częstotliwość syntezy. Nawet rzeczywistość ją miała. Jeśli ktoś potrafił stworzyć coś, co trwało jedynie przez ułamek sekundy, to nie znaczy, że zawiódł. To znaczy, że powinien powtarzać to raz po raz.

Przebiegł bokiem wzdłuż podstawy wieży, patrząc na wspinającego się Stwora, i potknął się o coś metalowego. Była to pika bibliotekarza. Kawałek dalej leżał w kałuży koniec liny.

Przyglądał im się przez chwilę, po czym odciął piką kawałek liny, żeby zrobić z niej prymitywny pasek do broni; zarzucił ją na ramię.

Chwycił linę i szarpnął na próbę; potem...

Wyczuł nieprzyjemny brak oporu. Odskoczył do tyłu w chwili, gdy setki stóp wilgotnej liny plasnęło o chodnik.

Rozejrzał się rozpaczliwie, szukając innej drogi na wierzchołek.

Dibblerowie z otwartymi ustami obserwowali wspinaczkę Stwora. Nie poruszał się szybko; od czasu do czasu musiał wetknąć jęczącego bibliotekarza na jakiś poręczny gzyms, żeby poszukać kolejnego chwytu. Ale wciąż szedł wyżej.

- O tak. Tak. Tak - wzdychał Soli. - Co za obraz. Czysta kinematografia.

- Gigantyczna kobieta niosąca przerażoną małpę na wierzchołek wysokiego budynku - westchnął Dibbler. - I nawet nie musimy płacić honorarium.

- Tak - powiedział Soli.

- Tak... - mruknął Dibbler. W jego głosie zabrzmiała delikatna nuta niepewności.

Soli spojrzał tęsknie.

- Tak - powtórzył. - Hm...

- Wiem, co masz na myśli - stwierdził wolno Dibbler.

- To... No wiesz, jest świetne, ale... jak by tu... Nie mogę się pozbyć uczucia, że...

- Tak. Coś tu nie pasuje.

- Nie całkiem nie pasuje - tłumaczył Soli. - Nie do końca. Nie chodzi o pasowanie jako takie. Raczej czegoś brakuje...

Urwał, bezskutecznie szukając właściwych słów. Westchnął. Dibbler także westchnął. Nad ich głowami zahuczał grom.

I z nieba zanurkowała miotła, a na niej dwóch wrzeszczących magów.

Victor pchnął drzwi u podstawy Wieży Sztuk.

Wewnątrz panowała ciemność. Słyszał wodę ściekającą z wysokiego dachu.

Podobno Wieża była najstarszym budynkiem na świecie. Z pewnością sprawiała takie wrażenie. Od dawna nikt jej do niczego nie wykorzystywał; wewnętrzne stropy spróchniały i teraz pozostały już tylko schody.

Były spiralne, z wielkich płyt zamocowanych w ścianach. Niektórych brakowało. Nawet za dnia wspinaczka byłaby ryzykowna. Nocą - wykluczona.

Drzwi za nim otworzyły się z trzaskiem i do wieży wkroczyła Ginger, ciągnąc za sobą korbowego.

- No co? - spytała. - Spiesz się. Musisz ocalić tę biedną małą.

- Małą - poprawił ją odruchowo Victor. - Człekokształtą.

- Wszystko jedno.

- Jest za ciemno...

- W migawkach nigdy nie jest za ciemno - odparła spokojnie Ginger. - Zastanów się.

Szturchnęła korbowego, który potwierdził szybko:

- Ma rację. W migawkach nigdy nie jest ciemno. To logiczne. Musi być dosyć światła, żeby przy nim widzieć ciemność. Victor spojrzał w mrok.

- Posłuchaj - zwrócił się do Ginger. - Gdybym... Gdyby coś się nie udało, powiedz magom o... no wiesz, o jaskini. Stwory spróbują się tamtędy przedrzeć.

- Nie wrócę tam! Zagrzało.

- Ruszaj! - krzyknęła pobladła Ginger. - Światła! Obrazkowe pudło! Akcja! I cała reszta!

Victor zacisnął zęby i ruszył biegiem. Światła wystarczało, by nadać ciemności kształt; przeskakiwał ze stopnia na stopień, a magia Świętego Gaju recytowała mu w głowie swoją litanię.

- Musi być dość światła - sapał - żeby widzieć ciemność. Zachwiał się.

- A w Świętym Gaju nigdy nie brakuje mi sił - dodał w nadziei, że nogi mu uwierzą.

Pokonał kolejne okrążenie.

- W Świętym Gaju zawsze zjawiam się w ostatniej chwili! - krzyknął.

Oparł się o mur, żeby złapać oddech.

- Zawsze w ostatniej chwili - wymamrotał. Znów ruszył w górę.

Płyty przesuwwały mu się pod stopami jak sen, jak klatki ruchomego obrazka sunące przez pudło projektora.

Na pewno zdąży na ostatnią chwilę. Tysiące ludzi wie, że mu się uda.

Gdyby bohaterowie nie zjawiali się w ostatniej chwili, nic przecież nie miałoby sensu. W dodatku...

Pod jego opadającą stopą nie było płyty.

Druga stopa wyginała się już, by opuścić stopień.

Każdą drobinę energii włożył w jedno szarpiące ścięgna pchnięcie; poczuł, jak palce trafiają w brzeg następnej płyty, rzucił się w górę i skoczył jeszcze raz, gdyż miał do wyboru albo to, albo złamanie nogi.

- To szaleństwo.

Pędził dalej, wyężając wzrok, by wypatrzeć kolejne brakujące stopnie.

- Zawsze w ostatniej chwili - mruknął.

Może więc mógłby się zatrzymać i odpocząć? I tak przecież dotrze na ostatnią chwilę... To właśnie oznacza ostatnia chwila...

Nie. Trzeba grać uczciwie.

Przed sobą zauważył brakującą płytę.

Patrzył tępo na puste miejsce.

Cała wieża pełna jest takich pułapek.

Skupił się na chwilę i skoczył w pustkę, która nagle stała się wpuszczoną w mur płytą - tylko na ułamek sekundy, niezbędny, by przeskoczyć do kolejnej.

Uśmiechnął się w ciemności i błysk światła zamigotał mu na zębach.

Nic stworzonego przez magię Świętego Gaju nie pozostaje rzeczywiste na długo.

Ale można uczynić to rzeczywistym na dostatecznie długo.

Niech żyje Święty Gaj!

Stwór migotał teraz wolniej, mniej czasu poświęcał na wygląkanie jak gigantyczna wersja Ginger, a więcej na wygląkanie jak zawartość kosza wypychacza zwierząt. Wciągnął swe wilgotne cielsko na szczyt wieży i legł bez ruchu. Powietrze świszczało w jego rurach oddechowych. Pod mackami kruszyły się kamienie, gdy odpływała z nich magia i poddawały się groźnemu apetytowi Czasu.

Stwór był zdziwiony. Gdzie są inni? Został sam, obłączony w jakimś dziwnym miejscu...

...i rozgniewany. Wysunął oko i spojrzał ze złością na małpę, wyrrywającą się z czegoś, co jeszcze niedawno było dłonią. Grom zakołysał wieżą. Deszcz spływał po kamieniach.

Stwór wysunął nibynóżkę, owinał nią bibliotekarza w pasie...

...i uświadomił sobie, że kolejna śmiesznie mała postać wyskoczyła z klatki schodowej.

Victor zerwał z ramienia pikę. Co teraz? Kiedy ma się do czynienia z ludźmi, zawsze istnieje kilka możliwości. Można na przykład zawołać: „Hej, ty, puść tę małpę i wychodź z czułkami do góry”. Można...

Zakończona szponem macka, gruba jak jego ramię, uderzyła o kamienie tak mocno, że aż popękały.

Odskoczył i ciął piką od lewej, pozostawiając na skórze Stwora głęboką żółtą ranę. Stwór zawył i cofnął się z niepokojącą szybkością, by wysunąć ku niemu więcej macek.

Kształt, pomyślał Victor. W naszym świecie nie ma realnego kształtu. Za dużo czasu poświęca na utrzymanie się w całości. Im bardziej będzie uważał na mnie, tym mniej może się skupić, by nie rozpaść się na kawałki.

Z różnych fragmentów Stwora wysunęły się liczne, nie dopasowane do siebie oczy. Kiedy spojrzały na Victora, pojawiły się w nich wściekle przekrwione żyłki.

Dobrze, pomyślał. Zwróciłem na siebie jego uwagę. I co?

Pchnął w tnące kleszcze i podskoczył, unosząc kolana pod brodę, kiedy szczęśliwie nierozpoznawalna nibynóżka próbowała podciąć mu nogi.

Wysunęła się kolejna macka.

Strzała przeszła ją ze efektem stalowej kulki przebijającej skarpetę pełną budyniu. Stwór zaskrzeczał.

Miotła przefrunęła nad wieżą; nadrektor nerwowo przeładowywał kuszę.

Victor usłyszał z góry:

- Jeśli krwawi, możemy go zabić! I zaraz potem:

- Co to znaczy: my?

Victor ruszył do ataku; uderzał we wszystko, co sprawiało wrażenie podatnego na ciosy. Stwór zmieniał formę, próbował pogrubić skórę albo wytworzyć skorupę w miejscach, gdzie uderzała pika.

Nie był dostatecznie szybki.

Mają rację, myślał Victor. Da się go zabić. Może to zająć cały dzień, ale nie jest niezwykły...

I nagle stanęła przed nim Ginger, z twarzą pełną bólu i zdumienia.

Zawahał się.

Strzała ze stukiem wbiła się w to, co powinno być jej ciałem.

- Trafiony! Jeszcze jeden nawrót, kwestorze!

Obraz się rozwiął. Stwór zaskrzeczał znowu, jak lalkę odrzucił na bok bibliotekarza i ruszył na Victora, wyciągając na pełną długość wszystkie macki. Jedna go przewróciła, trzy inne wyrwały z rąk broń. Stwór uniósł się i machnął piką, by strącić z nieba prześladowców.

Victor podparł się na łokciu i skoncentrował. Rzeczywiste dostatecznie długo...

Błyskawica obrysowała Stwora niebieskobiałym światłem. Kiedy zahuczał grom, monstrum zatoczyło się jak pijane; niewielkie języczki elektryczności skrzyły się na jego skórze i syczały cicho. Sporo macek dymiło.

Stwór usiłował utrzymać się jakoś, zwalczyć szalejące w cielsku moce. Przesunął się na ślepo po kamieniach, skomląc cichutko. Jedyne sprawne oko wpatrywało się wrogo w Victora.

A potem Stwór zrobił krok w pustkę.

Victor podczołgał się na krawędź dachu.

Nawet spadając, Stwór nie rezygnował. Próbował gorączkowej ewolucji piór, skóry i błon, by znaleźć formę, która przetrwa upadek...

Czas zwolnił. Powietrze wypełniła czerwona mgła. Śmierć machnęła kosą.

NALEŻYSZ DO MARTWYCH, powiedział.

Potem zabrzmiał odgłos, jakby mokre pranie uderzyło o mur, i okazało się, że taki upadek mogą przetrwać jedynie zwłoki.

Tłum nie rozchodził się mimo padającego deszczu. Teraz, kiedy zniknęła wola, Stwór rozpadał się na molekuly składowe, spływające rynsztokami do rzeki i dalej, w zimne morskie głębiny.

- Rozpływa się - stwierdził wykładowca run współczesnych. - Absorbuję wilgoć z powietrza.

- Naprawdę? - zdumiał się kierownik. - Myślałem, że to znaczy, że zajmuje czas i przeszkadza. Trącił Stwora nogą.

- Ostrożnie - ostrzegł dziekan. - Nie jest umarłym ten, kto może spoczywać wiekami.

Kierownik katedry przyglądał się zwłokom.

- Dla mnie wygląda na całkiem umarłego - oświadczył. - Zaraz... tutaj coś się rusza...

Jedna z wyciągniętych macek przesunęła się trochę.

- Czyżby na kimś wylądował? - zdziwił się dziekan. Istotnie. Spod macki wyciągnęli drgające ciało Myślaka Stibbonsa. Szturchali go i poklepywali dobrodusznie, aż otworzył oczy.

- Co się stało? - zapytał.

- Upadł na ciebie pięćdziesięciostopowy potwór - wyjaśnił krótko dziekan. - Dobrze się, tego, czujesz?

- Chciałem tylko wypić jedno piwo - mamrotał Stibbons. - Zaraz bym wrócił, słowo daję.

- O czym ty mówisz, chłopcze?

Myślak nie zwracał na niego uwagi. Wstał, zataczając się trochę, i chwiejnym krokiem ruszył do Głównego Holu, by już nigdy, nigdy nie wychodzić po zmroku.

- Zabawny chłopak - uznał kierownik katedry. Wszyscy znowu spojrzeli na Stwora, który zdążył się rozpuścić prawie zupełnie.

- Piękno zabiło bestię - stwierdził dziekan, który lubił takie ładne zdania.

- Nie, nie piękno - sprzeciwił się kierownik katedry. - Raczej rozprysnięcie na ziemi.

Bibliotekarz usiadł i przetarł oczy. Ktoś podsunął mu pod nos książkę. - Przeczytaj! - rzekł Victor.

- Uuk.

- Proszę!

Orangutan otworzył tomik na stronie z piktogramami. Mrugał przez chwilę, po czym położył palec w dolnym prawym rogu i zaczął przesuwając go wzdłuż znaków, od prawej do lewej.

Od prawej do lewej...

Tak należy je czytać, pomyślał Victor. To znaczy, że przez cały czas myliłem się całkowicie.

Korbowy Halogen przejechał okiem obrazkowego pudła wzdłuż szeregu magów, po czym opuścił je na szybko znikającego potwora.

Korba przestała się kręcić. Halogen podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.

- Moglibyście trochę się skupić, panowie? - poprosił. Magowie posłusznie zbili się w ciasną grupkę. - Światło nie jest najlepsze.

Soli wypisał na kawałku tektury „Magowie oglądający Zwłoki, ujęcie 3”.

- Szkoda, że nie złapałeś upadku - powiedział; w jego głosie brzmiały nutki hysterii. - Może uda się potem jakoś to dograć albo co?

Ginger siedziała w cieniu wieży, obejmowała rękami kolana i usiłowała przestać się trząść. Wśród kształtów, które Stwór próbował przybrać tuż przed końcem, był też jej własny.

Podniosła się wreszcie i odeszła chwiejnym krokiem, dla zachowania równowagi opierając się o kamienie muru. Nie wiedziała, co niesie przyszłość, ale jeśli jej opinia miała jakieś znaczenie, przyszłość niosła między innymi kawę.

Kiedy mijała drzwi wieży, usłyszała z wnętrza kroki. Po chwili wyszedł Victor i zaraz za nim bibliotekarz.

Victor otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i zaczął kaszleć. Orangutan odepchnął go na bok i mocno chwycił Ginger za rękę. Jego uścisk był ciepły i miękki, ale wyraźnie sugerował, że gdyby zaszła taka potrzeba, bibliotekarz z łatwością mógłby każdą rękę zmienić w tubkę galarety z kawałkami kości.

- Uuk!

- Już po wszystkim - powiedziała Ginger. - Potwór nie żyje. Tak powinno się to skończyć, jasne? A teraz muszę się czegoś napić.

- Uuk!

- Sam się uuknij! - Victor podniósł głowę.

- Nie jest... po wszystkim - oświadczył.

- Dla mnie jest. Przed chwilą widziałam, jak zamieniam się w... w Stwora z mackami. Coś takiego naprawdę może dziewczyną wstrząsnąć.

- To nieważne - wykrztusił Victor. - Źle zrozumieliśmy. Słuchaj, one spróbują przedrzeć się znowu. Musisz wrócić do Świętego Gaju! Będą przechodzić tamtędy!

- Uuk! - zgodził się z nim bibliotekarz i fioletowym paznokciem stuknął w książkę.

- No to poradzą sobie beze mnie - stwierdziła Ginger.

- Nie poradzą! To znaczy, i tak przejdą! Ale ty możesz ich powstrzymać! Przestań tak mi się przyglądać. - Szturchnął bibliotekarza. - No dalej, wytłumacz jej.

- Uuk - powiedział cierpliwie bibliotekarz. - Uuk.

- Nic nie rozumiem! - jęknęła Ginger. Victor zmarszczył brwi.

- Jak to? - zdziwił się.

- Jak niby mam rozumieć piski małpiszona? Victor odwrócił wzrok.

- Tego...

Bibliotekarz przez moment stał nieruchomo, niby niewielki prehistoryczny posąg. Potem bardzo delikatnie i wyrozumiale poklepał dłoń Ginger.

- Uuk - rzekł wielkodusznie.

- Przepraszam - powiedziała Ginger.

- Posłuchaj - tłumaczył Victor. - Źle zrozumiałem zapis. Nie chciałaś

pomagać Stworom, próbowałaś je powstrzymać. Czytałem to w odwrotną stronę. Tam nie ma człowieka za bramą, tam jest człowiek przed bramą. A człowiek przed bramą... - zaczerpnął tchu - ...to strażnik!

- Dobrze, ale przecież nie możemy się dostać do Świętego Gaju! To całe mile stąd.

Victor wzruszył ramionami.

- Idź, poszukaj korbowego.

Ziemia wokół Ankh-Morpork jest żyzna i w znacznej części pokryta polami kapusty, które pomagają miastu uzyskać jego niezwykły zapach. Szare światło przedświt zalewało niebiesko-zieloną równinę i opływało dwójkę farmerów, którzy wcześniej zabrali się do zbiorów szpinaku.

Ich uwagę zwrócił nie odgłos, ale ruchomy punkt ciszy tam, gdzie powinien być dźwięk.

Był to mężczyzna, kobieta i coś, co wyglądało jak człowiek rozmiaru pięć w futrze rozmiaru dwanaście, cała trójka w rydwanie, który migotał podczas jazdy.

Minutę czy dwie później nadjechał wózek inwalidzki. Oś miał rozgrzaną do czerwoności. Pełen był ludzi wrzeszczących na siebie nawzajem; jeden z nich kręcił korbą przy dużym pudle.

Wózek był tak przeładowany, że pasażerowie wypadali od czasu do czasu i gonili go z krzykiem, póki nie zdołali wskoczyć z powrotem; wtedy zaczynali wrzeszczeć.

Ktokolwiek sterował, nie odnosił wielkich sukcesów - wózek zygzakował od brzegu do brzegu drogi, aż w końcu zjechał z niej zupełnie i przebił ścianę stodoły.

Jeden z farmerów szturchnął kolegę w bok.

- Widziołem takie na migawkach - powiedział. - Zawsze to samo. Wałom się tacy w stodole i wyjeżdżajom drugom stronom, coli w kurczokach.

Jego towarzysz w zadumie wsparł się na motyce.

- To bydzie niezły widok - stwierdził.

- Pewno, co bydzie.

- Bo ni mo tam, chopie, nic innygo, ino dwadzieścia ton gówków kapusty.

Trzasnęło; wózek wystrzelił ze stodoły w chmurze piszczących kurcząt i z szaleńczą prędkością skręcił z powrotem na drogę.

Farmerzy spojrzeli na siebie.

- Niech to pieron strzyli - mruknął jeden z nich.

Święty Gaj stał się lśnieniem na horyzoncie. Wstrząsy ziemi były wyraźnie silniejsze.

Migoczący rydwan wynurzył się zza kępy drzew i wyhamował na szczycie Wzgórza. Zbocze opadało łagodnie w dół, do miasta.

Mgła przesłaniała Święty Gaj. Wystrzeliwały z niej smugi światła i krzyżowały się na niebie.

- Spóźniliśmy się? - spytała z nadzieją Ginger.

- Prawie się spóźniliśmy - odparł Victor.

- Uuk - oświadczył bibliotekarz.

Czytał piktogramy, przesuwając paznokciem wzdłuż ich linii -z prawej do lewej, z prawej do lewej.

- Wiedziałem, że coś się nie zgadza - mówił Victor. - Ten śpiący posąg... strażnik. Dawni kapłani, śpiewający pieśni i odprawiający rytuały, żeby nie zasnął. Pamiętali Święty Gaj jak najlepiej potrafili.

- Ale ja nic nie wiem o strażniku!

- Owszem, wiesz. Gdzieś w głębi siebie.

- Uuk! - zawołał bibliotekarz i stuknął w stronicę. - Uuk!

- Mówi, że prawdopodobnie pochodzisz od pierwszej najwyższej kapłanki. Uważa, że wszyscy w Świętym Gaju są potomkami... Widzisz, kiedy po raz pierwszy Stwory się przebiły, całe miasto uległo zniszczeniu, a ocaleni uciekli we wszystkie strony świata. Ale każdy przecież potrafi pamiętać nawet to, co się przydarzyło jego przodkom... Znaczy jest tak, jakby istniało takie wielkie morze wspomnień, a my jesteśmy z nim połączeni. I kiedy wszystko zaczęło się od nowa, zostaliśmy tu wezwani, a ty starałaś się wszystko naprawić. Niestety, zew był słaby i mógł do ciebie dotrzeć tylko we śnie...

Umilkł, bezradny.

- Uuk? - spytała podejrzliwie Ginger. - Zrozumiałeś to wszystko z jednego „uuk”?

- No, więcej niż jednego - przyznał Victor.

- W życiu nie słyszałam takich... - zaczęła Ginger i urwała.

Delikatniejsza od najdelikatniejszej skóry dłoń wsunęła się w jej rękę. Ginger obejrzała się i spojrzała prosto w twarz, przegrywając porównanie z wypompowaną piłką.

- Uuk - powiedział bibliotekarz.

Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy.

- Ale przecież - tłumaczyła Ginger - nigdy nie czułam się jak najwyższa kapłanka. Nawet troszeczkę.

- Ten sen, który mi opowiadałaś - wtrącił Victor. - Jak dla mnie był mocno kapłański. Bardzo... bardzo...

- Uuk.

- Eklezjastyczny - przetłumaczył Victor. - Właśnie.

- To tylko sen - zaprotestowała nerwowo Ginger. - Śnił mi się czasem, odkąd pamiętam.

- Uuk, uuk.

- Co powiedział?

- Że prawdopodobnie o wiele dłużej, niż pamiętasz. Przed nimi Święty Gaj błyszczał jak szron, jak miasto zbudowane z zestalonego światła gwiazd.

- Victor... - odezwała się Ginger.

- Tak?

- Gdzie są wszyscy?

Victor spojrzał na drogę. Tam, gdzie powinien widzieć ludzi, rozpaczliwie uciekających uchodźców... nie było nic. Tylko cisza. I blask.

- Gdzie oni są? - powtórzyła Ginger. Zobaczył jej minę.

- Przecież tunel się zawalił - powiedział głośno w nadziei, że stanie się to prawdą. - Zamknął przejście.

- Trolle szybko potrafiłyby oczyścić zawał.

Victor wyobraził sobie... Cthino. Pierwszą salę cthinową, działającą od

tysięcy lat. I wszystkich znanych sobie ludzi, jak siedzą w niej przez kolejne tysiące. A nad nimi zmieniają się gwiazdy.

- Oczywiście, mogą być... no... gdzie indziej - skłaniał.

- Ale nie są - odparła Ginger. - Oboje o tym wiemy. Victor patrzył bezradnie na miasto światła.

- Dlaczego my? - zapytał. - Dlaczego nam się to zdarza?

- Wszystko musi się komuś zdarzyć - stwierdziła Ginger. Victor wzruszył ramionami.

- I ma się tylko jedną szansę - dodał. - Mam rację?

- Akurat kiedy powinienes ocalić świat, trafia ci się świat do ocalenia.

- Tak. Mamy szczęście, nie ma co.

Dwaj farmerzy zajrzeli przez wrota stodoły. Stosy kapusty czekały spokojnie w półmroku.

- Mówiłeś, że to kapusta - powiedział jeden z farmerów. - Wiedzieliś, że ni mo tu kurczoków. Umia poznać kapusta i wierzą w to, co widza.

Z góry zabrzmiały jakieś głosy. Zbliżały się.

- Na miłość bogów, chłopie, nie potrafisz sterować?

- Nie wtedy, kiedy pan tak się wierci, nadrektorze.

- Gdzie jesteśmy, u demona? Niczego nie widać w tej mgle!

- Zaraz zobaczę, jak tylko skieruję... Niech się pan tak nie wychyla!

Nie wychylać się! Powiedziałem...

Farmerzy odskoczyli na boki; miotła opadła korkociągiem, trafiła w otwarte wrota stodoły i zniknęła wśród kapusty. Rozległo się ciche kapuściane mlaśnięcie.

- Wychylił się pan - oznajmił po dłuższej chwili stłumiony głos.

- Bzdura. W niezłą kabałę mnie wpakowałeś. Co to jest?

- Kapusta, nadrektorze.

- Jakieś warzywo?

- Tak.

- Nie znoszę warzyw. Rozwadniają krew.

Przez chwilę trwało milczenie. Potem farmerzy usłyszeli drugi głos:

- No to bardzo mi przykro, ty krwiożercza, zarozumiała beko smalcu.

Znów cisza. I:

- Mogę pana zwolnić, kwestorze?

- Nie, nadrektorze. Mam kontrakt dożywotni.

- W takim razie proszę mi pomóc wstać. Pójdziemy poszukać czegoś do wypicia.

Farmerzy odeszli ukradkiem.

- Niech ta skołowacieję - rzekł wierzący w kapustę. - To magi. Lepiej się ta nie mieszoć w sprawy kołowatych magów.

- A ino - zgodził się drugi. - Tego... co to znoczy kołowaty? Ale dokładnie?

Nadszedł czas ciszy.

Nic nie poruszało się w Świętym Gaju - oprócz światła. Migotało powoli.

Światło Świętego Gaju, pomyślał Victor. Panowało uczucie zaleknionego wyczekiwania. Jeśli plan ruchomego obrazka jest snem czekającym na stanie się rzeczywistością, to miasteczko postąpiło o krok wyżej na skali - było rzeczywistym miejscem, czekającym na coś nowego, czego nie zdoła opisać zwykły język.

- - powiedział Victor i otworzył usta ze zdumienia.

- ? - spytała Ginger.

- ?

- !

Spoglądali na siebie, nie rozumiejąc. Wreszcie Victor chwycił Ginger za rękę i pociągnął do najbliższego budynku, który okazał się jadłodajnią.

Zobaczyli scenę nie do opisania - pozostała taka do chwili, gdy Victor znalazł tablicę, którą żartobliwie nazywano „menu”.

Wziął kredę.

MÓWIĘ, ALE SAM SIEBIE NIE SŁYSZĘ, napisał i wręczył kredę Ginger.

JA TEŻ. CZEMU?

Victor kilka razy podrzucił kredę w rękę i odpowiedział:

CHYBA DLATEGO ŻE NIE WYNALEŻLIŚMY GŁOSOWYCH R.

OBRAZKÓW. GDYBYŚMY NIE MIELI CHOCHLIKÓW MALUJĄCYCH
W KOLORZE, PEWNIĘ WSZYSTKO TU BYŁOBY CZARNO-BIAŁE.

Rozejrzeli się. Na niemal wszystkich stołach pozostawiono niedojedzone dania. U Borgle'a nie było w tym nic dziwnego, jednak zwykle siedzieli tu również narzekający głośno ludzie.

Ginger ostrożnie dotknęła palcem zawartości najbliższego talerza.

- *Jeszcze ciepły* - stwierdziła tylko ruchem warg.

- *Chodźmy* - zaproponował bezgłośnie Victor i wskazał drzwi.

Spróbowała wyrazić coś bardziej skomplikowanego, skrzywiła się, widząc jego minę, i wróciła do tablicy.

POWINNIŚMY CZEKAĆ NA MAGÓW, napisała.

Victor znieruchomiał na moment. Potem jego wargi ukształtowały frazę, do znajomości której Ginger nigdy by się nie przyznała. Skoczył do drzwi.

Przeładowany wózek inwalidzki toczył się już główną ulicą. Dym unosił się z obu osi. Victor zaczął podskakiwać i machać rękami.

Wózek zahamował.

Nastąpiła długa, milcząca rozmowa. Wiele razy pisano coś na najbliższej ścianie. Wreszcie Ginger nie mogła już opanować zniecierpliwienia i podeszła bliżej.

MUSICIE 3MAĆ S. Z DALEKA. JEŚLI S. PRZEBIJA, TO WAS
ZJEDZĄ.

CIEBIE TEŻ. Pismo było bardziej staranne - to dziekan.

Victor odpowiedział na piśmie:

ALEJA CHYBA WIEM, CO S. DZIEJE. ZRESZTĄ BĘDZIECIE

POTRZEBNI, GDYBY COŚ S. NIE UDAŁO.

Skinął dziekanowi głowę i biegiem wrócił do Ginger i bibliotekarza. Zerknął z troską na małpę. Formalnie rzecz biorąc, bibliotekarz był magiem - to znaczy był magiem, zanim stał się orangutanem, więc pewnie wciąż nim pozostał. Z drugiej strony był również potężną małpą i kimś, kogo dobrze mieć pod ręką w nieprzewidzianych okolicznościach. Victor postanowił zaryzykować.

- *Idziemy.*

Bez trudu znaleźli drogę do wzgórza. Gdzie kiedyś prowadziła wąska ścieżka, teraz biegł szeroki trakt, wymownie udekorowany śladami pospiesznego marszu. Tam sandał. Tu porzucone pudło obrazkowe. Gdzie indziej czerwone boa z piór.

Wrota prowadzące do wzgórza wisały wyrwane z zawiasów. Z tunelu padał mętny blask. Victor wzruszył ramionami i wkroczył do wnętrza.

Rumowisko nie zostało oczyszczone, ale rozepchnięte na boki i ugniecione, żeby otworzyć przejście środkiem. Strop się nie zapadł, ale nie z powodu skalnych odłamków pod ścianami.

Z powodu Detrytusa.

Podtrzymywał sklepienie.

Prawie. W tej chwili przyklęknął już na jedno kolano.

Victor i bibliotekarz zaczęli układać głazy wokół trolla, aż mógł wysunąć się spod brzemienia. Stęknął, a przynajmniej wyglądał, jakby stęknął, i runął na twarz. Ginger pomogła mu wstać.

- *Co się stało?* - zapytała bezgłośnie.

- ?? - Detrytus zdumiał się brakiem dźwięku i usiłował spojrzeć zezem na własne usta.

Victor westchnął. Wyobraził sobie mieszkańców Świętego Gaju,

pędzących ślepo korytarzem, i trolle odgarniające zawał. Ponieważ Detrytus był najsilniejszy, naturalnie odegrał kluczową rolę. A że swego mózgu używał zwykle tylko po to, by czubek głowy nie zapadł mu się do wnętrza, równie naturalnie pozostał, dźwigając na barkach ciężar wzgórza. Victor widział niemal, jak troll krzyczy, niesłyszany, a wszyscy biegną koło niego.

Zastanowił się, czy nie wypisać kilku słów pocieszenia, ale w przypadku Detrytusa byłaby to zapewne strata czasu. Zresztą troll nie czekał. Z wyrazem posępnej determinacji na twarzy pobiegł tunelem; wlokące się ręce pozostawiały w piasku dwie głębokie bruzdy.

Korytarz doprowadził ich do jaskini, która - Victor rozumiał teraz - była czymś w rodzaju przedsionka przed właściwą piwnicą obrazkową. Może tysiące lat temu błagalnicy tłoczyli się tutaj, żeby kupić... co? Może konsekrowane kiełbaski albo święte pukane ziarna...

W tej chwili wypełniało ją widmowe światło. I nadal, gdzie tylko spojrział Victor, leżały wilgotne, pleśniejące obiekty. Ale gdzie tylko nie spojrział, na samych obrzeżach pola widzenia, doznawał uczucia, że jaskinia udekorowana jest niczym pałac, pełna draperii z czerwonego pluszu i połączanych barokowych ozdób. Gwałtownie odwracał głowę, usiłując pochwycić ten upiorny, błyszczący wizerunek.

Dostrzegł zmartwione oblicze bibliotekarza i napisał kredą na ścianie:

RZECZYWISTOŚCI S. ZLEWAJĄ?

Orangutan pokiwał głową.

Victor skrzywił się i poprowadził swój oddział trzech świętogajowych guerillas - a właściwie dwójki guerillas i jednego orangutana - po wytartych stopniach na widownię.

Później zdał sobie sprawę, że Detrytus ocalił ich wszystkich.

Raz tylko spojrzeli na wirujące wizje na obscenicznym ekranie i...

Sen... Rzeczywistość... Wiara.

Czekaj...

...i Detrytus spróbował przejść przez nich na wylot. Obrazy, mające chwytać i rzucać sieć zachwytu na każdy świadomy umysł, odbijały się od wnętrza jego kamiennej czaszki i wypadały z powrotem. Nie zwracał na nie uwagi. Musiał łapać za ogon inne sroki[29].

Stratowanie prawie na śmierć przez zaabsorbowanego trolla jest niemal idealnym lekarstwem dla osoby mającej kłopot z rozróżnieniem tego, co rzeczywiste. Rzeczywistość to coś, co ciężko przydeptuje plecy.

Victor poderwał się na nogi i przyciągnął do siebie pozostałych.

- *Nie patrzcie!* - ostrzegł samym ruchem warg.

Kiwnęli głowami.

Ginger mocno ścisnęła go za rękę, kiedy ostrożnie sunęli do przodu przejściem między siedzeniami.

Był tu cały Święty Gaj. Widzieli w rzędach znajome twarze, nieruchome w migotliwym blasku, z zastygłymi minami.

Victor czuł, jak paznokcie Ginger wbijają mu się w skórę. Tam siedział Skallin i Morry, Fruntkin z jadłodajni i pani Cosmopilite, garderobiana. Był Silverfish i rząd innych alchemików. Byli cieśle, korbowi, wszystkie niedoszłe gwiazdy, ludzie trzymający konie, czyściciele stajni i ci, którzy podawali do stołów albo stali w kolejkach i czekali, wciąż czekali na swoją wielką szansę...

Homary, pomyślał Victor. Było tu wielkie miasto, potem wielu ludzi

zginęło i teraz stało się mieszkaniem dla homarów.

Bibliotekarz wyciągnął rękę.

Detrytus znalazł w pierwszym rzędzie Ruby i teraz usiłował poderwać ją z miejsca. Bardzo się starał, lecz jej oczy wciąż podążały w kierunku tańczących obrazów. Kiedy stanął przed nią, zamrugła tylko i odepchnęła go.

Potem na jej twarz powrócił wyraz pustki. Usiadła wygodniej.

Victor położył trollowi dłoń na ramieniu i wykonał gest, miał nadzieję, że pocieszący. Twarz Detrytusa była freskiem rozpacz.

Zbroja wciąż leżała na kamiennym bloku, za ekranem, przed zaśniedziałym dyskiem.

Wszyscy czworo przeglądali się jej bezradnie.

Victor ostrożnie przejechał po niej palcem. Spod warstwy kurzu błysnęła żółta metaliczna smuga. Spojrzał na Ginger.

- *Co teraz ?*

Wzruszyła ramionami. To znaczyło: Skąd mam wiedzieć? Wtedy spałam.

Ekran nad nimi wydymał się już mocno. Ile zostało czasu, zanim przedrą się Stwory?

Victor spróbował potrząsnąć leżącym... powiedzmy: leżącym człowiekiem. Bardzo wysokim człowiekiem. W gładkiej złocistej zbroi. Ale równie dobrze mógłby się starać obudzić górę.

Spróbował uwolnić miecz, choć był dłuższy od niego i gdyby nawet zdołał go podnieść, łatwiej byłoby mu pewnie do walki używać barki.

Człowiek w zbroi ścisnął miecz niewzruszenie. Bibliotekarz usiłował czytać książkę przy świetle ekranu. Gorączkowo przewracał strony.

Victor wypisał kredą na płycie:

NIE MASZ ŻADNEGO POMYSŁU?

Ginger odebrała mu kredę.

NIE! OBUDZIŁEŚ MNIE! NIE WIEM, JAK TO ZROBIĆ!!! CO-KOLWIEK BY TO BYŁO!!!

Czwarty wykrzyk nie pojawił się tylko dlatego, że pękła kreda. Ułamany kawałek odskoczył, uderzył o coś i brzęknął cicho.

Victor wyjął Ginger z palców pozostałą część.

MOŻE ZAJRZYJ DO KSIĄŻKI, zaproponował.

Bibliotekarz kiwnął głową i spróbował podsunąć jej tomik. Powstrzymała go gestem, przez chwilę wpatrywała się w cień. Wzięła książkę.

Spojrzała na małpę, na trolla, na człowieka. Zamachnęła się i rzuciła książkę jak najmocniej. Tym razem nic nie brzęknęło cicho. Zabrzmiało wyraźne, niskie, bardzo donośne „boong” - coś potrafiło wydać głos w bezdźwięcznym świecie.

Ślizgając się po podłodze, Victor obiegił płytę. Wielki dysk był gongiem. Postukał w niego; odpadły płatki śnieży, a metal zawibrował i zadźwięczał metaliczne od dotknięcia. Poniżej, w miejscu, które Victor odruchowo przeszukał wzrokiem, leżał sześciostopowy metalowy pręt z wielką kulą na końcu.

Chwycił go i podniósł z podpórek. A przynajmniej próbował podnieść - rdza społa je z prętem na stałe.

Bibliotekarz stanął z drugiego końca, spojrzeli sobie w oczy i pociągnęli razem. Skrawki rdzy wbiły się Victorowi w dłonie.

Nic nawet nie drgnęło. Czas i słone powietrze zmieniło młot gongu i jego podpórki w jedną metalową całość.

I wtedy czas nagle zwolnił, zmienił się w ciąg nieruchomych obrazów, niby klatki na błonie przesuwającej się przez pudło. Klik.

Detrytus sięgnął ponad głowę Victora, chwycił pręt pośrodku i podniósł go, wyrywając podpórki z litej skały. Klik.

Wszyscy troje rzucili się na ziemię; Detrytus chwycił oburącz młot, napiął mięśnie i wziął szeroki zamach.

Klik.

Klik.

Klik.

Klik.

Pochwycony w serii ujęć, Detrytus zdawał się przemieszczać natchmiastowo przez... klik... nieco się różniące pozycje; obrócił się na twardej stopie, a głowa młota... klik... wykreśliła jasny łuk w ciemności.

Klik.

Uderzenie pchnęło gong tak daleko, że łańcuchy pękły i dysk huknął o ścianę jaskini.

Dźwięk powrócił szybko i w ogromnych ilościach, jak gdyby był gdzieś zatamowany, a teraz - uwolniony nagle - wypływał radośnie na świat i zatapiał uszy.

Boong!

Klik.

Gigantyczna postać na kamiennej płycie usiadła powoli; kurz spływał z

niej strumieniami. Pod spodem lśniło złoto, nie pociemniałe przez lata. Złoty człowiek poruszał się wolno, ale stanowczo, jak popychany sprężyną. Jedną ręką ujął wielki miecz. Drugą chwycił za krawędź płyty, by łatwiej zachować równowagę, kiedy opuszczał na ziemię długie nogi.

Wyprostował się na pełne dziesięć stóp wzrostu, wsparł dłonie na rękojeści miecza i znieruchomiał na chwilę. Wyglądał całkiem podobnie jak wtedy, kiedy leżał na płycie, tym razem jednak emanował czujnością; wyczuwało się pulsujące w jego wnętrzu ogromne energie. Nie zwracał uwagi na czwórkę, która go obudziła.

Ekran przestał pulsować nieregularnie. Coś zauważyło obecność złotego człowieka i na nim skupiło całą uwagę. A to znaczy, że chwilowo nie poświęcało jej nikomu innemu.

Na widowni zaczął się ruch. Widzowie się budzili.

Victor pociągnął bibliotekarza i Detrytusa.

- Wy dwaj - powiedział. - Wyprowadźcie stąd wszystkich. I to szybko.

- Uuk!

Mieszkańcy Świętego Gaju nie potrzebowali zachęty. Jedno spojrzenie na kształty na ekranie, bezpośrednio, bez hipnotycznego otępienia, wystarczało, by każdy choć trochę mądrzejszy od Detrytusa nagle zapragnął się znaleźć daleko stąd. Przeskakiwali siedzenia, by jak najprędzej uciec z jaskini.

Ginger ruszyła za nimi, ale Victor ją powstrzymał.

- Jeszcze nie - powiedział cicho. - Nie my.

- O co ci chodzi? - spytała. Pokręcił głową.

- Musimy wyjść ostatni - rzekł. - To wszystko się dzieje w Świętym Gaju. Możesz wykorzystywać jego magię, ale on wykorzystuje ciebie. Poza tym nie chcesz zobaczyć, jak to się skończy?

- Miałam raczej nadzieję, że zobaczę, jak to się skończy, z bardzo daleka.

- Dobrze, spójrz na to z innej strony. Potrzebują jeszcze paru minut, żeby się wydostać. Możemy poczekać i mieć pustą drogę.

Słyszeli krzyki z przedsionka - to niedawna widownia tłoczyła się przy wejściu do tunelu.

Victor przeszedł między siedzeniami do tylnego rzędu i usiadł na wolnym miejscu.

- Mam nadzieję - mruknął - że stary Detrytus będzie miał dość rozumu i tym razem nie zostanie z tyłu, żeby podtrzymywać sklepienie.

Ginger z westchnieniem usiadła obok. Victor oparł nogi o siedzenie przed sobą i pogrzebał w kieszeniach.

- Masz ochotę na pukane ziarna? - zaproponował. Ledwie widoczny złoty człowiek stał pod ekranem. Spuścił głowę.

- A wiesz? Naprawdę jest podobny do wujka Oswalda - zauważyła Ginger.

Ekran pociemniał tak nagle, że ogarniająca go czerń niemal zaświezczała.

Coś takiego musiało się już zdarzyć wiele razy, myślał Victor. W wielu wszechświatach. Przybywa dzika idea, a złoty człowiek, Oswald czy jak mu tam, powstaje, żeby ją poskromić. Albo coś. Może gdziekolwiek przemieści się Święty Gaj, Osric podąży za nim.

Punkcik fioletowego światła pojawił się nagle i rósł coraz szybciej. Victor miał uczucie, że spada w tunel.

Złocista postać uniosła głowę.

Światło skrzyło się i nabrało przypadkowych kształtów. Ekran zniknął - teraz było tam coś przeciskającego się do świata: nie obraz na końcu sali,

ale coś rozpaczliwie starającego się zaistnieć.

Złoty człowiek podniósł miecz.

Victor potrząsnął Ginger za ramię.

- Myślę, że teraz powinniśmy już wyjść. Miecz ciął. Złoty blask zalał całą jaskinię.

Victor i Ginger pędzili po schodach w przedsionku, kiedy nastąpił pierwszy wstrząs. Spojrzeli na pusty otwór tunelu.

- Nigdy w życiu - oznajmiła Ginger. - Nie mam zamiaru znowu dać się tam uwięzić.

Przed nimi leżały zalane wodą schody. Oczywiście, musiały się łączyć z otwartym morzem, dzieliło ich od niego tylko kilka stóp... Ale woda była atramentowoczarna i - jak to określał Gaspode - wróżbna.

- Umiesz pływać? - zapytał Victor.

Jedna z kolumn runęła za jego plecami. Z sali widowni dobiegło przeraźliwe wycie.

- Niezbyt dobrze - odparła Ginger.

- Ja też nie.

Hałas na widowni narastał.

- Z drugiej strony - rzekł, biorąc ją za rękę - możemy uznać to za znakomitą okazję, żeby się nauczyć. I to szybko. Skoczyli.

Victor wypłynął na powierzchnię dwadzieścia sążni od brzegu. Płuca już mu pękały. Ginger pojawiła się niedaleko. Razem wrócili na plażę.

Ziemia drżała.

Miasteczko Święty Gaj, zbudowane z nieleżakowanego drewna i krótkich gwoździ, rozpadało się od wstrząsów. Domy składały się powoli jak talie kart. Tu i tam niewielkie eksplozje wskazywały na magazyny oktocelulozy. Płóciennie miasta i gipsowe góry zmieniały się w ruinę.

A między tym wszystkim, uchylając się przed spadającym drewnem, ale nie zwracając uwagi na nic innego, mieszkańcy Świętego Gaju uciekali ile sił w nogach. Korbowi, aktorzy, alchemicy, chochliki, trolle, krasnoludy - pędzili jak mrówki, których mrowisko stanęło w płomieniach: ze spuszczonej głowami, równym krokiem, ze wzrokiem utkwionym w horyzoncie.

Spora część wzgórza zapadła się nagle.

Przez chwilę Victorowi zdawało się, że widzi ogromną złocistą postać Osberta, niematerialną jak drobinki pyłu w smudze światła. Wzniosła się nad Świętym Gajem i zatoczyła mieczem szeroki, obejmujący wszystko łuk.

Potem zniknęła.

Pomógł Ginger wyjść na brzeg.

Dotarli do głównej ulicy, cichej teraz, jeśli nie liczyć rzadkich trzasków i stuknięć, gdy kolejne deski odpadały z ledwie jeszcze stojących budynków.

Szli poprzez połamane scenografie i rozbite pudła obrazkowe.

Coś uderzyło za nimi - to tablica „Wiek Nietoperza” zerwała się z lin i runęła na piasek.

Minęli to, co pozostało z jadłodajni Borgle'a; jej zniszczenie w niewielkim, ale znaczącym stopniu poprawiło średnią jakość jedzenia na świecie.

Brodzili w rozwiniętych, szeleszczących na wietrze błonach.

Wspinali się na połamane sny.

Na granicy dawnego Świętego Gaju Victor obejrzał się raz jeszcze.

- W końcu mieli rację - stwierdził. - Już nigdy nie będziesz pracować w tym mieście.

Usłyszał szloch. Ku jego zdumieniu Ginger płakała.

Objął ją ramieniem.

- Chodźmy - powiedział. - Odprowadzę cię do domu.

Magia Holy Woodu, oderwana teraz i zanikająca, iskrzyła w okolicy, szukając dróg, by się uziemić. Klik...

Był wczesny wieczór. Czerwone światło zachodzącego słońca wpadało przez okna Najlepszych Żeberek Hargi, o tej porze prawie całkiem pustych.

Detrytus i Ruby siedzieli niezgrabnie na krzesłach przeznaczonych dla ludzi.

Oprócz nich w lokalu był tylko Sham Harga. Równie rozsmarowywał ścierką brud na blatach pustych stolików i pogwizdywał cicho.

- Ehem... - zaczął Detrytus.

- Tak? - spytała niecierpliwie Ruby.

- Ee... Nic.

Detrytus nie czuł się tutaj dobrze, ale Ruby nalegała. Miał wrażenie, że chce, by coś powiedział, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Oprócz

walnięcia jej cegłą.

Harga przestał gwizdać.

Detrytus poczuł, że odwraca głowę. I otwiera usta.

- Zagraj to jeszcze raz, Sham - powiedziało Holy Wood.

Zabrzmiała dźwięczna nuta. Tylina ściana Najlepszych Żeberek przesunęła się do innego wymiaru, gdzie zwykle znikają takie elementy. Zamglona, ale wyraźnie rozpoznawalna orkiestra zajęła przestrzeń normalnie wypełnioną przez kuchnię Hargi i zaśmiecony zaułek na tyłach.

Suknia Ruby stała się wodospadem cekinów. Inne stoliki zawirowały i odpłynęły.

Detrytus poprawił niespodziewany frak i odchrząknął. - Może czekają nas kłopoty... - zaczął; słowa płynęły skądinąd wprost do jego krtani.

Ujął dłoń Ruby. Laska z poślaczoną gałką musnęła jego ucho. Czarny jedwabny kapelusz zmaterializował się z nagle i odbił od łokcia. Nie zwracał na nie uwagi.

- Ale póki trwa księżyc i muzyka...

Zająknął się. Złociste słowa uciekły. Powróciły ściany i stoliki. Cekiny zapłonęły i zgasły.

- Um - powiedział nagle Detrytus. Obserwowała go z napięciem.

- Tego... Przepraszam. Nie wiem, co mnie naszło. Podszedł Harga.

- Co to było... - zaczął.

Nie patrząc, Ruby wyciągnęła swą grubą jak pień drzewa rękę, odwróciła go w miejscu i wypchnęła przez mur.

- Pocałuj mnie, ty durniu - rzekła.

Detrytus zmarszczył brwi.

- Co?

Ruby westchnęła. To tyle, jeśli chodzi o ludzkie zaloty.

Chwyciła krzesło i z naukową precyzją walnęła go w głowę. Detrytus z rozanielonym uśmiechem runął na stolik.

Podniosła go bez trudu i przerzuciła sobie przez ramię. Jeśli już nauczyła się czegoś w Świętym Gaju, to że nie warto czekać, aż książkę z trollowej bajki przyłoży jej cegłą. Należy samemu postarać się o cegły.

Klik...

W kopalni krasnoludów, wiele mil od Ankh-Morpork, bardzo zirytowany nadzorca uderzył o łopatę, by nakazać ciszę, i przemówił:

- Chcę, żeby to było całkiem jasne. Zrozumiano? Jeszcze raz, i tym razem naprawdę jeszcze raz! Jeszcze raz usłyszę od was, przeklęte ozdoby trawnikowe, to hejhohejho, zacznie się czas dwuręcznego topora. Zrozumiano? Jesteśmy krasnoludami, do demona! Więc zachowujcie się jak krasnoludy. I ciebie też to dotyczy, Drzemciu!

Klik...

Zarzykuj I Nazwij Mnie Tuptusiem wskoczył na szczyt wydmy i wyjrzał ostrożnie. Pokicał z powrotem.

- Wszędzie pusto - zameldował. - Żadnych ludzi. Same ruiny.

- Nasze własne miejsce - rzekł uszczęśliwiony kot. - Miejsce, gdzie wszystkie zwierzęta, niezależnie od rozmiaru i gatunku, mogą żyć wspólnie w doskonałej...

Kaczor zakwakał.

- Kaczor mówi - przetłumaczył Nazwij Mnie Tuptusiem I Giń - że warto spróbować. Skoro już mamy być inteligentne, to możemy korzystać z tej inteligencji jak należy. Chodźcie.

Nagle zadrżał. Powietrze nabrało metalicznego posmaku. Niewielki obszar wśród wydmy zafalował jak od żaru.

Kaczor zakwakał znowu.

Nie-Tuptuś zmarszczył nos. Nagle trudno mu było się skoncentrować.

- Kaczor mówi... - zająknął się. - Kaczor mówi... mówi... kaczor... mówi... mówi... kwa? Kot spojrzał na mysz.

- Miau? - powiedział.

Mysz po mysiemu wzruszyła ramionami.

- Pii - zauważyła.

Królik niepewnie marszczył nos.

Kaczor zerknął na kota. Kot wpatrywał się w królika. Mysz spoglądała na kaczora.

Kaczor wystrzelił w powietrze. Królik zmienił się w znikającą szybko chmurkę piasku. Mysz pomknęła między wydmy. A kot, czując się o wiele szczęśliwszy niż przez ostatnie tygodnie, rzucił się za nią w pogoń.

Klik...

Ginger i Victor siedzieli pod Załatany Bębem przy stoliku w kącie.

- To były dobre psy - oświadczyła Ginger po długiej chwili milczenia.

- Tak - zgodził się smętnie Victor.

- Merry i Skallin kopali w ruinach przez całe wieki. Mówią, że na dole są jakieś piwnice i różne takie. Przykro mi.

- Tak.

- Może powinienes wystawić im pomnik?

- Nie jestem pewien. Jeśli pomyślisz, co psy robią z pomnikami... Może śmierć psów też należy do Świętego Gaju. Sam nie wiem. Ginger obrysowała palcem dziurę po sęku w blacie stolika.

- Wszystko się skończyło - powiedziała. - Wiesz o tym, prawda? Nie ma Świętego Gaju. Już po wszystkim.

- Tak.

- Patrycjusz i magowie nikomu już nie pozwolą robić migawek. Patrycjusz był w tej kwestii bardzo stanowczy.

- Nie sędzę, żeby ktoś jeszcze chciał je robić - stwierdził Victor. - Kto teraz będzie pamiętał o Świętym Gaju?

- Co masz na myśli?

- Ci dawni kapłani stworzyli z tego taką niedopieczoną religię. Zapomnieli, o co naprawdę chodziło. Ale to bez znaczenia. Nie przypuszczam, żeby te śpiewy i ognie były konieczne. Trzeba zwyczajnie pamiętać Święty Gaj... jak on się dawniej nazywał? Trzeba jak najlepiej pamiętać Holy Wood.

- Jasne - uśmiechnęła się Ginger. - A do tego potrzebne jest tysiąc

słoni.

- Rzeczywiście. - Victor parsknął śmiechem. - Biedny Dibbler - dodał.
- W końcu ich nie zdobył.

Ginger przesuwiała wokół talerza kawałek ziemniaka. Coś jej ciążyło - i to nie jedzenie.

- Ale było świetnie, prawda? - wyrzuciła. - Przeżyliśmy coś zadziwiającego.

- To prawda.

- Ludzie uważali, że to jest dobre. Prawda?

- O tak - zgodził się z powagą Victor.

- Czy nie wprowadziliśmy na świat czegoś wielkiego?

- Nie żartuj.

- Nie o tamto mi chodzi. Ale wiesz co? Bycie boginią ekranu nie jest takie wspaniałe, jak może się wydawać.

- Fakt.

Ginger westchnęła.

- Koniec z magią Świętego Gaju.

- Myślę, że mogło jej trochę pozostać - mruknął Victor.

- Gdzie?

- Pewnie dryfuje tu i tam. Szuka sposobów, żeby się zużyć.

Ginger zapatrzyła się w swoją szklankę.

- Co zamierzasz teraz robić? - spytała.

- Nie wiem. A ty?

- Może wróć na farmę.

- Dlaczego?

- Święty Gaj był moją szansą, rozumiesz? W Ankh-Morpork nie ma zbyt wiele pracy dla kobiet. W każdym razie - dodała - nie takiej, jaką chciałabym podjąć. Miałam trzy propozycje małżeństwa. Ód całkiem ważnych ludzi.

- Naprawdę? Dlaczego? Zmarszczyła brwi.

- Wiesz, nie jestem taka znowu nieatrakcyjna...

- Nie to miałem na myśli - zapewnił ją pośpiesznie Victor.

- Przypuszczam, że jeśli ktoś jest bogatym kupcem, chciałby mieć sławną żonę. To jak posiadać biżuterię. - Spuściła wzrok. - Pani Cosmopilite pytała, czy może wziąć któregoś z tych, których ja nie chcę. Powiedziałam, żeby sobie zabrała wszystkich trzech.

- Ja też nie lubiłem takich wyborów. - Victor wyraźnie poweselał.

- Ty też? Rozumiesz, jeśli to wszystko, co mam, to wolę nie wybierać. Czym możesz być, kiedy byłeś sobą, tak wielkim, jak to tylko możliwe?

- Niczym - przyznał Victor.

- Nikt nie wie, jakie to uczucie.

- Oprócz nas.

- No tak.

- Tak.

Ginger uśmiechnęła się. Po raz pierwszy Victor zobaczył jej twarz pozbawioną irytacji, gniewu, niepokoju i świętogajowego makijażu.

- Pomyślimy o tym jutro - powiedziała. - Mimo wszystko jutro będzie nowy dzień.

Klik...

Daleki grzmot przebudził sierżanta Golona ze Straży Miejskiej Ankh-Morpork ze spokojnej drzemki na posterunku przy głównej bramie miasta.

Chmura pyłu sięgała od horyzontu po horyzont. Obserwował ją w zadumie przez dłuższy czas. Rosła ciągle, aż w końcu wypłuła ciemnoskórego młodego człowieka na słońcu.

Słoń podbiegł truchtem pod bramę i wyhamował ciężko przy murze. Colon nie mógł nie zauważyć, że chmura kurzu nadal sięga horyzontu i nadal rośnie.

Chłopak podniósł do ust zwinięte w trąbkę dłonie.

- Może mi pan wskazać drogę do Świętego Gaju? - krzyknął.

- Słyszałem, że nie ma już Świętego Gaju - odpowiedział Colon. Chłopak zastanawiał się przez chwilę. Potem spojrzał na trzymany w ręku kawałek papieru.

- A wie pan - zapytał - gdzie mogę znaleźć pana G.S.P. Dibblera?

Sierżant Colon powtórzył szeptem inicjały.

- Znaczy się Gardło? - upewnił się. - Gardło Sobie Podrzynam Dibbler?

- Czy jest u siebie?

Sierżant Colon obejrzał się na miasto za plecami.

- A kto go szuka?

- Mam dla niego towar. Gotówka przy odbiorze.

- Gotówka? - Colon zerknął na opadającą chmurę. - Chcesz tu coś gotować?

- Nie.

Wśród pyłu pojawiły się potężne szare czoła. Unosił się także bardzo wyraźny zapach, charakterystyczny dla tysiąca słoni wypasanych od wielu dni na polach kapusty.

- Zaczekaj tu! - krzyknął sierżant. - Przyprowadzę go.

Colon schował się w wartowni i szturchnął śpiącego kaprała Nobbsa, który w tej chwili stanowił drugą połowę czujnych sił bojowych, bez ustanku strzegących bezpieczeństwa miasta.

- Czego?

- Widziałeś dzisiaj Gardło, Nobby?

- Tak, był na Łatwej. Kupiłem od niego Kielbaskę Gigant Nie spodziankę.

- Wrócił do sprzedaży kielbasek?

- Musiał. Stracił wszystkie pieniądze. O co chodzi? - Może wyrzyj na zewnątrz, dobrze? - zaproponował spokojnie sierżant.

Nobby wyrżał.

- To przecież... Pańskim zdaniem będzie tam tysiąc słoni, sierżancie?

- Tak. Powiedziałbym, że koło tysiąca.

- Tak pomyślałem: wygląda na około tysiąca.

- Ten chłopak twierdzi, że Gardło je zamówił - poinformował sierżant Colon.

- Poważnie? Idzie na całość z tymi Kielbaskami Gigantami, nie ma co.

Spojrzeli sobie w oczy. Nobby uśmiechnął się złośliwie.

- Proszę, sierżancie - powiedział. -Ja pójdę i mu powiem. Dobrze?

Klik...

Thomas Silverfish, alchemik i nieudany producent migawek, wymieszał zawartość kolby i westchnął z żalem. Dużo złota porzucono w Świętym Gaju dla każdego, kto miałby dość odwagi, żeby tam wrócić i poszukać. Tym, którzy nie mieli - a Silverfish bez wahania zaliczał do tej grupy siebie - pozostały stare, sprawdzone i wypróbowane - czy raczej sprawdzone i zawsze nieskuteczne - metody wytwarzania bogactw. Dlatego wrócił do domu i podjął pracę w punkcie, gdzie ją przerwał.

- Wyszło coś? - zapytał Peavie, który zajrzał do niego, żeby wspólnie żałować minionych chwil.

- Cóż, jest srebrzyste - stwierdził Silverfish, pełen wątpliwości.

- I tak jakby metaliczne. Cięższe od ołowiu. W dodatku trzeba przerobić tonę rudy. Zabawne, ale wierzyłem, że tym razem naprawdę znalazłem coś wartościowego. Myślałem, że stanęliśmy na drodze ku lepszej, jasnej przyszłości...

- Jak to nazwiesz? - zainteresował się Peavie.

- Sam nie wiem. Nie jestem pewien, czy warto temu wymyślać jakąś nazwę.

- Ankhmorporkas? Silverfishium? Nieołowium?

- Raczej urazium - mruknął Silverfish - bo całkiem się zraziłem. Rezygnuję i wracam do jakiejś sensownej pracy. Peavie spojrzał na palnik.

- Nie robi bum, prawda? - upewnił się. Silverfish rzucił mu zabójcze spojrzenie.

- To coś? - rzucił z lekceważeniem. - Skąd ci to przyszło do głowy?

Klik...

Pod gruzami panowała całkowita ciemność. Panowała już od bardzo dawna.

Gaspode wyczuwał nad swoją niewielką norką tony kamienia. Nie potrzebował do tego żadnych tajemniczych psich zmysłów.

Przeczołgał się w miejsce, gdzie kolumna runęła do piwnicy. Laddie z wysiłkiem podniósł głowę, polizał Gaspode i szczerknął cichutko.

- *Dobry Laddie... Dobry Gaspode...*

- Dobry Laddie - szepnął Gaspode.

Ogon Laddiego raz czy dwa uderzył o kamienie. Pies zaskomlał, z coraz dłuższymi przerwami między jednym a drugim dźwiękiem.

Coś zachrząściło cicho... Jakby kość o kamień.

Gaspode zastrzygł uszami. Spojrzał na zbliżającą się postać, widoczną nawet w całkowitej ciemności, gdyż zawsze była ciemniejsza niż zwykła czerń.

Pies podciągnął się nieco; sierść zjeżyła mu się na grzbiecie. Warknął.

- Jeszcze krok, a urwę ci nogę i zakopię - ostrzegł. Koścista dłoń podrapała go za uszami. Z ciemności dobiegło słabe szczekanie:

- *Dobry Laddie!*

Łzy pociekły Gaspode z oczu; uśmiechnął się przepraszająco do Śmierci.

- Żałosne, prawda? - mruknął chrapliwie.

WŁAŚCIWIE NIE WIEM. NIGDY SPECJALNIE NIE PRZEPA-
DAŁEM ZA PSAMI.

- Tak? A mnie z kolei nigdy nie podobało się umieranie. Fo umieram, prawda?

TAK

- Szczerze mówiąc, wcale mnie to nie dziwi - oświadczył Gaspode. - Ot, historia mojego życia; umieram. Myślałem tylko - dodał - że jest jakaś specjalna Śmierć dla psów. Może taki wielki czarny pies?

NIE, odparł Śmierć.

- Zafawne. Słyszałem, że każdy gatunek zwierzęcia ma swoje upiorne mroczne widmo, które przychodzi w ostatniej chwili życia. Nie chciałem cię urazić - zapewnił pospiesznie. - Ale wydawało mi się, że kiedy przyjdzie czas, ten wielki czarny pies przyfiega i mówi: „W porządku, Gaspode, twoja praca skończona i tak dalej, możesz już zrzucić swe ciężkie frzemie, mniej więcej, i ruszać za mną do krainy stekiem i podrofami płynącej”.

NIE, powtórzył Śmierć. JESTEM TYLKO JA. OSTATNIA GRA-
NICA.

- A jak mogę cię widzieć, jeśli jeszcze nie umarłem?

MASZ HALUCYNACJE.

Gaspode spojrzał podejrzliwie.

- Mam? Coś podobnego...

- *Dobry Laddie!* - Tym razem szczekanie było głośniejsze.

Śmierć sięgnął w tajemnicze zakamarki swej szaty i wyjął niewielką klepsydrę. W górnej części prawie nie było już piasku. Ostatnie sekundy życia Gaspode przesuwały się z sykiem od przyszłości w przeszłość.

A potem nie zostało nic.

Śmierć wstał.

CHODŹ, GASPODE.

Rozległ się cichy dźwięk. Brzmiał jak słyszalny odpowiednik błysku.

Klepsydrę wypełniły złote iskry.

Śmierć uśmiechnął się.

A potem, w miejscu gdzie stał jeszcze przed chwilą, pojawił się trójkąt jaskrawego światła.

- Dobry Laddie!

- Tam jest! Mówiłem, że słyszę szczekanie! - zabrzmiał głos Skallina. - Dobry piesek! Tutaj, piesku!

- O rany! Cieszę się, że was widzę... - zaczął Gaspode. Cisnące się wokół otworu trolle nie zwracały na niego uwagi. Skallin odwalił na bok kolumnę i delikatnie podniósł Laddiego.

- Nic, co nie zagoi się z czasem - stwierdził.

- Możemy go teraz zjeść? - zapytał troll stojący wyżej.

- Uszkodzony jesteś czy co? To przecież bohaterski pies!

- ...przepraszam...

- *Dobry Laddie!*

Skallin podał psa komuś wyżej i wyszedł z dziury.

- ...przepraszam... - wychrypiał za nim Gaspode.

Usłyszał stłumione oklaski.

Po chwili, jako że nie miał zbyt wielkiego wyboru, przeczołgał się z wysiłkiem po leżącej ukośnie kolumnie i jakoś zdołał się wywlec spomiędzy ruin.

Nikogo nie było w pobliżu.

Napił się wody z kałuży.

Potem wstał i wypróbował zranioną nogę.

Może być.

I w końcu zaklął.

- Hau, hau, hau!

Umilkł. Coś tu się nie zgadzało.

Spróbował jeszcze raz.

- Hau!

Rozejrzał się...

...a kolor spłynął ze świata, przywracając go błogosławionym czerniom i bielom.

Gaspode przypomniał sobie, że mniej więcej o tej porze Harga powinien wyrzucać śmieci, a potem na pewno znajdzie się jakaś ciepła stajnia. Czego więcej może potrzebować mały pies?

Gdzieś w dalekich górach wyły wilki. Gdzieś w przyjaznych domach psy w obrozach, z miskami ozdobionymi ich imieniem, były głaskane po głowach.

A gdzieś pomiędzy jednymi a drugimi, i dziwnie z tego zadowolony, Gaspode, Cudowny Pies, kulejąc odszedł w przepięknie monochromatyczny zachód słońca.

Jakieś trzydzieści mil w kierunku obrotowym od Ankh-Morpork przybój huczał na omiatanym wiatrem, pokrytym falującą trawą i piaszczystymi wydrami skrawku lądu - w miejscu gdzie Okrągłe Morze spotyka się z Oceanem Krawędziowym.

Morskie jaskółki nurkowały tuż nad falami. Zasuszone główki morskich maków grzechotały w nieustającej bryzie, która oczyszczała niebo z chmur i układała piasek w dziwne wzory.

Samo wzgórze było widoczne na wiele mil dookoła - niezbyt wysokie, ale wznosiło się pośród wydram niby łódź odwrócona dnem do góry albo wyjątkowo pechowy wieloryb. Porastały je karłowate drzewa. Nie moczył go żaden deszcz, jeśli tylko mógł się jakoś z tego wykręcić.

Ale wiał wiatr i usypywał wydmy na wyschniętym, pobielającym drewnie ruin miasteczka Świętego Gaju.

Gwizdał na przesłuchaniach pośród opuszczonych dziedzińców.

Toczył strzępki papieru między kruszącymi się gipsowymi cudami świata.

Stukał tablicami, aż spadały i pokrywały się piaskiem.

Klikaklikaklika.

Wiatr tchnął na szkielet pudła projekcyjnego, przychylonego jak pijane na zapomnianym trójnogu.

Pochwycił luźny koniec błony i rozwijał go w ostatnim pokazie ruchomych obrazków, ciągnąc po piasku naderwaną lśniąca taśmę.

W szklanym oku pudła maleńkie figurki tańczyły szarpanymi ruchami,
ożywając jedynie na moment...

Klikaklika.

Błona zerwała się i odfrunęła nad wydrami.

Klika... klik...

Korba kołysała się jeszcze przez chwilę i zneruchomiła.

Klik.

Sny Holy Woodu...

[1] Rośnie tylko w niektórych częściach pogańskiego Howondalandu. Ma dwadzieścia stóp długości, pokrywają go kolce barwy woskowiny usznej i pachnie jak mrówko-jad, który zjadł bardzo nieświeżą mrówkę.

[2] Słynne wydawnictwo Gildii Kupców, Witajcie w Ankh-Morpork, Grodzie Tysiąca Niespodzianek, zawiera cały rozdział zatytułowany Jesteś więc barbarzyńskim najeźdźcą?, gdzie zamieszczono informacje o nocnym życiu miasta, niezwykłych okazjach na bazarze i - pod nagłówkiem „Gdzie pomaszzerować” - listę restauracji serwujących przyzwoite kobyle mleko i pudding z jaka. Wielu wandalów w szpiczastych hełmach powróciło do swych lodowatych jurt, nie całkiem rozumiejąc, dlaczego wydają się biedniejsi niż poprzednio i w jaki sposób stali się właścicielami marnie utkanego dywanu, litra wina nie nadającego się do picia i wypchanego fioletowego osła w słomkowym kapeluszu.

[3] Alternatywą było trafienie z własnej i nieprzymuszonej woli do jamy ze skorpionami.

[4] W tym miała rację, ale tylko przypadkiem.

[5] Dosł. „rzeczowościopis”, czyli urządzenie do wykrywania i pomiaru zakłóceń w osnowie rzeczywistości.

[6] NAPISY: „I znuff czuję miłoszcz” (dosł.: przeżywam miłe uczucie jak po walnięciu kamieniem w głowę przez Chondrodyta, trollowego boga miłości). Uwaga: Chondrodyta nie należy mylić z Gigaitem, trollowym bogiem, który zsyła na trolle mądrość, waląc je kamieniem w głowę, ani Silikarusem, trollowym bogiem, który sprowadza na trolle szczęście, waląc je kamieniem w głowę, ani też z ludowym bohaterem Monolitem, który jako pierwszy wyrwał bogom tajemnicę kamieni.

[7] NAPISY: „Bo ja jestem tylko po to, by kochacz mnie” (dosł.: obrywać kamieniem po głowie od Chondrodyta).

[8] NAPISY: J poza tym nie czynię nitz wientzej”.

[9] NAPISY: „Nitz wientzej. Mój wielki chłopcze”.

[10] Pani Marietta Cosmopilite, dawniej krawcowa w Ankh-Morpork - póki sny nie doprowadziły jej do Świętego Gaju. Odkryła tu, że jej talent do igły z nitką jest wysoko ceniony. Niegdyś cerowała cudze skarpety, teraz robiła na drutach kolczugi dla trolli i potrafiła w mgnieniu oka wyszydełkować parę haremowych szarawarów.

[11] Wielbłądy są o wiele za inteligentne, żeby się przyznawać do inteligencji.

[12] Niektórzy nosili duże notatniki na sztywnych deskach.

[13] Trolle mają zęby diamentowe.

[14] Ale zostały wycięte przy końcowym montażu.

[15] Bez szczególnych powodów religijnych. Po prostu podobał im się efekt, kiedy się uśmiechali.

[16] Wszystkie krasnoludy noszą brody i liczne warstwy odzieży. Zaloty polegają przede wszystkim na sprawdzeniu - w sposób delikatny i ostrożny - jakiej płci jest drugi krasnolud.

[17] Trolle znają 5400 słów określających kamienie i tylko jedno na roślinność. Oograah oznacza wszystko, od mchu po gigantyczne sekwoje. Z punktu widzenia trolli, jeśli nie można czegoś zjeść, nie warto tego nazywać.

[18] Bohaterem była młoda małpa, porzucona w wielkim mieście, która dorosła i potrafiła mówić językiem ludzi.

[19] Autorem *Necrotelicomniconu* był klatchiański nekromanta, znany światu jako Ahmed Szalony, chociaż osobiście wolał, by nazywano go Ahmedem Czasem Tylko Boli Mnie Głowa. Legenda głosi, że księga powstała pewnego dnia, kiedy Ahmed wypił za dużo niezwykle mocnej klatchiańskiej kawy, która nie tylko człowieka otrzeźwia, ale przenosi poprzez trzeźwość na drugą stronę, tak że można spojrzeć na wszechświat znad chmur ciepłej samoobludy, generowanych zwykle wokół siebie przez inteligencję, która nie chce zmienić się w inteligencję obłąkaną. Niewiele wiadomo o jego życiu w czasach poprzedzających to zdarzenie, ponieważ stronica zatytułowana *Informacje o autorze* uległa samozapłonowi wkrótce po jego śmierci. Jednak informacja *Inne książki tego samego autora* wskazuje, że jego poprzednio opublikowane dzieło nosiło tytuł *Ahmeda Czasem Tylko Boli Mnie Głowa Księga Wesołych Opowiadań o Kotach*, co może wiele tłumaczyć.

[20] Poza wszystkim innym, daje ona bratu lepszy pretekst do walki z bratem niż zwykłe powody, na przykład to, co jego żona powiedziała o mamie na pogrzebie cioci Very.

[21] 49 873 według wskazań mechanicznego Numeratora Niebios Licznika Riktora.

[22] Przynajmniej ci, którzy mieszkali w kamiennych domach.

[23] Według standardów trolli, był to prawdziwy Oscar Wilde w szczytowej formie.

[24] W rzeczywistości nazywał je „uuk”, ale prawdopodobnie w tłumaczeniu oznaczało to „dom”.

[25] Magowie, którzy unikają zwracania na siebie uwagi innych ambitnych magów, zwykle żyją bardzo długo. A wydaje się, że jeszcze dłużej.

[26] Najwyższą niechęcią z jego strony. Niechęć tego kogoś jest chyba w miarę oczywista.

[27] Zawładniemy tobą hurtowo.

[28] Miał bardzo uporządkowany umysł.

[29] W języku trolli odpowiednia fraza brzmi „Musiał powalać inne rozszalałe niedźwiedzie grizzly”.